

# O.A.J. QUINNELL

All rights reserved  
by O.A.J. Quinnell Publishing  
No part of this work  
may be reproduced  
without written permission



# MISJA SPECJALNA

A. J. QUINNELL

# MISJA SPECJALNA

In The Name Of The Father

Przekład MALGORZATA DORS

Wydanie oryginalne: 1987

Wydanie polskie: 1999

*CHRISOWI*

Nie można zarządzać Kościołem

poprzez odmawianie zdrowasiek

Arcybiskup Paul Marcinkus

# PROLOG

Najpierw doprowadził do porządku pistolet, a potem siebie, wykonując obydwie czynności równie skrupulatnie. Broń należała do rodzaju rosyjskich pistoletów typu Makarow. Czyścił ją przy stole w małej kuchni, a ponieważ miał w tym wprawę, robił to automatycznie. Najpierw wytarł broń miękką szmatką nasączoną dobrym olejem silnikowym, a potem wypolerował ją kawałkiem irchy. Choć słońce weszło już godzinę temu, światło w kuchni wciąż się paliło. Od czasu do czasu podnosił głowę, żeby wyjrzeć przez małe okienko. Niebo nad Krakowem było zachmurzone. Zaczynał się kolejny szary, zimowy dzień. Opróżnił magazynek i sprawdził sprężynę. Była w porządku, wcisnął więc naboje z powrotem i zatrzasnął.

Następnie ujął dłońmi kolbę - broń była wyważona i poręczna, ale kiedy przykręcił tłumik, lufa zaczęła trochę ciężać. Nie przejął się tym zbyt, przecież cel będzie blisko.

Ostrożnie położył pistolet na porysowanym drewnianym blacie i wstał, rozprostowując nogi i ręce.

Potem umył się pod wciśniętym w kącik prysznicem. Łazienka była zbyt mała, aby mogła pomieścić wannę, ale mimo to pamiętał jeszcze, jak się cieszył, gdy wraz z awansem na stopień majora przyznano mu mieszkanie. Po raz pierwszy w życiu mógł mieszkać sam - był to dla niego prawdziwy powód do radości.

Namydlił całe ciało i włosy francuskim szamponem, który kupił w specjalnym wydzielonym sklepie. Potem opłukał się i dwukrotnie powtórzył obie czynności - tak jakby chciał zmyć brud nawet w środku. Następnie ostrożnie się ogolił nie patrząc w lustro. Na łóżku leżał starannie wyprasowany mundur. Pamiętał, że kiedy pierwszy raz go włożył, odczuł niemal erotyczną przyjemność. Ubierał się powoli, a każdy jego ruch był przemyślany, jakby stanowił część jakiegoś rytuału. Potem wyciągnął spod łóżka płócienną torbę. Włożył do niej parę czarnych butów, dwie pary czarnych skarpetek, dwie pary ciemnoniebieskich slipów, dwie welniane, gładkie koszule, anorak w kolorze khaki i dwie pary niebieskich sztruksowych spodni. Na wierzchu położył szaszetkę z przyborami toaletowymi.

Następnie poszedł do przedpokoju po czarną skórzaną walizeczkę. Przyniósł ją do kuchni i położył na stole obok pistoletu. Zamki miały jednakowy szyfr - 1951 - rok jego urodzin. W środku nie było nic poza dwoma skórzanymi paskami przy mocowanymi do dna. Ułożył pomiędzy nimi broń i ciasno je zapisał.

Dwie minuty później, niosąc walizeczkę i płócienną torbę, wyszedł z mieszkania nie oglądając się za siebie.

Minęły godziny szczytu i na ulicach już się rozluźniło, dojechał więc do mieszczącej się w pobliżu centrum miasta siedziby SB w ciągu zaledwie dwunastu minut. Przez całą drogę słyszał stukot w silniku swojej małej skody; w przyszły poniedziałek miał ją odstawić na przegląd generalny. Automatycznie spojrzął na deskę rozdzielczą. Zobaczył, że od chwili gdy z okazji swojego awansu otrzymał asygnowaną na nowiutki samochód, zrobił już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów.

Normalnie zaparkowałby na dziedzińcu za budynkiem, ale tego ranka zostawił wóz w bocznej uliczce tuż za rogiem, blisko głównego wejścia. Wysiadł z walizeczką nie zamykając drzwi, choć zwykle to robił. Upewnił się jednak, że bagażnik, w którym leżała płócienna torba, jest dobrze zamknięty. Na widok jego munduru przechodnie odwracali wzrok.

Nie wziął ze sobą płaszcza i teraz było mu chłodno. Idąc energicznym krokiem skręcił za róg i wszedł po schodach do budynku.

Miał ostatnio znacznie więcej pracy, więc przydzielono mu sekretarkę na pełny etat. Budynek był przepełniony, ale znalazł dla niej miejsce w niszy na wprost swojego biura. Była kobietą w średnim wieku, przedwcześnie posiwała i wiecznie zatroskana. Patrzyła na niego, kiedy szedł korytarzem, a gdy znalazł się dostatecznie blisko, powiedziała niespokojnie:

- Dzień dobry, oby wam majorze. Próbowałam dodzwonić się do pana do domu, ale musiał pan właśnie wyjść. Telefonowała sekretarka generała Mieszkowskiego. Zebranie odbędzie się nieco wcześniej. - Spojrzała na zegarek - Zacznie się za dwadzieścia minut.

- Dobrze. Skończyła pani pisać raport?

- Oczywiście, oby wam majorze.

- Proszę go przynieść.

Ścibor wszedł do biura, położył walizeczkę na pustym biurku i odsunął zasłony. Szare światło przeniknęło do środka.

Sekretarka weszła za nim niosąc zawiązaną brązową tekturową teczkę i położyła obok walizeczki.

- Ma pan jeszcze czas, żeby to sprawdzić. Pozwól sobie powiedzieć, że to znakomity raport, oby wam majorze... Zaraz przyniosę panu kawę.

- Nie, dziękuję. Nie będę dzisiaj pił kawy.

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie. Przyzwyczała się już, że Ścibor zawsze przestrzega ustalonego porządku.

- Dziękuję - powtórzył. - Nie chcę, żeby cokolwiek rozpraszało mnie przed spotkaniem.

Skinęła głową i wyszła.

Ścibor pokręcił szyfrowymi zamkami walizeczki, otworzył ją i przez chwilę stał spoglądając na pistolet, po czym go odpiął. Na brązowej tekturowej teczce wydrukowany był czarnymi literami napis SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA. Kiedy rozwiązał tasemki, zobaczył kilkanaście kartek maszyny nopysu, ale nie zwracał sobie teraz głowy czytaniem.

Na pierwszej stronie ułożył broń i tłumik, a potem usiadł. Odwrócił teczkę tak, żeby otwierała się w przeciwną do niego stronę. Prawą ręką ujął kolbę i przesunął palec na spust. Dwukrotnie podniósł pistolet, po czym położył go i zawiązał teczkę. Wyglądała na wypchaną. Wsunął ją do walizeczki i zatrzasnął zamki.

Przez następne piętnaście minut siedział nieruchomo, wpatrując się przez okno w szary budynek po drugiej stronie ulicy. Zaczął się śniżyć drobny deszczyk.

Wreszcie spojrzął na zegarek, wstał i wziął walizeczkę. Na ścianie po lewej stronie wisiał dokładny plan miasta. Ścibor zatrzymał na nim wzrok przez kilka sekund, a potem stawiając duże kroki skierował się do drzwi.

Biuro generała Mieszkowskiego znajdowało się na najwyższym piętrze. W pokoju przed gabinetem szefa siedziała jego sekretarka. Była atrakcyjną kobietą o długich kasztanowatych włosach. Mówiło się, że łączy ją z generałem stosunki nie tylko służbowe. Ręką wskazała stojącą naprzeciwko skórzaną sofę i powiedziała:

- Pułkownik Konopka już jest. Generał niedługo pana poprosi. Napije się pan kawy?

Usiadł i potrzęsął przecząco głową, kładąc walizeczkę na kolanach.

Sekretarka uśmiechnąwszy się powróciła do pisania na maszynie. Od czasu do czasu zerkała na niego. Za każdym razem wzrok miał utkwiony w jakimś punkcie wysoko nad jej głową.

Uznała, że tego ranka jest bardzo spięty - ciekawa była dlaczego. Zebranie nie mogło być powodem - nie miał się czego obawiać. Nawet przeciwnie, należała mu się pochwała.

Znów rzuciła na niego spojrzenie. Patrzył wciąż w to samo miejsce. Tak na oko był tuż po trzydziestce. Bardzo młody jak na majora. Ścibor był atrakcyjnym mężczyzną, choć ponurym i sardonicznym. Miał czarne włosy, nieco dłuższe niż przewidywał to regulamin, i ciemnobrązowe oczy osadzone w szczupłej, niemal ascetycznej twarzy. Lekko cofnięty podbródek podkreślał pełne, ładnie wykrojone usta.

Piwnie oczy zwykle nadają spojrzeniu ciepło, ale jego wzrok był zimny jak lód.

Zastanawiała się właśnie, dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyła, kiedy zadzwonił brzęczyk telefonu. Podniosła słuchawkę, a przykładając ją do ucha, przechyliła głowę na bok. Przy tym ruchu kaskada włosów spłynęła jej na ramię.

- Tak oby watele generale... Tak jest tutaj... Tak oby watele generale.

Odłożyła słuchawkę i skinęła do niego głową. Patrzyła, jak wstaje, automatycznie poprawiając krawat.

Jak przystało na biuro generała, pokój był bardzo obszerny z solidnym, grubym dywanem na podłodze i czerwonymi zasłonami w oknach. Sam generał siedział za orzechowym biurkiem, przed którym stały dwa krzesła. Jedno z nich zajmował pułkownik Konopka. Pułkownik był szczupły i kościsty, a generał rumiany i otyły. Uśmiechnął się i wskazał puste krzesło.

- Mirek, cieszę się, że cię widzę. Czy moja sekretarka poczęstowała cię kawą?

Ścibor potrząsnął głową.

- Dziękuję, ale nie miałem ochoty.

Skinął głową pułkownikowi i usiadł, kładąc walizkę na biurku.

- Znakomicie rozpracowałeś tę grupę z Tarnowa - zabrał głos Konopka. - Problem tylko, czy twój raport wystarczy do wniesienia oskarżenia.

- Jestem pewien, że tak - Ścibor skinął głową. - Ale pan i generał musicie sami go ocenić. Jest krótki i rzeczowy.

Pochylił się do przodu i błyskawicznie ustawił szyfr w zamkach. Wszyscy milczeli. Generał patrzył wyczekująco. Uśmiechnął się na widok grubej teczki.

- Chyba mówileś, że jest zwięzły.

Ścibor położył teczkę przed sobą, a walizkę postawił na podłodze tuż przy krześle.

- Bo jest. Ale chcę wam pokazać coś jeszcze.

Powoli odwiązywał tasemki tekturowej teczki. Oddychał teraz głębiej, ale nikt tego nie zauważył. Obydwaj mężczyźni skupili wzrok na jego dłoniach. Ścibor odczekał się do nich, gdy przeciągał tasemkę przez ostatni węzełek.

- Oby watele generale, oby watele pułkownika, pamiętacie, jak przyjmowano mnie do bractwa - do "szyszek"? Wiedzieliście o tym wszystko. A ja odkryłem to dopiero wczoraj... I oto moja odpowiedź...

Otworzył teczkę. Zaciśnął rękę na kolbie pistoletu i spojrzał na nich.

Zaskoczony generał szeroko rozdziawił usta i wstał z krzesła. Ścibor lewą ręką zamknął teczkę, po czym wycelował w niego i nacisnął spust.

Wyraźnie rozległ się głuchy odgłos. Głowa generała odskoczyła do tyłu, kiedy pocisk wleciał przez otwarte usta, przeszedł przez mózg i wyszedł z tyłu czaszki.

Teraz Ścibor skierował broń w stronę Konopki, który podnosił się przerażony.

Kolejne trzy głuche odgłosy i trzy kule prosto w serce. Konopka upadając złapał się krzesła i pociągnął je za sobą na dywan. Próbowal coś powiedzieć, ale z gardła wydobył się tylko bełkot. Major wstał, wycelował i strzelił mu w lewą skroń.

Pułkownik leżał nieruchomo. Cały dywan wokół poplamiony był krwią.

Ścibor obszedł biurko. Generał, który runął do tyłu razem z krzesłem, leżał teraz z głową wciśniętą w kąt między ścianą a podłogą. Ściana w tym miejscu była całkowicie zbrzydzona krwawą mazią.

Ścibor stał nieruchomo, patrząc i nasłuchując. Drzwi były grube, więc wątpił, żeby sekretarka cokolwiek usłyszała. Zaczepnął kilka głębokich oddechów i odwrócił tłumik. Z powrotem ułożył walizkę na biurku. Ręce mu się trochę trzęsły, więc przez chwilę nieporadnie majstrował przy zamkach, zanim je otworzył. Wrzucił tłumik i zatrzasnął wieczko. Potem odpiął kaburę przy pasie i wyjął zwiniętą gazetę, która ją wypychała. Wsunął makarowa, zapiął, wziął walizkę i ruszył do drzwi.

Sekretarka zdziwiła się, że tak szybko wychodzi. Oglądając się przez ramię, Ścibor powiedział w głąb pokoju:

- Dziękuję, oby watele generale. Będę w swoim biurze. - Zamknął drzwi i uśmiechnął się do niej. - Generał Mieszkowski i pułkownik Konopka chcą sami porozmawiać o moim raporcie. Zadzwonią, kiedy będę im potrzebny. A tymczasem generał polecił, żeby mu nie przeszkadzać pod żadnym pozorem.

Skinęła głową. Jeszcze raz uśmiechnął się do niej i wyszedł. Nieświadomym ruchem poprawiła włosy.

Windy były strasznie wolne, więc zrezygnował z czekania i zbiegł w dół po schodach. Kiedy wychodził z budynku, oficer na służbie zsalutował mu energicznie. W odpowiedzi machnął ręką.

Dwadzieścia minut później rozległ się dzwonek przy drzwiach skromnego mieszkania księdza Józefa Lasonia na przedmieściach Krakowa.

Duchowny westchnął nieco rozdrażniony. Od dwóch godzin próbował napisać homilię na niedzielną mszę. Będzie miał zaszczyt gościć na niej biskupa, który otwarcie krytykował kazania pisane na kolanie. I przez te dwie godziny ciągle dzwonił telefon, do tego przeważnie w błahych sprawach. Rozwahał możliwość odłożenia słuchawki, ale mogło się zdarzyć, że zatelefonuje ktoś z czymś ważnym.

Począł do wejścia w swoich ulubionych starych bamboszach i otworzył drzwi, przybierając zniecierpliwioną minę. Zobaczył mężczyznę z płócienną torbą, w niebieskich sztruksowych spodniach i anoraku w kolorze khaki. Szyję i dolną część twarzy osłaniał mu czarny szal, a ciemne włosy były mokre, bo padał lekki kapuśniaczek.

Nieznamy odezwał się nieco słumionym głosem:

- Dzień dobry, proszę księdza. Czy mogę wejść?

Ksiądz wahał się przez chwilę, ale uświadomił sobie, że nieznamy moknie, i cofnął się do środka.

W korytarzu mężczyzna zdjął szalik i zapytał:

- Czy ksiądz jest sam?

- Tak. Moja gospodyni robi zakupy. - Mówiąc to przestraszył się, bo niespodziewany gość wyglądał groźnie.

- Nazywam się Mirosław Ścibor. Jestem z SB - przedstawił się.

Teraz ksiądz przełknął się nie na żarty. SB - SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA - była polską tajną milicją polityczną, której działalność w dużej mierze skierowana była przeciwko Kościołowi Katolickiemu. Słynnego majora Ścibora uważano za jednego z najbardziej nieludzkich i zawziętych agentów.

Przerażenie księdza odzwierciedliło się na jego twarzy, więc Ścibor uspokoił go:

- Nie zamierzam księdza aresztować ani nie zrobię mu żadnej krzywdy.

Ksiądz trochę się opanował.

- To po co pan tu przyszedł?

- Jako uchodźca... Proszę o azyl.

Strach na twarzy księdza przerodził się w podejrzliwość. Ścibor dostrzegł tę zmianę.

- Proszę księdza, niecałe pół godziny temu zastrzeliłem generała i pułkownika SB. Usłyszy ksiądz p tym w dzienniku.

Duchowny popatrzył w oczy Ścibora i wiedział, że mówi prawdę. Przeżegnał się i wyszeptał: "Niech ci Bóg wybaczy". Ścibor uśmiechnął się cynicznie.

- Wasz Bóg powinien mi podziękować - powiedział podkreślając słowo "wasz".

Ksiądz pokręcił głową zasmucony i zapytał:

- Dlaczego pan to zrobił?... I dlaczego pan przyszedł do mnie?

Ścibor zignorował pierwsze pytanie.

- Przyszedłem, bo jest ksiądz łącznikiem w organizowaniu ucieczek na Zachód. Wiem o tym od czterech miesięcy. Podejrzewam, że pomógł ksiądz w ucieczce temu wyrotowcowi Kamieniowi. Już dawno bym księdza aresztował, ale miałem nadzieję, że zdemaskuję całą siatkę.

Duchowny milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Proszę wejść do kuchni.

Siedzieli na wprost siebie przy kuchennym stole i pili kawę.

- Dlaczego pan to zrobił? - powtórnie zapytał ksiądz.

Ścibor sączył kawę ze swojego kubka i wpatrywał się w stół. Głos miał zupełnie obojętny, kiedy odpowiadał na pytanie.

- Zgodnie z religią księdza, zemsta należy do Boga. Ja trochę wszedłem w Jego kompetencje... To wszystko, co mam do powiedzenia.

Spojrzał na duchownego, a ten zrozumiał, że temat jest już zamknięty.

- Do niczego się nie przyznaję, ale jakie ma pan plany po przedostaniu się na Zachód?

Ścibor wzruszył ramionami.

- Najpierw musimy wiele spraw omówić, ale kiedy będę już na Zachodzie, spotkam się z Bekonowym Księdzem. Proszę mu przekazać, że... Proszę mu powiedzieć, że przyjeżdżam.

Wybór padł na generała włoskiej policji, Maria Rossiego. To on miał przekazać wieści. I był to dobry wybór, bo Rossi nie należał do ludzi, których może onieśmielić papież lub jakkolwiek ziemską istotą. Decyzja ta była też rozsądna, bo generał był przewodniczącym komitetu powołanego przez rząd do podjęcia wszelkich środków ostrożności i zapewnienia papieżowi bezpieczeństwa na terenie Włoch. Kierowca skręcił czarną lanią na Dziedziniec Damasco. Rossi poprawił krawat i wysiadł.

Prezentował się wytwornie i elegancko w prążkowanym ciemnoniebieskim garniturze z wełny czesankowej. Z ramion zsunął mu się perłowszary kaszmirowy płaszcz. W tym mieście wystrójonych mężczyzn Rossi był dumą mistrza krawieckiego. Kremowy jedwab chusteczki wsuniętej do butonierki delikatnie kontrastował z ciemną marynarką. Nieco wyżej w kłapie tkwił niewielki, ale piękny kasztanowej barwy goździk. Całość nadawałaby może nieco niewieściały wygląd innemu mężczyźnie, ale jeśli chodzi o Maria Rossiego, to choć wiele się o nim mówiło, nikt nigdy nie zakwestionował jego męskości.

Gwardziści szwajcarscy znali go dobrze, więc tylko zasalutowali.

W Pałacu Apostolskim czekał na niego Cabrini, Maestro di Camera. Prawie nie rozmawiając podeszli do windy i wjechali na najwyższe piętro. Rossi niemal fizycznie odczuwał ciekawość emanującą od Cabriniego. Rzadkością była całkowicie prywatna audyencja u papieża, zwłaszcza jeśli zorganizowano ją tak nagle. Włoski sekretarz stanu poprosił o nią zaledwie tego ranka. Powiedział, że to sprawa wagi państwowej.

Zbliżyli się do ciemnych ciężkich drzwi papieskiego gabinetu. Cabrini zapukał ostro kościstą ręką, wszedł, zapowiedział Rossiego swym nosowym głosem i wprowadził go. Gdy tylko zamknęły się drzwi za Cabrinim, papież wstał zza zarzuconego papierami stołu, który przypominał miejsce pracy niezgorszego biznesmena. Jakby na zasadzie kontrastu, papież wyglądał dokładnie na tego, kim był - miał na sobie białą jedwabną sutannę, małą białą piuskę, łańcuch i krzyż z złotego złota, a na twarzy arystokraty czny, ale ciepły uśmiech na powitanie.

Papież stanął przed stołem. Rossi z szacunkiem przyklęknął na jedno kolano i ucałował podsunięty mu pierścień.

Papież nachylił się, ujął Rossiego za ramię i podniósł delikatnie.

- Miło mi widzieć pana, generale. Widzę, że zdrowie dopisuje.

Rossi potwierdził skinieniem głowy.

- O, tak, Wasza Świątobliwość. Tygodniowy pobyt w Madonna di Campiglio zdziałał cuda.

Papież zaciekawiony uniósł brwi.

- A, tak... Jaktam narty?

- Wspaniale, Wasza Świątobliwość.

Papież uśmiechnął się blade.

- Tak bardzo brakuje mi gór...

Ujął ramię Rossiego i poprowadził go w kierunku skórzanych foteli ustawionych wokół orzechowego stolika. Kiedy usiedli, bocznymi drzwiami weszła zakonnica z tacą. Nalała kawę do filiżanek. Rossiemu podała jeszcze kieliszek sambucci, a papieżowi jakiś burszty nowy płyn ze starej nie oznakowanej butelki. Kiedy wyszła, Rossi wypił kawę, skosztował alkoholu i powiedział:

- Chciałbym podziękować Waszej Świątobliwości za przyjęcie mnie w tak krótkim czasie.

Papież skinął głową. Rossi wiedział, że nie lubi on rozmowy o niczym, więc od razu przeszedł do rzeczy.

- Wasza Świątobliwość słyszał zapewne o tym zdrajcy nazwiskiem Jewczenko.

Znów skinienie.

- Przesłuchiwałem go przez ostatnie dziesięć dni. Przechodzi na stronę Amerykanów. Pierwszą rzeczą godną uwagi jest fakt, że chociaż w ambasadzie miał raczej niską rangę, to w KGB zajmował znacznie wyższe stanowisko, niż podejrzewaliśmy. Służył w randze generała i jest jednym z największych zdrajców w ostatnich dziesięcioleciach. Ponadto wyraża chęć współpracy... nawet dużą.

Rossi opróżnił swój kieliszek i postawił go ostrożnie na stole.

- W czasie naszej wczorajszej rozmowy mówił o tym nieudanym zamachu na życie Waszej Świątobliwości 13 maja 1981 roku.

Do tej pory papież słuchał z uprzejmym zainteresowaniem, ale teraz jego oczy przybrały wyraz ożywionej ciekawości.

Rossi kontynuował:

- Jewczenko potwierdził to, co dla nas było oczywiste - że zamach został zaplanowany w Moskwie, skąd pociągane były za sznureczki bułgarskie marionetki. Następnie to, że głównym animatorem całego przedsięwzięcia był ówczesny szef KGB, Jurij Andropow.

Papież posępnie skinął głową:

- A potem wybrano go na generalnego sekretarza KPZR, więc automatycznie został szefem państwa. - Wzdrygnął się. - Ale, panie generale, tego wszystkiego można domyślić się na podstawie analizy faktów.

- Tak, Wasza Świątobliwość. Ale nie braliśmy pod uwagę tego, że skoro raz mu się nie udało, to ośmieli się podjąć kolejną próbę.

Papież przez chwilę myślał nad tym, po czym zapytał:

- A czy Jewczenko powiedział, że Andropow spróbuje jeszcze raz?

- Jest tego pewien - przytaknął Rossi. - Nie zna szczegółów, ale konsultowano się z nim w tej sprawie. Wygląda na to, że Andropow ma obsesję na tym punkcie. Uważa, że Polska jest filarem podtrzymującym sowiecką kontrolę nad Europą Wschodnią. Jej sytuacja zawsze była niezwykle istotna, i zawsze będzie. Jest też przekonany, że Wasza Świątobliwość przedstawia śmiertelne zagrożenie dla dalszego istnienia tego filaru.



Zrobił krótką pauzę dla spotęgowania wrażenia, po czym odezwał się niemal surowo:

- A mówiąc szczerze, postępowanie Waszej Świątobliwości w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy i polityka prowadzona w stosunku do Polski i komunizmu w ogóle nie przyczyły się do rozwiązania tych obaw.

Papież pomachał ręką, jakby chciał odsunąć jakieś myśli.

- Wszystko, co czyłem, było roztropne i zgodne z naukami naszego Pana.

I z domieszką patriotyzmu na dokładkę, pomyślał Rossi, ale nie powiedział tego głośno. Papież zrobił ruch ręką w jego stronę.

- Czy on naprawdę zdaje sobie sprawę z ryzyka? Przecież gdyby Polacy mieli pewność, że głowę Kościoła zamordowano na rozkaz przywódcy ZSRR, mogliby doprowadzić do wybuchu powstania, które zachwiałoby posadami sowieckiego imperium.

- To prawda - przyznał Rossi. - Rzeczywiście Jewczenko mówił, że część kierownictwa ZSRR sprzeciwia się temu planowi, ale pozycja Andropowa jest nie do podważenia. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że KGB wyciągnęło wnioski z poprzedniej próby... Wasza Świątobliwości, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Jeden z najpotężniejszych, najbardziej niemoralnych i bezwzględnych ludzi na świecie, który ma do swej dyspozycji ogromne środki, postanowił zabić Waszą Świątobliwość.

Znow zapadła cisza. Papież zamyślił się, sącząc nalewkę ze swojej szklanceczki. Po chwili zapytał:

- Czy zna pan jakieś szczegóły, generale?

Rossi skrzywił się.

- Bardzo niewiele. Tylko tyle, że zamach zostanie przeprowadzony poza murami Watykanu i poza granicami Włoch. Wasza Świątobliwość ma odbyć kilka zagranicznych pielgrzymek. Dokładne ich trasy są wszystkim znane, bo muszą być. Za niecałe dwa miesiące Wasza Świątobliwość ma wyruszyć na Daleki Wschód. Zamach może być dokonany tam albo podczas następnej podróży. Ale myślę, że stanie się to raczej wcześniej niż później. Andropow znany jest ze swej niecierpliwości i podpada już na zdrowiu... Wasza Świątobliwość, chory człowiek opętany jakąś obsesją będzie się starał urzeczywistnić ją jak najszybciej.

Papież westchnął i ze smutkiem pokręcił głową. Rossi spodziewał się, że usłyszy coś o woli Boga i przebaczeniu wrogom, ale nastąpiła dość długa chwila ciszy. Znał wół przy mknętych oczyma, papież pogrzążył się w myślach. Rossi zaś błędził wzrokiem po pokoju dostrzegając boazerię z jasnego drewna, bezcenne obrazy, wysokie okna przysłonięte fałdami atlasowych zasłon. W te okna miliony ludzkich oczu spoglądały z miłością i czcią. Znow zerknął na dostojnego rozmówcę i odniósł wrażenie, że właśnie zapada jakaś decyzja. Papież otworzył oczy - to znak, że przemysłał sprawę. Te niebieskie oczy, które tak łatwo się śmiały, były teraz zimne jak lód.

Krzywiąc się z bólu, papież wstał. Rossi, trochę niepewnie, również podniósł się z miejsca. Spojrzeli sobie w oczy i papież odezwał się nieco oschle:

- Panie generale, nie jest to zbyt dobra wiadomość, ale dziękuję, że przekazał mi ją pan osobiście i to tak szybko.

Skierował się w kierunku drzwi. Rossi siedł za nim nieco zdezorientowany.

- Wasza Świątobliwość przedsięwzięcie wszelkie środki ostrożności? Wasza Świątobliwość zdaje sobie sprawę z powagi... może trzeba odwołać...

Nie dokończył. Papież odwrócił się i stanowczo potrząsnął głową.

- Niczego nie odwołam, generale. O moim życiu, nie będzie decydować żadna siła poza wolą Boga. - Otworzył drzwi. - Jeszcze raz dziękuję, generale. Kardynał Casaroli przekaze ministrowi moje podziękowania.

Nieco oszołomiony, Rossi pocałował podsunięty mu pierścień, wymamrotał kilka słów i poszedł za Cabrinim, który teraz wyglądał na jeszcze bardziej zaciękawionego. Kiedy byli już przy windzie, Rossi zauważył, jak ojciec Dziwisz, osobisty sekretarz papieża, wchodzi do gabinetu.

Stanisław Dziwisz przybył tu z Krakowa za swoim ukochanym kardynałem. Zawsze tak się działo, gdy wybierano nowego papieża. Za kardynałem Lucianim podążyło jego otoczenie z Wenecji, a Paweł VI otoczył się ludźmi z Mediolanu. Ksiądz Dziwisz był osobistym sekretarzem papieża od piętnastu lat i traktował go jak syna. Czuł też, że rozumie go jak ojciec. Ale teraz nie był tego pewien, bo w głosie zwierzchnika było coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie słyszał. Gdy stał tak na środku pokoju, jego postawa i zachowanie wyrażały nieugiętość i chłód.

- Poprosz arcybiskupa Versano, aby przyszedł tu natychmiast... i odwołał wszystkie dzisiejsze spotkania.

- Wszystkie, Wasza Świątobliwość? - zapytał oszołomiony ksiądz Stanisław. Dostrzegł zniecierpliwienie w oczach papieża, ale wtrącił niemiłosiernie: - Czy spotkanie z delegacją z Lublina również, Wasza Świątobliwość?

Papież westchnął.

- Tak, wiem. Będą zawiedzeni. Wyjaśnij im, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego i pilnego. Sprawa, która zmusza mnie do zajęcia się nią bez zwłoki. - Po chwili namysłu dodał: - Zapytaj kardynała Casaroli, czy będzie mógł poświęcić im kilka minut. On potrafi ich pocieszyć.

- Tak, Wasza Świątobliwość...

Ksiądz Dziwisz nie odchodził. Spodziewał się, że papież powie mu, co to za ważna sprawa. Zwykle nie miał przed nim tajemnic.

Ale tym razem było inaczej. Spojrzał w niebieskie oczy papieża i zobaczył w nich zniecierpliwienie, więc odszedł, aby sprowadzić arcybiskupa Versano.

Versano usiadł i z wdzięcznością przyjął podaną mu kawę. Został podniesiony do godności arcybiskupa przez obecnego papieża. Wywołało zaskoczenie wśród obserwatorów polityki Watykanu, jako że poprzedni Amerykanin na tym stanowisku, arcybiskup Paul Marcinkus, znalazł się w bardzo żenującej sytuacji. Jego imię łączono ze skandalem Banku Ambrosiano. Właściwie stał się więźniem tego małego państwa w państwie, jakim jest Watykan. Gdyby tylko przekroczył jego granice, naraziłby się na aresztowanie. Powszechnie sądzono, że fakt ten stanie na przeszkodzie innym Amerykanom w osiągnięciu wyższych stanowisk w papieskim otoczeniu. Ale polski papież w krótkim czasie przywykł polegać na Versanie, Amerykaninie włoskiego pochodzenia, który w szybkim tempie wspiął się po szczeblach watykańskiej hierarchii. Obecnie Versano nadzorował sprawy związane z zapewnieniem papieżowi bezpieczeństwa, a ponadto był głęboko zaangażowany w restrukturyzację Banku Watykańskiego, któremu jak najszybciej należało przywrócić możliwość normalnego funkcjonowania na rynkach światowych.

Oczywiście Versano miał swoich wrogów. Był jednym z najmłodszych arcybiskupów; ten wysoki, przystojny mężczyzna - jak niektórzy mówili - z przyjemnością wykorzystywał wszystkie przywileje łączące się z zajmowanym stanowiskiem. Czarujący i uprzejmy, ale też nieugięty, lubił kierować wszystkim według własnego upodobania. Mimo to wykonywał swoją pracę bardzo dobrze, i to zarówno w kwestii ochrony papieża, jak i reorganizacji banku. Jego gwiazda jasno świeciła na niebie. Odkąd został mianowany arcybiskupem, stał się częścią najbliższego otoczenia papieża. Wiedział właściwie o wszystkim, co działo się w Watykanie, na przykład o tym, że pół godziny temu Jego Świątobliwość przyjął na pospiesznie zaaranżowanej prywatnej audiencji generała policji Maria Rossiego. Bardzo go to zaintrygowało.

Ale jego ciekawość została szybko zaspokojona. Jeszcze zanim skończył pić kawę, papież streścił mu to, czego sam zdążył już się dowiedzieć.

Jego reakcja była natychmiastowa i świadczyła o dużym doświadczeniu. Swoim donośnym, opanowanym i rozsądnym głosem próbował uspokoić papieża. Przypominał, że od czasu intronizacji planowano sześć zamachów na jego życie. Tylko jeden prawie się powiódł. Być może było kilkanaście innych, których nie wykryto. A w przyszłości pewnie będą następne. Ale ochrona doszła już niemal do perfekcji, nawet podczas podróży zagranicznych. Przyznał, że ten spis jest niebezpieczny ze względu na potęgę jego organizatora, ale podjęte zostały wszelkie możliwe kroki, aby uniemożliwić jego realizację. Papież chciał omówić wprowadzenie wzmocnionych środków bezpieczeństwa w czasie zbliżającej się podróży na Daleki Wschód, ale Versano ponownie zaczął go mitygować. Doradzał spokój i odpoczynek, bo przecież wciąż pozostawało dużo czasu. Jeszcze wiele może się zdarzyć. Nawet śmierć Andropowa, a wtedy oponenci spisku na Kremlu mogą doprowadzić do jego zaniechania.

Na wzmiankę o Andropowie papież poszedł do okna i spokojnie popatrzył na plac Świętego Piotra.

Po chwili odwrócił się i powiedział cicho:

- Niech się dzieje wola Boga. Może ten zły człowiek umrze, zanim zdąży popełnić swój okrutny czyn. A jeśli Bóg zechce, przywoła mnie przed Swoje oblicze. Nie sprzeciwiam się Jego wyrokom.

Versano powoli zbliżył się do papieża. Choć Jego Świątobliwość był postawnym mężczyzną, Amerykanin, przewyższał go o głowę. Teraz skłonił się lekko.

- Niech się dzieje wola Boga - powtórzył ochryplym głosem. - Wasza Świątobliwość swym przykładem wskazuje drogę całej ludzkości, daje jedyną w swoim rodzaju siłę do czynienia dobra. Zło nigdy jej nie przewycięży.

Przykłąknął, sięgnął po rękę papieża i żarliwie ucałował pierścionek.

Kiedy arcybiskup Mario Versano znalazł się w swoim biurze, wydał polecenie, aby mu nie przeszkadzano. Potem usiadł za biurkiem i przez jakąś godzinę, paląc marlboro jednego za drugim, wysilał swój intelekt. Mimo iż wyglądał na człowieka niefrasobliwego, jego biurko było uporządkowane - telefon w zasięgu prawej ręki, przegródki na teczkę po lewej stronie, równiutki stosik czystego papieru z przodu, srebrna zapalniczka firmy Dunhill dokładnie na środku. Na ścianie wisiały oprawione fotografie z autografami najważniejszych osobistości ze świata bankowości, z kręgów dyplomatycznych i kościelnych, a nawet ze świata showbiznesu. Niektóre z nich - te z bankowości - straciły już swoje pozycje w wyniku dochodzeń prowadzonych przez władze włoskie, ale Versanowi nie robiło to różnicy. Odchylił się wraz z krzesłem do tyłu i oparł plecami o ścianę. Po godzinie przechylił je z powrotem, sięgnął po zapalniczkę, zapalił następnego papierosa i wcisnął guzik na centralce telefonicznej.

Usłyszał suchy głos swego osobistego sekretarza, tego, który znał prawie wszystkie watykańskie sekrety.

- Tak, Wasza Miłość?

- Czy Bekonowy Ksiądz jest jeszcze w mieście?

- Tak, Wasza Miłość. Jest w Collegio Russico. Jutro rano odlatuje do Amsterdamu.

- Dobrze. Połącz mnie z nim.

Po chwili Versano przywitał swego rozmówcę.

- Pieter, mów mi Mario Versano. Kiedy ostatnio byłeś w L'Eau Vive?

- Nawet nie pamiętam, przyjacielu. Jestem tylko ubogim duchownym, sam wiesz.

Versano uśmiechnął się tajemniczo.

- A więc dzisiaj o dziewiątej w pokoju na zapleczu.

Rozłączył się i wezwał sekretarza, bladego, chudego księdza w okularach o bardzo grubych szklach, i szorstkim głosem wydał polecenie:

- Zarezerwuj pokój na zapleczu w L'Eau Vive na dzisiejszy wieczór. I powiedz Cibanowi, że byłbym zobowiązany, gdyby restauracja była "wymieciona".

Sekretarz zanotował i nieśmiało zapytał:

- Jest dość późno, Wasza Miłość. Co mam zrobić, jeśli pokój będzie już zarezerwowany, na przykład przez kardynała?

- Rozmawiaj z siostrą Marią osobiście. Powiedz jej, że nikt poza Jego Świątobliwością we własnej osobie nie może być ważniejszy od moich gości.

Sekretarz skinął głową i wyszedł. Arcybiskup wyciągnął rękę po następnego papierosa, zapalił go i zaciągnął się. Potem wykonał jeszcze jeden telefon i zaprosił jeszcze jedną osobę. Następnie znów odchylił się z krzesłem do tyłu, oparł plecami o ścianę i westchnął usatysfakcjonowany.

Chociaż padał drobny deszczyk, ksiądz Pieter Van Burgh wysiadł z taksówki już w pobliżu Panteonu, żeby ostatnie kilkadziesiąt metrów przejść pieszo. Nielatwo wyżyć się nawyków, zwłaszcza jeśli od nich może zależeć życie. Zaciągnął ściślejszy płaszcz i ruszył szybko w dół uliczką Via Monterone. Tego wieczoru było zimno, więc nie napotkał wielu przechodniów. Szybko obejrzał się za siebie i zniknął za drzwiami ukrytymi w zagłębieniu muru.

Pomieszczenie było jasno oświetlone, ale nie należało do eleganckich - zwyczajna restauracja, na pierwszy rzut oka. Płaszcz odebrała od niego wysoka czarna dziewczyna, ubrana w długą batikową suknię. Na piersiach miała złoty krzyż. Ksiądz wiedział, że jest zakonnicą, jak zresztą wszystkie kobiety obsługujące gości tej restauracji. Pochodziły one z francuskiego zakonu misyjnego działającego w Afryce Zachodniej.

Pojawiła się następna kobieta, która również miała na sobie długą szatę, ale z białego miękkiego materiału. Była biała i starsza od pierwszej. Jej twarz przybrała wyraz pobożności. Ksiądz pamiętał ją z czasów swej poprzedniej wizyty wiele lat temu. Siostra Maria zarządzała wtedy restauracją żelazną ręką. Ale ona go nie poznała.

- Czy ksiądz ma rezerwację?

- Ktoś czeka na mnie, siostrze Mario. Jestem ksiądz Van Burgh.

- A tak - W jej głosie zabrzmiał teraz wyraźny szacunek - Proszę, pokaż księdzu drogę.

Szedł za nią przez ogromną salę. Chociaż restauracja była otwarta dla wszystkich, świecy klienci nieczęsto tu zaglądali. Niemal w stu procentach goście należeli do duchowieństwa i ludzi blisko z nim związanych. Van Burgh zauważył, że sala była prawie zapelniona.

Rozpoznał niektórych gości. Biskup z Nigerii siedział w towarzystwie wydawcy "L'Osservatore Romano", a jego hebanowa twarz błyszczała w dusznej atmosferze pokoju. Biskup z Kenii pogrążony był w rozmowie z urzędnikiem Radia Watykańskiego. W rogu stał duży gipsowy posąg Matki Boskiej.

Siostra Maria odsunęła czerwona welwetową kotarę, otworzyła lakierowane drzwi i wprowadziła go do środka. Natychmiast rzucił mu się w oczy kontrast między tym pomieszczeniem a dużą salą.

Ściany tego pokoju pokryte były kosztownymi obiciami, a gruby dywan miał kolor rubinowej czerwieni. Na stole leżał kremowy atlasowy obrus. Światło świec połyskiwało na srebrnych sztućcach, kryształowych kieliszkach i twardych dwóch siedzących mężczyzn. Versano nosił na sobie zwykłą sutannę księdza parafialnego. Drugi gość ubrany był we wspaniałe purpurowe szaty kardynalskie. Van Burgh wiedział, że tej jakości strój pochodzić może jedynie od Gamarellich, którzy od dwustu lat byli papieskimi krawcami. Rozpoznał tę ściągniętą ascetyczną twarz - należała do nowo wybranego kardynała Angela Menniniego. Kardynał uważany był za jednego z najbystrzejszych i najinteligentniejszych ludzi w Rzymie. Dzięki przynależności do Towarzystwa Jezusowego, zakonu, który miał wielkie wpływy i misjonarzy na całym świecie, zaliczał się do grona najpotężniejszych i najlepiej poinformowanych ludzi. Van Burgh zetknął się z nim tylko raz, dawno temu, ale wiele o nim słyszał.

Obydwaj mężczyźni wstali. Van Burgh z szacunkiem pocałował podsunięty mu kardynalski pierścień i serdecznie uścisnął dłoń Versana. Znał o nim wiele plotek w niektóre wierzył, ale czuł instynktowną sympatię do tego postawnego Amerykanina.

Versano podesunął mu krzesło i wszyscy usiedli. W zasięgu prawej ręki arcybiskupa stał barek na kółkach.

- Masz ochotę na aperitif? - zapytał.

Van Burgh poprosił o whisky. Potem Versano uzupełnił szklaneczkę Menniniego wytrawnym wermutem, a do swojej dołączył negroni. Plusk wrzucanych kostek lodu zdawał się podkreślać ciężką ciszę. Wszyscy trzej wzięli milczący toast, a potem Versano odezwał się prawie oficjalnie:

- Pozwoliłem sobie już wcześniej złożyć zamówienie. Myślę, że nie będziecie rozczarowani. A poza tym, będą nam rzadziej przerywać.

Mimo iż Versano był najmłodszym wiekiem w tym towarzystwie, bez żadnego trudu objął funkcję przewodniczącego spotkania.

Zrobił krótką pauzę, by spotęgować efekt swych dalszych słów, po czym zaczął mówić nieco smutnym głosem:

- To, o czym muszę wam dzisiaj powiedzieć, ma poważne konsekwencje dla naszego umiłowanego Ojca Świętego i dla całego Kościoła.

Van Burgh zakaszał i niepewnie rozejrzał się po eleganckim pokoju. Versano uśmiechnął się i uspokoił go ruchem ręki.

- Nie martw się, Pieter. Zarówno ten pokój, jak i cała restauracja zostały dzisiaj "oczyszczone". Nie ma tu ani jednej pluskwy, i mogę cię również zapewnić, że cały Watykan jest bezpieczny.

Była to aluzja do wypadku z roku 1977, kiedy szef ochrony watykańskiej, Camillo Cibani, namówił sekretarza stanu, kardynała Villota, do przeszukania pomieszczeń sekretariatu w celu wykrycia ewentualnych urządzeń podsłuchowych. Znalaziono jedenaście wymyślnych pluskw, zarówno amerykańskich, jak i rosyjskich. To był ogromny szok dla tej okrytej wielką tajemnicą instytucji.

Kardynał Mennini przyglądał się siedzącemu naprzeciw holenderskiemu księdzu. Patrząc na jego pełne, rumiane policzki i szerokie bary, można było pomyśleć, że to średniowieczny mnich Tuck, który właśnie wyszedł z lasu Sherwood. Swoim zwyczajem Van Burgh pocierał jedną dłoń opuszkami palców drugiej i rozglądał się z wyrazem zdziwienia na twarzy - zupełnie jak dziecko, które nagle znalazło się samo w sklepie ze słodyczami. Ale w wieku sześćdziesięciu dwóch lat Van Burgh nie był już dzieckiem i Mennini dobrze wiedział, że za tym prostym sposobem bycia kryje się bystry umysł i szeroki wachlarz różnych talentów.

Ksiądz Pieter Van Burgh kierował Watykańskim Funduszem Zapomogowym na Rzecz Kościoła za Żelazną Kurtyną. Od wczesnych lat sześćdziesiątych odbywał liczne tajne podróże do Europy Wschodniej - zawsze w przebraniu. Watykan nie pozwalał, aby wokół jego osoby powstał jakiś rozgłos. Wszyscy notable w Europie Wschodniej nienawidzili Van Burgha, ale choć wiedzieli, czym się trudni, nigdy im się nie udało go złapać. Był swego rodzaju wędrownikiem nazywanym Bekonowym Księdzem, bo w czasie licznych wypadów za żelazną kurtynę zawsze rozdawał polcie bekonu najbardziej opuszczonym i osamotnionym owieczkom ze swego tajnego stada. Pozostawał również w bliskiej przyjaźni z papieżem, jeszcze z czasów, kiedy ten był arcybiskupem w Krakowie.

Drzwi otworzyły się cicho i weszła śliczna czarna dziewczyna pchając przed sobą wózek na kółkach. Z uznaniem w oczach patrzyli, jak skromnie podawała fettuccine con cacio e pepe. Następnie należało do kieliszków wino z Falerno i w milczeniu opuściła pokój. W dużej sali serwowano kuchnię francuską, w miarę smaczną i tanią. W tym pokoju podawano potrawy włoskie, wykwintne i niesamowicie drogie. Na kolację tutaj ksiądz parafialny musiałby przeznaczyć cały swój miesięczny budżet.

Versano wziął już do ręki widelec, ale powstrzymało go dyskretnie kasznięcie Van Burgha, który wycełując patrzył na kardynała. Zrazu Mennini nie zorientował się, o co chodzi, ale po chwili pochylił głowę i szybko wymamrotał: "Benedictus benedictat per Jesum Christum Dominum nostrum. Amen".

Teraz wszyscy się wyprostowali. Bez śladu skruchy, Versano uśmiechnął się i wbił widelec w makaron. Jadł szybko i niecierpliwie, jakby jedzenie miało wyłącznie wartość energetyczną. To samo zdawał się myśleć Mennini.

Van Burgh spożywał danie powoli, delektując się delikatnym smakiem potrawy. Wiele razy musiała mu wystarczyć kromka chleba, a jeśli dopisało szczęście, to mógł na niej położyć kawałek sera. A bywało też, że w ogóle nie miał co do ust włożyć.

Versano wyprostował się na krześle i powiedział:

- Poprosiłem, żeby robiono przerwy między kolejnymi daniami. - Wyjął papierosa. - Mogę zapalić? Lubię jadać tutaj, chociaż nikt nas tu nie widzi.

Van Burgh uśmiechnął się lekko, słysząc ten zabarwiony dezaprobataj komentarz młodszego kolegi, ale wiedział, że nie zebrał się tu na towarzyską pogawędkę.

- Właśnie zastanawiam się, dlaczego jesteśmy tak odseparowani od reszty gości - pomyślał na głos.

- Och, Pieter, idąc za twoim przykładem korzystam z przebrań i forteli - wyjaśnił mu Amerykanin. - To mnie podnieca.

Van Burgh przełknął kęs fettuccine, odchrząknął i zapytał, czy podniecałoby go to również w sytuacji zagrożenia aresztowaniem, torturami i śmiercią.

Mennini bawił się dużym, złotym krzyżem, złościącym jego piersi, ale zaczął się już niecierpliwić.

- Zarówno towarzystwo, jak i otoczenie są tu bardzo miłe, Mario, ale chyba powód, dla którego się tu zebrał, nie należy do miłych. Może w końcu wyjaśnisz nam, o co chodzi?

Versano skinął głową, a na jego twarzy odmalowała się powaga. Ostrożnie położył papierosa na brzegu popielniczki. Następnie spojrzął na Menniniego, a potem na Van Burgha.

- Długo się zastanawiałem, z kim mam tę sprawę omówić. - Zrobił krótką przerwę i zniżył głos. - Jestem pewien, że w całym Kościele nie ma ludzi lepiej od was nadających się do rozważenia i rozwiązania tego problemu życia lub śmierci... Ale zanim przejdziemy do szczegółów, muszę uzyskać od was zapewnienie, że zachowacie całkowitą tajemnicę... absolutną.

Van Burgh skończył jeść. Odsunął talerz i wypił łyk wina. Versano obserwował Menniniego. Kardynał o pociągłej twarzy i siwych włosach w zamyśleniu przygryzał wargi. Van Burgh dostrzegł z zaciekawieniem w jego oczach - wiedział, co odpowie. W końcu Mennini skinął głową.

- Zgoda, Mario. Oczywiście w granicach określonych przez wiarę.

- Naturalnie. Dziękuję ci, Angelo.

Teraz spojrzął pytająco na Holendra. Van Burgh nie wahał się ani chwili. Nie pozwoliło mu na to doświadczenie wielu lat działania w konspiracji.

- Oczywiście, idę za przykładem kardynała.

Versano pochylił się do przodu i jeszcze bardziej zniżył głos.

- Świętemu życiu naszego umiłowanego papieża Jana Pawła zagraża niebezpieczeństwo.

Potem opowiedział wstrząśniętym i zamuconym słuchaczom o wszystkim, czego dowiedział się tego dnia.

Jedząc drugie danie, na które podano abbacchio alla cacciatora, omawiali sytuację ogólną. Tak Versano, jak i Mennini uznali teraz przewodnią rolę Bekonowego Księdza. Wprawdzie zajmował on niższą niż oni pozycję w hierarchii kościelnej, ale wiedzą i wyuczuciem natury Rosjan znacznie ich przewyższał. Jego zdaniem, Rosjanom odpowiadał fakt, że to właśnie im przypisywano organizację zamachu dokonanego przez Ali Agcę. Uważał, że zamach był zawołany ostrzeżeniem mającym dać wszystkim do zrozumienia, że ani obecny, ani jakkolwiek inny papież nie powinien wtrącać się w ich sprawy. Oczywiście planowali, że zamach się powiedzie. Dobrze wszystko przemyśleli i wiedzieli, że jest mało prawdopodobne, aby w ciągu następnych kilkadziesiąt lat jakiś inny wschodnioeuropejski dostojnik kościelny został wybrany papieżem. Ale nawet gdyby zamach się nie powiódł, a tak właśnie się stało, to ostrzeżenie i tak byłoby zrozumiałe.

Początkowo wydawało się, że Rosjanie osiągnęli to, co chcieli. Papież rzadziej dawał publicznie wyraz swej niechęci do komunizmu. Watykan w żaden sposób nie zareagował na protest biskupów amerykańskich przeciwko polityce nuklearnej Reagana. Na wieść o rozwiązaniu Solidarności, Jan Paweł wprawdzie wyraził żal, ale nie podjął żadnych działań. Jednakże, wyjaśnił Van Burgh, nie oznacza to zmiany w polityce papieskiej, a jedynie przesunięcie nacisku na inne jej elementy; powstał w ten sposób jakby nowy pragmatyzm. Papież poświęcił wiele uwagi nowemu określeniu roli Kościoła - zamierzał ukroczyć wewnętrzny liberalizm, bo, jego zdaniem, destabilizował on tę instytucję w bardzo subtelny, ale jednak niebezpieczny sposób. I ostatnio Rosjanie już zaczęli dostrzegać, że antykomunizm papieża nie tylko nie stracił na swej sile, lecz zagraża im tym silniej, im bardziej papież przekształca Kościół na własną modłę.

Na podstawie tego, co wiedział o Andropowie, a wiedział sporo, Van Burgh osądził, że zamiar przeprowadzenia kolejnego zamachu jest bardzo prawdopodobny. Potem podsumował swój wywód i stwierdził, że znając wszystkie fakty, nikt nie dałby papieżowi nawet dziesięciu procent szansy na przeżycie. To zupełnie co innego niż dokonanie zamachu, na przykład, na Reagana - wtedy cały kraj mógłby powstać zbrojnie, ale w tym wypadku, jak na ironię, należy zacytować Stalina: "A jak wielką armię ma papież?"

Versano spojrzął na kardynała.

- Angelo, wszyscy trzej jesteśmy pragmatykami. Znamy swoje pozycje i wpływy, możemy więc tutaj odrzucić fałszywą skromność i nie hamować się w wyrażaniu opinii. Ty sam stoisz na czele najbardziej pragmatycznej organizacji wewnątrz Kościoła. Wszyscy wiemy, że papież z zadowoleniem przyjął wiadomość o wybraniu ciebie na generała zakonu. I nie popełnimy nigdy skrajności mówiąc, że polityka twego poprzednika wszystkim dała się we znaki. Sam dobrze wiem, że cała kuria odetchnęła z ulgą. A dzisiaj zaprosiłem cię ze względu na twoją mądrość i w nadziei na pomoc w realizacji mojej propozycji... Ale może najpierw powiedz, co sądzisz o przewidywaniach księdza Van Burgha?

Kardynał Mennini pochodził z chłopskiej rodziny z Toskanii i uważał, że jedzenia nie należy marnować, więc spokojnie wytarł talerz kawałkiem chleba i żuł w zamyśleniu. Po chwili skinął głową.

- Zgadza się z księdzem w obydwu punktach. Andropow na pewno ponowi próbę i tym razem odniesie sukces, bo ma do swej dyspozycji wszelkie środki, a papież wciąż kontynuuje pracę duszpasterską za granicą. Wszystko się zgadza. - Otarł usta serwetką i spojrzął na Versana. - Tak się składa, że wiem od informatorów z Korei Południowej, że Kim Ir Sen z Korei Północnej cieszyłby się, gdyby papież zginął w czasie pielgrzymki na Wschód.

Versano pochwycił spojrzenie Van Burgha. Obydwaj wiedzieli, że jezuici świetnie orientują się w sytuacji na Wschodzie.

- Czy Eminencja powiedział o tym papieżowi? Odrzucił mu wyjazd? - zapytał Holender.

Mennini wzruszył ramionami.

- Naturalnie, ale papież jest uparty. Powiedział, że rybak musi czasem zmierzyć się ze sztormem.

Spojrzął na Versana i zapytał:

- No, a teraz, Mario, powiedz, jaki masz pomysł.

Ale właśnie przyniesiono deser - lody tartuffo. Nawet nie zwrócili uwagi na urodę usługującej zakonnicy.

Jak nigdy Versano był zdenerwowany. Zakonnica wyszła, a on milczał jeszcze przez kilka chwil. Słychać było tylko brzęk srebra w zetknięciu z chińską porcelaną. W końcu powiedział bardzo spokojnie:

- Proponuję wysłać do Andropowa tajnego papieskiego posła.

Pozostali dwaj popatrzyli uważnie na Versana. Holender miał na brodzie odrobinę łodów.

- A cóż miałby on powiedzieć Andropowowi? - spytał Mennini. - Jaką wiadomość miałby mu przekazać?

Versano, niczym aktor delekujący się swą kwestią, znów milczał dłuższą chwilę. Przenosił spojrzenie z jednego na drugiego, wpatrywał się w ich zaciekawione oczy, po czym stanowczo powiedział:

- Nic nie powie. Zabije Andropowa.

Spodziewał się zdziwienia, zaskoczenia, oburzenia, śmiechu, brzęku łyżeczki spadającej na talerz, drwiny lub niedowierzania. Ale nic takiego się nie stało. Zapadła całkowita cisza i nikt nawet nie drgnął. Można by wziąć obydwu mężczyzn za postacie wkomponowane w obicia na ścianach.

Pierwszą oznakę życia przejawił Mennini - skierował wzrok na Holendra, który wpatrywał się w talerz, jakby nigdy przedtem nie widział lodów. Powoli poruszył ręką, nabrał trochę deseru na łyżeczkę i podniósł do ust. Potem przełknął i ze smutkiem pokręcił głową.

- Papież... Papież nigdy nie zgodzi się na coś takiego... nigdy.

Mennini skłonił głowę na znak zgody. W duchu Versano nie posiadał się z radości. Sam sobie pogratulował - świetnie dobrał współników. Niczym wilk w czasie srogiej zimy, wybrał najsilniejszych, by szli razem z nim. Wyjął papierosa, zapalił, wypuścił kłąb dymu wprost na Żyrandol i powiedział:

- Oczywiście, ale nigdy się o tym nie dowie. Nigdy nie może się dowiedzieć.

Znów zapadła chwila ciszy, a Versano wciąż był dumny ze swej intuicji. Wreszcie odezwał się Holender:

- W jaki sposób wysłemy papieskiego posła bez wiedzy i zgody papieża?

Versano łagodnie go złął.

- Pieter, kto jak kto, ale że ty zadajesz takie pytanie?

Van Burgh spojrział na niego i skinął głową. Potem uśmiechnął się ze smutkiem, a Amerykanin odpowiedział tym samym.

- To byby bardzo ciężki grzech - powiedział Mennini, ale zabrzmiało to jak zwykłe stwierdzenie, jak "To wielka szkoda".

Versano tylko na to czekał. Wiedział, że Mennini zawsze ma na wszystko właściwy argument, więc nie zamierzał przeciwstawiać mu swoich własnych. Tylko głupiec porwałby się na coś takiego. Pamiętał jeszcze, co Mennini powiedział temu zdrajcy Hansowi Kungowi: "Praktykujecie swoją religię w granicach wyznaczonych przez umysł, ale wasz umysł nie uznaje istnienia serca". Dlatego Versano postanowił mówić w sposób jak najprostszy, opierając się na solidnej, rzeczowej logice.

- Jak myślisz, Angelo, co zrobiliby któryś z twoich misjonarzy w Afryce, gdyby budząc się w swojej lepiance, zobaczył pełznącą jadowitą żmiję?

Kąćki ust kardynała lekko drgnęły, ale odpowiedź była natychmiastowa.

- Oczywiście chwyciłby kij i zabiłby żmiję... no ale to tylko gad. A my mówimy o człowieku.

Versano miał już w zanadru następny argument, lecz Holender wyjął mu go z ust. Uderzając raz po raz palcem w stół, jakby dla podkreślenia każdego słowa, Van Burgh zwrócił się do Menniniego.

- Uznając istnienie diabła, jego sztuczek i osiągnięć, przyznajemy, że człowiek może stać się zwierzęciem. Istnieje wiele precedensów w głoszonych przez Kościół naukach i w samej jego działalności.

Versano wiedział już, że w Bekonowym Księdzu ma sojusznika. Kąćkami oczu obserwował Menniniego i czekał na jego reakcję.

Kardynał przesunął ręką po czole, wzruszył ramionami i zdecydował:

- Nie mówmy już o grzechu, a raczej o tym, jak zorganizować coś takiego.

Versano odetchnął - teraz wszyscy trzej byli współnikami. Szybko wskazał palcem Van Burgha.

- To ty, Pieter, musisz się nad tym zastanowić. Masz dobre zaplecze i przetrzasnął już tysiące ludzi między blokiem wschodnim a Zachodem. Nie potrafiłbyś przemycić jednego człowieka do Moskwy, a nawet na Krem!

- Wcale nie muszę się nad tym zastanawiać. - Holender przechylił się do tyłu i wypiął swój wielki brzuch. Delikatne krzesło zaskrzypiało złowroźnie. - W tej dziedzinie dorównujemy KGB, a prawdopodobnie nawet ich przewyższamy. Owszem, mogę przewieźć kogoś przez Europę do Moskwy... a właściwie na Krem. Ale trzeba rozwiązać trzy problemy. Pierwszy - jak zbliżyć tego kogoś do żmii. Drugi - jaki dać mu kij. Trzeci - jak go stamtąd wy dostać, gdy już zabije gada.

Kiedy Versano zastanawiał się, co powiedzieć, odezwał się Mennini:

- Jest jeszcze jedna trudność - mianowicie, gdzie znaleźć tego kogoś? Nie jesteśmy muzułmanami i nie możemy zapewnić owego człowieka, że ta misja będzie dlań przepustką do raju. Nie możemy też odpuścić mu grzechu samobójstwa.

Versano był bardzo pewny siebie.

- Na pewno jest gdzieś taki człowiek i my go znajdziemy. Mamy przecież szerokie kontakty na całym świecie. W końcu Moskwa znalazła Agcę... są jeszcze inni jemu podobni.

Mennini, choć popierał projekt, zdawał się teraz rzucać kłody pod nogi.

- Dobrze, ale jaki miałby mieć motyw? Agca był psychicznie chory, a w dodatku nienawidził papieża i Kościoła. Czy motorem działania naszego człowieka ma być wiara... czy obłąkanie?

Znowu wtrącił się Van Burgh, jak gdyby czytał w myślach Versana.

- Wcale nie będzie trudno znaleźć w Europie Wschodniej odpowiedniego człowieka... ale na pewno jego motywem nie powinna być wiara... - Versano chciał zabrać głos, ale Holender powstrzymał go ruchem ręki. - Chwileczkę... daj mi pomyśleć. - Przez dwie minuty dumął z na wpół przykniętymi oczami, po czym spokojnie skinął głową. - Właśnie to już słyszałem o takim człowieku. I wygląda na to, że on ma wystarczający powód...

- Jaki? - spytał Mennini.

- Nienawiść, zwykła, prosta nienawiść. On nienawidzi Rosjan. Czuje tak wielki wstręt do KGB... a zwłaszcza do Andropowa, że aż trudno go opisać.

Zaciekawiony Versano zapytał:

- Dlaczego?

- Jeszcze nie wiem. - Holender wzruszył ramionami. - Mniej więcej miesiąc temu otrzymałem wiadomość, że jakiś mężczyzna, który zdradził SB, poprosił nas o pomoc w ucieczce na Zachód.- Gestem przeprosił pozostałych i wyjaśnił. - SB to skrót od Służby Bezpieczeństwa, polskiej policji politycznej, której działalność skierowana jest przeciwko Kościołowi. Mirosław Ścibor, bo tak nazywa się ten człowiek służył w SB w randze majora. Biorąc pod uwagę jego wiek trzydzieści parę lat, jest bardzo młody jak na majora, no i wszyscy go znali. Swej pozycji nie zawdzięczał ani koneksjom rodzinnym, ani partyjnym, lecz wyłącznie własnej inteligencji, oddaniu sprawie i bezwzględności. - Uśmiechnął się ponuro. - Sam mogę o tym zaświadczyć. Cztery lata temu, gdy był jeszcze kapitanem, niemal mnie złapał, Zastawił bardzo zmyślną pułapkę w Poznaniu i nie wpadłem w nią tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. - Podniósł wzrok. - Albo może powinienem powiedzieć - dzięki Bożej pomocy.

- Ale co jest powodem jego nienawiści? - dopytywał się kardynał.

Van Burgh rozłożył ręce.

- Jeszcze nie wiem, Eminencjo. Słyszałem tylko, że na początku zeszłego miesiąca Ścibor zastrzelił w krakowskiej siedzibie SB swego bezpośredniego zwierzchnika, pułkownika Konopkę, i jakiegoś generała. To cud, że udało mu się uciec z budynku. Potem skontaktował się z księdzem, którego najprawdopodobniej miał pod obserwacją, i poprosił o pomoc w opuszczeniu Polski. Oczywiście, ksiądz nie ufał mu-nazwisko Ścibora zawsze wzbudzało postrach - ale na szczęście wykazał się inteligencją i intuicją. Przez kilka dni trzymał go w ukryciu. W tym czasie upewnił się, że Ścibor rzeczywiście zabił tamtych ludzi, i przesłuchał go dokładnie. Ścibor przekazał mu mnóstwo informacji na temat antykościelnej polityki i zamierzeń władz. Wiele z nich udało nam się już potwierdzić. Ścibor chce też spotkać się ze mną i ujawnić więcej sekretów. Na razie odmówił podania przyczyny swej zdrady i powodu nienawiści. Ten ksiądz stwierdził, że nigdy jeszcze nie spotkał człowieka tak bezgranicznie ogarniętego nienawiścią... i że u Ścibora skierowana jest ona w szczególności przeciwko Andropowowi. Poleciłem, żeby przemycić go jednym z naszych kanałów.

- A gdzie jest teraz? - zainteresował się Versano.

- Ostatnio miałem o nim wiadomości cztery dni temu. Był wtedy w klasztorze w Esztergom. Teraz powinien być już w Budapeszcie pod opieką tego samego zakonu. Za tydzień będzie w Wiedniu.

Po tych wieściach zapadła w pokoju śmiertelna cisza. Zaczęli od spekulacji i teorii, a teraz nagle stanęli twarzą w twarz z faktem - może już mają właściwego człowieka. Pierwszy przerwał ciszę Mennini.

- A co z pozostałymi problemami? Jak przetrząść go na Kremle? Jak ma wykonać swoje zadanie? I jak go stamtąd wydestakować?

- Wasza Eminencja musi to na razie zostawić mnie - powiedział stanowczo Holender. - Być może będziemy potrzebowali pomocy waszego zakonu, ale na to przyjdzie czas później. Przede wszystkim, jeśli ten Ścibor okaże się odpowiednim człowiekiem, musi zostać przeszkolony. Moi ludzie oczywiście nie nadają się do szkolenia zamachowca... - Dopił wino, spojrzął na obydwu współników i spokojnie kontynuował: - Ale mamy kontakt z organizacjami, które się tym zajmują. Nie możemy wykorzystać żadnego z istniejących kanałów na przetrząśnięcie do Moskwy - przy tego rodzaju misji byłoby to zbyt ryzykowne. Jeśli go złapią, zacznie mówić. Zmuszą go do tego narkotykami albo torturami, albo jednym z drugim. Będziemy musieli zorganizować zupełnie nowy i jednorazowy kanał. - Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na pusty kieliszek. - No i oczywiście nie może jechać sam. Musi mieć osobę towarzyszącą - "żonę".

- Żonę! - Versano był kompletnie zaskoczony. - Na taką akcję zabierać żonę?

Van Burgh uśmiechnął się i potwierdził skinieniem głowy.

- Właśnie tak, Mario. Zwykle, kiedy podróżuję po Europie Wschodniej, towarzyszy mi "żona". Czasami jest to odpowiednia wiekiem zakonnica z Delft - kobieta odważna i twarda. Innym razem zabieram ze sobą członkinię świeckiego zgromadzenia z Norymbergi. W sumie mam cztery "żony", a wszystkie są naprawdę święte. One bardzo wiele ryzykują dla wiary. Bo widzieć, mężczyzna podróżujący razem z kobietą nie wzbudza podejrzeń. Zamachowiec zwykle nie bierze ze sobą żony.

- Ale skąd weźmiesz taką kobietę? - zaciekał się Mennini.

- No cóż, nie mogę pożyczyć mu jednej z moich żon - uśmiechnął się Van Burgh. - Każda z nich mogłaby być jego matką, a nikt nie podróżuje z matką, jeśli tylko nie musi. Ale nie mamy o co się martwić - zapewnił ich. - Wiem, gdzie znaleźć odpowiedniej kobiety, i wiem, jakie cechy powinna sobą reprezentować. Może nawet Wasza Eminencja będzie mógł mi w tym pomóc.

- A jaki będzie jej motyw? Czy także nienawiść? - spytał Mennini.

- Wprost przeciwnie. - Holender pokręcił głową. - Ona będzie kierować się miłością - umiłowaniem Ojca Świętego... i posłuszeństwem jego woli. - W oczach obydwu mężczyzn zobaczył niepokój. - Nie martwcie się. Jej zadanie sprowadzi się wyłącznie do odbycia ze Ściborem całej drogi aż do Moskwy. Prawdziwe niebezpieczeństwo pojawi się w chwili, gdy "poseł" dostanie się na Kremle. Ale zanim to nastąpi, ona będzie już bezpieczna.

Na chwilę wszyscy się zamyśliłi. W końcu Mennini wyraził obawy, które dręczyły każdego z nich. Mówił głosem skierowanym jakby do własnego sumienia:

- Nie da się uniknąć zaangażowania w to innych osób, zapewne wielu. - Podniósł głowę i spojrzął na pozostałych. - Wszyscy trzej jesteśmy duchowymi... sługami Boga... Szybko i łatwo podejmujemy decyzję o morderstwie.

Arcybiskup się wyprostował. Na jego twarzy malowała się szczerą chęć przekonywania, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Bekonowy Ksiądz wyjaśnił krótko:

- Jeśli Wasza Eminencja przywiązuje wagę do słów, to proszę zastąpić słowo "morderstwo" słowem "obrona". Zamiast "decydujemy", proszę powiedzieć "jesteśmy uruchomieni", a zamiast "duchowni" - "instrumenty"... Jesteśmy trzema instrumentami uruchomionymi do obrony Ojca Świętego i naszej wiary.

Kardynał w zamyśleniu skinął głową. Potem uśmiechnął się i powiedział:

- Tylko że w odróżnieniu od papieża my nie jesteśmy nieomylni. Możemy jedynie usprawiedliwiać swoje działanie mówiąc sobie, że jeśli jest to grzech, to popełniamy go wspólnie... i że jest wybaczalny, bo nie wynika z egoizmu.

Drzwi otworzyły się i weszła siostra Maria z kawą. Uprzejmie zapytała, czy gościom niczego nie brakuje. Zapewnił ją, że są zadowoleni, a wtedy zakonnica zwróciła się do Menniniego:

- Wasza Eminencjo, mamy dziś zaśpiewać "Ave Maria". Trochę to odbiega od tradycji, ale "Ave Maria" to ulubiona modlitwa kardynała Bertolego, a jest właśnie na sali.

Siostra wyszła zostawiając drzwi otwarte. Versano skrzywił się.

- Myślę, że lepiej będzie, jak tu zostaną. Wy dwaj często macie wspólne sprawy do omówienia, ale gdyby mnie zobaczono z wami, to już wyglądałoby podejrzanie.

Kardynał i Van Burgh przytaknęli i wyszli zabierając ze sobą kawę.

Wszystkie usługujące siostry zebrały się przed gipsowym posągami Matki Boskiej. Zapadła cisza. Skinieniem głowy Mennini przywitał się z kilkoma znajomymi gośćmi. Siostra Maria dała znak i zakonnice zaczęły śpiewać. Zgodnie z tradycją L'Eau Vive, przy kawie zawsze coś śpiewano, zwykle jakiś hymn, a gości zachęcano, by się przyłączyli. Większość tak właśnie zrobiła i w sali zabrzmiało wiele głosów. Van Burgh śpiewał głębokim barytonem, a po chwili i Mennini przyłączył swój chrapliwy tenor. Siostry z zachwytem patrzyły na posąg i śpiewały w idealnej harmonii.

W końcu przebrzmiały ostatnie tony. Nikt nie bił braw, ale wszyscy poczuli się jakoś podniesieni na duchu i zadowoleni.

Mennini i Van Burgh wrócili do stołu zamykając za sobą drzwi. Z jakiejś bardzo starej butelki Versano nalewał wiekową brandy. Kiedy usiedli, powiedział:

- Musimy teraz ustalić metody działania.

Mennini zareagował natychmiast.

- Zobowiązujemy się do utrzymania całkowitej tajemnicy. Cel powinniśmy osiągnąć sami z pomocą tych, których sami wybierzemy. Nikt jednak poza nami i, oczywiście, posłem nie może znać tego celu. - Teraz zwrócił się do Holendra. - Ile czasu zabierze księdzu sprawdzenie Ścibora?

- Tylko kilka dni, Wasza Eminencjo.

- Proponuję więc, żebyśmy spotkali się tutaj za dwa tygodnie.

Versano kiwnął głową na znak zgody i przysunął się bliżej. Mówił ściszym głosem.

- Proponuję wprowadzić prosty kod na wypadek konieczności rozmowy przez telefon.

Pozostali zbliżyli się, jakby przyciągnięci konspiracyjnym nastrojem, a Versano znów zabrał głos.

- Posła nazwiemy po prostu posłem - to niewinne słowo. Kobieta towarzysząca mu to la cantante, śpiewaczka. - Wyciągnął rękę w stronę dużej sali, chcąc prawdopodobnie pokazać, że śpiewające siostry nasunęły mu ten pomysł. - A Andropow, czyli cel, będzie określany jako mężczyzna.

- A my? - zapytał Van Burgh. - Jak nazwiemy siebie?

Przez chwilę myśleli w ciszy, po czym Mennini zaproponował: - Nostra Trinita, Nasza Trójca.

Spodobala im się ta nazwa, więc Versano wznosił toast: - Za Naszą Trójcę.

Wszyscy mu zawtórowali. Potem Bekonowy Ksiądz wznosił kolejny toast, a jego wspólnicy powtórzyli za nim:

- Za papieskiego posła!

Następnie Mennini, jakby chcąc przypomnieć współkonspiratorom o znaczeniu tego, co zamierzają, z całą powagą wznosił własny toast: - Za Ojca.

Mirosław Ścibor siedział na trzeciej ławce w drugiej alejce, licząc od wieży zegarowej, w wiedeńskim parku otaczającym Pałac Schönbrunn. Powiedziano mu, żeby czekał właśnie w tym miejscu. Na drugim końcu ławki siedziała stara, otyła kobieta ubrana na czarno. Siwe włosy okryła szarym koronkowym szalem. Jej obecność drażniła Ścibora-jego kontakt miał się zjawić już za pięć minut, a ona wcale nie zbierała się do odejścia. Siedziała tu już od półgodziny, kasząc co chwila w brudną chusteczkę. Spojrzał na jej stopy-odziane w czarne pończochy i wykrzywione artretyzmem, wypychały zdarte buty zapinane na klamrę. Zalatywał od niej zjeżdżały odór nie mytego ciała. Ścibor z niesmakiem odwrócił się i popatrzył na miasto. Na chwilę zapomniał o zdenerwowaniu. Był na Zachodzie od dwóch dni i wciąż czuł się podniecony ucieczką i wszyscyłkami wspaniałościami, które tu zobaczył. Chwilami i to uczucie tak bardzo go porywało, że przy gasząco ogień nienawiści, ciągle tłący się w jego wnętrzu. Nie robiły na nim wrażenia wspaniałe budowle. Podobne były i w Polsce, i w Rosji, tak samo majestatyczne i niosące powiew historii. To wszechobecny luksus życia tak go zadziwiał. Mieszkańcy Wiednia wyglądali beztrosko i opylali we wszystkie dostaki. Był wystarczająco inteligentny i świadomy, by zdawać sobie sprawę z tego, że nie dotyczy to wszystkich bez wyjątku. Gdzienigdzie na pewno zdarzało się spotkać nędzę i nieszczęście, ale tutaj nie było jej ani śladu. Przybył do Wiednia w zamkniętej ciężarówce. Jak na ironię, albo może celowo, ciężarówka była wypełniona paczkami z wędzonym bekonem. W ciągu godziny, którą zajęł przejazd od granicy do miasta, zapach bekonu przeniknął zarówno jego ubranie, jak i skórę, i Ścibor miał go już serdecznie dosyć.

Wreszcie otworzono ciężarówkę. W ciemności dostrzegł tylko otoczony wysokim murem dziedziniec. Było mu niedobrze po jeździe samochodem. Zobaczył, że czeka na niego jakiś mnich, który szybko skinął głową i powiedział: "Idź za mną".

Zabrał ze sobą torbę z ubraniami i ruszył za nim. Szli jakimś bardzo niskim korytarzem. Była trzecia nad ranem, nie dostrzegł nikogo w pobliżu. Zakonnik wskazał mu drzwi i Ścibor wszedł do środka. Pokój przypominał celę; stało tu tylko metalowe łóżko, na którym leżał cienki materac i trzy szare, mocno zniszczone koce złożone w kostkę. Nic poza tym - było tu tak przytulnie jak w więziennej celi. Mnich sprawiał wrażenie równie gościnnego jak pokój. Gestem wskazał korytarz.

- Tam jest toaleta i prysznic. Możesz z nich korzystać, ale poza tym nie wolno ci opuszczać tego pokoju. O siódmej dostaniesz śniadanie... to znaczy za cztery godziny. O ósmej spotkasz się z ojcem wikariuszem.

Mnich odwrócił się, a Ścibor, z odrobiną sarkazmu w głosie, powiedział:

- Dziękuję, dobranoc.

Brak odpowiedzi nie zdziwił go. Domyślił się, że nawet tutaj wiadano, kim był i czym się zajmował. Przez całą drogę traktowano go podobnie - widział tylko puste, ponure pokoje i niechętne twarze. Ci ludzie uważali go za kogoś gorszego od trędowatego, bo choremu okazaliby przy najmniej współczucie, a jemu tu tylko obowiązkowość i wrogość.

Ojciec wikariusz okazał się trochę mniej odpychający. Ścibor oczywiście doskonale znał strukturę i hierarchię Kościoła Katolickiego i wiedział, że siedzący naprzeciwko starszy mężczyzna jest drugim co do ważności księdzem, zaraz po ojcu prowincjale. A poza tym był to najwyższy funkcją franciszkanin, jakiego spotkał w czasie swej potajemnej podróży. Pewnie ma dla niego wieści. To przypuszczenie wkrótce się potwierdziło.

- Zostaniesz tu jeszcze przez następną noc. Jutro zabierzesz swoje rzeczy i o godzinie trzy nastęej będziesz czekał na pewnej ławce w parku miejskim. Podejź do ciebie twój kontakt i poprosi o ogień. Ty masz odpowiedzieć dokładnie tak "Nigdy nie noszę zapalek". A potem pójdziesz za tą osobą.

- A gdzie on mnie zaprowadzi?

Wikariusz tylko wzruszył ramionami.

- Gdzie? - dopytywał się Ścibor. - Kiedy spotkam się z Bekonowym Księdzem?

- Z Bekonowym Księdzem? - zdziwił się staruszek.

Ścibor westchnął zawiedziony. Wszyscy reagowali podobnie, jak tylko wspomniał o tym człowieku. Jego podróż była długa, samotna, męcząca i niebezpieczna, ale ciągle podtrzymywała go na duchu paląca ciekawość spotkania twarzą w twarz człowieka, na którego polował przez wiele lat. Zył teraz tylko tym uczuciem, oprócz nienawiści oczywiście. Może wikariusz wyczuł to, bo nieco łagodniejszym tonem dodał:

- Zaczyna się twój pierwszy dzień na Zachodzie. Ale nawet w tym kraju mnisi żyją w spartańskich warunkach. Wiedeń to piękne miasto... przejdź się, pozwiedzaj trochę. Myślę, że nie zostaniesz tu długo, więc lepiej spróbuj wymienionych wiedeńskich pasztecików. Pospaceruj po ulicach, jest na nich wolność. I wydychaj powietrze, w nim też jest wolność. - Na jego twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny ironiczny uśmiešek - Wejź do kościoła i zobacz, jak ludzie się modlą. Jedyne strach, jaki odczuwają, to bojaźń Boża.

- Ale czy to nie jest niebezpieczne? - spytał niepewnie.

Staruszek się roześmiał.

- Nie martw się. Nikt cię nie napadnie. Ludzie nie wiedzą, kim jesteś.

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem. Wybacz mi tę odrobinę sarkazmu. Dwóch braci z naszego zakonu spędziło ostatnie dziesięć lat w czeskosłowackim więzieniu. - Ręką wskazał małe okienko, przez które przenikała do pokoju smuga słonecznego światła. - Mamy zimny, ale pogodny grudniowy ranek. Wyjź, wmiszaj się w tłum. W Wiedniu nie musisz się niczego obawiać. Nikt nie wie, że tu jesteś. Zjedz obiad, skosztuj naszego świętego wina.

- Niestety, nie mam pieniędzy.

- Ach, rzeczywiście. - Wikary wyjął z szuflady zwitek banknotów, odliczył kilka i położył je przed Polakiem. - To powinno wystarczyć.

Tak więc Ścibor wyszedł na ulice Wiednia i osłupiał. Klasztor mieścił się we wschodniej części miasta, w pobliżu dużego targowiska. Przez pierwszą godzinę tylko spacerował i przyglądał się. Nigdy dotąd nie widział takich gór jedzenia, nawet w swej rodzinnej wsi w czasie zbiorów. Fascynowała go też jego ogromna różnorodność. W ciągu paru minut zorientował się, że przynajmniej połowa tych przysmaków pochodzi z odległych krajów - były to banany, ananasy, awokado i wiele innych owoców, których nigdy przedtem nie widział ani nawet o nich nie słyszał. Zdumiony patrzył, jak jakaś rumiana sprzedawczyni wyrzuca lekko obtłuczone jabłka. Kupił od niej niewielką kışę winogron, a ona posłała mu jeszcze pogodny uśmiech. Potem poszedł powoli w kierunku centrum. Często się zatrzymywał, na przykład przed sklepem mięsnym - nie mógł się nadziwić, że na hakach wisi tak ogromna ilość mięsa w rozmaitych gatunkach, a na tacach leżą pokrojone już befsztyki, kotlety wieprzowe i porcje drobiu. Wprawdzie na śniadanie zjadł tylko kanapkę z serem, ale nie czuł głodu - jedyne oszołomienie. Odłąd zaczął samodzielnie myśleć, był stuprocentowym, oddanym komunistą - czytał partyjne gazety, słuchał przemówień i brał udział w zebraniach. Zdawał sobie sprawę z tego, że część głoszonych hasel to kłamstwa, ale nie przeszkadzało mu to, bo był pewien, że zachodnia propaganda zawiera ich znacznie więcej.

Potem zatrzymał się przy stoliku z gazetami i przebiegł wzrokiem tytuły mnóstwa gazet i czasopism w kilku europejskich językach. W głowie miał chaos i zamęt. Wrócił do sklepu mięsnego i niemal z agresją w głosie zapytał sprzedawcę, czy każdy bez względu na pozycję społeczną i posiadanie lub nie kartek żywnościowych może kupić tu mięso. Sprzedawca uśmiechnął się - już wiele razy sływał to pytanie. W mieście, przez które wiodła trasa ucieczek ze Wschodu na Zachód, zadawali je Polacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni.

- Oczywiście - odparł. - Potrzebne są tylko pieniądze.

Ścibor instynktownie sięgnął do kieszeni. Chciał kupić leżącą tu obok połędwicę wołową. Taki specjal jadał tylko raz w życiu, gdy ten skurwysyn Konopka zaprosił go na kolację do Wierzyńka. W porę jednak się pohamował - przecież i tak nie miał gdzie przyrządzić mięsa. Ale to nic. Postanowił, że pójdzie do restauracji i zje połędwicę na obiad.

Gdy wyszedł na ulicę, skupił uwagę na przechodniach. Uświadomił sobie, że w Warszawie, Moskwie czy Pradze ludzie wleđli się dokądś z ponurymi minami. Tutaj szli szybko i najwyraźniej mieli określony cel. Nieśli torby na



zakupy, walizeczki albo paczki, ale nikt nie wylał poduro, nawet policjant kierujący. Ścibor przystanął przed sklepem z artykułami tytoniowymi i kupił paczkę papierosów marki Gitanes. Jego kolega dostał kiedyś cały ich karton od szefa komunistycznej delegacji francuskiej i niechętnie, ale jednak poczęstował towarzysza. Potem jeszcze przez kilka dni Ścibor czuł wspaniały smak papierosa. W pierwszej chwili zdziwił się, że spotkał gitany w Austrii, ale zaraz potem dojrzał wiele innych gatunków z całej Europy, a nawet z Ameryki. Zamierzał właśnie kupić pudełko zapalek, ale zobaczył różnokolorowe zapalniczki. Napis nad półką mówił: "Jednorazówki". Kupił sobie niebieską. Spacerował, z zadowoleniem wypuszczając dym i przykając co chwila zapalniczką, niczym dziecko, które dostało wspaniałą zabawkę. Na Alexanderplatz zauważył kawiarnię. Stołki stały na zewnątrz, otoczone szklanymi i ściankami. Usiadł przy jednym z nich. Podeszła do niego młoda jasnowłosa kelnerka ubrana w sukienkę w białoczerwoną kratkę i biały falbaniasty fartuszek. Podała mu kartę i z uśmiechem na ustach czekała, aż coś wybierze. Było jeszcze wcześniej i Mirek nie chciał stracić apetytu przed zjedzeniem upragnionej połówki. Zamówił więc Apfelstrudel i zimne piwo. Z przyjemnością patrzył, jak kelnerka porusza biodrami, przechodząc między stolikami. Potem spojrzawszy w stronę placu, szukał wzrokiem kobiet i dziewcząt. Dostrzegł ich bardzo dużo - różnego wzrostu, o różnej sylwetce. Początkowo wydawało mu się, że są ładniejsze od Polek, lecz zaraz zmienił zdanie - w Polsce kobiety są równie piękne. Po prostu już od wielu tygodni nie widział żadnych ładnych kobiet. Teraz napawał nimi oczy. Patrzył na długie, zgrabne nogi wylaniające się spod krótkich eleganckich spódnic i sukienek. To mu uświadomiło, że już od wielu miesięcy nie miał kobiety. Nagle poczuł silne pożądanie, tak silne, że zaczął intensywnie myśleć, jak je zaspokoić. Domyślał się, że gdzieś w tym mieście są prostytutki, bo przecież były nawet w Warszawie i w Krakowie, właściwie w większości polskich miast... no a tu jest zgłny Zachód. Zastanawiał się, czy pieniądze, które dostał od wikariusza, wystarczą, by zaspokoić pragnienie, ale może wtedy nie miałby już na połudwicy. Zaraz jednak zupełnie odrzucił tę myśl. Nigdy dotąd nie korzystał z usług prostytutki i już sam pomyśl wydał mu się odpychający. Zresztą nigdy nie musiał tego robić. Dobrze wiedział, że jest atrakcyjny dla kobiet. Nawet teraz zauważył, że kilka pań przechodzących ulicą zwróciło na niego uwagę. Oczywiście jasnowłosej kelnerki, która stawała przed nim talerzyki szklanek, też mówiły, że jej się podoba. Doszedł go pizmowy zapach jej perfum i pożądanie znów wróciło. Patrzył na delikatne jasne włoski na jej ręce i smukłe palce bez żadnych pierścionków. Potem poczuł zapach ciasta i spojrzął na talerzyki. Leżał na nim ogromny kawałek szarlotki ozdobiony górą bitej śmietany.

Zjadł wszystko, a trzy godziny później delektował się każdym kęsem połówki i każdym łykiem wina. Wciąż jednak zastanawiał się, jak znaleźć kobietę. Problem sam się rozwiązał, kiedy kelnerka przyniosła rachunek - po jego uregulowaniu zostało mu zaledwie trochę drobnych. Obliczył, że obiad kosztował jedną czwartą miesięcznej pensji. Ale nie miał już ani na dyskotekę, ani na kawiarnię, ani na żaden bar, gdzie mógłby poderwać dziewczynę. Spacerował więc po mieście jeszcze kilka godzin, a potem wrócił do klasztoru. Kiedy znów znalazł się w swoim pokoiku, zaczął myśleć o Bekonowym Księdzu, ale później powróciło tak silne pragnienie kobiety, że gdyby nie samodyscyplina, znalazłby ratunek w masturbacji. A zresztą już wcześniej spacerując ulicami miasta postanowił, że użyje sobie dopiero w ramionach dziewczyny, która będzie odwzajemniała jego namiętność.

A teraz siedział obok jakiejś cuchnącej, starej wiedźmy. Skrzywił nos z niesmakiem i ponownie spojrzął na zegarek. Była za trzy pierwsza. Domyślał się, że jest obserwowany i zdenerwował się całym tym przedstawieniem. To nie była robota zawodowca. Kazano mu być w pewnym miejscu o pewnej porze, a nie podano żadnych instrukcji na wypadek, gdyby spotkanie nie doszło do skutku. Żadnej innej możliwości. Czysta głupota! Bo co by się stało, gdyby zamiast tej starej wiedźmy siedział policjant? Przeklinając w duchu Bekonowego Księdza, Ścibor rozejrzał się wokół, próbując rozpoznać swój kontakt. Ale nie dostrzegł nikogo, kto mógłby nim być. Jakaś młoda, obejmująca się para spacerowała alejką - ci najwyraźniej byli zainteresowani tylko sobą. Około pięćdziesięciu metrów dalej dwaj malcy kopali gumową, pasiastą piłkę. Pilnowała ich starsza pani w nakrochmalonym niebieskim stroju - pewnie niańka. Poza tym nikogo w pobliżu nie było. Znów zaklął pod nosem i zerknął na starą kobietę - grzebała właśnie w zniszczonej szmacianej torbie. Nagle jego uwagę odwróciły głośne dziecięce piski. Obejrzał się i zobaczył piłkę toczącą się w jego kierunku. Obaj malcy wymachiwali rękami. Ścibor kopnął piłkę. Patrzył z zadowoleniem, jaktoczy się w kierunku chłopców. Niania podziękowała skinieniem głowy. Wtem usłyszał tuż obok jakiś głos.

- Czy ma pan ogień?

Odrzucił się. Stara wiedźma trzy mała papierosa. Wykrzywiona twarz pewnie miała wyglądać kokieterijnie, ale na jej widok zrobiło mu się niedobrze. Ponownie zaklął pod nosem i sięgnął do kieszeni po nową niebieską zapalniczkę. Był gotów oddać ją tej czarownicy, byle tylko sobie poszła. Jednak utrwalone przez lata nawyki wzięły górę i Ścibor znieruchomiał. Ale nie, to przecież niemożliwe!

- Nie noszę zapalek - odparł niepewnie.

Wiedźma pogderała trochę, pogroziła mu palcem i powiedziała:

- Miałeś powiedzieć "nigdy nie noszę zapalek", a nie "nie noszę".

Do diabła, to naprawdę mój kontakt, pomyślał Ścibor.

- Tak... rzeczywiście - wyjąkał. - Nigdy nie noszę zapalek

Starucha rozejrzała się i zniżyła głos.

- A więc ty jesteś tym Polakiem? - zaśmiała się. - Tak przy stojny młodzieniec!

- Tak - odparł zmiecierpliwiony. - Zaprowadzisz mnie do... Bekonowego Księdza?

- Nie.

- Nie?!

- Nie muszę, bo właśnie z nim rozmawiasz.

Upłynęło kilka chwil, zanim dotarły do niego te słowa. Aż otworzył usta ze zdumienia.

- Ty?! Ty jesteś Bekonowym Księdzem? Pieter Van Burgh?

Wiedźma pokiwała głową. Ścibor trochę ochłonął i zaczął jej się uważnie przyglądać. Przypomniał sobie rysopis Bekonowego Księdza, ale nie był on zbyt szczegółowy: wiek - około sześćdziesięciu lat, wzrost - niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów, dobrze zbudowany, wydatny brzuch, twarz okrągła. Postać, którą miał przed sobą, wyglądała jedynie na obdartą staruchę, za jaką ją wziął. Właśnie chciał wyrazić powątpiewanie, gdy przypomniał sobie, że Bekonowy Ksiądz słynął z niezwykłych umiejętności charakterystycznych. Ścibor popatrzył na kobietę jeszcze uważniej. Siedziała przygarbiona, więc trudno było ocenić jej wzrost. Szeroka czarna sukienka mogła swobodnie pomieścić duży brzuch. Okrągła twarz pokryta była make-upem i różem, i częściowo zasłonięta zwisającymi kosmykami siwych włosów i szarym koronkowym szalem. Sylwetka i ruchy siedzącej świadczyły, że ma przy najmniej siedemdziesiąt lat. Ściborowi przyszedł do głowy tylko jeden pomysł na rozwianie tych wątpliwości. Zauważył, że rękawy sukienki sięgają prawie do palców, więc pochylił się i ostro rozkazał:

- Pokaż ręce!

Kobieta uśmiechnęła się, tym razem bez kokieterii, i powoli podniosła ręce. Rękawy zsunęły się i Ścibor ujrzał owłosione, szerokie przeguby mężczyzny. Pełen uznania pokręcił głową.

- Nigdy bym na to nie wpadł.

Bekonowy Ksiądz zachichotał.

- Trzy lata temu na dworcu w Wrocławiu stałem nie dalej jak metr od ciebie.

- Możliwe - zgodził się Ścibor. - Ale chyba byłeś inaczej ubrany niż teraz.

- Owszem. Miałem na sobie mundur polskiego pułkownika wojsk pancernych. Jechaliśmy do Warszawy tym samym pociągiem... tylko że ja siedziałem w wagonie pierwszej klasy!

Ścibor znów pokręcił głową nie mogąc wyjść ze zdumienia. Głos Bekonowego Księdza znacznie się teraz obniżył i brzmiał już normalnie po męsku.

- Przyśnij się.

Ścibor wykonał polecenie.

- Do diabła, ale ty śmierzisz!

Ksiądz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Powinieneś wiedzieć, że to jeden z najważniejszych elementów dobrego przebrania. Sam przyrzadam ten roztwór. Ludzie zazwyczaj odsuwają się od smrodu i nie przyglądają się uważnie temu, kto cuchnie. Musisz to ścierpieć przez czas trwania naszej rozmowy.

- W porządku - skinął głową Ścibor. - Męczyłem się już przez całą długą drogę do Wiednia.

- Zgadza się. Wiem, że musiałeś uciekać, ale dlaczego domagałeś się spotkania ze mną?

Ścibor patrzył na niego zaciekawiony.

- Czy nie obawiałeś się... czy nie obawiasz się, że jestem wtyczką i mam rozpracować waszą organizację? Już w czasie tej podróży wiele odkryłem.

Ksiądz z uśmiechem pokręcił głową.

- Ani SB, ani nawet KGB nie poświęciłoby generała i pułkownika, żeby umieścić wtyczkę. A jeśli chodzi o drogę, to zostałeś przetransportowany jednym z kilku kanałów i to najmniej ważnym. Poza tym ufam opinii księdza Lasonia. Spędził z tobą kilka dni, sporo rozmawialiście. Powiedział, że żywisz głęboką urazę do Rosjan, a zwłaszcza do Andropowa. Czym ci tak dopiekl?

Na samą zmianę u Andropowie twarz Polaka zastąpiła jakby wyłuta z kamienia. Ksiądz musiał się pochylić w jego kierunku, żeby usłyszeć ciche, wypowiedziane z nienawiścią słowa:

- Odkryłem, że zrobił mi coś tak obrzydliwego, że nie da się tego z niczym porównać.

- On osobiście?

- On wydał rozkaz.

- A ludzi, których zabieś, wykonali go?

- Tak

- Co to był za rozkaz?

Ścibor patrzył cały czas na żwirową alejkę. Teraz podniósł głowę i spojrzał na bawiące się dzieci. Otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem. Po chwili jednak powiedział:

- Najpierw chcę coś księdzu ofiarować. Powiedzmy, że to prezent... część zapłaty za wydostanie mnie z Polski. - Spojrzał na duchownego i ponownie musiał samego siebie przekonywać, że to nie stara kobieta. - Proszę księdza, znam nazwiska polskich księży, którzy zdradzili i współpracują z SB. To długa lista, ale mam ją całą w głowie. Lepiej niech ksiądz wszystko spisze.

W głosie księdza pojawił się smutek

- Ja też mam dobrą pamięć... słucham.

Patrząc księdzu prosto w oczy, Ścibor zaczął wyciszać:

- Zaczynamy od północy. W Gdyni: księża Letwoki i Kowalski. W Gdańsku: Nowaki Jóźwicki. W Olsztynie: Panrowski, Mniszek i Bukowski...

Ksiądz siedział z na wpół przymkniętymi oczami i słuchał monotonnego głosu Polaka. Padło sto dwanaście nazwisk. Przez chwilę obaj milczeli, po czym ksiądz wzdygnął się i wyszeptał:

- Boże, zlituj się nad nimi.

- Czy wiedział ksiądz o którymkolwiek z nich, że zdradził?

- O kilku. Paru innych podejrzewaliśmy, ale... - Powtórzył dwa nazwiska i ze smutkiem potrząsnął głową. Potem zaczerpnął głęboki oddech i żywym już głosem powiedział: - Te informacje są bezcenne, zaoszczędzą wiele ludzkich istnień. A teraz pozwól, ja też chcę coś tobie zaoferować. - Wstał. - Przejdźmy się trochę. Ta ławka zrobiła się twarda.

Szli powoli w kierunku stawu. Ksiądz doskonale naśladował chód starej kobiety.

- Jakie masz plany? - spytał.

- Właściwie nie mam żadnych. - Ścibor rozłożył ręce. - Chciałem spotkać się i porozmawiać z księdzem. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - A ksiądz ma jakiś pomysł?

Van Burgh zatrzymał się i spojrzał na staw. Tafla wody była gładka jak lustro. Niedaleko pływały białe lilie wodne, a trzy labędzie - jeden piękniejszy od drugiego - zbliżyły się właśnie do brzegu.

- Pomysłu nie mam - odparł ksiądz. - Ale mam plan. Być może cię zainteresuje.

- Co to za plan?

- Zabicie Andropowa.

Ścibor wybuchnął śmiechem. Labędzie przstraszyły się i odpłynęły przyskajając wodą. Głos księdza brzmiał jednak ostro.

- Śmiejesz się. A wydawało mi się, że nienawidzisz tego człowieka.

Ścibor przestał się śmiać i popatrzył na księdza z zaciekawieniem.

- Bo tak jest. Dosłownie poświęciłbym własną rękę i nogę, żeby tylko zabić Andropowa. Ale myślałem, że ksiądz żartuje... No bo stoi ksiądz tutaj i po prostu stwierdza, że ma plan zabicia Andropowa, zupełnie jakby chodziło o zamiar pójścia do teatru.

Ksiądz odwrócił się i znów zaczął kuśtykać w swoich śmiesznych butach.

- Może jeszcze nie wiesz, ale generał KGB, Jewczenko, zdradził swoich. Jest teraz w Rzymie.

- Czytałem gazety dziś rano, między innymi o Jewczenko. To musiało przyprawić KGB o niezły ból zębów.

- No cóż, zdradził wy wiadomości włoskiemu, że Andropow i KGB planują następny zamach na naszego ułowanego Ojca Świętego.

- Ach, tak... - Ścibor w zamyśleniu skinął głową. Alejka skręcała teraz w kierunku stawu. Łabędzie wciąż płynęły wzdłuż brzegu, jakby chciały im towarzyszyć.

Ksiądz w skrócie przedstawił swój plan i przy czyny, dla których go powziął. Polak słuchał kompletnie oszołomiony.

- I papież to aprobuje? Przecież to nie po chrześcijańsku.

- Papież o tym nie wie. Plan został obmyślony przez... przez pewną grupę wewnątrz Kościoła.

- No cóż - uśmiechnął się Ścibor - mogę sobie wyobrazić, że można znaleźć taką grupę. I oczywiście mówi mi ksiądz o tym, bo chce, żebym to ja był tym posłem, tym zamachowcem.

- Właśnie.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją tylko chrząst żwiru przesuwającego się pod ich stopami i stłumione odgłosy ruchu ulicznego. Wreszcie ksiądz zaczął mówić. Nie było w jego głosie ani cienia perswazji; prowadził zwyczajną rozmowę. Kto jak kto, mówił, ale dawny major SB wie, do czego zdolni są księża - w końcu około setki przeszło na stronę władz. Przykre, ale przecież to nieliczne jednostki. Są jeszcze dziesiątki tysięcy innych. I to fachowcy ze wszystkich dziedzin. W fabrykach pracują tajni księża; korzy stają ze specjalnej dyspensy pozwalającej im założyć rodzinę, by nie budzili jakichkolwiek podejrzeń. Niejawni duchowni działają również w rządzie, wśród rolników, na uniwersytetach i w szpitalach, a nawet w wywiadzie. Kiedy Sowietom zagroziła kłeska nieurodzaju, Watykan dowiedział się o tym wcześniej niż CIA. Podobnie zresztą, gdy w polskiej partii zapowiadała się walka o władzę - w Watykanie wiadano o tym jeszcze przed KGB. W tym momencie Ścibor zatrzymał się i dał znak ręką, że chce coś powiedzieć:

- Tak wiem. Miał ksiądz rację mówiąc, że jestem tego świadom. Poświęciłem osiem lat na badanie i rozpracowywanie waszego Kościoła. Wierzę, że może ksiądz umieścić swojego człowieka na Kremlu, zwłaszcza że nikt się tego nie spodziewa. Ale czy da ksiądz radę wy dostać go stamtąd... żywego? Czy też plan księdza tego nie uwzględni?

- Owszem, uwzględni. Pracują nad tym nasze najlepsze umysły.

- Pewnie jezuitkie... - Polak uśmiechnął się ironicznie.

- W pewnym sensie.

- Na mojej liście nie ma jezuitów.

- Owszem, są dwaj.

Znów zaczęli iść. Ścibor zapytał:

- No, a przypuśćmy, że to zrobię. Co potem? Co stanie się ze mną potem?

Bekonowy Ksiądz nie czekał z odpowiedzią ani chwili.

- Zacznieś nowe życie. Pod nowym nazwiskiem, może w innym kontynencie, może w Ameryce Północnej lub Południowej albo w Australii. Znajdziemy z pewnością dla ciebie miejsce... i będziemy cię chronić. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - No i oczywiście zapłacimy ci. Dużo.

Usta Polaka skrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Pieniądze się nie liczą... ale przesiedlenie owszem, tak No i operacja plastyczna. - Wziął głęboki oddech. - Zrobię to. Macie swojego ateistę, swojego papieskiego posła. Prześlą Andropowowi wasze posłanie.

Wypowiedział te słowa spokojnie, bez cienia dramatyizmu. Znów przez chwilę obaj milczeli, próbując pozbiierać własne myśli. Pierwszy odezwał się Ścibor:

- Wprawdzie w SB intensywnie mnie szkolono, ale nie na zamachowca.

Nie zatrzymując się, Van Burgh wskazał ławkę, na której poprzednio siedzieli. Teraz odpoczywał na niej jakiś mężczyzna czytając gazetę.

- Ten człowiek nazywa się Jan Heisl. Gdy skończymy rozmowę, pójdziesz za nim. Mnie już nigdy więcej nie zobaczysz. Od niego dostaniesz dokumenty - paszport... prawdziwy oczywiście... i swoją nową tożsamość. On zorganizuje ci transport do pewnego kraju na południe stąd... Tam, na pustyni, jest obóz szkoleniowy dla terrorystów. Będziesz miał ciekawych kompanów - i z prawicy, i z lewicy, pochodzących czasem z tego samego kraju.

- Naprawdę może ksiądz załatwić coś takiego? - zdziwił się Ścibor.

- Naturalnie. Oczywiście oni będą przekonani, że to ktoś inny cię przysłał. Heisl zajmie się wszystkim. Tam nauczysz się dwudziestu różnych sposobów zabijania i unikania śmierci. Heisl da ci pieniądze i potrzebny sprzęt.

- A czy Heisl wie, jaki jest cel mojej misji?

- Tak - potwierdził ksiądz - On jest moją prawą ręką. On, a teraz i ty, jesteście jedynymi ludźmi, którzy o tym wiedzą. Jedynymi poza Nostrą Trinitą, którzy kiedykolwiek mogą się o tym dowiedzieć.

Ścibor popatrzył na księdza.

- A więc jest was tylko trzech?

- Wystarczy... tak jest bezpieczniej.

Wziął Polaka pod ramię i takszył jak uboga matka z synem, któremu się powiodło.

- A teraz powiedz mi, dlaczego nienawidzisz Andropowa.

Kardynał Angelo Mennini wyciągnął rękę. Zakonnica przykłęka i pocałowała pierścień. Spojrzeniem kardynał dał sekretarzowi do zrozumienia, że chciałby, aby zostawić ich samych. Tymczasem zakonnica podniosła się, a Mennini uprzejmie wskazał jej krzesło. Potem szeleszcząc szatami obszedł biurko i zasiadł na wprost niej w fotelu z wysokim oparciem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się twarzy, którą miał przed sobą. Ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara ze złoczonego brązu, wiszącego na ścianie. Zakonnica siedziała wyprostowana z rękami splecionymi na kolanach. Mocno nakrochmalony biały habit i czarny kornet były nieskazitelnie czyste. Wypolerowany krzyż wiszący na jej piersi odbijał światło żyrandola. Głowę trzymała wysoko, ale wzrok spuściła skromnie w dół.

- Sostro Anno, proszę na mnie spojrzeć.

Podniosła wzrok na kardynała. Musiał zobaczyć jej oczy - to bardzo ważne, kiedy chce się ocenić człowieka. Zapewniono go, że to niezwykła zakonnica, ale chciał sam się o tym przekonać. Tydzień temu rozesłał instrukcje do swoich podwładnych na terenie całej Europy. Poszukiwał zakonnicy wyróżniającej się pewnymi cechami i umiejętnościami. Musiała mieć dwadzieścia osiem do trzydziestu pięciu lat, być silna fizycznie i ładna. Powinna płynnie mówić po czesku, polsku i rosyjsku, myśleć realistycznie i odznaczać się dużą samodyscypliną, ale przede wszystkim miała być bardzo pobożna.

W krótkim czasie napłynęło kilka kandydatur, ale ta okazała się bezkonkurencyjna. Zgłosił ją biskup Severin z Szegeđu na Węgrzech. Kardynał bardzo sobie cenił jego zdanie. Zgodnie z opinią biskupa, siostra Anna doskonale spełniała wszystkie wymagania z wyjątkiem wieku - miała tylko dwadzieścia sześć lat. Jednakże, twierdził biskup, swoją osobowością i talentami całkowicie rekompensuje ten niedostatek.

Mennini bez trudu dostrzegł w jej twarzy siłę i wytrzymałość. No i była ładna, nawet bardzo ładna. Pochodziła z Polski, ale musiała mieć w żyłach trochę krwi tatarskiej. Świadczyły o tym wysokie kości policzkowe, lekko skośne oczy i smągła cera. Wysokie czoło równoważyły szerokie, pełne usta i wyraźnie zarysowany, symetryczny łuk szczęki. Kardynał przyjrzał się jej dłoniom. Palce miała długie i smukłe, domyślił się więc, że taką też ma figurę. Ta milcząca taksacja wcale nie sprawiała zakonnicy w zakłopotanie. Patrzyła na niego skromna i spokojna. Dowiedział się, że jest sierotą wychowaną przez zakonnice w Zamościu. Pozostawała pod dużym wpływem matki przełożonej i od najmłodszych lat marzyła o zostaniu zakonnica. Siostry wcześniej dostrzegły jej inteligencję, więc posłały ją do szkoły prowadzonej przez zakon w Austrii. To tam właśnie rozwinęła swe zdolności językowe poznając świetnie rosyjski, angielski, włoski, niemiecki, czeski i węgierski. No i oczywiście władała swym ojczystym polskim. Odkryła też drugie powołanie - nauczanie. Po złożeniu ślubów wysłano ją w charakterze nauczycielki do szkoły prowadzonej przez zakon na Węgrzech. Czła się tam bardzo szczęśliwa, czerpiąc wiele radości z pracy, a także kontynuując własne studia; szczególnie zainteresowała się językami wschodnimi. Miała nadzieję, że pewnego dnia, gdy pozna dobrze japoński, będzie mogła nauczać w Japonii.

Głos miała jakby lekko ochryply. Nie było to nieprzyjemne, ale raczej interesujące. No i tak oryginalnie podkreślała to, co mówiła, unosząc leciutko podbródek po zakończeniu zdania. Tak więc w ciągu kilku minut kardynał przekonał się, że biskup Severin miał rację i jego kandydatka powinna być zaakceptowana.

Najpierw uporządkował myśli, a potem powiedział:

- Sostro Anno, została siostra wybrana do spełnienia misji mającej zasadnicze znaczenie dla Kościoła oraz dla dobra umiłowanego Ojca Świętego.

Szukał na jej twarzy jakiejś reakcji, ale znalazł tylko uwagę i kamienny spokój.

- Życie pobożnej zakonnicy tylko częściowo przygotowało siostrę do spełnienia tej misji, więc przejdzie siostra szkolenie. Ale zanim omówimy szczegóły, powinna siostra coś zobaczyć.

Na lewo leżała oprawiona w skórę teczka ze złotymi tłoczeniami. Kardynał przysunął ją i otworzył. Była tam tylko jedna kartka grubego czerpanego papieru, a na niej zamasytne, ściśnięte pismo.

- Zakładam, że czyta siostra po łacinie.

- Tak Wasza Eminencjo.

Odwrócił głowę i podsunął kartkę siostrze. Tym razem jej reakcja była natychmiastowa. Otworzyła szeroko oczy na widok czerwonego kręgu wosku i odcisniętej w nim papieskiej pieczęci. Spojrzała wyżej i bezgłośnie poruszając ustami tłumaczyła sobie łaciński tekst: "Naszej umiłowanej siostrze Annie".

Zanim doszła do połowy strony, jej wargi znieruchomiały. Drgnęły ponownie, kiedy przeczytała podpis: Jan Paweł II.

Przeżegnała się i spojrzała na kardynała. Zdawało mu się, że oczy miała lekko szkliste.

- Sostro Anno, czy już kiedyś widziała siostra podobny dokument?

- Nie, Wasza Eminencjo.

- Ale rozumie go siostra?

- Chyba tak, Wasza Eminencjo.

Mennini z powrotem przysunął teczkę do siebie, patrzył na nią przez chwilę, po czym szybko zamknął i odezwał się nieco zamyślony, jakby mówił do siebie:

- Tak niewielu dane jest użyć tego rodzaju papieską dyspensę.

Odsunął teczkę na bok i spojrzał na zakonnice.

- Krótko mówiąc, siostra Anno, ta dyspensza zawieszła śluby zakonne siostry na czas trwania misji. Oczywiście w sercu cały czas pozostanie siostra zakonnica. A teraz pokrótce zapoznam siostrę ze szczegółami misji. Potem może siostra przyjąć ją lub odrzucić.

Zerknęła na teczkę i odpowiedziała swym matowym głosem.

- Nie mogę odmówić życzeniu Ojca Świętego.

- Dobrze. Naturalnie, to co siostrze powiem, musi pozostać w najgłębszej tajemnicy. Czy to jasne? Zarówno teraz, jaki na zawsze.

Poważnie skinęła głową, a kardynał kontynuował miarowym głosem:

- Sostro Anno, zadaniem siostry będzie towarzyszenie pewnemu mężczyźnie w kilkutygodniowej podróży... towarzyszenie mu w charakterze żony. - Zauważył w jej oczach przerażenie. Otworzyła usta, żeby zadać oczywiste pytanie, ale kardynał powstrzymał ją gestem ręki. - Nie, siostrze. Będzie siostra tylko udawać jego żonę przed ludźmi, choć czasem będziecie musieli mieszkać w jednym pokoju, a przy świadkach sprawiać wrażenie kochającej się pary. - Dostrzegł ulgę w jej oczach. - I musi siostra wiedzieć, że to nie jest dobry człowiek. Właściwie, w pewnym sensie jest bardzo zły. To ateista, i do niedawna był również wrogiem Kościoła. Wprawdzie obecnie to się zmieniło, bo choć pozostał ateistą, to jednak jego misja ma na celu dobro Kościoła i naszego umiłowanego Ojca Świętego.

Przerwał na chwilę i z zawieszanej przy pasie szaszki wyjął białą koronkową chusteczkę. Dotknął nią swych cienkich warg, westchnął i mówił dalej:

- Muszę także powiedzieć siostrze, że trasa tej podróży będzie wiodła przez Europę Wschodnią do Moskwy. Dlatego będzie bardzo niebezpieczna. Misja siostry kończy się po dotarciu do Moskwy. Potem wróci siostra tutaj, ku naszej radości i wdzięczności... Czy podejmie się siostra tego zadania?

Odpowiedź była natychmiastowa.

- Tak, Wasza Eminencjo. Ale o co właściwie chodzi w tej misji?

- Tylko o to, o czym już powiedziałem, drogie dziecko. Oczywiście musi siostra pomagać temu człowiekowi jak tylko siostra potrafi. Pojedźcie razem, aby zmylić władzę - niech myślą, że jesteście małżeństwem. Na dowód tego dostaniecie odpowiednie dokumenty. Zasadniczo zadaniem siostry jest sprawić, żeby jego misja wyglądała na niewinną podróż.

- Rozumiem, że tak nie jest?

W głosie kardynała pojawiła się nieco ostrzejsza nuta.

- Wystarczy siostrze wiedzieć, że ma ona na celu dobro Kościoła. Zapewne siostrze wiadomo, że przy przeprowadzaniu jakichkolwiek działań w bloku wschodnim musimy zachowywać najdalej idącą ostrożność.

Skinęła głową niczym posłuszna uczennica. Usaty sfakcjonowany tym kardynał sięgnął do szuflady, wyjął kopertę i wręczył jej.

- Jutro o ósmej rano zgłosi się siostra do Collegio Russico przy ulicy Via Carlino Cattaneo tu w Rzymie. Spotka się tam siostra z księdzem Van Burghiem. Proszę być mu posłuszną. On przekaze siostrze więcej szczegółów, ponieważ nadzoruje przeprowadzenie tej misji. On także będzie czuwał nad szkoleniem siostry.

Spojrzał na zegar i wstał. Zakonnica również się podniosła. Kardynał obszedł biurko, ujął jej dłonie w swoje i łagodnym głosem powiedział:

- To może być trudne, siostrz Anno. Czasami nawet żenujące. Ale proszę pamiętać o tym, co powiedziałem - w sercu wciąż będzie siostra zakonnica.

- Nigdy o tym nie zapomnę, Wasza Eminencjo - wyszeptala. - Proszę dać mi swoje błogosławieństwo.

Kardynał pobłogosławił ją, a ona ucałowała jego pierścień. Odprowadził ją do drzwi i uśmiechnął się.

- Oczywiście, na czas podróży będzie siostra musiała powrócić do swego świeckiego imienia - Ania, prawda?

- Tak, Wasza Eminencjo. Nazywam się Ania Król.

Poklepał ją po ramieniu.

- Ania - to ładne imię.

Ledwie zamknął za nią drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Z pełnym znużenia westchnieniem przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę. Sekretarka poinformowała go, że soffrigenti\* właśnie przybyli. Westchnął ponownie i poprosił, by wprowadziła gości za dziesięć minut. Usiadł wygodnie i z niemałym wysiłkiem starał się ułożyć w myślach kilka zdań. Odłąd wybrano go na głowę stuty sięcznego zakonu, a było to pół roku temu, przybyło mu więcej pracy i problemów, niż się spodziewał. Od czasu do czasu przyjmował niewielkie delegacje duchownych zwanych przez zakon soffrigenti. Byli to księża z całego świata, którzy najczęściej ucierpieli w trakcie wykonywania swej pracy duszpasterskiej. Niektórzy spędzili wiele lat w więzieniach, inni byli torturowani czy nawet okaleczani. Do soffrigenti zaliczali się także ci, którzy poświęcili życie nie kończącemu się, samotnemu w zgłębianiu wiedzy. Zakon starał się, aby tacy księża, jeśli to tylko możliwe, przybyli do Rzymu i z rąk swego naczelnego przełożonego przyjęli podziękowania, błogosławieństwo oraz natchnienie do dalszej pracy. Oczekująca delegacja była właśnie jedną z takich grup i składała się z księży, którzy znieśli wiele cierpień pracując w bloku wschodnim.

Mennini zdawał sobie sprawę, że to, co powie, na zawsze zostanie w ich pamięci, dlatego każde słowo musi nieść jakieś głębsze znaczenie. On sam powinien być dla nich ojcem i matką, i skąd, na której będą mogli oprzeć swą wiarę. I chociaż byli oddani przede wszystkim papieżowi, to przecież on stał bliżej jako ogniu pośrednie. Nie znosił powtarzania wciąż tych samych słów na tego typu spotkaniach, więc starał się usilnie wymyślić coś nowego i inspirującego, ale to wcale nie było łatwe. W dodatku wciąż zerkał na oprawioną w skórę teczkę zawierającą jedną kartkę papieru. Ciągłe zdumiewała go perfekcyjność podpisu i pieczęci. Widział je przedtem wiele razy, ale te na kartce niczym się od tamtych nie różniły. Bekonowy Ksiądz jest prawdziwym artystą. Lecz tę myśl szybko zastąpiła inna. On, kardynał Angelo Mennini, popełnił śmiertelny grzech używając sfałszowanego dokumentu i angażując się we wszystko, co się z tym wiązało. Czy miał to być sprawdzian jego prawdziwej wiary?

Bardzo zmartwiony otworzył szufladę i włożył do niej teczkę. Potem przekręcił w zamku kluczyk i wsunął go do ukrytej kieszonki, łudząc się, że może w ten sposób uda mu się odsunąć od siebie dręczące go myśli. Znow zaczął zastanawiać się, co by tu powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Będzie musiał zdać się na swych gości - może zainspirują go do wygłoszenia czegoś wartościowego.

I rzeczywiście - pomogli mu. Do pokoju weszło siedmiu starszków; najmłodszy miał sześćdziesiąt, a najstarszy ponad osiemdziesiąt lat. Mennini przywitał się z każdym, a oni kolejno całowali jego pierścień. Najstarszy - ksiądz Samostan z Jugosławii, chciał udknąć, ale kardynał podniósł go delikatnie, otoczył ramieniem i poprowadził w kierunku wygodnego fotela. Pozostali zajęli miejsca na dwóch kanapach. Wcześniej w sekretariacie podano im napoje, a sama audyencja miała potrwać nie więcej niż dziesięć, piętnaście minut, Mennini przez chwilę przyglądał się swym gościom - siedmiu strażnikom zakonu. W bitwach przez niego staczanych oni zawsze walczyli na pierwszej linii, choć wcale nie wyglądali na wojowników. Byli tylko zgarbionymi, czarno ubranymi starszkami. Na przykład ksiądz Botyan z Węgier - przez ponad czterdzieści lat działał tajnie. Wiódł samotne życie w bezustannym zagrożeniu. Był łysy i miał trupią twarz o głęboko osadzonych oczach - ale co to były za oczy! Błyszczały wiarą, uczciwością i determinacją.

Obok niego siedział ksiądz Klasztor z Polski. Spędził osiemnaście lat w gułagach, a pięć lat temu udało się Bekonowemu Księdzu jakoś go stamtąd wydstać. Lecz nie skorzystał z propozycji osiedlenia się na Zachodzie - chciał kontynuować pracę duszpasterską w ojczyźnie. Mennini znał historię życia każdego ze swoich gości. Uwagę jego zwróciła koścista postać siedząca na brzegu. Był to ksiądz Jan Panrowski - najmłodszy z całej grupy, choć wcale na takiego nie wyglądał. Jego wątłe ciało było pokryte ranami i bliznami. Włosy miał zupełnie białe, a wzdłuż prawego policzka w centymetrowych odstępach biegnęły cztery różowe blizny. Wprawdzie Mennini spotkał wcześniej niektórych z obecnych tu księży, ale tego nigdy nie widział. Jednak z tego, co wiedział, chyba właśnie ten wycierpiał najwięcej. Był Polakiem. W 1944 roku Niemcy wywieźli go do obozu koncentracyjnego, ponieważ zaopatrywał w żywność partyzantów. Cudem udało mu się uciec. Przedostał się na Wschód i przyłączył do ruchu oporu, ale, zdaniem Rosjan, do niewłaściwej jego części. Kiedy więc Sowietci dotarli do Warszawy, wystrzelali większość jego oddziału. Ponownie ocalał. O tyle o ile, bo na siedem lat zesłano go w głąb Rosji na przymusowe roboty. Z własnej inicjatywy rozpoczął tam pracę duszpasterską niosąc współwierzniom pociechę i miłość Bożą. Po śmierci Stalina zwolniono go wraz z kilkoma innymi, a zakonowi udało się sprowadzić go do Rzymu. Ale, podobnie jak Klasztor, nie przyjął oferowanego mu cichego, spokojnego życia na Zachodzie. W 1958 roku pojechał do Czechosłowacji - najbardziej antykościelnego państwa w całym bloku wschodnim - żeby tam, w ukryciu, wykonywać swą pracę. Przez dwa lata pracował w fabryce maszyn rolniczych w Libercu, aż któregoś dnia został zde maskowany, gdy odmawiał Anioł Pański. Następne osiemnaście lat spędził w pojedynczej celi w słynnym więzieniu Bakoy w Kladnie. To tam właśnie był torturowany. Wypuszczono go w 1980 roku. Po półrocznym pobycie w jednym z rzymskich szpitali oraz dalszych sześciu miesiącach w klasztorze niedaleko letniej rezydencji papieża w Castel Gandolfo, postarał się o audyencję u poprzednika Menniniego. Poprosił wtedy, aby pozwolono mu powrócić do Olszty na - jego rodzinnego miasta. Tam też mieszały jego matka i ciotka, a ponieważ obie miały już ponad czterdzieści lat, ksiądz chciał się nimi zaopiekować. Poza tym pragnął wykładać w olsztyńskim seminarium. Niechętnie, ale jednak udzielono mu zgody. Przez Olsztyn wiódł jeden z prowadzących z Rosji na Zachód kanałów Van Burgha i kilka razy Panrowski okazał się pomocny. Ci, którzy przejeżdżali tamtędy w przeciwnym kierunku, zostawiali czasem polcie bekonu.

Teraz Panrowski wyglądał jak jaskółka ze złamanym skrzydłem. Oczy, w których malowało się przebyte cierpienie, utkwione były w kardynale.

Mennini przyjrzał się wszystkim twarzom i wpatrzonym w niego oczom. Przygotowane słowa rozplynęły się gdzieś w morzu współczucia.

- Jestem tylko unizonym sługą...

Próbował coś powiedzieć, ale głos mu się zalał. Nie pochylił głowy; siedział wyprostowany, a łzy spływały mu po policzkach. Jednak były one bardziej wymowne niż słowa. Goście wiedzieli, że z natury kardynał jest surowym, nieskonnym do wzruszeń człowiekiem. Teraz w jego załamanych oczach dostrzegli pokorę i sami też zaczęli cicho płakać - wszyscy oprócz Panrowskiego, który spłótł ramiona, głębiej wtulił się w róg kanapy i skłonił głowę na piersi jakby ponownie przeżywając doznany kiedyś ból. Od tamtego czasu wypłakał już wszystkie łzy.

W końcu kardynał się opanował. Ksiądz Botyan podał mu chusteczkę. Mennini przyjął ją z błędym uśmiechem, otarł twarz i chciał zwrócić księdzu, ale ten tylko uśmiechnął się i pokłcił głową. Kardynał bezgłośnie podziękował, wsunął chusteczkę do szaszki i dokończył zdanie.

- Jestem tylko unizonym sługą w obliczu waszej wiary i cierpienia.

Poczęli zaprzeczać jeden przez drugiego. Teraz właściwe słowa przychodziły same. Głos już mu się nie łamał. Mówił o męczennikach i świętych zakonu, o tym, jak ich wiara i poświęcenie wpływały na bieg historii, jak przekształcały oblicze i sposób myślenia świata. Zwracał się do nich jak do równych sobie; wyrażał nadzieje dotyczące przyszłości zarówno zakonu, jak i całej ludzkości. Prosił też, aby modlili się za umiłowanego Ojca Świętego.

Potem razem odmówili krótką modlitwę i kardynał udzielił im swego błogosławieństwa. Audiencja dobiegła końca. Goście skierowali się w stronę drzwi. Po wyrazie ich twarzy poznał, że czują się usatysfakcjonowani - odbyli długą drogę, ale otrzymali to, czego potrzebowali. Nagle zdał sobie sprawę, że sam też dostał od nich dar - miłość i natchnienie.

Mennini patrzył, jak ksiądz Panrowski kużył go grubym dywanem, i uświadomił sobie, że jest jeszcze coś zupełnie wyjątkowego, co mógłby dać temu starszkowi, a w dodatku sam otrzymałby w zamian pocieszenie. Cicho poprosił księdza, aby został jeszcze chwilę.

Kiedy drzwi zamknęły się za pozostałymi gośćmi, kardynał ujął starca pod ramię i doprowadził do miękkiego krzesła z wysokim oparciem. Gdy zaintrygowany Panrowski usiadł, kardynał przemówił:

- Proszę księdza, wszyscy tu poczuliśmy się podniesieni na duchu wiarą i cierpieniem księdza. Czuliśmy się głęboko wzruszeni i zaszczyceni, gdyby zechciał ksiądz wysłuchać mojej spowiedzi.

W pierwszej chwili starzec zdawał się nie rozumieć. Podniósł głowę i zapytał:

- Spowiedzi?

- Tak proszę księdza, mojej spowiedzi.

Panrowski wyglądał na zaskoczonego. Słyszał kilka razy o podobnych przypadkach, podobno czasem nawet Ojciec Święty prosił o to prostego parafialnego księdza.

- Ale, Wasza Eminencjo... nie jestem... nie jestem tego godzien - wyjąkał.

- Nikt inny w naszym ukochanym Kościele bardziej na to nie zasługuje.

Kardynał przysunął niski, pokryty aksamitem stolec i usiadł obok księdza. Wziął w ręce jego dłonie i skłonił głowę.

- Bardzo księdza proszę.

- Wyznaj swoje grzechy. - Panrowskiemu własny głos wydał się ochryplym szeptem.

- Ojcze, przebac mi, bo zgrzeszyłem. - Głos kardynała był cichy i pokorny, ale dźwięczny. - Pozwoliłem, żeby mój charakter i niecierpliwość niekorzystnie wpłynęły na moją pracę duszpasterską. Czasem nie okazywałem zrozumienia dla zwykłych ludzkich ułomności tych spośród mojego otoczenia, którzy chcieli mi pomóc.

Ksiądz odetchnął z ulgą - to tylko wyznanie zwyczajnych niedociągnięć człowieka o silnej osobowości, u którego rozum przysłania czasem uczucia.

I rzeczywiście była to tego rodzaju spowiedź. Panrowski wysłuchał jej ze zrozumieniem i udzielił łagodnych upomnień. Myślał, że to już koniec, ale kardynał wciąż siedział z pochyloną głową. Minęła minuta, może dwie. Kardynał uniósł nieco głowę i spojrzał na biurko. Ksiądz poczuł, że spowiadający się mocniej ścisnął jego rękę. Mennini westchnął głęboko. Ponownie schylił głowę i zaczął mówić szeptem, tym razem o czymś, co znacznie przekraczało drobne niedociągnięcia. Męczyła go niepewność, czy jest wykonawcą woli Boga, czy tylko dąży do przetrwania, a może usiłuje pogodzić jedno i drugie. Ktoś, kto niewiele cierpiał, usprawiedliwiał się przed kimś, kto wycierpiał bardzo wiele.

Zarówno w kwestii charakteru, jak i fizycznej wytrzymałości ksiądz był nieugięty. Minęła długa chwila odmierzana delikatnym tykaniem pozłacanego zegara. Panrowskiemu trudno było poradzić sobie z tym, co usłyszał, ale przecież jako spowiednik musiał znaleźć właściwe słowa niosące otuchę i zrozumienie. Spowiadający się czekał na nie i tęsknił za nimi. Ksiądz pomyślał, że wprawdzie wiekiem jest równy kardynałowi, ale znacznie go przewyższa umiejętnością znalezienia relacji między wiarą i prawdą a cierpieniem i rzeczywistością. Pochylił głowę i przemówił łagodnie:

- Mój synu, tak mój synu, nie należy czynić zła, by osiągnąć coś, co uważasz za dobre. Ale nie można też nie zrobić nic, żeby zapobiec złu. Grzeszymy, bo jesteśmy tylko ludźmi, a Pan nasz rozumie nas i osądza... i przebacza ci.

Poczuł, że uścisk dłoni kardynała osłabł. Powoli Mennini podniósł głowę i przeżegnał się. Potem uniósł złoty krzyż wiszący na piersi i ucałował małą rozpiętą na nim postać.

Obaj wstali. Kardynał pomógł księdzu przejść do drzwi. Panrowski pochylił głowę i w milczeniu ucałował kardynalski pierścień. Potem wyprostował się i ze zrozumieniem spojrzał Menniniemu prosto w oczy.

- Eminencjo, będę się za was modlić.

- Dziękuję, ojcze. Życzę szczęśliwej podróży. Z Bogiem.

Kiedy ciężkie drzwi zamknęły się za gościem, Mennini podniósł rękę i wyczuł zarys klucza w małej kieszonce. Teraz i on czuł się pocieszony.

- Jesteś zbyt piękna, o wiele za piękna!

- Przykro mi, proszę księdza.

Bekonowy Ksiądz roześmiał się wesoło.

- Ciekawe, czy choć raz w dziejach świata jakaś kobieta tak zareagowała na komplement.

Podniósł się, wyszedł zza biurka i obszedł ją dookoła. Anna Król stała nieruchomo z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Obserwująca ich starsza zakonnica powiedziała z uśmiechem:

- Siostra Anna wygląda ślicznie!

Van Burgh odwrócił się w jej kierunku.

- Ania - powiedział surowo. - Od tej chwili to jest Ania! Wprawdzie czasem będzie musiała używać innego imienia, ale obydwie musicie pamiętać, że siostra Anna przestaje na razie istnieć.

- Dobrze, proszę księdza - posłusznie potwierdziła zakonnica, lecz nie była wcale speszona. - Ale dlaczego ksiądz uważa, że Ania jest zbyt piękna?

- Bo uderzające piękno przyciąga uwagę - westchnął. - A to jest ostatnia rzecz, której nam trzeba.

Stał przed Anią i przyglądał się jej. Miała na sobie gładką białą bluzkę, ciemnoniebieską plisowaną spódnicę i czarne buty na wysokich obcasach. Ksiądz potrząsnął głową.

- Czekam na przesyłkę z bloku wschodniego. Będą w niej kosmetyki i ubrania, jakie się tam produkuje i jakie noszą przeciętni ludzie. A ty wyglądasz, jakbyś zesłała z okładki "Vogue'a". Pomyśl, co zrobiliby z tobą dyktatorzy mody w Paryżu czy Rzymie.

- Cóż ja mogę na to poradzić, proszę księdza?

Nie zwracając uwagi na jej pytanie, ponownie ją okrążył.

- To przez te włosy - stwierdził w końcu. - To one są twoją największą ozdobą.

Włosy miała długie, gęste i czarne jak smoła - aż błyszcząły. Spływały jej na ramiona jak ciemny wodospad.

- Trzeba będzie je ufarbować - powiedział stanowczo.

- Och, nie! - krzyknęła starsza zakonnica. - To byłaby zbrodnia.

- Proszę o ciszę - upomniał ją. - Przede wszystkim jednak należy je obciąć. Chyba na pazia. Nie możesz też wyglądać zbyt pospolicie, bo mężczyzna, którego żonę masz udawać, jest przyzwoity... no i muszę przyznać, jest atrakcyjny dla kobiet, więc zasługuje na ładną żonę. Ale aż tak piękna być nie możesz.

Spojrzał na jej nogi. Nie były ani szczupłe, ani grube, ale miały ładną linię i wąskie kostki. Wysokie obcasy podkreślały zarys łydek.

- Nie możesz nosić szpilek - zdecydował. - Buty mają być płaskie, zwyczajne, a spódnica dłuższa.

Ania ledwie go słuchała, myślała tylko o włosach. W duchu uważała je zawsze za jedyne, co pozostało z jej kobiecości. Jeszcze kiedy była dzieckiem, zakonnice przycinały je, cesały i zawsze podziwiała. Nauczyły ją też, jak je pielęgnować. Codziennie wieczorem tuż przed snem i rano jeszcze przed modlitwą cesała je szorstką dokładnie sto razy. Lubiła, gdy rozsypany się na szyję i ramiona. Często przechyliła głowę z boku na bok, a włosy opadały z jednej strony na drugą niczym wahadło. Rano, po tych wszystkich zabiegach, chowała je skromnie pod wykrochmalony kornet. Przypominały wtedy błyszczący onyks ukryty pod czyściutką chusteczką.

- No i będziesz musiała zrobić sobie ostrzejszy makijaż - dodał ksiądz. - Taka jest teraz moda na Wschodzie. Paznokcie pomaluj jaskrawoczerwonym lakierem, a nie bezbarwnym. Nałóż więcej różu na policzki... Musisz pomalować usta ciemniejszą szminką i grubiej. Potrzebne ci będą też kolorowe, metalowe bransoletki i jakiś tani posrebrzany łańcuszek na szyję, najlepiej z zawieszoną na nim literką "A".

Obszedł ją ponownie - w wyobraźni widział już inną kobietę.

- Trzeba też zaopatrzyć cię w kilka pasków z lakierowanej skóry z dużymi, błyszczącymi klamrami - takimi w niezbyt dobrym guście. - Znow spójrz na jej włosy. - Dostaniesz też dwie lub trzy peruki różnego koloru i długości... naturalnie, że przy twojej cerze blond nie wchodzi w grę. Może być kasztanowy, popielaty czy coś w tym rodzaju. A teraz, Aniu, zdejmij buty i przejdź się po pokoju.

Ania wykonała polecenie, co przyprawilo księdza o głębokie westchnienie.

- Niestety, chodzisz jak zakonnica.

- Bo jestem... A jak chodzi zakonnica?

- Popatrz.

Ksiądz podniósł głowę, wyprostował się, ręce spuścił po bokach i z wyrazem wielkiej pobożności na twarzy przeszedł przez pokój drobnymi kroczkami. Zaskoczone kobiety roześmiały się, bo wyobraziły go sobie w białym habicie. Van Burgh był doskonałym aktorem i na scenie mógłby zrobić furorę. Idealnie odegrał skromną, pobożną zakonnice.

- A jak właściwie powinienam chodzić?

- Przyjrzyj się.

Jego postawa zupełnie się zmieniła. Zanim jeszcze zrobił pierwszy krok, już przywołał na myśl młodą kobietę świadomą swej atrakcyjności i zmysłowości. Calkiem inaczej poruszał teraz rękami. Poprawił fryzurę i przeszedł przez

pokój. Stawiał duże kroki kołyszac przy tym biodrami. Spoglądał to w jedną, to w drugą stronę, a lewe ramię zgiął przy boku jakby niósł torebkę.

Kobiety znów się roześmiały, ale potem Ania zamyśliła się na chwilę - dostrzegła ogromną różnicę między obiema prezentacjami.

- Niestety, ja nie mam aktorskich zdolności księdza. Nie wiem, czy zdołam się nauczyć tak chodzić.

- Nie martw się, nauczę cię. A poza tym pospacerujesz trochę po Rzymie. Zobaczysz, jak inne kobiety chodzą, rozmawiają ze sobą... i z mężczyznami. Przy patrzysz się, jak robią zakupy, jak telefonują i noszą torebki. I musisz przyglądać się temu w naszym miasteczku z innym nastawieniem niż dotychczas. Przeznaczysz na to wszystkie popołudnia w przyszłym tygodniu. Będziesz chodziła do kawiarni i jeździła autobusami. Zobaczysz, jak wyglądają wnętrza dużych hoteli, i zwiedzisz miejsca odwiedzane przez turystów. Czy masz w Rzymie jakichś świecików przy jaciół?

- Nie, nie mam. - Jej włosy zafalowały, kiedy potrząsnęła głową. Ksiądz zmarszczył czoło - rozszedk i intelekt nie wystarczą; Ania musi przyzwyczać się do towarzystwa ludzi świecików, musi z nimi rozmawiać.

- Postaram się o jakichś znajomych dla ciebie, mężczyzn i kobiety. Będziesz chodzić z nimi na kawę i od czasu do czasu pójdiesz z nimi na kolację i na drinka.

- Ale ja nie piję alkoholu, proszę księdza.

- To nic, Aniu. Możesz pić soki owocowe, a znajomym powiesz, że byłaś zakonnica, ale niedawno porzuciła zakon.

- O, co to, to nie - wycedziła przez zaciśnięte usta.

- Aniu - westchnął ksiądz. - Posłuchaj mnie. Wkrótce dostaniesz nowe nazwisko i stworzymy ci jakiś nowy życiorys, ale to trochę potrwa. Będziesz musiała wiele się nauczyć i zapamiętać. Na to i inne niezbędne sprawy poświęcisz popołudnia i wieczory. A tymczasem musisz przyzwyczać się do świata zewnętrznego, dlatego tak ważne jest, byś na razie udawała osobę, która wystąpiła z zakonu.

Ania jednak nie ustępowała.

- Już sama myśl o powiedzeniu czegoś takiego przyprawia mnie o mdłości!

Oczy Van Burgha błysnęły. Spojrzał na stojącą z boku zakonnice i poprosił:

- Proszę zostawić nas na chwilę, sestro.

Z sympatią popatrzyła na Anię i wyszła.

Ksiądz ciężko usiadł za biurkiem. Ręką wskazał Ani krzesło na wprost siebie. Usiadła i nieśmiało poprawiła spódnicę na kolanach. Ksiądz mówił szybko, zwięźle i bez owijania w bawełnę:

- Otrzymałaś od papieża dyspensę zawieszającą na jakiś czas twoje śluby. Jednakże Jego Świątobliwość nie zamierzał zawieszać także twojego obowiązku posłuszeństwa wobec przełożonych.

Ania milczała. Po chwili spuściła oczy i szepnęła:

- Przepraszam, proszę księdza.

- Nie bądź taka skromna! Nie jesteś zakonnica, Aniu - zganil ją ochryplym głosem.

Ania gwałtownie podniosła głowę. Ksiądz dostrzegł u niej odwagę. Spojrzała mu prosto w oczy i stanowczo powiedziała:

- Przepraszam.

- W porządku. A więc zanim otrzymasz swój nowy życiorys, powiesz każdemu, kto cię o to zapyta, że byłaś zakonnica, ale w końcu postanowiłaś zrzucić habit. I to bardzo niedawno.

- Dobrze, proszę księdza.

- Ludzie, z którymi cię zapoznam, nie będą zadawać pytań - teraz mów już trochę łagodniej. - Powiem im, że jesteś drażliwa na tym punkcie.

- Dziękuję księdzu.

Przez kilka minut próbował badać wzrokiem jej twarz. Wreszcie podsumował:

- Aniu, wiem, że masz silny charakter i dużą inteligencję. Ale naturalnie życie zakonne sprawiło, że jesteś przewrażliwiona na punkcie niektórych spraw. I właśnie tę wrażliwość musisz ukryć i trzymać pod kontrolą. W przeciwnym razie może się ona okazać niebezpieczna dla ciebie samej i człowieka, któremu będziesz towarzyszyć, no i dla całej misji. A jeśli tylko spostrzeżę, że nie potrafisz nad nią zapanować, odsunę cię od tej sprawy i poszukam kogoś innego.

Ania przez chwilę myślała o tym, co usłyszała, po czym skinęła głową. W tym ruchu ksiądz znów dostrzegł jej wewnętrzną siłę.

- Proszę księdza, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Będę nad sobą panować - powiedziała stanowczo.

- Mam taką nadzieję. - Van Burgh obrócił w palcach piękną nogę do cicia papieru wykonany z kości słoniowej. - Widzisz, Aniu, wprawdzie oglądałaś w klasztorze współczesne filmy, ale tylko te, które wybierała matka przełożona. Podobnie z książkami - też były starannie dobrane. Nawet programy radiowe czy telewizyjne - nie wszystkie były ci udostępniane. - Zatoczył ręką szerokie koło. - A tam na zewnątrz wszystko jest inne. Cenzura w zasadzie nie istnieje. Dowiesz się o takich sprawach, że zaczniesz się zastanawiać, co też dzieje się z naszą cywilizacją.

- Proszę księdza, wprawdzie przez całe życie byłam zamknięta, ale wiem coś niecoś o życiu zewnętrznym na Zachodzie. Powiedziałam, że nie mam świecików przy jaciół, bo do tej pory znalazłam wyłącznie kobiety podobne do mnie samej. Czasem żalowałam, że tak jest, bo bardzo jestem ciekawa świata... ale ciągle się uczyłam. Wierzyłam, że kiedyś w przyszłości moja ciekawość zostanie zaspokojona. Teraz więc cieszę się, że pojawiła się taka możliwość.

- To dobrze.

Van Burgh otworzył jakąś teczkę, przejrzał papiery, po czym urzędowym głosem zadał jej pytanie.

- Jesteś świetną lingwistką, Aniu. Powiedz mi, jak powiesz po rosyjsku "pieprzyć się"?

Ania skuliła się i spojrzała na niego zaskoczona. Jednak zaraz zeżłościła się na samą siebie, bo uświadomiła sobie, że dała się zaskoczyć; zapamiętała to sobie na przyszłość.

- Proszę księdza, studiowałam ten język w zakonie. Tam nie uczono nas takich słów... ale... wiem, jak powiedzieć "spółkować".

- Świetnie. - Rzucił nożyk na biurko i machnął ręką. - Wystarczy, że każesz się komuś "odspółkować" i od razu wzbudzisz podejrzenia. - Pochylił się i zrobił jakąś notatkę. - Trzeba będzie poszerzyć twoje słownictwo. Wprawdzie



będzie to nieco żenujące dla naszego językoznawcy, ale... w końcu nie musi ukrywać swego zażenowania. - Nałożył skuwkę na pióro i zerknął na zegarek - Czy masz jakieś pytania?

- Tak, jedno. Jego Eminencja kardynał Mennini, powiedział, że ten mężczyzna, z którym mam podróżować... którego żonę mam udawać... że on jest złym człowiekiem. Czy ta podróż będzie dla mnie niebezpieczna?

Van Burgh rozłożył ręce.

- Aniu, jakkolwiek tajna podróż przez Europę Wschodnią jest niebezpieczna.

- Ale ja miałam na myśli tego mężczyznę.

- A, tak - zawahał się. - Chodzi ci o fizyczne zagrożenie?

- Mam na myśli gwałt.

- Myślę, że nie musisz się tego obawiać - zmarszczył brwi. - Chyba nie. Prawdopodobnie będzie próbował cię uwieść. Według naszych kryteriów jest to człowiek niemoralny... ale gwałt, nie... myślę, że to ci nie grozi.

- Nie boję się - powiedziała nieśmiało. - Ale może mogłabym przejść jakiś kurs samoobrony... może judo albo coś w tym rodzaju?

Ksiądz ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie, Aniu. On już teraz jest bardzo silny i świetnie wyszkolony, a wkrótce przejdzie intensywny kurs walki z wrogiem i stanie się śmiertelnie niebezpieczny. Tak więc, kiedy poczujesz się zagrożona, będziesz musiała polegać wyłącznie na własnym sprycie i inteligencji.

Ania skinęła głową na znak, że zrozumiała.

- A teraz powinnaś iść do fryzjera.

Wstała i skierowała się do drzwi, ale ksiądz jeszcze zapytał:

- A jak powiesz po rosyjsku "gówno"?

Odwróciła głowę i bez chwili wahania odparła:

- Gawno.

Następnie przeszła przez pokój poruszając biodrami. Kiedy już miała rękę na kłamce, usłyszała, że ksiądz ją wola. Odwróciła się. Van Burgh patrzył surowo i z odrobiną smutku.

- Bardzo dobrze.

Statek s/s "Lydia" zawinął do Trypolisu o zmierzchu. Pływał pod banderą Cypru i stamtąd rekrutowała się jego załoga. Kursował regularnie między Limasselem, Triestem i Trypolisem przewożąc artykuły codziennego użytku. Mirosław Ścibor wszedł ukradkiem na jego pokład w Trieście. Było to trzy dni temu w środku nocy. Podróż nie trwała długo, ale z przyjemnością już by ją zakończył. Odbył ją zamknięty w brudnej kajucie na pokładzie dziobowym i mógł się całkowicie oddać swoim myślom. Jedzenie było obrzydliwe, a wnętrze statku cuchnęło. Kontakt z załogą ograniczał się wyłącznie do odbierania posiłków.

Siedząc w kajucie, często myślał o Bekonowym Księdzu. To zdumiewające, że zdołał zorganizować dla niego, przyszłego zabójcy władcy Rosji, szkolenie w obozie terrorystycznym na pustyni libijskiej. Ksiądz Heisl z ironicznym uśmiechem powiedział mu, że w tym samym miejscu szkolili się Ali Agca przed zamachem na papieża. Zapewnił go też, że nikt z kierujących obozem nie będzie zadawał mu osobistych pytań. Powiedziano im po prostu, że jest cudzoziemskim nabytkiem dla jednego z oddziałów Czerwonych Brygad. Takie wyjaśnienie było wiarygodne i wystarczające. W obozie szkolono każdego terrorystę bez żadnych zastrzeżeń. Minęły tylko cztery dni od spotkania z Van Burghiem do chwili wejścia na statek, a tak wiele się zdarzyło.

Drogę z Wiednia do Triestu odbył samochodem w towarzystwie księdza Heisla. Duchowny jechał jak szatan. Kiedy w pewnym momencie Ścibor sarkastycznie zauważył, że właśnie przekroczyli sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, ksiądz tylko wskazał palcem na medalik ze świętym Krzysztofem przyklejony do deski rozdzielczej mówiąc: "Nie trać wiary". Niewielka była to pociecha dla ateisty. Ścibor parsknął śmiechem.

- To nie wie ksiądz, że Krzysztof został zdjęty z ołtarzy?

Heisl wyszczerzył zęby w uśmiechu i wzruszył ramionami.

- No to co? Opiekuj się mną od wielu lat.

Ksiądz przegadał całą drogę. Najpierw wyjaśnił mu, czego nauczył się w obozie szkoleniowym i jakiego rodzaju ludzie będą jego instruktorami. Ma tam na wszystko zwracać uwagę i pilnie się uczyć, bo to kosztowny interes. Na instruktaż i transport wydano prawie piętnaście tysięcy dolarów. Ta suma zrobiła na Polaka wrażenie i stwierdził, że terror kosztuje. Heisl przytaknął i dodał, że na całym Środkowym Wschodzie rozrzuconych jest kilkanaście takich obozów. I w zasadzie przez cały czas na każdym z nich jednorazowo pobiera naukę od dwudziestu do trzydziestu "studentów". Takie miejsca były, są i będą wyłęgarnią europejskiego i arabskiego terroryzmu, i to zarówno prawicowego, jak i lewicowego. Człowiek, który bezpośrednio zajął się organizacją kursu dla Ścibora, jest przywódcą oddziału Czerwonych Brygad w Trieście. Grupa ta specjalizuje się w transporcie i szkoleniu. Inne oddziały zajmują się bronią, zbiórką funduszy poprzez napady na banki lub też porwaniami i morderstwami dla osiągnięcia celów politycznych. Ten człowiek uważał księdza Heisla za szefa komórki niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii. Już kiedyś razem współpracowali i facet pamiętał, że Heisl nie poskąpił grosza. Kiedy Ścibor zapytał, za co mu wtedy zapłacono, ksiądz tylko wzruszył ramionami i rzucił spojrzenie, które mówiło, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

Gdy zbliżali się już do włoskiej granicy, ksiądz dał mu nowy paszport. Ścibor nazywał się teraz Piotr Poniatowski. Dwanaście lat temu uciekł na Zachód i po siedmiu latach otrzymał obywatelstwo francuskie. Urodził się w Warszawie, a data urodzenia była o dwa lata wcześniejsza od jego własnej. Polak przejrzał paszport - były w nim stare stemple i wizy.

- Jest doskonały - powiedział Heisl. - Rzeczywiście żył taki człowiek i urodził się dokładnie tego dnia w Warszawie, ale w zeszłym roku zginął w wypadku samochodowym pod Paryżem.

- Czy to ksiądz wtedy prowadził?

- Nie - uśmiechnął się. - Ja nie mówię o wypadkach.

Przekroczyli granicę bez żadnych problemów i pół godziny później, niosąc walizki, szli w kierunku małego domu w ubogiej dzielnicy niedaleko doków. Mieszkała tam stara kobieta cała ubrana na czarno. Ścibor uznał, że należy do jakiegoś świeckiego ruchu religijnego.

Niewiele się odzywała, ale przygotowała wspaniały obiad. Potem Polak urządził sobie sjestę, a ksiądz poszedł załatwić jakąś sprawę.

Mieszkał w tym domu przez trzy dni. Ścibor miał ochotę wyjść i poznać miasto, może nawet poderwać jakąś dziewczynę. Wprawdzie nie powiedział o tym księdzu, ale i tak Heisl w ogóle nie chciał słyść o jego wyjściu. To miasto było dla Polaka punktem tranzytowym, i to w obydwie strony, a w tranzycie lepiej nie być widzianym. Zwłaszcza jeśli jest to Triest, międzynarodowe miasto, gdzie działają zarówno wschodnie, jak i zachodnie wywiady. Tak więc, gdy Heisl załatwiał różne sprawy, Ścibor objął się po mieszkaniu, oglądał telewizję, czytał gazety i jadł zbyt wiele makaronu. Parę razy rozmawiali na temat przerwania go do Moskwy; Heisl przedstawił mu kilka ewentualności, ale mówił ogólnikami, twierdząc, że ostateczna decyzja zostanie podjęta później. Ścibor pomachał francuskim paszportem i zapytał:

- Dlaczego nie mogę po prostu polecieć tam samolotem jako turysta albo biznesmen?

Heisl zdecydowanie pokręcił głową.

- Może będziesz musiał spędzić w Moskwie trochę czasu, zarówno przed, jak i po wykonaniu zadania. Każdy turysta i biznesmen jest rejestrowany, a po twojej obecności w tym mieście, a nawet w tym kraju, nie może pozostać żaden ślad. Ale niech cię o to głowa nie boli. To już nasze zadanie - przemycić cię tam i wydostać - i wykonamy je. Pracuj nad tym nasze najlepsze umysły.

Trzeciego wieczoru Heisl przyniósł ze sobą małą czarną torbę płócienną. Dał ją Polakowi i polecił, żeby zapakował do niej przybory toaletowe, bieliznę, chusteczki do nosa, spodnie i koszulę na zmianę. Ma być gotowy do wyjścia o północy. Dziesięć minut przed dwunastą ksiądz wszedł do pokoju Ścibora i zebrał resztkę jego ubrań.

- A gdzie masz paszport?

Ścibor wskazał palcem na torbę.

- Daj mi go. Nie będzie ci potrzebny.

Ścibor wyjął paszport z torby i podał księdzu. Heisl wetknął go do wewnętrznej kieszeni i przejrzał zawartość torby.

- Czy nie włożyłeś tu nic poza ubraniami i przyborami toaletowymi?

- Nie.

Ksiądz, przekonany, zasunął suwak.

- W kuchni stoi termos z gorącą kawą. Zabierz go ze sobą. Czeka cię długa noc.

Wyszli z domu tuż po północy. Tym razem Heisl prowadził swoje renault powoli, często zerkając we wsteczne lusterko.

- Teraz jest najniebezpieczniejszy moment - wyjaśnił - właśnie gdy trzeba się spotkać z inną grupą, której ochrona mogła zostać złamana. Włoskie służby antyterrorystyczne są ekspertami w tym, co robią. Bywa, że wytropią strażę i czają się w ukryciu w nadziei, że ci doprowadzą ich dalej.

Ścibor świetnie znał ten sposób. Sam często go stosował.

- A jeśli nakryją nas, gdy będziemy próbowali nawiązać kontakt?

- To by było bardzo kłopotliwe - odparł ksiądz. - A propos, od tej chwili aż do następnego spotkania za miesiąc nazywasz się Werner. Tylko tyle. I nie reaguj na żadne inne imię.

- A jakiej jestem narodowości?

- Żadnej. Jesteś po prostu międzynarodowym terrorystą.

Długo krążyli po mieście, po czym wrócili w okolice doków.

Ksiądz spojrział na zegarek i wjechał w wąską uliczkę pomiędzy olbrzymimi magazynami. Większość lamp ulicznych była tu zepsuta, więc na wysokich ścianach budynków przeplatały się długie, ciemne cienie. Heisl zatrzymał samochód i zgasił światła, ale silnik pozostawił na chodzie. Przez pięć minut był to jedyny dźwięk zakłócający ciszę. Potem, gdzieś przed nimi, dał się słyszeć trzask otwieranych drzwi. Przed magazynem pojawiła się jakaś ciemna postać. Po chwili rozbrzysły w tym miejscu dwa świetlne punkty. Ksiądz pochylił się i w odpowiedzi dwukrotnie zapalił i zgasił światła. Potem sięgnął do schowka na rękawiczki i wręczył Polakowi grubą brązową kopertę.

- Daj mu to. Spotkamy się za miesiąc. Powodzenia.

Podali sobie ręce. Ścibor sięgnął po torbę i wysiadł. Nie oglądając się za siebie, poszedł szybko w kierunku magazynu. Kiedy był już na miejscu, usłyszał, że ksiądz odjeżdża. Czelający na niego mężczyzna był bardzo młody. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat i wygląd pilnego studenta.

- Werner? - zapytał.

Ścibor skinął głową i został wprowadzony do środka. W magazynie stało mnóstwo drewnianych skrzyń. Trzy największe były już załadowane na przyczepę ciężarówki. Obok stało dwóch starszych mężczyzn.

- Masz coś dla mnie? - spytał młody człowiek.

Mówił jak człowiek wykształcony, dobrze wychowany. Ścibor podał kopertę. Tamten jednym ruchem kciuka otworzył ją i wyjął plik banknotów. Polak zauważył same studolarówki. Chłopak szybko je przeliczył. Usaty sfakcjonowany skinął głową, podszedł do starszych mężczyzn i dał każdemu po kilka banknotów. Potem odwrócił się do Ścibora.

- Chodź tutaj. Wszystko ci wyjaśnię.

Podeszli do przyczepy. Jedna z drewnianych skrzyń była otwarta.

Na bocznej ścianie widniały skierowane do góry strzałki oraz rysunek kieliszka i napis "szkło". Ścibor zajrzał do środka. Skrzynia wyściełana była gąbką, a do dna przymocowane było plastikowe krzeselko. Obok niego, również przytwierdzone, stała głęboka, emaliowana miska. Chłopak wskazał palcem skrzynię.

- Pierwszą część podróży odbędziesz tutaj. Wyjazd za jakieś dziesięć minut. Piętnaście minut później odbędzie się kontrola celna; może potrwać około godziny. Następnie upłyną jeszcze dwie, trzy godziny, zanim dźwig załaduje skrzynię na statek. Jeśli znacznie bardzo bujać, oprzyj się rękami i nogami o ścianki. O szóstej rano statek powinien wypłynąć, ale zdarzają się opóźnienia. - Wskazał palcem kilka punktów. - W skrzyni jest mnóstwo otworów, więc powietrze ci nie zabraknie. Wypuszczaj cię stąd, jak tylko statek odbije od brzegu. - Teraz wskazał emaliowaną miskę. - Tutaj możesz siusiać i wymiotować. Czy masz ze sobą coś do picia?

Ścibor przytaknął.

- Czy była już jakaś wpadka? - zapytał.

- Jak dotąd nie. Siedziało tu wielu bardzo odważnych ludzi. Jesteś gotów?

- Tak.

Najpierw wrzucił torbę, a potem sam wszedł do skrzyni. Krzesło okazało się całkiem wygodne i mógł na nim siedzieć prawie wyprostowany. Dłońmi oparł się o przednie ścianki - to pozwalało zachować równowagę.

- Najgorsza ze wszystkich jest tu ciemność - dodał chłopak - Ale nie próbuj zapalać zapalki czy w ogóle czegokolwiek. Obicie skrzyni jest łatwopalne. Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię?

Ścibor zaprzeczył ruchem głowy; kiedy wstępował do SB, przeszedł różne testy.

- No to w porządku. - Chłopak skinął na starszych mężczyzn, którzy podeszli z gwoździami i młotkami. A do Ścibora rzucił jeszcze: - Szczęśliwej podróży, kolego.

Polak skinął głową. Potem zrobiło się zupełnie ciemno i słyszał tylko uderzenia młotków nad głową.

Statek był opóźniony. Dopiero po dwunastu godzinach Ścibor poczuł wibracje uruchamianych silników. A jeszcze następne trzy minęły, zanim wreszcie podważono wieko skrzyni i dotarło do niego światło słoneczne i świeże powietrze. Przez cały ten czas wyobrażał sobie różne ewentualności. Może na przykład wywiązało się jakieś zamieszanie i nikt nie wie, że on siedzi tu zamknięty. A może zapomnieli, która to skrzynia. Całkowita ciemność jest świetną pożywką dla wyobraźni. Ścibor wiedział o tym i zwykle wykorzystywał to przy przesłuchaniach. Jednak dopiero teraz w pełni docenił skuteczność tej metody.

Zobaczył dwóch mężczyzn - uśmiechniętych, kędzierzawych Cypryjczyków. Był tak zdrętwiały, że musieli mu pomóc wyjść na pokład. Przy próbie rozprostowania nóg poczuł dotkliwy ból. Jego skrzynia należała do ładunku pokładowego, więc od razu dostrzegł, że wokół jest jasno, i poczuł wilgoć powietrza. Statek kołysał się lekko na spokojnych falach. W oddali majaczyły zarysy lądu.

- To Jugosławia - objaśnił jeden z Cypryjczyków.

Ścibor z trudem zrobił kilka kroków. Chętnie pospacerowałby trochę po pokładzie, ale marynarze nawet nie chcieli o tym słyszeć. Jeden z nich podniósł jego torbę, a potem zaprowadził go na pokład dziobowy - najpierw do toalety, później do kajuty.

A teraz przez maleńki iluminator patrzył na doki Trypolisu - wyglądały szaro i monotonicznie. Żeby się czymś zająć, przepakował torbę. Potem przez godzinę zmagął się z własną niecierpliwością; jak każdy pasażer statku, nie mógł się doczekać zejścia na ląd. Wreszcie ktoś zapukał do drzwi. Wszedł niemłody już Arab w mundurze, na którym nie miał żadnej dystynkcji ani odznak.

- Werner? - zapytał.

Ścibor przytaknął.

Arab wskazał torbę i zapytał po angielsku:

- To twoja torba?

- Tak.

- Opróżnij ją.

Polak wykonał polecenie i położył wieszak na locu. Jeszcze nigdy nie widział tak dokładnej rewizji, jaką przeprowadził w jego rzeczach Arab. Mężczyzna sprawdził wszystkie szwy w ubraniach, każdy guzik i kołnierzyk, podeszwy butów i wszystkie przybory toaletowe. Potem zajął się samą torbą. Na koniec przeprowadził niezwykle skrupulatną rewizję osobistą. Wreszcie, w pełni usatysfakcjonowany, pozwolił Ściborowi spakować się i kazał mu iść za sobą. Na podłodze pracowali członkowie załogi statku, ale starannie omijali wzrokiem Ścibora i Araba.

Tuż przy schodach czekała wojskowa ciężarówka. Kierowca również miał na sobie polowy, nie oznakowany mundur. Arab poprowadził Ścibora na tył ciężarówki, odsunął brezent i gestem kazał mu wsiąść. Polak najpierw wrzucił torbę, a potem sam wskoczył. Arab dokładnie przytroczył brezent.

Jechali dwie godziny. Początkowo droga była dobra, ale później skręcili gdzieś w lewo i dało się odczuć, że jadą jakąś polną dróżką. Musieli znacznie zwolnić, a i tak ciężarówką rzucało na boki i trzęsło, i Ścibor ledwo mógł utrzymać się w miejscu. Kiedy wreszcie stanęli, bolały go całe plecy. Słyszał czyjeś głosy mówiące po arabsku. Po chwili odsunęto brezent i wyskoczył na ziemię.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że znalazł się w obozie koncentracyjnym. Stał na dziedzińcu ogrodzonym wysoką drucianą siatką. Na jej szczyty przytroczone były reflektory. Świeciły tak jasno jak słońce w południe. Po prawej stronie stał długi, nowoczesnie wyglądający budynek z betonu. Po lewej - trzy rzędy drewnianych domków wykonanych z gotowych elementów. Sądząc po wyglądzie, postawiono je dawno temu.

Arab poprowadził Ścibora w kierunku betonowego budynku. Otworzył jakieś drzwi, zajrzał do środka mówiąc coś po arabsku, potem wprowadził Polaka i zamknął za nim drzwi.

Pokój urządzony był po spartańsku. Stało tu tylko biurko i dwa krzesła po przeciwnych jego stronach. Za biurkiem siedział wysoki barczysty mężczyzna. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy i twarz człowieka, który wiele doświadczył łącznie z cierpieniem. Wiekem dobiegał pięćdziesiątki. Tuż obok niego na małym stoleczku stał odbiornik radiowy. Mężczyzna ubrany był w wyblakły polowy mundur, także bezadnych dystynkcji. Czytał właśnie jakąś notatkę. Nie odrywając od niej wzroku, odezwał się po niemiecku z amerykańskim akcentem.

- Twierdzę tutaj, że mówisz płynnie po niemiecku. Zostaniesz skierowany na kurs stopnia "A" - Spojrzaj teraz na nowo przybyłego z szerokim uśmiechem na twarzy, ale jego szaroniebieskie oczy wcale, się nie śmiały. - Oznacza to, że dostaniesz pojedynczy pokój oraz że będziesz miał dużo indywidualnych lekcji.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Jestem Frank Powiniennem ci teraz życzyć miłego pobytu tu Werner, ale wiem, że miły nie będzie.

Podali sobie ręce. Ścibor aż skrzywił się z bólu i próbował oddać uścisk, ale równało się to ze ścisaniem kawałka żelaza.

- Jadłeś już kolację?

Ścibor zaprzeczył ruchem głowy. Frank spojrzał na zegarek i gestem wskazał krzesło.

- W porządku. Siadaj. Najpierw załatwimy kilka formalności, a potem pójdziemy do kantyny. Czy miałeś długą podróż?

- O, tak - Polak usiadł. - Można by powiedzieć, że kilumiesięczną i bardzo niewygodną, zwłaszcza przez ostatnie kilka dni.

Frank próbował nadać twarzy wyraz współczucia i cicho zachichotał.

- No cóż, nie mieszkamy tu w Hiltonie, ale ty masz stopień "A" - twoi szefowie muszą być nadziani. Jedzenie mamy dobre. Sam tego dopilnowałem, jak tylko przyjechałem tu w zeszłym roku. Nie można wymagać od ludzi wysiłku, jeśli się ich nędznie karmi. No a teraz do rzeczy. - W głosie Franka pojawiła się surowość. - Ten obóz nie ma charakteru politycznego ani ideologicznego, więc nie spodziewaj się żadnych wykładów na tego typu tematy. Nie prowadzimy też żadnych dyskusji. Absolutnie żadnych, rozumiesz? Dyskusje są zakazane. - Patrzył surowo na Ścibora, który na znak zrozumienia energicznie skinął głową. - Po drugie: nie zadaje się tutaj żadnych osobistych pytań. W tej chwili mamy dwudziestu pięciu podopiecznych z całego świata. Podobnie jak ty, każdy otrzymał jakieś imię. I to wszystko, co mamy o nich wiedzieć. W takim miejscu jak to musimy możliwie najlepiej zabezpieczyć się przed infiltracją. Od tego zależy nasze życie. Odkąd tu jestem, dwukrotnie wykryliśmy wtyczki. Tak więc, jeśli ktoś zadaje osobiste pytania, zostaje natychmiast ukarany... ale pamiętaj, Werner, stosujemy tu tylko jeden rodzaj kary - śmierć... rozumiesz?

- Czy to właśnie spotkało tych dwóch?

Frank ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W końcu tak Pierwszy był Francuzem z SDECE, drugi - Niemcem z BND. Likwidując ich, oddaliśmy wam wszystkim dużą przysługę... Zostaniesz tu przez trzydzieści dni. Nie jest to długo, ale czasem będzie ci się wydawało, że ten miesiąc trwa trzydzieści lat. Wolnych dni nie ma. Musisz podporządkować się naszej dyscyplinie. Będziesz wykonywać polecenia instruktorów w najmniejszych nawet drobiazgach. Opuścisz to miejsce jako świetnie wyszkolony zamachowiec albo nie wyjdiesz stąd wcale. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

Dzięki swym nawykom i dyscyplinie Ścibor miał niezłą kondycję. W SB nauczył się dobrze strzelać z karabinu i pistoletu. Ćwiczył też walkę wręcz. Jednakże po dwóch dniach w obozie "Ibn Awad" czuł się jak nowicjusz.

Instruktorką ćwiczeń fizycznych była kobieta - arabska terrorystka imieniem Leila - pewnie nazwano ją tak na cześć tej znanej z literatury\*. Miała surową, ale ładną twarz i gibkie ciało. Na pierwszych zajęciach zapytała Ścibora, jaką ma kondycję, a on z całą swą męską dumą odparł: "Świetną". Godzinę później jego duma leżała w gruzach. Każde ćwiczenie Leila wykonywała wraz z nim. Po zakończeniu zajęć Ścibor leżał na gorącym piasku ledwie dysząc, a ona miała tylko kilka kropli potu nad górną wargą.

- Będziesz miał świetną kondycję - orzekła. - Przez miesiąc ją zdobędziesz.

Instruktorem strzelania był mały, ponury Portugalczyk po pięćdziesiątce. Pierwsze pytanie, jakie zadał Ściborowi, brzmiało:

- Dobrze strzelasz?

- Tak, przeszedłem szkolenie.

- Do nieruchomych celów?

- Tak

- A więc zapomnij dokładnie wszystko, czego się nauczyłeś.

Obóz szczylił się posiadaniem bardzo wymyślnej strzelnicy z celami ruchomymi. Kolorowe metalowe figurki podnosiły się i przewracały, poruszały się w lewo i prawo, przesuwały się szybko do przodu, to znów do tyłu. Wyglądem przypominały żołnierzy izraelskich, obojga płci, z twarzami niczym wstrętne karykatury ryśów żydowskich. Portugalczyk podał Ściborowi karabin marki Heckler & Koch VP70.

- W magazynku jest dwanaście naboju. Za każdy trafny strzał otrzymujesz punkt.

Ścibor zdobył tylko jeden. Sam nie mógł w to uwierzyć. Ale instruktor był optymistą. Zebrał sześć kamieni, zrobił kilka kroków do tyłu i krzyknął: "Łap!". Jeden po drugim szybko rzucał kamienie w stronę Polaka - nieco na lewo albo na prawo, wysoko lub nisko. Ścibor złapał wszystkie. Portugalczyk wrócił do niego, stanął w rozkroku i wyciągnął przed siebie ręce wewnętrzną stroną dłoni do góry.

- Połóż swoje dłonie na moich.

Ścibor wykonał polecenie. Ręce instruktora były małe, a palce suche. Jednemu z nich brakowało koniuszka.

- Pewnie bawiłeś się w ten sposób jako chłopiec. Będę próbował klepnąć cię po wierzchu dłoni. Jak ty lko zrobię najmniejszy ruch rękami, ty masz odsunąć swoje.

Ścibor rzeczywiście kiedyś grał w lapki - i nawet był w tym dobry. Kolejno zmieniali się rolami. Po dziesięciu minutach ręce Polaka były czerwone i piekły jak ogień. Udało mu się tylko raz końcem palca dotknąć ręką Portugalczyka.

Nie odzywając się ani słowem, instruktor podniósł kij i wyrysował na piasku duże "S" długie na jakieś dwanaście metrów.

- Przejdź szybko po tej linii. I staraj się stawiać na niej obie stopy.

- A co to ma wspólnego ze strzelaniem? - zdziwił się Ścibor.

- Bardzo wiele. No, idź.

Poszło mu całkiem nieźle.

- A teraz powrotem, truchtem.

I tym razem też było nieźle. Następnie instruktor narysował prostą linię długości około piętnastu metrów.

- Stań na końcu.

Ścibor wykonał polecenie.

- Przypatrz się tej linii. Potem zamknij oczy i idź po niej powoli.

Znów zastosował się do instrukcji. Szedł, aż usłyszał "w porządku".

Odwrócił się i spojrzął na linię - leciutko zboczył w lewo. Popatrzył na instruktora, który z uznaniem kiwał głową.

- Masz świetną koordynację ruchów, refleks i równowagę. Nauczę cię, jak wykorzystać te wszystkie zdolności, żeby trafić człowieka z odległości trzech, trzydziestu i trzydziestu metrów. Trafić i zabić oczywiście.

Frank był instruktorem walki wręcz i na noże. Prowadził zajęcia w świetnie wyposażonej sali gimnastycznej. Frank i Ścibor stali twarzą w twarz po przeciwnych stronach maty.

- Co wiesz o walce wręcz?

- Ćwiczyłem trochę judo i karate.

Frank odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Zapomnij o tym. To dobre dla szpanerów i na pokazówki. Ja cię nauczę, jak w mgnieniu oka zabić lub okaleczyć przeciwnika. Okaleczenie to bardzo prosta sprawa - zadajesz cios w oczy, gardło albo jądra. Zabicie jest nieco trudniejsze, ale zdaniem Cavalho masz dobry refleks i poczucie równowagi, więc i tego się nauczysz. A teraz pokaż mi ręce.

Ścibor uniósł je do poziomu.

- Rozstaw szeroko palce.

Znów wykonał polecenie.

Odliczając do dziesięciu, Frank powoli dotykał każdego palca.

- To dziesięć najważniejszych narzędzi walki. A tu masz jeszcze dwa narzędzia pomocnicze - dodał wskazując na stopy.

- A zewnętrzne brzożgi dłoni? - spytał Ścibor.

Frank niesmakiem pokręcił głową.

- Powiedziałem - zapomnij, że istnieje coś takiego jak karate. A teraz uważaj.

Podszedł bliżej, chwycił prawy przegub Ścibora i rozprostował mu rękę. Potem przesunął dłoń od jego ramienia do nasady palców i lekko ugiął mu rękę w łokciu.

- Tak zadajesz cios karate. W twoim przypadku punkt uderzenia znajduje się mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów od ramienia. - Rozprostował i naprężył jego rękę. - A teraz końcami palców sięgasz o jakieś ćwierć metra dalej. Zupełnie jak w boksie - im większy jest zasięg twego ciosu, tym lepiej, i zapamiętaj sobie, Werner, że nawet najlepszy karateka nie wygrałby z Mohammedem Ali.

Podeszli teraz do długiego stołu. W rzędki ustawione były na nim małe wiaderka wypełnione gruboziarnistym piachem. Obok leżały sprężyny do ćwiczenia palców. Frank przysunął jedno z wiaderek, maksymalnie wyprostował palce i zaczął wciskać je głęboko w piasek - najpierw jedną rękę, potem drugą. Robił to rytmicznie i powoli przez około minutę.

- Zabierz jedno wiaderko do swojego pokoju. Ćwicz codziennie, po pół godziny rano i wieczorem.

Otrzeptał dłonie z piasku i wskazał sprężyny.

- Każda wymaga innej siły nacisku. Na początek wybierz tę, którą z trudem, ale jednak uda ci się ścisnąć. I ćwicz codziennie, a co kilka dni bierz sprężynę wymagającą większej siły.

Następnie obejrzał dokładnie dłonie Ścibora. Po chwili spojrzął mu w oczy i pewnym siebie głosem powiedział:

- Masz sprawne palce. Ćwicz, jak ci pokazałem, a za miesiąc będziesz miał dziesięć doskonałych narzędzi walki.

Puścił jego ręce i wskazał buty.

- W czasie akcji, a jeszcze lepiej cały czas noś ciężkie buty. Najlepiej z kawałkami stali w czubach. Kup zwykłe buty o numer za duże i każ szewcowi umocować w nich stal.

Podeszli teraz do noży. Na stole leżało ich mnóstwo; były tam noże myśliwskie, różne rodzaje noży sprężynowych i kuchennych, nóż Bowiego, a obok nich krótki flamaster. Frank wskazał je lekceważącym gestem.

- Jeśli w jakiejś sytuacji zbyt niebezpieczne będzie posiadanie choćby nawet małego skrzętnie ukrytego pistoletu, to równie groźne będzie noszenie noża. Z wyjątkiem tego.

Podniósł flamaster, zdjął skawkę i narysował na stole grubą, niebieską linię.

- Niewinny flamaster, prawda?

Odwrócił się nagle. Ścibor usłyszał tylko krótkie klaśniecie i aż odskoczył do tyłu, czując bolesne uducie w klatce piersiowej. Spojrzał w to miejsce; widniała tam plama z niebieskiego atramentu. Frank roześmiał się i położył mu flamaster. Filcowa końcówka tkwiła teraz na końcu cienkiej jak igła, stożkowej tulejki z metalu. Frank postawił flamaster pionowo na stole i przycisnął. Metalowa tulejka wślizgnęła się z powrotem do oprawki. Frank narysował kolejną niebieską linię; teraz znów był to tylko flamaster.

Instruktor uśmiechnął się.

- Zrobiono go z lekkiego stopu metali. Końcówka jest z tytanu, a to znaczy, że jest ostrzejsza od igły. - Spróbował ocenić ciężar flamastra w dłoni. - Waży tylko kilka gramów więcej niż zwyczajny pisak - Palcem wskazał nazwę firmy: "Denbi". - Wystarczy nacisnąć "D"... i już.

Ostrze wysunęło się niczym język z mł.ii.

- Gdybym chciał, już byś nie żył.

Poprowadził Ścibora do plastikowego manekina imitującego dobrze zbudowanego mężczyznę. Plastik był przezroczysty, a wszystkie organy wewnętrzne pokolorowano. Manekin ustawiony był pionowo. Frank obracał go powoli, mówiąc:

- Żaden niezbędny do życia organ nie leży pod skórą głębiej niż dziesięć centymetrów. Ostrze flamastra ma właśnie taką długość. Nauczysz się, gdzie i w jaki sposób należy je wbijać. Dysponując taką bronią, możesz zabić w ciągu trzech sekund.

Posługiwania się materiałami wybuchowymi uczył Japończyk nazywany Kato. Ścibor wyrósł w przekonaniu, że Japończycy są uprzejmi, ale Kato zdecydowanie takimi nie był. Spotkali się przed bunkrem o grubych betonowych ścianach. Kato był niskim, krępyim mężczyzną w trudnym do określenia wieku. Twarz miał okrągłą, a łapki warg wygięte lekko ku dołowi, co sprawiało wrażenie, że wciąż szyderczo się uśmiecha. Jedną rękę miał sztywną, a na dłoni - czarną rękawiczkę. Podniósł ją.

- Straciłem dłoń, bo jakiś pierdolony idiota spieprzył robotę.

Czarną rękawiczką wskazał bunkier, a potem gruby, wysoki mur odległy o pięćdziesiąt metrów.

- Nie zamierzam karmić cię samą teorią. Stawiamy tu budowlę, żeby potem je burzyć. Wyszadzamy w powietrze budynki, samochody... i ludzi. To cholernie niebezpieczne, pamiętaj, Werner. Jeśli popełnisz jakiś błąd, jesteś trup. W zasadzie gównomnie obchodzi, czy będziesz żył, czy nie, ale przy okazji możesz mnie też rozwalić...

Ścibor skinął głową na znak zrozumienia. Kato prychnął pogardliwie.

- Wydaje ci się, że rozumiesz, a w gruncie rzeczy nie masz o tym zielonego pojęcia. Zrozumiesz dopiero, kiedy będziesz trzymał w ręki bombę wahadłową, próbując przytwierdzić ją do obiektu. Zrozumiesz kiedy poczujesz pot spływający ci do oczu i swoje pieprzone jaja podchodzące ci do gardła.

Uśmiechnął się złośliwie i wskazał mu wysoki mur.

- Ale będziesz wykonywał zadanie sam, za tym murem, a ja będę czekał tutaj z wiaderkiem i łopatką na wypadek, gdyby za wcześniej wybuchło.

- Jestem pewien, że mając tak dobrego instruktora, nie popełni błąd - powiedział chłodno Ścibor.

Wargi Kato jeszcze bardziej wygięły się w szyderczym uśmiechu. Odwrócił się teraz w stronę bunkra.

- Rozwalilo się dwóch takich jak ty. Do trzech razy sztuka.

Pomieszczenie było klimatyzowane i odwilgataniane. Wewnątrz Ścibor zobaczył stalowe drzwi blokujące dostęp do dalszej części bunkra. Po jednej stronie wisiała tablica, a przed nią stało kilka drewnianych krzeseł. Po przeciwnej stronie, oddzielonej od pierwszej szklaną ścianą, znajdowało się kompletnie wyposażone laboratorium. Kato wskazał na tablicę.

- Tutaj będą lekcje teoretyczne. Dowiesz się, jak zrobić rozmaite bomby: wahadłowe, sterowane drogą radiową, bomby do polowania, miny lądowe i morskie, miny do wysadzania drzwi i miny z przysawkami. - Znów złośliwie się uśmiechnął. - Mógłbym nawet nauczyć cię, jak zbudować bombę atomową... ale nie zrobię tego. Jestem Japończykiem, a nasz cesarz nie życzyłby sobie tego.

Ścibor nie wiedział, czy Kato mówi poważnie, czy żartuje.

Następnie instruktor pokazał mu laboratorium.

- A tam poćwiczysz sobie. Nauczysz się robić bombę ze składników dostępnych w każdym sklepie chemicznym. Dowiesz się, jak wykonać bombę wielkości palca albo tak dużą, że zdołasz nią wysadzić w powietrze cały blok mieszkalny. - Poklepał Ścibora po ramieniu. - Zrobisz też bombę, którą można polknąć, dotrzeć z nią wszędzie i zabić każdego. - Westchnął. - Ale domyślam się, że nie jesteś mahometaninem tęskniącym za rajem i wieczną chwałą.

- Wolałbym nie przenosić się tam nawet przez przypadek.

Ścibor nie miał okazji popaść w rutynę; został w nią wepchnięty. Cały obóz budził się na godzinę przed świtem. Wszyscy, bez żadnego wyjątku. Najpierw przez pół godziny Ścibor wykonywał ćwiczenia palców, potem mył się i golił. Dziwne, ale Frank wymagał codziennego golenia się, chyba że ktoś nosił brodę. Podobnie każdego dnia zmieniano ubranie. W zasadzie nie było musztry w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale Frank lubił, żeby wykonywać wszystko w określonym porządku. Tuż przed brakiem uczestnicy kursu zbierali się w kantine i pili kawę, herbatę albo sok pomarańczowy. O świcie wychodzili na dziedzińiec i ćwiczyli. Rozgrzewkę prowadziła Leila, a uczestniczyli w niej wszyscy, łącznie z instruktorami. Trening był urozmaicony i trwał około trzech kwadransów, po czym zawsze robiono pompki. Każdy musiał ćwiczyć do upadłego. Kiedy ostatni z kursantów padł na ziemię ciężko dysząc z twarzą wykrzywioną nieudzielnym zmęczeniem, instruktorzy robili zwykle jeszcze dziesięć szybkich pompek. Trzeciego ranka Ścibor poprzyściął sobie, że zanim opuści obóz, da radę przetrzymać wszystkich. Nawet Leilę.

Po rozgrzewce były biegi. Jak zwykle przystępowali do nich wszyscy. Jednego dnia biegano sześć kilometrów z dwudziestokilogramowym obciążeniem, a następnego dwanaście kilometrów bez obciążenia, i tak na zmianę. Leila zawsze biegła w tyle poganiając ostatnich, ale gdy zbliżali się do obozu, wydłużała krok, wymijała wszystkich i pierwsza przebiegała przez bramę.

Po ćwiczeniach przychodził czas na śniadanie. Trwało pół godziny, miało charakter szwedzkiego stołu i było smaczne. Każdy mógł wybrać coś dla siebie spośród obfitości świeżo upieczonego chleba, serów, zimnych mięs, jajek a nawet steków. Nie było tyłko bekonu i szynki.

Po śniadaniu kursanci dzielili się na grupy. Niektórzy chcieli wyspecjalizować się w pewnych rodzajach terroru i na nie właśnie poświęcili więcej czasu. Kurs Ścibora miał charakter ogólny. Przez pół dnia uczestniczył w zajęciach grupowych, a przez następne pół miał lekcje indywidualne. Przerwa obiadowa trwała dwie godziny w porze największego upału. Serwowano wtedy bardzo lekkie posiłki: zwykle była to jakaś zupa, zimne mięsa i surówka. Po jedzeniu niektórzy ucinali sobie drzemkę. Inni siedzieli w kantine i rozmawiali albo czytali książki. W biblioteczce znajdowały się głównie thrillery, westerny i science fiction. Nie było natomiast żadnych książek o tematyce politycznej. Poza tym można było oglądać telewizję albo video, ale z tego korzystano przeważnie wieczorem. Tematyka filmów pokrywała się z reguły z rodzajem książek. Pierwszego wieczoru Ścibor nie wierzył własnym oczom widząc dwudziestu kilku terrorystów zapatrzonych w "Przemięło z wiatrem".

Po obiedzie zajęcia trwały jeszcze cztery godziny. Potem przychodziła pora na prysznic, zmianę ubrań i kolację. Ten posiłek był wyjątkowo obfity. Podawano zupę, różne makarony, dania arabskie, pieczoną wołowinę, udziec barani, mięso koźle i owoce. Do picia tylko woda i soki owocowe.

Większość uczestników szła spać zaraz po kolacji; po takim dniu byli wykończeni. Inni oglądali video albo czytali czy rozmawiali. Pomimo surowego zakazu zadawania pytań osobistych, trochę się wzajemnie poznawali. To było nieuniknione. Wprawdzie nikt nie pytał wprost, ale w tym, co mówił, kryły się jakieś informacje. Młodzi ludzie kórzy razem mieszają, uczą się i ćwiczą, zawsze ze sobą rozmawiają. Po tygodniu Ścibor wiedział, skąd kto pochodzi. Zidentyfikował dwie małe grupy Włochów z Czerwonych Brygad i trzech z Czarnych: Piątką Niemców stanowiła najbardziej spójną grupkę; byli wśród nich dwie kobiety, a wszyscy reprezentowali najmłodszą latorośl krzewu Baader Meinhof. Dwie dziewczyny z Filipin, jedna bardzo ładna, i jeden mężczyzna należeli prawdopodobnie do Rebeliantów Islamskich. Był też samotny Irlandczyk, ponurak który wciąż nucił dziwne melodie. Resztę grupy stanowili Arabowie, głównie z Libanu. Wśród nich było czterech szyitów z islamskiej grupy Jihad. Ci regularnie rozwijali swe maty i modlili się, zwróceni w stronę Mekki. Trzymali się z dala od innych, a na ich twarzach malował się dziwny wyraz, jakby zaciętości. Ścibor myślał, że jeśli ktoś tu byłby gotów połączyć bombę i w ten sposób przenieść siebie i innych w zaświaty, to właśnie oni.

Trzeciego ranka udało mu się zrobić sto pięćdziesiąt pompek. Inni już dawno mieli dosyć. Kiedy leżał ciężko dysząc, zerknął w stronę instruktorów - tylko Frank i Leila jeszcze ćwiczyli. Ale Frank wydobywał już z siebie ostatnie siły, natomiast Leila bez trudu unosiła i opuszczała swe szcuple ciało, obserwując Ścibora ciemnymi oczami. Tego wieczoru po kolacji siedział u siebie na łóżku. Był zupełnie nagi i ćwiczył palce ściskając sprężyny. W pewnym momencie drzwi się otworzyły; nie miały żadnego zamka ani rygła. Stała w nich Leila.

W milczeniu popatrzyła na niego, po czym zamknęła drzwi. Chciał odłożyć sprężyny, lecz ona powiedziała: "Dokończ".

Kontynuował ćwiczenie, a ona powoli się rozbierała. Nie robiła tego prowokacyjnie, ale już sam kontrast zrzuconego męskiego munduru z ukazującym się stopniowo gibkim, ciemnym i zgrabnym ciałem, działał podniecająco. Leila zdjęła koszulę. Ścibor patrzył na jej wysoce osadzone, sterzące piersi z dużymi obwódkami i małymi sutkami, na głęboko wciągnięty pępek i wąską talię. Ścisnął sprężyny i poczuł, że ma wzwód. Leila tymczasem odsunęła suwak cętkowanych spodni, opuściła je i zdjęła. Miała słabe, czarne majteczki. Zsunęła je. Zobaczył gładkie, umięśnione nogi i czarny trójkącik owłosienia łonowego. Teraz odczuwał erekcję już niemal boleśnie. Leila zrobiła krok do przodu i dłońmi ujęła swoje piersi.

- Ścisnij je, mocno.

Odrzucił sprężyny i spróbował się podnieść, ale Leila go powstrzymała. Podniósł ręce, dotknął jej piersi i ścisnął. Były miękkie, ale jędrne. Nie dojrzał na jej twarzy żadnej reakcji. Ścisnął mocniej, bardzo mocno. Lekko rozchyliła usta; między nimi prześlizgnął się różowy język. Ścibor pociągnął ją do siebie. Popchnęła go na łóżko i na tym zakończyli wstępną grę miłosną. Leila rozchyliła nad nim uda, chwyciła ręką za członek i wepchnęła go głęboko w siebie. Siedziała tak przez chwilę, a Ścibor wciąż trzymał w silnym uścisku jej piersi. Potem przyciągnął ją do siebie i spróbował pocałować, ale odwróciła twarz i ustami natrafił tylko na ucho. Wiedział już, że ten stosunek nie potrwa długo. Czuł zbliżający się wytrysk. Próbował go opóźnić, ale było to ponad jego siły. Mimowolnie uniosł biodra i z westchnieniem ulgi eksplodował w jej ciepłym wnętrzu.

Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie. Wyprostowała się lekko dysząc. Ścibor czuł, że mięśnie jej pochwy jeszcze nie rezygnują, próbując wycisnąć choć chwilę rozkoszy z jego wiotczej męskości.

- Nie robiłem tego już od dawna... od wielu miesięcy - wymamrotał.

Wzruszyła tylko ramionami i podniosła się. Przy łóżku stała na stolku metalowa miska, a obok leżał ręcznik. Leila osuszyła ręcznikiem wewnętrzną stronę ud i schyliła się po ubranie.

- Zaczekaj.

Odwróciła się. Ścibor siedział wyprostowany.

- Zaczekaj chwilę. Zaraz wszystko będzie w porządku.

Sceptycznie popatrzyła na zwiotczałego penisa. Ścibor dał jej znak, żeby usiadła obok. Wzruszywszy ramionami, opuściła ubranie i usiadła. Przez kilka minut oboje milczeli. Wreszcie objął ją ramieniem. Nie zareagowała; wyglądała tak, jakby czekała w kolejce u dentysty. Ujął jej dłoń i położył na penisie. Członek stwardniał trochę, kiedy przesunęła po nim palcami.

- Pocałuj go. Włóż go do ust - powiedział zduszonym głosem. Zdecydowanie pokręciła głową, lecz coraz szybciej przesuwała palcami po stopniowo powiększającym się penisie. Spróbowała z powrotem popchnąć Ścibora na łóżko, ale nie pozwolił jej. Zamiast tego chwycił ją za ramiona i położył na łóżku - teraz on będzie górą.

Było wspaniale. Rytmicznie wchodził w nią i wychodził, czując, jak za każdym razem jego męskość tężeje coraz bardziej. Początkowo leżała nieruchomo. Później wygięła się lekko, by wpuścić go głębiej. Splota stopy nad jego nogami i zaczęła wykonywać krótkie, urywane ruchy, aż ich ciała zgrały się w jedną całość. Wtedy wydała ciężki, gardłowy pomruk. Rozchyliła usta, a Ścibor skłonił głowę. Kiedy ich wargi zetknęły się w pocałunku, przywarła do niego z całej siły. Wessała się w niego sięgając językiem aż do gardła i kłusając mu wargi. Ramionami coraz mocniej przyciągała go do siebie. Powoli i stopniowo wspinali się na sam szczyt rozkoszy. Ścibor przyspieszył tempo, a z jej ust zaczęły się wyrwać gardłowe, głośne okrzyki. Twarz owiewał gorący oddech dziewczyny. Potem odchyliła się do tyłu z urywanym jękiem. Wreszcie wcisnęła mu usta w ramię i zadrżała z ogarniającej ją rozkoszy.

Orgazm był mieszaniną bólu i uniesienia. Kiedy Ścibor oderwał się od jej ciała, z ramienia zaczęła się sączyć krew wprost na jej piersi. Leila delikatnie dotknęła śladów po swoich zębach. Zdawało mu się, że przez chwilę widział w jej oczach współczucie, ale jeśli nawet, to szybko zniknęło.

Kilka minut później wstała. Znowu wytarła się ręcznikiem, i nie patrząc na niego, szybko wciągnęła ubranie. Przy drzwiach zatrzymała ją na chwilę jego głos.

- Następnym razem pocałujesz go... i weźmiesz w usta.

Przez dłuższą chwilę spokojnie na niego patrzyła, a potem otworzyła drzwi i wyszła.

Pół godziny przed świtem drzwi do jego pokoju znowu się otworzyły. Miał na sobie tylko szorty i ćwiczył właśnie palce trzymając ręce w wiaderku z piaskiem. Myślał, że wróciła Leila, ale to był Frank. Trzymał w ręku jakąś kartkę. Jego mina wyrażała aprobatę dla ćwiczeń Ścibora. Po chwili jednak zauważył ślady zębów na jego ramieniu.

- Aha, widzę, że Leila dała ci dodatkową lekcję - lypnął okiem. - Jest w porządku, ale jak na mój gust, trochę za bardzo dominująca. Powinieneś przelecieć tę małą Filipinkę; zna różne sztuczki.

Ścibor puścił to mimo uszu i kontynuował ćwiczenie. Frank wyciągnął kartkę w jego kierunku.

- Wiadomość dla ciebie.

- Od kogo?

- Pewnie od twoich.

Ścibor otrząsnął ręce z piasku i sięgnął po kartkę. Odręcznie napisano na niej: "Werner, nie strzyż włosów. Zapuść wąsy". Frank zauważył jego zdziwienie i powiedział:

- Pewnie jest zaszyfrowana. Nie umiesz odczytać?

- Nie dostałem żadnego klucza. I nie oczekiwałem wiadomości.

Frank uśmiechnął się.

- Nic, tylko im się zdaje, że ten obóz to jakiś cholerny zakład fryzjerski.

Tego ranka Ścibor zrobił dwieście pompek. Przetrzyła go tylko Leila.

Przez następne dwie noce czekał na nią, ale nie przyszła. Trzeciego wieczoru przy kolacji zauważył, że przygląda mu się Filipinka. Dał jej do zrozumienia, że mu się podoba.

Godzinę później przyszła do jego pokoju. Domyślił się, że jest nimfomanką. Ale Frank miał rację - rzeczywiście znała różne sztuczki. Na przykład, kiedy on siedział na łóżku, ona kłęcząc przed nim i ustami pieściła jego członek. Patrząc na jej poruszającą się głowę i błyszczące czarne włosy, Ścibor zastanawiał się, czy ona rzeczywiście zdolna jest do zabicia kogokolwiek. I właśnie wtedy cicho otworzyły się drzwi. Stała w nich Leila. Filipinka próbowała się odsunąć, ale przytrzymał jej głowę, patrząc spokojnie na Leilę. Arabka odwróciła się i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka zrobił dwieście pięćdziesiąt pompek. Spojrzał na Leilę - niczym ukrzyżowana leżała rozciągnięta na piasku.



Arcybiskup Versano wsunął do ust kolejny kawałek osso buco i wyraźnie się nim delektował. Gdy przełknął, powiedział:

- Tutejszy szef kuchni otrzymał od Boga szczególny dar - nikt inny nie potrafi lepiej przyrządzić tego dania.

Zarówno Bekonowy Ksiądz, jak i kardynał Mennini przyznali mu racje. Nostra Trinita zebrała się właśnie po raz drugi w L'Eau Vive i Van Burgh chciał zrelacjonować wszystko, co przedsięwziął do tej pory. Mennini ucieszył się słysząc jego pochwałę.

- Wasza Eminencjo, siostra Anna spełnia wszelkie nasze oczekiwania - jest inteligentna, stateczna i pobożna.

Mennini łaskawie skłonił głowę.

- A jak sobie teraz radzi?

- Doskonale. Ma prawdziwy talent aktorski. Naturalnie jest trochę przewrażliwiona na punkcie niektórych aspektów współczesnego życia, ale przecież od dziecka była zamknięta w klasztorze. A teraz umożliwiam jej poznanie życia ludzi świeckich i świetnie sobie radzi. - Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. - Właśnie ćwiczysz aerobik.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na niego tępy m wzrokiem.

- To nowy rodzaj ćwiczeń wykonywanych w rytm muzyki. Dzięki temu Ania poprawi swoją kondycję fizyczną. Jedną z jej nowych, świeckich koleżanek jest tancerką. Po zajęciach zjedzą kolację, a potem pójdą do Jackie "O".

Znów jednak zauważyli tylko tępe spojrzenia.

- To najnowocześniejsza dyskoteka w Rzymie.

- Czy to naprawdę konieczne? - Kardynał był nieco zakłopotany.

- Tak, Eminencjo - zdecydowanie potwierdził Van Burgh. - Bezwzględnie należy otworzyć jej oczy na świat... w końcu i w bloku wschodnim są dyskoteki, a młodzi ludzie słuchają zachodniej muzyki... więc ona też powinna ją znać. La cantante musi umieć śpiewać. - Nadał swemu głosowi dobroliwy ton. - Proszę się nie martwić, Wasza Eminencjo, jej wiara jest wystarczająco silna, by ochronić duszę przed szkodliwym wpływem współczesnego życia. A poza tym ludzie, z którymi przebywa, są rozsądni i uczciwi.

- A co z posłem? - spytał Versano. - Powiedz nam co nieco.

Przez chwilę Bekonowy Ksiądz się zastanawiał.

- Nawet gdybyśmy szukali przez całe lata, nie znaleźlibyśmy lepszego posła. Z racji tego, kim był, ma doskonale rozeznanie w wielu istotnych sprawach. No i przechodzi obecnie szkolenie. Tak więc nabędzie niezbędnych umiejętności, zdobędzie sprzęt, ma naszą pomoc, no i oczywiście - motyw.

- Jaki? - spytał Versano. - Powiedział ci?

Zaciekawieni mężczyźni przyglądali się Van Burghowi. Patrząc na atlasowy obrus, Bekonowy Ksiądz ponuro skinął głową.

- Tak kieruje się zwykłą nienawiścią do Andropowa. A jej przyczyną jest pewien czyn, którego Andropow dopuścił się kilka lat temu. Czyn ten był tak podły i ohydny, że aż trudno uwierzyć, że rzeczywiście mógł zostać popełniony... ale ja temu Polakowi wierzę. - Spojrzał na nich. Oczekiwali szczegółów. Van Burgh westchnął. - Lecz zanim mi o tym opowiedział, musiałem przyjąć na Matkę Przenajświętszą, że nigdy nikomu tego nie powtórzę.

Na twarzach obydwu mężczyzn odmalowało się rozczarowanie.

- Wyjawil mi to, żeby przekonać mnie o swej gotowości zabicia Andropowa - dodał łagodnie. - Mogę wam powiedzieć jedynie, że po usłyszeniu tej historii rozwiły się wszelkie skrupuły, jakie miałem w związku z zamiarem zabicia Andropowa.

Te słowa przytłumiły nieco ich poczucie zawodu, a Van Burgh szybko zmienił temat.

- Mario, sporządziłem preliminarz kosztów tej operacji. Będzie nas ona sporo kosztować. Planowane wydatki znacznie przekraczają możliwości Funduszu Zapomogowego na Rzecz Kościoła za Żelazną Kurtyną.

- Ile? - ochoczo zapytał Versano, zadowolony, że weszli w pole jego zainteresowań.

- Około trzy stu tysięcy dolarów amerykańskich.

Menniniemu aż dech zaparło ze zdumienia.

- Ale w jaki sposób...?

Van Burgh dał znak, że nie skończył.

- Wasza Eminencjo, proszę mi uwierzyć, że to naprawdę niewiele w porównaniu ze środkami, jakie na taką operację przeznaczyłaby CIA albo KGB... To tylko cząstka tego, co oni by wydal.

Mennini nie wyglądał na przekonanego. Zdawał sobie sprawę z możliwości finansowych Watykanu, ale jego wrodzona oszczędność wywołała w nim skrupuły.

Bekonowy Ksiądz, nieco rozdrażniony, pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Po pierwsze, posła należy przeszkolić, a to już kosztuje piętnaście tysięcy. Następnie trzeba zorganizować nowy kanał przerzutowy do Moskwy. Nie mogę i nie chcę korzystać z którejś z istniejących już tras.

Przerwał, kiedy drzwi się otworzyły i weszły dwie obsługujące ich zakonnice. Jedna pchała wózek, stała na nim taca z owocami i drewniany talerz z serami. Druga szybko zmieniła nakrycia, ustawiła na stole tacę i talerz i zapytała:

- Czy podać kawę?

- Może później - odparł uśmiechając się Versano. - Za jakieś pół godziny.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Van Burgh zwrócił się do kardynała niemal z agresją w głosie.

- Wasza Eminencjo, proszę pomyśleć, co to oznacza. Musimy zaangażować kilkadziesiąt osób i umieścić je w ściśle określonych miejscach. Trzeba wynająć lub nawet kupić domy. Trzeba zapłacić za transport - za żelazną kurtyną to dużo kosztuje i w dodatku jest trudne do załatwienia. W Moskwie musimy zorganizować dom - "czyścić". Potrzebni są kurierzy. Prawdopodobnie trzeba będzie dać trochę łapówek... Mogę zapewnić Waszą Eminencję, że wydamy tylko tyle, ile okaże się konieczne.

Mennini odpowiedział natychmiast:

- Jestem tego pewien. Nie sugerowałem żadnych nadużyć, ale po prostu zaszokowała mnie suma. I rozumiem, naturalnie, że to wszystko kosztuje... - Jakaś myśl przyszła mu właśnie do głowy i zwrócił się z nią do Versana. - Ale w jaki sposób rozliczymy się z takiej kwoty... przecież cała sprawa ma pozostać w tajemnicy?

W tej kwestii najwięcej miał do powiedzenia arcybiskup. Bardzo się ożywił, bo chociaż Van Burgh był ekspertem w przeprowadzaniu tajnych akcji, to przecież teraz weszli w jego rewir.

- Wasza Eminencjo, proszę się tym nie martwić. Nie uwzględnimy tej sumy w żadnych rozliczeniach Watykanu, ani nawet całego Kościoła. - Uśmiechnął się. - Właściwie mogę nawet zapewnić Eminencję, że nie wezmę tych pieniędzy z budżetu Kościoła.

- Więc niby skąd? - zdziwił się Mennini.

Amerikanin zrobił ty powo włoski gest oznaczający, że wszystko jest możliwe, i powiedział po prostu:

- Od przyjaciół.

Zapadła cisza. Dwaj mężczyźni próbowali odgadnąć, co to znaczy. Bekonowy Ksiądz, który lepiej od kardynała znał się na takich sprawach, przypuszczał, że ci "przyjaciele" to pewnie jacyś bankierzy spod ciemnej gwiazdy, potentaci przemysłowi, którzy jako "finansisci Boga" będą mogli liczyć w przyszłości na przyługi, albo po prostu mafia. A może wszyscy razem wzięci.

Z ukrytej w szatach kieszonki Versano wyjął oprawny w czarną skórę notatnik i cieniutki złoty ołówek

- Gdzie i jak mam ci dostarczyć te pieniądze? - spytał Van Burgha.

Gdy omawiali szczegóły, Mennini czuł się wykluczony z rozmowy. Bekonowy Ksiądz zyczył sobie, żeby dwie trzecie całej sumy zostało wpłacone na konto cyfrowe banku w Strasburgu. Jedną trzecią natomiast chciał mieć w złocie, jeśli możliwe, to w "wietnamskiej walucie". Kardynał nic z tego nie pojmował, ale Versano ze zrozumieniem kiwał głową. Wietnamscy uciekinierzy przywozili ze sobą złoto i to w ogromnych ilościach. Dlatego początkowo zezwalano jubilerom na otwieranie sklepów w niektórych obozach dla uchodźców. Przetapiano w nich złoto w cieniutkie paseczki, które bez trudu dawały się dowolnie zginać i modelować odpowiednio do rodzaju schowka. Versano domyślił się, że Van Burgh zamierza wykorzystać złoto na łapówki. Ksiądz zyczył sobie, żeby dostarczono je pewnemu duchownemu w Amsterdamie. Podał arcybiskupowi jego nazwisko i adres. Po zapisaniu danych Versano schował notes i ołówek

- Kiedy mogę mieć te pieniądze? - zapytał Van Burgh.

Versano wziął z tacy dużą pomarańczę i zaczął ją obierać. Jego palce, szerokie jak u boksera, były przy tym zadziwiająco sprawne.

- Gotówkę będziesz miał w Strasburgu w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin... Złoto znajdzie się w Amsterdamie przed upływem tygodnia.

- Dobrze. Rozumiem, że rozliczam się bezpośrednio z tobą?

Versano roześmiał się.

- O, nie. - Spojrzał na Menniniego. - Proponuję, żeby w ogóle nie robić żadnych rozliczeń. Mogłoby to spowodować jakąś wpadkę. Właśnie z powodu rozliczeń urząd podatkowy dopadł Ala Capone. - Ponownie spojrzał na kardynała, ale spokojnie zwrócił się do Van Burgha: - Wykorzystaj te pieniądze do realizacji naszego celu. Jeśli zostanie jakaś nadwyżka, zasil nią swój Fundusz Zapomogowy... A jeśli będziesz potrzebował więcej, daj mi znać. Gdybyś musiał zrobić to przez telefon, mów szefrem. Ustalmy, że jeden tulipan oznacza dolara. Jeśli, na przykład, powiesz, że widziałeś ogromne pole tulipanów, jakieś pięćdziesiąt tysięcy sztuk, to prześlę ci do Strasburga pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jedna uncja złota to ser edamski. Jeśli powiesz, że klasztor w Nowej Zelandii wyrabia dziennie sto serów, przekażę twojemu księdzu w Amsterdamie sto uncji złota... i nie mówmy więcej o rozliczeniach.

Van Burgh popatrzył na Menniniego. Spodziewał się jakiegoś protestu, bo kardynał był człowiekiem skrupulatnym i lubił, żeby wszystko było odnotowane i umieszczone na właściwym miejscu. Ale Mennini przytaknął.

- Zgadzam się, a kiedy misja zostanie wypełniona, Nostra Trinita przestanie istnieć. I zginie po niej wszelki ślad.

Ukroił plasterek sera fontina, potem odłamał kawałek chleba i zanim zaczął jeść, ponownie skinął głową. Bekonowy Ksiądz zauważył, że zarówno dla kardynała, jak i dla arcybiskupa konspiracja to źródło świetnej zabawy. Versano skończył obierać pomarańczę; podzielił ją na cząstki, włożył jedną do ust i spytał:

- A jak zamierzasz rozegrać tę partię? Zaplanowałeś już konkretne posunięcia? - Versano lubił używać terminologii sportowej.

Van Burgh uznał, że skoro tak bardzo lubią konspirację, to i teraz może im sprawić frajdę.

- W tych sprawach niczego nie da się zaplanować do końca. Przede wszystkim należy pamiętać, że mogą zaistnieć nieprzewidziane okoliczności. Musimy założyć, że coś może nie pójść zgodnie z planem i zabezpieczyć się na taką ewentualność. Na razie przewidujemy przeprowadzenie całej akcji w pięciu etapach. - Uniósł dłoń, rozstawił palce i jednym z nich lekko stuknął w stół. - Etap pierwszy to przygotowanie i już wkrótce zostanie zakończony. Etap drugi to podróż. Papieski poseł wyruszy z Wiednia przez Czechosłowację do Polski. Następnie przez Kraków i Warszawę do granicy sowieckiej, no a stamtąd do Moskwy. - Stuknął kolejnym palcem. - Etap trzeci zaczyna się w chwili dotarcia do Moskwy i obejmuje organizację całego zaplecza oraz wydanie dyspozycji niezbędnych do przeprowadzenia etapu czwartego - znów stuknął - czyli do zamachu na Andropowa. No i etap piąty, to oczywiście ucieczka posła.

Versano pochylił się, chcąc zadać pytanie, ale Van Burgh dał znak, że chce mówić dalej.

- Etap drugi jest już przygotowany i nasi ludzie zajmują wyznaczone stanowiska. Za dwa tygodnie, kiedy poseł zakończy szkolenie, kanał przerzutowy będzie już całkowicie gotowy. Podobnie jak trasa awaryjna. - Spojrzał na Menniniego, jakby chcąc podkreślić, że wszelkie zabezpieczenia są bardzo kosztowne, ale kardynał tylko słuchał uważnie, jedząc winogrona. - Przygotowania do etapu trzeciego również zostały zakończone. Już teraz mam w Moskwie dwóch ludzi, a przed upływem tygodnia dotrzą tam jeszcze trzech. Do nich należy przygotowanie "czyścicieli", środków transportu i sposobu wydobycia stamtąd Ani, to znaczy siostry Anny.

Versano koniecznie jednak chciał o coś zapytać.

- Czy wywieziemy ją tą samą drogą, którą przybyła?

- Nie. - Van Burgh pokręcił głową. - To by nie było bezpieczne. Ten kanał ma charakter tymczasowy i dłuższe utrzymywanie go niesie większe ryzyko wykrycia. Anię wywieziemy przez Helsinki. Mam już sprawdzony sposób. A jeśli chodzi o etap czwarty... - wymijająco wzruszył ramionami. - Więcej nad tym pracujemy. Mam trzy plany i wszystkie wyglądają obiecująco, ale jak dotąd tylko jeden daje posłowi realną szansę ucieczki.

Zaintrygowano Versana i skwapliwie spytał:

- A jaki to plan?

Van Burgh pokręcił głową.

- Zbyt wcześnie byłoby teraz go omawiać, a poza tym... - rozejrzał się po eleganckim pokoju - wolałbym nie mówić o tym tutaj. Wiem, Mario, że podjąłeś wszelkie środki ostrożności, ale to zbyt delikatny temat, żeby poruszać go w jakimkolwiek pokoju. Nawet w Watykanie.

Skinęli głowami na znak zrozumienia. Bekonowy Ksiądz westchnął.

- To mi przypomina, że mam niezbyt miłe wieści. - Ze smutkiem spojrzął na kardynała. - Wszyscy wiemy, że za żelazną kurtyną mamy zdrajców. Nie unikniemy tego, choćbyśmy nie wiem co zrobili. Niektórzy są słabsi od innych albo, innymi słowy, są przeciw tylko ludzi. Czasem nie radzą sobie z ogromnym stresem i nawet trudno ich za to winić. - Obaj mężczyźni słuchali z zaciekawieniem. Van Burgh ponownie westchnął i mówił dalej. - Z racji swego zajęcia Mirosław Ścibor znał tych zdrajców. Przekazał mi ich nazwiska; jest ich ponad setka.

Versano głośno westchnął.

- O Boże! To okropne.

- Nie, Mario, trzeba się z tym liczyć. Przecież mamy tysiące księży. Tamci stanowią tylko znikomą część, a większość nie zajmuje znaczących stanowisk. Obecnie ostrożnie ich odsuwamy. - Ze smutkiem spojrzął na Menniego. - Wasza Eminencjo, jest mi niezmiernie przykro, że muszą to powiedzieć, ale wśród tych księży jest dwóch braci z zakonu księdza. Na szczęście jednego z nich nigdy nie angażowałem do moich akcji, a drugiego tylko kilka razy.

- Którzy to? - spytał Mennini ponurym głosem.

Van Burgh zaczął od tego mniej ważnego.

- Pierwszy to ksiądz Jerzy Choszczno z Poznania.

Zauważył, że to nazwisko nie kardynałowi nie mówiło - spokojnie sączył swoje wino. Trudno się dziwić, skoro zakon liczył ponad stu tysięcy księży. Lecz Van Burgh wiedział, że drugie nazwisko na pewno nie będzie mu obce.

- A drugi, Wasza Eminencjo... tak mi przykro... ale to ksiądz Jan Panrowski z Olsztyna.

Reakcja Menniego przeszła wszelkie oczekiwania. Głowa odskoczyła mu w tył. Usłyszeł ostry brzęk pękającego szkła i wino czerwona plamą rozlało się na obrus. Wstali z krzesel. Kardynał patrzył na księdza wzrokiem człowieka, który nagle zobaczył ducha.

- Jan Pa... Nie... Chryste, nie!

Potem szeroko otworzył usta jęcząc z bólu. Kurczowo wbijał palce w klatkę piersiową osuwając się z krzesła.

Versano podtrzymał go i krzyknął do Van Burgha:

- Szybko! Sprowadź pomoc! Lekarza!

Ksiądz pobiegł do drzwi, przeklinając w duchu siebie samego. Domyślał się, że Mennini bardzo szanował Panrowskiego. Powinien był jakoś przygotować go na tę wiadomość.

Na szczęście siostra Maria stała w pobliżu. Zauważyła wyraz twarzy księdza i pośpieszyła w jego kierunku.

- Chodzi o kardynała - wyszeptał nagle. - Zachorował. To chyba coś poważnego. Może nawet atak serca.

Siostra natychmiast zapanowała nad sytuacją. Jej stali klienci byli w większości ludźmi starszymi i podobne wypadki pewnie już się tu zdarzały. Szybko rozpoczęła działania. Najpierw przebiegła wzrokiem po twarzach obecnych; czasami przychodził do restauracji jakiś lekarz, ale dziś nie było żadnego. Cicho, lecz stanowczo zwróciła się do Van Burgha:

- Proszę wrócić do pokoju. Za kilka minut przyjedzie karetka reanimacyjna. I zadzwonię zaraz do osobistego lekarza kardynała. Tymczasem proszę rozluźnić mu ubranie.

Odeszła szybko, nie wzbudzając jednak zamieszania. Ksiądz wrócił do pokoju.

Kardynał leżał na podłodze. Jedną ręką Versano podtrzymywał mu głowę, a drugą próbował podać szklankę wody. Van Burgh natychmiast schylił się z drugiej strony i zaczął rozluźniać choremu ubranie. Zdjął opasującą go ciasną szarfę, potem rozpiął kołnier. Wystarczył jeden rzut oka na twarz kardynała, aby się upewnić, że to atak serca. Mennini z trudem łapał powietrze, a skórę miał szarą i wilgotną. Kurczowo chwycił rękę Van Burgha i próbował coś powiedzieć.

Wtedy wbiegła zakonnica; miała ze sobą dwie poduszki i koc.

- Karetka już jedzie - powiedziała szybko, podsuwając poduszki pod głowę chorego.

Położyli go ostrożnie, a on wciąż trzymał rękę Van Burgha próbującego mu pomóc.

- Zadzwonię do Watykanu - rzekł Versano poważnie. - Trzeba natychmiast powiadomić Jego Świątobliwość. - Cofnął się i wyszedł.

Goście już zauważyli, że w pokoju obok coś się stało. Versano dostrzegł kilka znajomych twarzy i ich zdumienie na jego widok. Ale nie zwrócił na nich uwagi. Siostra Maria stała w hallu i rozmawiała przez telefon. Gdy się zbliżył, odłożyła właśnie słuchawkę.

- Za chwilę będzie tu karetka z Polikliniki Gemilli. Osobisty lekarz kardynała także jest już w drodze.

Pośpieszyła teraz do pokoju, a Versano podniósł słuchawkę. Szybko nakręcił numer. Po trzech dzwonekch usłyszał głos papieskiego sekretarza.

- Mówi Dziwisz, słucham.

Versano krótko zrelacjonował mu sytuację. Usłyszał westchnienie Dziwisz, po czym na chwilę zapanowało milczenie; sekretarz się zastanawiał. Versano wyobraził sobie, o czym teraz myśli. Zakon kierowany przez kardynała był bezspornie najbardziej radykalną gałęzią Kościoła, a jednocześnie jedną z najpotężniejszych. Często był w ciemniem w oku poprzednich papieży. Kiedy na jego czele stanął Mennini, cały Watykan odetchnął z ulgą. Było to najbardziej wpływowe stanowisko, a tym razem zarówno papież, jak i Kuria Kardynalska bez trudu dogadywali się z człowiekiem je zajmującym. Jeśli Mennini umrze, zastąpi go ktoś inny, może jakiś radykał. Ksiądz Dziwisz spytał, do którego szpitala zabrano kardynała. Versano wymienił nazwę polikliniki. Znów chwila ciszy. W końcu ksiądz podjął decyzję.

- Zaraz zawiadomię Jego Świątobliwość. Obudzę, jeśli już śpi. I wkrótce zadzwonię. Jaki tam jest numer?

Versano podał mu numer i odłożył słuchawkę. Wracając do pokoju słyszał zbliżające się wycie syreny.

Van Burgh kłęczał przy kardynale. Głowę miał tuż przy ustach chorego. Mennini poruszał wargami, lecz najwyraźniej sprawiało mu to ból. Po chwili wyprężył się, głowa opadła mu do tyłu. Jedną ręką ksiądz podtrzymywał go pod szyję, a drugą położył na piersi chorego. Versano dosłyszał jakieś słowa.

- Eminencja powiedział...?

Podesza siostra Maria. Przyniosła na tacy maleńki flakonik wody święconej. Versano pomyślał, że rzeczywiście jest przygotowana na każdą ewentualność. Postawiła tacę na dywanie tuż obok Menniniego i pytającym wzrokiem spojrziała na Versana. Van Burgh wyprostował się; na jego twarzy malował się szok.

- Eminencjo, myślę, że już czas udzielić choremu rozgrzeszenia - rzekła siostra stanowczo.

Versano machinalnie kiwnął głową i zrobił krok do przodu. Zatrzymał się na chwilę, marszcząc brwi - tak wiele czasu upłynęło, odkąd przestał pełnić obowiązki parafialnego księdza, że zapomniał już, jak brzmią właściwe na tę chwilę łacińskie formułki. Rzucił Van Burghowi błagalne spojrzenie. Ksiądz zrozumiał. Wciąż jeszcze klęczał przy chorym. Pochylił się nad nim, podniósł flakonik ze święconą wodą i wyciągnął korek. Bardzo wyraźnie słyszał teraz syrenę karetki; była tuż, tuż. Gdy Van Burgh wypowiadał łacińskie słowa, Versano również je sobie przypomniał i powtarzał bezgłośnie poruszając wargami.

- Se sapax, ego te absoho a peccatis tuis, in nomine Patris et Filii et Spiritu Sancti. Amen.

- ...Udzielam ci rozgrzeszenia w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Van Burgh uczyił nad Menninim znak krzyża dotykając kolejno jego czoła, piersi i ramion.

W drzwiach pojawili się jacyś ludzie, lecz ksiądz nie zwrócił na nich uwagi; pokropił chorego wodą święconą.

- Per istam sanctum Uctionem...

- Przez to Święte Namaszczenie...

Lekarz musiał dosłownie odpychać go łokciem. W końcu ksiądz wstał nie przestając wypowiadać słów rozgrzeszenia. Dwóch pielęgniarzy ułożyło obok kardynała nosze i rozmaite aparaty. Od razu dało się zauważyć, że każdy doskonale wiedział, co ma robić. Odciepli nożyczkami górną część ubrania chorego. Versano pochylił się i ku swemu zdumieniu zobaczył, że kardynał ma na sobie ostrą włosienicę. Ją też odciepił. Skóra na klatce piersiowej chorego była mocno zaczerwieniona i obtarta; bez wątpienia kardynał zadawał sobie prawdziwy ból. Versano poczuł przypływ szacunku dla Menniniego i zrobiło mu się trochę nieswojo. Lekarz zadawał krótkie, rzeczowe pytania. Versano odpowiadał równie zwięźle. Potem doktor osłuchał chorego i wydał pielęgniarzom polecenia. Rozwinęli przewody od jednego z aparatów i przyłożyli elektrody do klatki piersiowej chorego. Na sygnał lekarza pielęgniarz wcisnął przełącznik. Ciało Menniniego drgało, gdy przepływał przez nie prąd. Versano widział takie zabiegi w telewizji podczas swej wizyty w Stanach. Wstrząs powtarzano trzykrotnie; po każdej próbie lekarz osłuchiwał chorego. Potem wskazał ręką nosze. Pielęgniarze unieśli kardynała, położyli go na noszach i przykryli kocem. Następnie ruszyli do drzwi, a za nimi podążył lekarz.

- Nie żyje? - spytał Versano.

Nie odwracając się lekarz odparł:

- Spróbujemy ponownie w szpitalu.

- Nie żyje? - naciskał Versano.

- W szpitalu - powtórzył lekarz wychodząc już z pokoju.

Versano chciał pójść za nim, ale Van Burgh powstrzymał go.

- Zostań, Mario!

Wciąż jeszcze trzymał flakonik z wodą święconą. Na jego twarzy malował się jakiś dziwny wyraz. Powoli zakorkował buteleczkę i postawił ją na stole.

- Muszę zadzwonić do Watykanu - z niecierpliwością w głosie powiedział Versano.

Ksiądz stanowczo pokręcił głową.

- Nie, Mario. Są ważniejsze sprawy. Najpierw wykonam telefon, a potem musimy porozmawiać, i to bezzwłocznie.

Do pokoju weszła siostra Maria. W oczach miała łzy. Trzymając w ręku krzyż, odmawiała modlitwę. Ksiądz zwrócił się do niej stanowczym głosem:

- Sostro, proszę przynieść nam dwie kawy. Do tego brandy. I proszę, żeby nam nie przeszkadzano, kiedy tu wrócę.

Spojrziała na niego ze zdziwieniem. Versano już miał zamiar sprzeciwić się poleceniom księdza, ale przez Van Burgha przemawiała teraz cała siła jego charakteru i determinacja. Zwrócił się do Versana.

- Zaczekaj tu, Mario. Zaraz wszystko ci wyjaśnię.

Wbił wzrok w siostrę Marię.

- Sostro, proszę zrobić, co powiedziałem. Natychmiast.

Zakonnica wyszła, a Van Burgh podążył za nią. Nie było go dziesięć minut. Przez ten czas Versano stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Zakonnica przyniosła kawę i chciała nalać brandy do kieliszków, ale Versano ją odesłał. Wysła zabierając ze sobą tacę i flakonik wody święconej. Arcybiskup wrzucił do filiżanki trzy kostki cukru, zamieszał i wypił dwoma łykami. Właśnie nalewał sobie brandy, kiedy wrócił Van Burgh. Versano nie ukrywał swego niecierpliwienia.

- Czy może ksiądz wytłumaczyć swoje zachowanie?

- Tak, Eminencjo. Jestem zły na samego siebie, bo po pierwsze spowodowałem śmierć kardynała Menniniego, a po drugie zaangażowałem do współpracy dwóch amatorów, jego i ciebie.

Versano zaniemówił.

Ksiądz nalał sobie dużą brandy i usiadł. Versano w milczeniu zajął krzesło na wprost niego. Van Burgh mówił bardzo szorstko.

- Mario, kardynał od dawna chorował na serce. Wiadomośc, że Panrowski jest zdrajcą, była dla niego szokująca, ale nie aż tak, żeby spowodować atak serca. Okazało się, że Panrowski wchodził w skład delegacji, która przybyła do Rzymu w zeszłym tygodniu. Mieli audiencję u kardynała. Prawdopodobnie Mennini odczuł wtedy nagły przypływ wyrzutów sumienia i poprosił Panrowskiego o... o wysłuchanie jego spowiedzi. Wyjawiał mu naszą tajemnicę, opowiedział Nostra Trinita i papieskim pośle.

- Do jasnej cholery! - wyrzucił z siebie Versano pochylając głowę i trąc brew. - Skąd wiesz?

- Kiedy telefonowałeś, powiedział mi to resztką sił. To były jego ostatnie słowa. Myślę, że bardzo cierpiał umierając.

Versano wyprostował się i westchnął głośno. Zaczął zastanawiać się nad sytuacją.

- Ale co właściwie wyjawiał?

Ksiądz wzruszył ramionami.

- Nie wiem dokładnie. Wymienił przy mnie tylko trzy rzeczy: Nostra Trinita i jej cel, poseł papieski jako narzędzie i fakt, że oszukał Jego Świątobliwość.

Versano pochylił się do przodu.

- A gdzie jest teraz ten Panrowski?

Van Burgh wykrzywił swoje grube wargi.

- Właśnie w tej sprawie dzwoniłem. Wyjechał z Rzymu następnego dnia po audiencji i wrócił do kraju. Pewnie dojechał do Olszyna, jakieś cztery dni temu.

Versano ponury m wzrokiem patrzył na swój kieliszek

- I pewnie już poinformował swoich szefów.

Van Burgh skinął głową.

- Może jeszcze nie, ale musimy działać tak, jak gdyby już to zrobił. Musimy nawet założyć, iż już teraz Andropow wie, że w Watykanie przygotowywany jest zamach na jego życie.

- I co teraz zrobimy?

Ksiądz sięgnął po butelkę i nalał brandy do obu kieliszków.

- Andropow potraktuje tę groźbę jak najbardziej poważnie. Wie przecież o zdradzie Jewczenki. I zna możliwości Watykanu. Wątpię, żeby Mennini wymienił nasze nazwiska, ale KGB na pewno domyśli się, że biorę w tym udział. Jestem obecnie narażony na znacznie większe niebezpieczeństwo, a w dodatku cała operacja staje się trudniejsza do przeprowadzenia i bardziej ryzykowna.

Versano już w pełni odzyskał panowanie nad sobą. Znowu mówił stanowczo i ostro.

- Zamierzasz odwołać akcję?

Uważnie przyglądał się Van Burghowi, kiedy ten zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu ksiądz potrząsnął głową.

- Nie, ale Ścibor może chcieć to zrobić. Dobrze wie, co będzie się działo.

- Powiesz mu, co się stało?

- Oczywiście.

Znowu zapadła cisza. Tym razem to ksiądz przyglądał się arcybiskupowi czekając na jego reakcję. Versano westchnął i skinął głową.

- Nic innego nam nie pozostaje... Czy on zdecyduje się kontynuować akcję?

- Może, ale musimy zmienić strategię. Zaraz ci to wyjaśnię. W samym Rzymie KGB ma licznych informatorów i przy najmniej dziesięciu agentów. A wielu nowych wkrótce tu przyjedzie. Może nawet już są w drodze. Prześledzą każdy ruch Menniniego aż do dzisiaj. Dowiedzą się, że umarł tutaj i że był tu także przy okazji pierwszego spotkania. Postarają się sprawdzić, z kim jadł kolację. Pewnie im się to uda. Będą się starali, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, założyć podstęp w Watykanie, może nawet w twojej sypialni. Oraz w Russico. Nigdy więcej nie możemy się tu spotkać. Ani w zasadzie nigdzie poza Watykanem. Nie wolno ci przekroczyć granic Watykanu, dopóki operacja nie zostanie zakończona, jeśli w ogóle będziemy ją kontynuować. KGB jest groźniejsze niż włoski urząd podatkowy. Jeśli będą mieli ochotę z tobą porozmawiać, a ty akurat będziesz poza Watykanem, to wezmą cię na rozmowę. I wcale nie będą uprzejmi.

- Nie boję się ich! - wojowniczo krzyknął Versano.

Van Burgh pochylił się do przodu.

- Więc jesteś głupcem, Mario. Ja się ich boję i to cały czas. Może dlatego jeszcze żyję. A teraz, dzięki pokorze Menniniego, boję się ich jeszcze bardziej. Dowiedzą się, że to ja kieruję papieskim posłem. Przewrócą każdy kamień, żeby mnie znaleźć. Już Andropow tego dopilnuje. Jeśli o ciebie chodzi, to musisz porozmawiać z Camilem Cibanem i poprosić go o wzmocnienie ochrony - w twoim biurze, w pokojach, wszędzie, gdziekolwiek się udasz na terenie Watykanu.

Versano pomyślał o tym przez chwilę, po czym skinął głową.

- Wiem, Pieter, że uważasz mnie za amatora, ale wszystkie twoje ostrzeżenia traktuję poważnie. Tylko jak mam wytłumaczyć Cibanowi, czy na przykład Jego Świątobliwości, konieczność przedsięwzięcia takich środków ostrożności?

- W bardzo prosty sposób - odrzekł Van Burgh. - W najbliższym czasie otrzymasz kilka anonimowych listów i telefonów grożących ci śmiercią. Jeden z anonimów trafi do redakcji "L'Osservatore Romano". Będą pochodzić rzekomo od Czerwonych Brygad. To wystarczy, żeby wytłumaczyć zaostrenie środków bezpieczeństwa.

Versano wysiłł się na uśmiech i zapytał:

- Naturalnie to ty wszystkie wyslesz?

- Oczywiście. - Van Burgh się nie uśmiechał. - Ale musisz uważać. KGB na pewno się o tym dowie. Domyśla się, o co chodzi, i w ten sposób upewnią się, że należysz do Nostra Trinita.

Versano wskazał palcem siebie i księdza.

- Chyba powinniśmy nazywać się teraz Nostra Due.

Ksiądz ze smutkiem pokręcił głową.

- Przyjmijmy, że kardynał, niech odpoczywa w spokoju, duchem ciągle jest z nami.

- Przecież powiedział, że nigdy więcej go nie zobaczę.

- Bo nie zobaczysz.

Ścibor spojrział na księdza Heisla. Jechali tym samym samochodem i tą samą trasą co miesiąc temu, kiedy zaczynała się jego podróż do Libii. Była druga w nocy. Księżyc dziś nie świecił, a ksiądz jechał ostrożnie, często zerkając we wsteczne lusterko.

Ścibor ponownie spróbował rozprostować swoje zdrtwiałe kończyny. Miał właśnie za sobą podróż w tej samej co wcześniej drewnianej skrzyni, choć tym razem siedział w niej tylko pięć godzin.

- Ale ksiądz powiedział, że on czeka w domu.

W ciemności dojrzał przytakujący ruch głowy Heisla.

- Chce z tobą porozmawiać, lecz go nie zobaczysz.

Polak przełknął łyk zimnego piwa, które zapobiegliwy Heisl przywiózł z sobą. Na podłodze leżała jego płócienna torba. Zawierała dokładnie to samo, co włożył do niej opuszczając Triest, z tą różnicą, że teraz leżał tam jeszcze flamaster marki "Denbi" - pożegnalny prezent od Franka. Instruktor dał mu go, kiedy stali przy ciężarówce mającej zabrać Polaka do Trypolisu. Ścibor podziękował.

- Wiem, że pytania są zakazane, ale już skończyłem kurs i chciałbym o coś zapytać.

Frank nic nie odrzekł, tylko popatrzył na niego uważnie.

- Szeffie, jak mi poszło?

Silnik zapalił. Jakiś Arab odsłonił wejście do ciężarówki. Frank wskazał mu je ręką. Ścibor wskoczył do środka, zakładając, że nie otrzyma odpowiedzi. W milczeniu Frank przymocowywał brezent. I dopiero wtedy odpowiedział:

- Wiesz, Werner, że ten obóz specjalizuje się w szkoleniu zamachowców. Nie wiem i nie obchodzi mnie, kto jest twoim celem... ale cholernie się cieszę, że to nie ja.

Ciężarówka ruszyła, a Ścibor poczuł się usatysfakcjonowany.

Teraz jadąc ciemnymi ulicami wiedział, że jest innym człowiekiem. Miał w sobie tyle człowieczeństwa, co śmiercionośna broń. Znał dwadzieścia różnych sposobów zabicia przeciwnika. Przeżywał obecnie swoje najlepsze lata i miał doskonałą kondycję fizyczną. Także seksualnie czuł się zaspokojony. Zadbala o to i Leila, i mała Filipinka. Czuł się stu procentowym mężczyzną, jak lew odchodzący majestatycznym krokiem od własnego stada lwic, żeby upolować zwierzynę. Dotknął palcem górnej wargi, gdzie krzewił się dwutygodniowy zarost.

Ksiądz Heisl wyczuł w nim tę zmianę. Od czasu do czasu zerkał na niego. Ścibor był milczący i spokojny; czasem tylko próbował rozprostować, kości i popijał piwo. Emanowało od niego jakieś wyzienie, jakby mieszkanka pewności siebie i spokoju.

Dojechali do domu i od razu weszli do jadalni. Ścibor rozejrzał się - nikogo tu nie było. Poczuł się trochę zawiedzony; spodziewał się przecież spotkania z Bekonowym Księdzem.

- Gdzie on jest? - spytał Heisla.

Ksiądz palcem wskazał sufit.

- Śpi. Obudzę go, a ty teraz zjedz coś.

Kilka minut po jego wyjściu przyszła stara kobieta niosąc talerz spaghetti carbonara i butelkę wina. Powiedział jej dzień dobry, ale nie zwróciła na to uwagi. Postawiła na stole makaron, obok wino i wyszła. Ścibor był głodny jak wilk. Od czasu pierwszej podróży jedzenie na statku s/s "Lydia" ani trochę się nie poprawiło. Kończył właśnie ostatnie niteczki spaghetti, kiedy wszedł Heisl. W milczeniu patrzył, jak Polak wyciera talerz kawałkiem chleba, po czym przywołał go skinieniem palca.

Ścibor siedział za nim po schodach przeżuując jeszcze ostatni kęs. Przez środek pokoju przeciągnięty był sznur, na którym wisiało prześcieradło. Przed tą zasłoną stały dwa krzesła, a w rogu osłonięta lampka - syczyło się stamtąd przyćmione światło. Obaj z Heislem usiedli, a zza prześcieradła dobiegł głos Bekonowego Księdza. Ścibor uświadomił sobie, że lampka jest umieszczona tak, iż sylwetka księdza widoczna jest przez zasłonę, ale pokój za nią pozostaje w ciemności.

- Witaj, Mirosławie. Zadowolony jesteś ze szkolenia?

- Bardzo. Ale po co ta zabawa w chowanego?

- Dzięki temu nie muszę zakładać żadnego przebrania. Miałeś jakieś kłopoty?

- Nie, żadnych.

- To dobrze. A teraz posłuchaj uważnie. Ksiądz Heisl znakomicie rysuje. Przez najbliższe dwa dni, kiedy będziesz odpoczywał po podróży, postaraj się opisać mu każdego, kogo spotkałeś w obozie - instruktorów i uczestników szkolenia. Ksiądz sporządzi szkice, a ty zasugerujesz ewentualne poprawki. Wiesz zresztą, jak się to robi. Opowiedz mu także o charakterystycznych cechach tych ludzi, ich zwyczajach, wszystko, co sobie przypomnisz.

- Po co?

Usłyszał westchnienie Van Burgha. Ksiądz przyzwyczaił się do ślepego posłuszeństwa ludzi, którymi kierował, lecz sam przed sobą musiał przyznać, że ten jest inny, dlatego zdobył się na wyjaśnienia.

- Zdarza się, że w tym, co robimy, współpracujemy z pewnymi służbami wywiadowczymi na Zachodzie. Współpraca ta polega na zasadzie: coś za coś. Są sprawy, w których mamy świetne rozeznanie, więc przekazujemy im naszą wiedzę; zwykle są to ogólne informacje, na przykład stan rolnictwa na Ukrainie, przewidywana wysokość zbiorów i tym podobne. Albo stan morale w pewnych grupach społecznych. Naturalnie nasi księża, i ci działający jawnie, i ci w ukryciu, wiele się dowiadują dzięki swej pracy. W zamian zachodnie wywiady przekazują nam rozmaite informacje, czasem pomagają finansowo lub zaopatrują nas w sprzęt, którego inaczej nie moglibyśmy nabyć. Rozumiesz teraz?

Rozumiał. Kiedyś przeprowadzał rewizję w zakrystii jednego z krakowskich kościołów. Jego ludzie przeszukali każdy zakamarek, ale nic nie znaleźli. Podejrzany ksiądz pełen był słusznego oburzenia, lecz Ścibor instynktownie wyczuwał, że coś ukrywa. Kazał kontynuować poszukiwania. Cztery godziny później znalazł maleńki, ale o dużym zasięgu nadajnik radiowy ukryty w pojemniku z komunikantami. Urządzenie było tak nowoczesne i wymyślne, że ani on, ani jego przełożeni nigdy podobnego nie widzieli. Przesłali je do Moskwy, a ty dzień później KGB poinformowało ich, że nadajnik został wyprodukowany w RFN i dopiero niedawno wprowadzony do użytku w BND.

Van Burgh widział sylwetkę Ścibora, który skinął głową na znak zrozumienia.

- Tak więc, Mirosławie, ostatnio największym problemem naszych przyjaciół jest terroryzm i każda pomoc, której możemy im udzielić w tej kwestii, spotka się z uznaniem.

Teraz Ścibor wiedział już, skąd ksiądz czerpie większość swych funduszy przeznaczonych na akcje zapomogowe za żelazną kurtyną.

- Trzeba było uprzedzić mnie o tym przed wyjazdem. Lepiej bym się wszystkim przyjrzał.

- Na pewno, ale mogliby wtedy nabrać podejrzeń. Woląłem, żebyś zachowywał się naturalnie. Zabito tam dwóch ludzi.

- Wiem - odparł oschle. - O tym też mógł mi ksiądz powiedzieć.

Van Burgh zachichotał.

- Jak idą przy gotowaniu? - spytał Ścibor.

- Dobrze. Ale obawiam się, że mamy problem.

- Jak?

Van Burgh opowiedział mu o wszystkim bez owijania w bawełnę. Zamilkł, Ścibor zaś wstał i wściekły chodził po pokoju klnąc na czym świat stoi. Obaj księża czekali cierpliwie, nie zwracając uwagi na przekleństwa. Byli już w podobnych sytuacjach, kiedy nagle coś niweczyło drobiazgowo plany i przy gotowaniu, gdy kumulujące się napięcie osiągało taki poziom, że niespodziewanie przechodziło w odrętwienie.

W końcu Polak się opanował.

- I co teraz?

- To zależy od ciebie - spokojnie odpowiedział Van Burgh.

Ścibor miał teraz nieco zmieniony głos.

- Po co ksiądz mi o tym powiedział? To złe posunięcie. Przecież nigdy bym się o tym nie dowiedział.

- Mirosławie - westchnął ksiądz - Zaangażowałem cię w pewnych określonych okolicznościach. Teraz one się zmieniły. Zdecydowaliśmy, że powinieneś o tym wiedzieć. To był nasz moralny obowiązek.

- Moralność! - prychnął Ścibor. - Planujecie taką akcję i mówicie o moralności! - Nagle uderzyła go jakaś myśl. - Kto jeszcze bierze w tym udział? Kto poza nami trzyma wie o tej akcji?

- Jeden człowiek.

- Kto?

- Arcybiskup Versario - odparł bez wahania Van Burgh.

Ciekaw był, jak Polak zareaguje. Przy swej znajomości hierarchii Kościoła Katolickiego na pewno słyszał o Versario. Lecz Ścibor powiedział tylko:

- To by pasowało.

Po raz pierwszy włączył się do rozmowy Heisl.

- Akcja jest obecnie znacznie bardziej ryzykowna. Wiesz o tym taksamo, a może nawet lepiej niż my.

W zamyszeniu Ścibor przesuwał palcami po świeżo zapuszczonej wąsach. Coś mu to przy pomniało.

- Czy przesyłał mi ksiądz jakąś wiadomość?

- Tak.

- A co miała oznaczać?

- Tylko to, co oznaczała.

- Ale po co miałem to robić?

- Niech ksiądz pokaże mu zdjęcie.

Heisl wstał i podszedł do stolika z lampą.

- Podejdz tu.

Ksiądz wyjął z koperty jakąś grubą teczkę i otworzył ją. Ścibor dostrzegł czarno-białą fotografię. Była duża - dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, i przedstawiała twarz mężczyzny. Ksiądz nachylił ją lekko w kierunku lampy. Mężczyzna na zdjęciu wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, miał wyraźne rysy twarzy i był przystojny. Czarne sumiaste wąsy prawie zakrywały usta, a ciemne włosy były dość długie. Ścibor zauważył pewne podobieństwo do siebie.

- Kto to? - zapytał.

Odpowiedź napłynęła z przęścieradła.

- Doktor Stefan Szafer z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kiedy miał cztery lata, rodzice uciekli z nim na Zachód. Jest niezwykle zdolny. Studiował medycynę na uniwersytecie w Edynburgu, a potem w Guy's Hospital w Londynie. Później podjął studia podyplomowe na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Stanach. Zawsze był idealistą, więc dwa lata temu w wieku trzydziestu czterech lat powrócił do Polski.

Ścibor przyglądał się fotografii.

- Rozumiem, że jeśli zdecyduję się jechać do Moskwy, to on stanie się częścią planu?

- Jest częścią jednego z trzech planów, które obecnie rozważamy. I muszę przyznać, że jak na razie, ten jest najbardziej obiecujący.

- Chciałbym usłyszeć o nim coś więcej.

- Nie.

Ścibor wrócił do krzesła. Bekonowy Ksiądz mówił dalej:

- Jeśli postanowisz wycofać się z akcji, co zresztą rozumiem, to może uda nam się znaleźć kogoś na twoje miejsce. A w takim wypadku byłoby lepiej, gdybyś nie znał szczegółów.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Polak powiedział stanowczo:

- Jadę.

Wyczuł ulgę w głosie Bekonowego Księdza.

- W porządku. Mimo młodego wieku doktor Szafer jest światowej sławy specjalistą w dziedzinie urologii.

- I co w związku z tym?

- To, że Andropow cierpi, między innymi i oczywiście, na przewlekłą niewydolność nerek.

- Aha! - Ścibor szybko powiazał fakty. - A Szafer leczy Andropowa?

- Jeszcze nie, ale jest szansa, że niedługo zacznie. Byłoby to zupełnie naturalne. A już my się postaramy, żeby stało się to nieuniknione.

Ścibor był pełen podziwu dla tego zuchwałego planu. Kątem oka zerknął na Heisla, który nieznamcnie się uśmiechał.

- W jaki sposób dokonacie zamiany?

Bekonowy Ksiądz udzielił mu bardzo lakonicznej odpowiedzi.

- Pracują nad tym obecnie... nasze najlepsze umysły. Poza tym przygotowujemy jeszcze dwa inne plany awaryjne. Nie ma potrzeby, żebyś zwracał sobie nimi głowę, zanim dotrzesz do Moskwy. Kanał przerzutowy jest już prawie gotowy. Podobnie jak "czyścić" i ekipa pomocnicza w Moskwie, choć na razie nie wiedzą nic o naszej akcji.

Ścibor odczuł podniecenie z domieszką strachu i aż ręce zaczęły go świerzbic do działania.

- Kiedy wyruszę?

- Jeszcze nie ustaliłem dokładnej daty. Początkowo zamierzałem wysłać cię stąd do Rzymu, do szpitala należącego do zakonu. Przez tydzień liźnąłbyś trochę wiedzy o chorobach nerek. Musisz się też nauczyć, jak sprawiać wrażenie specjalisty w tej dziedzinie. Niestety, teraz to niemożliwe, bo wkrótce agenci KGB zaleją Rzym. Dlatego pojedziesz do Florencji. Tam nie będą się kręcić, a odpowiedni specjalista cię przeszkoli. Poza tym poznasz tam swoją żonę.

- Moją... co?

Van Burgh zachichotał.

- Twoją żonę... albo raczej twoją rzekomą żonę. To miła Polka. Będzie ci towarzyszyć w podróży do Moskwy.

Ścibor pochylił się w stronę prześcieradła i aż syknął:

- Ksiądz chyba oszalał! Jeśli mam jechać, to sam!

Głos Van Burgha stwardniał.

- Masz duże doświadczenie w polowaniu na ludzi i czasem udawało ci się ich dopaść, lecz nigdy nie byłeś ścigany. Ja mam czterdziestoletnie doświadczenie w tej roli i nigdy dotąd mnie nie schwytano. Tamtego dnia, kiedy stałem obok ciebie na dworcu we Wrocławiu... no cóż, byłem wtedy z moją "żoną". Fakt - nie była zbyt ładna. Mirosławie, wierz mi, mężczyzna podróżujący z kobietą, przynajmniej na terenie państw bloku wschodniego, raczej nie wzbudza podejrzeń. Pomyśl o tym.

Jednak Ścibor nie zamierzał się zastanawiać i cierpłym głosem odparował:

- Powiedział mi ksiądz, że jedyną osobą poza nami, która wie o tej akcji, jest arcybiskup Versano. Ksiądz mnie okłamał.

- Nie. Zadaniem tej kobiety jest towarzyszyć ci w drodze do Moskwy. Potem wywieziemy ją stamtąd. Ona nie wie, po co tam jedziesz. I, naturalnie, ty jej o tym nie powiesz.

Ścibor nie wyglądał na przekonanego.

- Kobieta zawsze jest słabym punktem tego rodzaju misji. Nie podoba mi się ten pomysł.

Zza prześcieradła znów dobiegł głos:

- Mirosławie, albo ona jedzie z tobą, albo nie jedziesz wcale. Już czas, żebyś zrozumiał, że to ja dowodzę tą akcją. Ja przygotowuję plan, a ty go wykonujesz. Od tej chwili masz mi się podporządkować albo z ciebie zrezygnuj.

Ksiądz Heisl powoli się odwrócił i popatrzył na Polaka. Pamiętał jego słowa, które Van Burgh mu powtórzył: "Dosłownie poświęciłbym własną rękę i nogę, żeby zabić Andropowa". Minęła minuta, potem druga. Ścibor wpatrywał się w podłogę. Później wolniutko podniósł głowę i wbił wzrok w prześcieradło. Patrzył w nie tak uparcie, że Heisla ogarnęła jakaś bzdurna obawa, że może prześwietlić je wzrokiem. W końcu Polak odpowiedział bezbarwnym głosem:

- Rozumiem, proszę księdza. Ksiądz tu dowodzi. Podporządkuję się ze względu na mój cel. Więc kim jest ta kobieta?

- Nazywa się Ania Król. Jeśli cokolwiek się stanie, to właśnie ona będzie twoim atutem.



- A coś więcej może mi ksiądz o niej powiedzieć?

- W zasadzie jest zakonnicą.

Śmiech wypełnił cały pokój. Ścibor odchylił się do tyłu, potem wstał i zataczając się doszedł do ściany, oparł się o nią rękami i głową, aż trząsł się cały ze śmiechu. Gdy się wreszcie uspokoił, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy z twarzy. W jego odpowiedzi brzmiała nuta szyderstwa:

- A więc w taką podróż wysyłacie ze mną zakonnicę? W charakterze mojej żony? Czy będzie nosiła habit i krzyż, a tuż pod nosem SB będzie odmawiać różaniec?

Bekonowy Ksiądz odpowiedział znużonym głosem.

- Usiądź, Mirosławie. Cały ostatni miesiąc przebywałeś na szkoleniu. Ona również. Nikt się nie domyśli, że jest zakonnicą.

Ścibor usiadł. Heisl zauważył uśmiešek na jego ustach.

- A więc jedzie ze mną jako moja żona. Czy będzie nią w dosłownym znaczeniu tego słowa? Czy jest ładna?

Heisl ubiegł z odpowiedzią Bekonowego Księdza. Mówiąc, widział oczami wyobraźni twarz Ani, a głos miał zimny jak lód.

- Tak się składa, że jest pięlna zarówno zewnątrz, jak i w swej miłości do Boga. Będziecie podróżować razem. Nauczono ją, że przy ludziach ma zachowywać się jak kochająca żona. Ale wyłącznie przy ludziach. Czasami, właściwie nawet często, będziesz z nią sam na sam. Będziecie sypiać w jednym pokoju. Ale zapamiętaj sobie, jeśli w jakkolwiek sposób ją skrzywdzisz, psychicznie albo fizycznie, to dopadnę cię choćby na końcu świata.

Ścibor chciał coś odpowiedzieć, lecz mimo mrocznego światła dojrzał twarz księdza i nie odezwał się.

Zza prześcieradła dobiegł natomiast głos Van Burgha.

- Pewnie jesteś zmęczony, Mirosławie. Prześpij się teraz. Rano już mnie tu nie będzie. Może spotkamy się po twoim kursie we Florencji, ale to będzie zależało od rozwoju wypadków. Ksiądz Heisl pojedzie z tobą i zajmie się sprawami organizacyjnymi. Stosuj się do wszystkiego, cokolwiek ci powie, absolutnie.

Ścibor schodził w dół za księdzem Heislem. W połowie schodów nagle się zatrzymał.

- A jednak mnie okłamał. Powiedział: "pracują nad tym nasze najlepsze umysły", więc są jeszcze inni, którzy znają szczegóły tej operacji.

Heisl się uśmiechnął. Znów ruszył w dół schodów, ale odpowiedział:

- Nie przejmuj się. Bekonowy Ksiądz to człowiek wszechstronny. Nasze najlepsze umysły to on.

Wiktor Czebrikow siedł przez korytarz niosąc walizeczkę ze sloniowej skóry - prezent od szefa agentury w Zimbabwie. Trzy kroki za nim podązał pułkownik Oleg Zamiatin. Co kilka metrów wzdłuż całego korytarza rozstawieni byli strażnicy. Wszyscy rozpoznawali wysoką, wyprostowaną sylwetkę szefa KGB. Gdy się zbliżał, natychmiast stawali na baczność i salutowali. Lecz Czebrikow nie zwracał na nich uwagi; co innego zaprzętało jego myśli.

Zatrzymał się przed wysokimi drzwiami. Stali przed nimi dwaj strażnicy z karabinami maszynowymi. Nie stanęli na baczność ani nie zsalutowali. Za to trzymali broń gotową do strzału.

Czebrikow i Zamiatin wyjęli małe złote karty z plastiku. Na każdej wytoczonych było kilka czarnych pasków. Pokazali je jednemu ze strażników, który uważnie je obejrzał i powiedział:

- Możecie wejść, towarzyszu Czebrikow, i wy, towarzyszu pułkowniku.

Weszli do ogromnego pokoju oświetlonego dwoma pięknymi żyrandolami. Z boku stały trzy biurka. Po drugiej stronie wokół niskiego stolika ustawiona była sofa i krzesła. W głębi pokoju znajdowały się kolejne wysokie drzwi.

Za jednym z biurk siedziała starsza kobieta. Czytała jakiś dokument robiąc na marginesie notatki. Ledwie zwróciła uwagę na wchodzących. Przy drugim biurku pracował mężczyzna w średnim wieku. On także zastanawiał się nad jakimś dokumentem. Spojrzał znad kartki na wchodzących i z uśmiechem skinął głową na powitanie. Trzecie biurko zajmował młody kapitan KGB; ten momentalnie wstał i zsalutował. Był to adiutant Andropowa - w odróżnieniu od swoich poprzedników, Andropow lubił trzymać się zwyczajów wojskowych. Kapitan spojrział na zegar - była za pięć trzecia.

- Towarzyszu Czebrikow, proszę usiąść... towarzyszu pułkowniku, proszę. Może podać herbatę? - zapytał.

- Nie, dziękuję, kapitanie - odparł Czebrikow.

Zamiatin również odmówił, kręcąc przecząco głową. Gdy usiedli, Czebrikow otworzył szfrowy zamek walizeczki, wyjął cienką teczkę, a dyplomatę podał pułkownikowi. Ten postawił ją na podłodze tuż obok siebie. Czebrikow tymczasem zajrzał do teczki i studiował treść leżącej tam kartki.

Dokładnie o trzeciej kapitan podniósł słuchawkę jednego z trzech telefonów, wcisnął jakiś przycisk i przy ciszym głosem powiedział kilka słów. Potem odłożył słuchawkę, stanął na baczność i zwrócił się do gości.

- Towarzysz generalny sekretarz przyjmie was teraz, towarzyszu Czebrikow.

Adiutant otworzył Czebrikowowi drzwi. Zamiatin pozostał na miejscu.

Czebrikow wiele razy był już w tym pokoju i zawsze jednakowo mu się tu podobało. Pomieszczenie miało doskonałe proporcje. Na podłodze leżał miękki dywan z Buchary, ściany pokryte były jedwabnymi obiciami, a z sufitu zwisały złoczone żyrandole. Na środku stało biurko. W rogu na kanapie w pozycji półleżącej odpoczywał jakiś człowiek sprawiał wrażenie śpiącego; głowę oparł na dużej czarnej poduszce, oczy miał zamknięte. Podniósł jednak powieki na dźwięk zamykanych drzwi. Przywódca sowieckiego imperium westchnął, opuścił nogi na podłogę i powoli wstał.

Przez chwilę Wiktor Czebrikow przyglądał się swemu mentorowi. Miał przed sobą człowieka, który wspiął się na szczyt hierarchii KGB, a potem poprzez zręczne manipulacje objął stanowisko szefa całego państwa.

Wcale nie wyglądał na takiego. Ubrany był w ciemnoniebieskie spodnie z mankietami, kremową koszulę, stary szary sweter zapięty do połowy. Na nogach miał filcowe klapki. Rzadkie siwe włosy były potargane, a skóra na twarzy blada i woskowata. Sprawiał wrażenie dobronudnego, dopóki nie zauważyło się lodowatego zimna i wyrachowania w jego oczach.

Przywitali się serdecznie - najwyraźniej Andropow lubił swego podwładnego. Wzajemnie zapytali o swe rodziny, po czym Czebrikow przeprosił za zakłócenie mu spokoju. Wiedział, że w środowe popołudnia, poza wypełnieniem kilku koniecznych obowiązków, szef państwa zwykle odpoczywa i rozmyśla.

Andropow wskazał mu krzesło przed biurkiem. Sam też powlókł się w tym kierunku i zajął miejsce po jego przeciwnej stronie. Czebrikow chętnie zapytałby o zdrowie, ale porzucił ten zamiar; ostatnimi czasy Andropow stał się bardzo drażliwy na tym punkcie. Zwykle, kiedy byli sami, zachowywali się swobodnie.

Generalny sekretarz podsunął gościowi srebrną papierośnicę. Czebrikow z przyjemnością poczęstował się camelem z filtrem. Skorzystał też z zapalniczki, która tworzyła komplet z papierośnicą. Gdy wypuścił pierwszy kłęb dymu, Andropow zaczął rozmowę:

- A więc, mój drogi Wiktorze, cóż jest tak ważnego, że nie możesz mówić o tym przez telefon, ale przychodzisz do mnie osobiście?

Czebrikow położył teczkę na biurku i postukał w nią palcem.

- Juriju, odkryliśmy spisek na twoje życie.

- Krajowy czy zagraniczny? - padło natychmiastowe pytanie.

- Zagraniczny. Przygotowuje go Watykan.

Andropow znany był z umiejętności zachowania niewzruszonego spokoju i twarzy pokerzysty, ale tym razem nie potrafił ukryć zdumienia.

- Watykan?!... Papież próbuje mnie zabić?

- Niezupełnie. Z naszej informacji wynika, że papież nie o tym nie wie. Wygląda na to, że powstała jakaś klika. Na razie nie znamy szczegółów, ale już wkrótce będziemy je mieć. Najprawdopodobniej ten zdrajca Jewczenko wygadał Włochom o operacji "Ermina". Nie znał żadnych szczegółów, ale i to, co wiedział, Włosi przekazali Watykanowi. No i zareagowali.

- Bezeznelne sukiny ny! - Andropow zawał swój pogląd w dwóch słowach. Wyprostował się na krześle, a oczami ciskał gromy. - Co właściwie wiemy na ten temat?

Czebrikow odwrócił teczkę i podsunął ją generalnemu sekretarzowi.

- Tylko tyle.

Andropow przeczytał raport. Następnie ponownie się wyprostował i krzyknął ze złością:

- Więc ten cholerny kardynał umarł kilka dni po spowiedzi. Niech się smaży w piekle!... A gdzie obecnie jest ten Panrowski?

- W drodze do Moskwy. Będzie tu jeszcze dziś wieczorem. Wyciśniemy z niego, co tylko się da, ale obawiam się, że powiedział już wszystko, co wie.

- To i tak nieźle - stwierdził Andropow w zamysleniu. - Mamy szczęście. Ostrzeżony znaczy przygotowany. Tę groźbę należy potraktować jak najbardziej poważnie.

W milczeniu rozważali sytuację. Andropow był szefem KGB przez piętnaście lat. Przez ostatnie pięć Czebrikow pełnił funkcję jego zastępcy, by potem objąć najwyższe stanowisko w sowieckiej policji politycznej. Obaj dobrze wiedzieli, do czego zdolny jest Watykan.

- Powinniśmy krócej trzymać Polaków - gorzko stwierdził Andropow. - I to już od dawna. Jeszcze w latach pięćdziesiątych trzeba było zniszczyć Kościół, tak jak w Czechosłowacji. Stalin popełnił duży błąd, Chruszczow przy myślny oczy ... idioci!

Czebrikow milczał. Z doświadczenia wiedział, że postawiony przed problemem, Andropow najpierw wyładuje złość, a potem wykorzysta swój potężny umysł do jego rozwiązania. Sowiecki przywódca wciąż patrzył na zapisaną kartkę papieru.

- Nostra Trinita - prychnął. - Brzmi jak nazwa mafii, ale sugeruje, że było ich trzech. Teraz, kiedy Mennini nie żyje, zostało dwóch. Ale oni już długo nie żyją... "Papieski poseł", co za plugawstwo! Mają tupet! - Zaczępnął głęboki oddech i spojrział na Czebrikowa. - A więc, Wiktorze, jakie podjąłeś działania?

Czebrikow czekał na to pytanie.

- Oczywiście, w pierwszej chwili rzuciłem wszystko, żeby osobiście dopilnować udaremnienia tego spisku. Wiem jednak, jak byś zareagował w takiej sytuacji - przypomnialbyś mi o innych obowiązkach. - Przytaknięcie Andropowa pochlebilo mu. - Niemniej jednak tą sprawą powinien się zająć mój najlepszy oficer... Lecz, Juriju, nie znaczy to, że ma nim być generał.

- Naturalnie, że nie. - Szef sowieckiego imperium uśmiechnął się szyderczo. - Połowa generałów otrzymała swe stanowiska dzięki całowaniu tyłka Breżniewa... pod warunkiem, że udało im się go znaleźć. A więc kogo wyznaczysz do tego zadania?

- Pułkownika Olega Zamiatina.

- A tak Zamiatin - generalny sekretarz z aprobatą pokijał głową. - Bystry umysł i bardzo uparty. Myśli jak detektyw.

Czebrikow wiedział, że dokonał właściwego wyboru. Zamiatin został podniesiony do rangi pułkownika przez samego Andropowa w nagrodę za przeprowadzenie bardzo udanej operacji w Berlinie Zachodnim.

- Dostaliśmy tę informację dziś rano. Od razu zabraliśmy się do układania planu działania. Zamiatin czeka w hallu...

- To dobrze. - Andropow sięgnął do telefonu. - Wprowadźcie pułkownika Zamiatina.

Po chwili wszedł wezwany. Postawił walizeczkę na dywanie, wyprostował się i zaszalutował.

Andropow uprzejmie wskazał mu krzesło.

- Proszę usiąść, pułkowniku. Cieszę się, że to wy kierujecie tą sprawą.

Zamiatin usiadł z wysoce podniesioną głową. Dobiegał już czterdziestki, miał wąską twarz, ziemistą cerę i lekką tk w lewym oku.

- Towarzyszu generalny sekretarzu, ten plugawy spisek przeciwko waszej osobie jest oburzający i zostanie zdławiony - zapewnił służbie. - Będziemy bezitośni. Przy sięgam wam, towarzyszu, i naszej ojczyźnie, że dopilnuję tego.

Andropow przytaknął z uznaniem.

- Pułkowniku, tę groźbę należy potraktować bardzo poważnie. A co zamierzacie zrobić?

Napięcie znikło zarówno z głosu, jak i postawy Zamiatina. Rozluźniał się, kiedy wchodził na dobrze znany teren - planowanie akcji wywiadowczych. Nie musiał korzystać z żadnych notatek, wszystko miał w głowie. Wyjaśnił, że zamierza uderzyć w czterech kierunkach. Pierwszy to Watykan. Należy ustalić tożsamość pozostałych spiskowców, prawdopodobnie dwóch. Bardzo możliwe, że jednym z nich jest Bekonowy Książdz, a jeśli tak, to wykorzystuje pewnie całą swą siatkę. Tak czy owak, w Rzymie natychmiast zostanie zmontowana operacja na szeroką skalę. Agenci, którzy tam działają, zajmą się ustaleniem nazwisk spiskowców. Wkrótce skieruje się tam dodatkowych agentów. Niedługo on sam pojedzie do Rzymu, żeby na miejscu nadzorować akcję. Kiedy już zidentyfikują tych ludzi, rozpoczną ich stały nadzór. Podjęte zostaną wzmoczone wysiłki w celu założenia podsłuchu w Watykanie. Trzeba się przy tym pogodzić z większym ryzykiem wykrycia. Należy też zdecydować, czy po zidentyfikowaniu spiskowców uprowadzić się ich i przesłuchać.

W tym punkcie Czebrikow i Andropow wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zamiatin zauważył to i śmiało kontynuował.

Drugi kierunek uderzenia to ustalenie tożsamości posła. Do tego rodzaju misji Watykan musiał zaangażować jednego z najlepszych zamachowców. Tak więc całe KGB oraz wywiady satelickie zostaną postawione w stan pogotowia. Sporządzony zostanie szkielet komputerowy każdego podejrzanego. Wszyscy agenci, działający tak w bloku wschodnim, jak i poza nim, zostaną włączeni do akcji. Sprawdzony zostanie każdy znany zamachowiec czy terrorysta.

Trzeci cel to zabezpieczenie na granicach. Należy maksymalnie zwiększyć kontrolę na wszystkich przejściach granicznych, i to nie tylko sowieckich, ale i w państwach satelickich, zwłaszcza w Polsce. Naturalnie wywoła to protesty ministrów turystyki, ale w najbliższym czasie trzeba je po prostu ignorować. Andropow i Czebrikow znów wymienili spojrzenia. Szef KGB kiwnął głową na znak zrozumienia.

Zamiatin zapewnił, że zwiększona zostanie intensywność działań zmierzających do wykrycia Bekonowego Książdz i jego siatki. Wszyscy podejrzani, spośród których wielu znajduje się pod obserwacją, będą przesłuchani z najdalej posuniętą surowością.

Zrobił krótką przerwę i zapadła cisza. Wszyscy trzej wiedzieli, co oznacza najdalej posunięta surowość.

Czwarta część planu pułkownika obejmowała zapewnienie bezpieczeństwa generalnemu sekretarzowi. Już teraz ochrona sowieckiego przywódcy należała do najlepszych na świecie. Obecnie wzmocni się ją jeszcze bardziej, także nawet jeśli wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu papieski poseł przedostanie się do Moskwy, to jego szansę zbliżenia się do generalnego sekretarza na odległość mniejszą niż kilometr będą tak niskie, że praktycznie równe zeru.

Zamiatin skończył mówić i ponownie wyprostował się na krześle. Zapadła pełna zadumy cisza. Andropow podrapał się po lewej ręce. Czebrikow najpierw zgasił papierosa, po czym strzepnął z mundurki reszki popiołu i zaczął:

- Oczywiście, towarzyszu generalny sekretarzu, pod dowództwem pułkownika Zamiatina będzie pracował zespół naszych najzdolniejszych ludzi. Na czas akcji przejdą pod osobny system zarządzania. Wszelkie ich rozkazy wykonywane będą w pierwszej kolejności. Bardzo by nam pomogło, towarzyszu generalny sekretarzu, gdybyście wyдали odpowiednie osobiste instrukcje. Zapobiegłoby to niepotrzebnym spekulacjom.

Andropow przytaknął. Sprawiał wrażenie, że myślni jest gdzie indziej, ale Czebrikow wiedział, że nie przeszkadza mu to wcale słuchać, co się do niego mówi. Był pewien, że jak tylko spotkanie się skończy, kilkanaście najważniejszych w sowieckiej hierarchii osobistości otrzyma odpowiednie instrukcje. Zarówno jemu, jak i Zamiatinowi udzielona będzie nie kwestionowana, najdalej idąca pomoc. Andropow przesunął ręką po siwych włosach i ocknął się z zamyslenia. Palcem wskazał Zamiatina.

- Pułkowniku, w pełni aprobuję waszą strategię. Co czterdzieści osiem godzin chciałbym otrzymywać od was krótki raport. Do mnie proszę przesłać oryginał, a kopię do towarzysza Czebrikowa. Poza tym proszę nie robić ani jednej kopii. Zgadzam się z waszym poglądem, że Bekonowy Książdz macza w tym palce. Znajdźcie go; jeśli można, wyeliminujcie. Wiem, że to trudne. Próbowałem zrobić to przez cały czas pracy w KGB, ale wy musicie się starać bardziej niż ja. Wyznaczcie specjalną grupę ludzi wyłącznie do tego zadania. Jeśli go zlikwidujemy, to tak jakbyśmy odcięli smokowi głowę. W Polsce skoncentrujcie się zwłaszcza na zakonie jezuitów. Nieprzypadkowo kardynał Mennini należał do Nostra Trinita. Oni są najbardziej zdyscyplinowaną i oddaną częścią Kościoła Katolickiego.

Zamiatin mechanicznie skinął głową.

- Tak jest, towarzyszu generalny sekretarzu. Dziękuję za radę. Na pewno was nie zawiodę.

- Wiem, pułkowniku. Ufam wam. A teraz proszę zostawić nas samych.

Zamiatin wstał, zsalutował i odmaszerował. Wtem dobiegł go ostry głos Andropowa:

- Pułkowniku Zamiatin!

Odwrócił się. Na jego ziemistej twarzy malowało się ślepe oddanie. Usłyszał ociekające miodem słowa sowieckiego przywódcy:

- W dniu, w którym złapiecie lub zabijecie tego człowieka, awansujecie na generała. Jednocześnie dostaniecie daczę w Usowie.

Zamiatin nie potrafił ukryć radości. Az dech mu zaparło i wybełkotał:

- Dziękuję, towarzyszu generalny sekretarzu.

Usowo było niewielką miejscowością, w której tylko elita miała swoje letnie domy. Dopiero po wyjściu z pokoju Zamiatin uświadomił sobie, że nie było żadnej wzmianki o konsekwencjach jego ewentualnej porażki. Lecz właściwie nie było to konieczne. Śmierć Andropowa z rąk zamachowca praktycznie oznaczała również i jego śmierć.

Andropow ponownie podsunął Czebrikowowi papierosa, po czym wzruszył ramionami.

- Wiktorze, zawsze dysponujemy kijem i marchewką, ale trzeba wiedzieć, kiedy czego używać. Zamiatin jest znakomitym oficerem... no i jest ambitny. Jak na mój gust, to wyraźniej przemawia do niego marchewka. Tak zresztą jak do ciebie.

Potakując Czebrikow zapalił jeszcze jednego camela.

- Teraz będzie myślał tylko o dwóch rzeczach: o schwytaniu księdza i o nagrodzie.

- Też tak myślę - uśmiechnął się Andropow. - Opowiedz mi o przygotowaniach do operacji "Ermina".

- Idą doskonale, Juriju. Za kilka dni nasi ludzie kończą szkolenie w Libii. Potem okrężną drogą pojedą na Daleki Wschód i dotrą tam dwa tygodnie przed wizytą papieża. Nie będą się zupełnie wyróżniać z otoczenia. O nic się nie martw. Tym razem nam się uda. W chwili zabicia papieża sami również umrą. Plan jest absolutnie doskonały. Nawet Karpow *nie wywikłalby się z takiej sytuacji*.

Andropow uśmiechnął się i podniósł z krzesła. Powłócząc nogami podszedł do jednego z okien i spojrzął na ogromny gmach Arsenału. Czebrikow czekał cierpliwie.

Po kilku minutach sowiecki przywódca odwrócił się i rzekł w zamysleniu:

- Ten Bekonowy Ksiądz... wyobraź sobie, że od tylu już lat nie daje się złapać. Jak na ironię, Wiktorze. W siedemdziesiątym piątym dzięki zmontowanej przeze mnie operacji wyśledziliśmy go w pewnym domu w Rzymie. Nie potrafiliśmy go zidentyfikować, ale wiedzieliśmy, że w ściśle określonym miejscu i czasie będzie na spotkaniu razem z dwudziestoma kilkoma duchownymi. Proponowałem zlikwidowanie go przy pomocy Czerwonych Brygad. Palili się do tego. Chcieli za to miliard lirów - pestka! A Breżniew się nie zgodził, bo trzeba byłoby wysadzić w powietrze cały budynek. Zginęliby wszyscy. Breżniew miał skrupuły - nie chciał zabijać dwudziestu księży... i dwóch lub trzech zakonnic... Tylko że tak naprawdę, to on nigdy nie rozumiał naszej pracy. Interesowały go wyłącznie luksusowe samochody i usadzenie rodziny na wysokich stołkach. - Uśmiechnął się, ale nie było mu wesoło. - A teraz, przez paru księży i zakonnic, Bekonowy Ksiądz zagraża, mnie. - Potarł ręką zmęczoną twarz.

- Pójdę już, Juriju. - Czebrikow wstał. W głosie jego brzmiała troska. - Spróbuj trochę odpocząć, proszę.

Natychmiast pożalował swej troskliwości. Andropow wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Nie martw się o moje zdrowie. Jedno mogę ci obiecać... Przeżyję tego sukiny na papieża!

- Jeszcze raz - polecił ksiądz Lucio Gamelli.

Ścibor westchnął i powtórzył.

- Nerka to organ o długości dziesięciu centymetrów, ukrwiony przez tętnicę i żyłę nerkową. Mocz spływa z nerki w dół przez cewkę moczową do pęcherza moczowego.

Ksiądz mocno postukał palcem w rysunek.

- Moczowód, a nie cewkę. Skup się. Myśl! Zostało ci jeszcze tylko pięć dni, w sumie dwadzieścia pięć godzin szkolenia, a wciąż jest bardzo wiele materiału do opanowania.

- Jak długo studiował ksiądz medycynę? - spytał Polak z nutą agresji w głosie.

- Sześć lat medycynę ogólną i dziesięć urologię.

Ścibor odchrząknął.

- I chciałby ksiądz, żebym ja nauczył się tego w dwa tygodnie?

Gamelli się uśmiechnął, co było niecodziennym wydarzeniem. Już od dziewięciu dni wyciskał z tego Polaka ostatnie poty. Ksiądz Heisl wpoił mu przekonanie, że umiarkowana czy choćby powierzchowna wiedza na temat nerek to dla zaprotegowanego ucznia sprawa życia lub śmierci. Właściwie to zrobiła na nim wrażenie inteligencja Ścibora a, jego poświęcenie temu zajęciu oraz zdolności, ale nie pofolgował mu ani trochę. Nie leżało to w jego naturze nauczyciela.

- Musisz przyswoić sobie część mojej wiedzy. Za pięć dni przeegzaminuje cię profesor z zewnątrz, który nie wie, że nie jesteś lekarzem. Jeśli uda ci się go oszukać, to znaczy, że zdałeś egzamin. Jeśli oblejesz, ksiądz Heisl będzie ze mnie niezadowolony, a ja bardzo bym sobie tego nie życzył. - Spojrzał na zegarek - Chodź, za dziesięć minut musimy być na sali operacyjnej. Czas już się umyć.

Ścibor wstał.

- W porządku, doktorze.

To jego czwarta operacja. Znajdował się w Instytucie Medycyny imienia św. Piotra. Ksiądz Gamelli był tu głównym chirurgiem specjalizującym się w urologii; cieszył się światową sławą. Przez tych kilka dni zrodził się w Polaku ogromny szacunek, żeby nie powiedzieć przywiązanie do tego człowieka. Pięć godzin dziennie Gamelli szkolil go osobiście. Ścibor wiedział, że nie odbywa się to kosztem innych studentów czy pacjentów. Ksiądz pracował obecnie osiemnaście, dziewiętnaście godzin dziennie. Ścibor wiedział też, że Gamelli dostanie za ten czas psie pieniądze. Nie bardzo mógł to zrozumieć. Wprawdzie pracując w SB, sam czasem miał godziny nadliczbowe, ale otrzymywał za to specjalne przywileje i awanse.

Kiedy myli ręce, Gamelli wyjaśnił przypadek, którym mieli się zająć. Mówił to zarówno do Ścibora, jak i do swego asystenta - nieśmiałego młodego internisty. Pacjentką była czterdziestokilkuletnia kobieta. W rezultacie powtarzających się infekcji nastąpiły nieodwracalne uszkodzenia nerek. Serce zaczęło już odmawiać posłuszeństwa i jej jedyna nadzieja to transplantacja.

Na sali operacyjnej Ścibor zajął miejsce między Gamellem a anesteziologiem. Patrzył, jak wprawne palce chirurga wykonują najpierw duże nacięcie, a potem szybko i sprawnie tamują upływ krwi. W ciągu dziesięciu minut Gamelli odsłonił nerkę.

Asystent stał po drugiej stronie stołu. Razem ze Ściborem uważnie się przyglądał objaśnianym przez Gamellego czynnościom.

- Teraz krew pacjenta jest dializowana przez maszynę. Możemy bezpiecznie usunąć chorą nerkę i zastąpić ją nerką dawcy.

Operacja trwała dwie godziny. Później, kiedy się myli i ubierali, Ścibor zauważył, że ksiądz Gamelli jest bardzo zadowolony.

- Jakie są jej szanse? - zapytał.

Gamelli wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Na pewno ponad pięćdziesiąt procent. Może nawet osiemdziesiąt.

Ten uśmiech pozwolił Ściborowi zrozumieć, dlaczego ksiądz pracuje tak długo za marne pieniądze - może właśnie przedłużył czyjeś życie o trzydzieści czy czterdzieści lat.

Rozmyślał o tym w drodze do domu. Szedł przez Ponte Vecchio. Zapadał już zmrok i most był zatłoczony. Hulaśliwi handlarze oferowali przechodniom rozmaite błyskotki i upominki. Gdzieś tam stał jakiś zebrał. Ścibor początkowo dziwił się widząc zebrałków wśród takiego dobrobytu, ale ksiądz Heisl wyjaśnił mu, że tutaj nawet biedakom nieźle się powodzi.

Gdy był na środku mostu, poczuł, że ktoś go szturchnął z tyłu. Odwrócił się i zobaczył uciekającego czarnowłosego chłopaka. Pomacał tylną kieszeń i zajął - nie było portfela. Chciał biec za złodziejem, ale podjechał właśnie skuter i chłopak wskoczył na tylnie siedzenie. Zanim zniknął, Ścibor zobaczył jeszcze jego szyderczy uśmiech.

Stał właśnie przy straganie z owocami. Z wściekłością chwycił dojrzałą cytrynę, wielkością przypominającą piłkę tenisową, ale była znacznie cięższa. Przeciskając się przez tłum, pobiegł za skuterem. Dojrzał go w korku przy końcu mostu. Motocyklista zręcznie manewrował między ciężarówką a krawężnikiem i zjeżdżał właśnie z mostu. Ścibora dzieliło od niego zaledwie czterdzieści metrów i barierka mostu. Rzucił cytrynę w kierunku skutera.

Z głuchym odgłosem owoc trafił motocyklistę tuż za uchem. Rezultat był natychmiastowy - kierowca spadł z siodelka, a kierownica skrzyła się w bok. Przednim kołem skuter uderzył w wysoki krawężnik i upadł na chodnik o włos tylko omijając jakąś kobietę z małą dziewczynką, która zaczęła przeraźliwie pisać. Złodziej wyleciał z siodelka jak katapultą i odbijając się od pancernej szyby wystawowej, upadł na ziemię.

Motocyklista właśnie się podnosił, kiedy podbiegł Ścibor. Kopnął go prosto w twarz. Usłyszał i jednocześnie poczuł trzask łamanej kości. Chłopak z powrotem upadł nieprzytomny. Ścibor odwrócił się. Kieszonkowiec wstawał. Na jego chłopczej twarzy malowała się wściekłość. Sięgnął właśnie do kieszeni drelichowej kurtki. Polak dostrzegł błysk stali. Pamiętał teraz wyłącznie o tym, czego nauczył się w Libii; jego ruchy były automatyczne. Nagłym machnięciem lewej ręki odwrócił uwagę chłopaka, potem zrobił szybki obrót i pchnął przed siebie prawą ręką. Poczuł, jak koniuszki palców zagłębiają się w oczach krzyżującego przeraźliwie przeciwnika. Natychmiast wyrzucił w górę lewą stopę celując we wrażliwe kroczki. Stwardniało momentalnie. Chłopak upadł na plecy i wijąc się z bólu, zakrywał rękoma oczy. Całe zajście trwało nie więcej niż pięć sekund. Ścibor rozejrzał się dookoła. Oszołomieni przechodnie stali nieruchomo niczym skały. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Rozległ się dźwięk zderzenia i tłuczonego szkła - jakaś taksówka wpadła na autobus, który przyhamował nagle, bo kierowca chciał zobaczyć, co się dzieje. Gdzieś z głębi ulicy dobiegł gwizdek policyjny.

Skuter leżał na chodniku; przednie koło jeszcze się kręciło. Tuż przy nim Ścibor zauważył swój portfel. Podniósł go i szybko przeszedł obok zastających w przerażeniu ludzi. Przypomniał sobie słowa instruktora: "Nie biegnij, chyba że akurat ktoś cię goni. Idź spokojnie z opuszczoną głową, nie rozglądając się. Staraj się raczej słyszeć niż widzieć, co się dzieje. Jeśli ktoś zacznie cię gonić, na pewno to usłyszysz".

Nie słyszał pościgu.

Na stole leżały trzy nakrycia. Ścibor zastanawiał się, kto wraz z nim i; będzie jadł kolację. Ksiądz Heisl rozmawiał przez telefon w pokoju obok. Z kuchni dołatywał apetyczny zapach. Można by pomyśleć, że Heisl ma cały legion niskich starszych pań ubranych na czarno, które opiekują się jego "czyściami" i smakowicie gotują. Polak przy puszczał, że są to zakonnice albo członkinie świeckich zgromadzeń religijnych. Podeszedł do kredensu, nalał sobie kieliszek amaretto i sączył powoli delektując się słodkim migdałowym smakiem. Usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki. Ksiądz Heisl wszedł do pokoju. Na jego twarzy malowała się powaga. Ścibor zaproponował mu kieliszek likieru, ale ksiądz odmówił.

- Jeden z nich ma szczęgę złamaną w trzech miejscach. Będą; musieli umocować ją na metalowej wstawce. Drugi stracił oko; Lekarze starają się uratować drugie, no i jego genitalia. - Spojrzał na wypolerowane nowe buty Polaka. - Nie uważasz, że jednak trochę przesadzileś?

Ścibor opróżnił kieliszek i nalał sobie następny.

- To byli przestępcy. Zresztą co miałem robić? Poglaskać po głowie i poprosić, żeby zwrócili mój portfel?

- Obaj mają po osiemnaście lat - westchnął Heisl. - Jesteś pewien, że nikt nie widział, jak tu wchodziłeś?

- Absolutnie. Przeszedłem jakiś kilometr, a potem taksówką podjechałem do Santa Croce. Następnie szedłem około dziesięciu minut i znów złapałem taksówkę na dworzec kolejowy, a stamtąd wziąłem następną taksówkę i wysiadłem pół kilometra stąd. Dwa razy, okrążyłem budynek - nikt za mną nie szedł.

Heisl z uznaniem pokijał głową.

- No cóż, policja będzie cię poszukiwać... ale chyba niezbyt intensywnie. Tak czy inaczej, nie możesz więcej chodzić tamtędy pieszo. Jakis straganiarz mógłby cię rozpoznać, a oni często dorabiają sobie informowaniem policji. Byłoby lepiej przeprowadzić się, ale nie ma na to czasu. Zorganizuję ci więc transport samochodem stąd do szpitala i z powrotem.

Minę miał posępną. Ścibor wypił lyk likieru i bezrosko stwierdził:

- Tak czy owak, wiecie teraz, że wasze piętnaście tysięcy dolarów nie poszło na marne.

Lecz ta uwaga nie rozśmieszyła Heisla. Ścibor wskazał palcem stół.

- Kto będzie naszym gościem?

- Ania Król. - Heisl spojrział na zegarek - Powinna tu być za kilka minut. Skończyła już szkolenie w Rzymie. Popracuję z nią jeszcze kilka dni, dopóki ty nie skończysz kursu w instytucie.

Polak skinął głową bez zadawania pytań, choć bardzo był ciekawy gościa. Od czasu sprzeczki z Bekonowym Księdzem na temat włączenia do akcji kobiety, jego ciekawość wciąż rosła. Zastanawiał się, jaka to zakonnica zgodziła się zawiesić swe święte śluby i wraz z obcym mężczyzną odbyć podróż przez Europę Wschodnią.

Heisl najwyraźniej czytał w jego myślach, bo przerwał je ostrym głosem.

- Pamiętaj, Mirosławie, że ona nic nie wie o twoim zadaniu. Powiedziano jej tylko, że jako tajny poseł Kościoła masz udać się do Moskwy. I to wszystko.

- Czy ona wie, że jestem ateistą?

- Tak... poza tym kardynał Mennini powiedział jej, że w świetle naszych zasad jesteś żywym człowiekiem.

Heisl podeszedł do krzesła i usiadł. Pokój rozbrzmiewał śmiechem Ścibora, który po chwili dopił swój likier i, ku cichemu zadowoleniu Heisla, nie napełnił kieliszka po raz kolejny. Często się zdarza, że w obliczu niebezpieczeństwa ludzie szukają ulgi w alkoholu. W zasadzie codziennie pili po kolacji dobre wino, ale Polak zawsze zachowywał umiar.

Teraz uśmiechnął się drwiąco.

- Ona już pewnie nie może się doczekać tej podróży.

Heisl odpowiedział bez owijania w bawełnę:

- Jest gotowa wypełnić swój obowiązek ze względu na wiarę i oddanie Bogu. Ale rzeczywiście wyraziła obawę o swe fizyczne bezpieczeństwo.

Na twarzy Ścibora odmalował się gniew.

- Niech to szlag trafi, nie jestem gwałcicielem! Czy ateista musi od razu gwałcić? Cholerny kardynał... co za hipokryzja! Widziałem księży mieszkających z kobietami! W zeszłym roku aresztowałem jednego, bo napastował dziesięcioletnią dziewczynkę!

W jego ciemnych oczach iskrzył się gniew. Heisl dał znak ręką, że chce coś powiedzieć.

- Uspokój się, Mirosławie. Na całym świecie są setki tysięcy księży. Naturalnie niektórzy okazują się słabi i błędzą... takich jest niewiele, ale nie da się tego uniknąć. My też jesteśmy ludźmi, czujemy się czasem samotni i mamy ludzkie słabości. Nikt nie nazywa cię gwałcicielem. Jesteś niebezpiecznym człowiekiem, ale moim zdaniem masz swój własny kodeks moralny.

To wyjaśnienie ułagodziło Ścibora. Podeszedł do okna i przez firankę wyjrzał na ulicę. Na rogu właśnie zatrzymała się taksówka. Wysiadła z niej kobieta z małą niebieską walizką. Postawiła ją na chodniku, po czym zapłaciła kierowcy za kurs. Miała na sobie bezowy płaszcz nieprzemakalny ściągnięty w talii paskiem. Polak od razu zwrócił uwagę na jej nogi. Taksówka odjechała, a ona podniosła walizkę i zaczęła iść ulicą. Z góry Ścibor nie mógł dojrzeć jej twarzy, ale zauważył kruczoczarne włosy obcięte na pazia i gibki, pewny siebie chód. Przystanęła na chwilę odczytując numery domów. Ścibor odwrócił się od okna.

- Ma ksiądz rację... ale mój kodeks nie powstrzyma mnie od zbliżenia się do kobiety, która mnie pragnie... nawet jeśli jest zakonnica.

Heisl chciał to skomentować, ale przeszkodził mu dzwonek do drzwi.

Na kolację podano canelloni, a potem trippa alla florentina. Ścibor siedział na wprost księdza, mając Anię po lewej stronie. Jak zwykle gospodyni podawała dania w milczeniu, ledwie zwracając uwagę na komplementy kierowane pod adresem jej kulinarnych umiejętności.

Zanim jeszcze skończyli pierwsze danie, Heisl poważnie się zaniepokoił. Atmosfera przy stole zrobiła się lodowata. Każde słowo było obwieszone sopelkami lodu. Zaledwie pół godziny wcześniej obawiał się, że Polak będzie grał rolę słodkiego uwodziciela, i martwił się, nie tyle może o to, że mu się powiedzie, ale że sytuacja będzie nieprzyjemna. A tu zaszło coś zupełnie przeciwnego. Od chwili, w której został przedstawiony Ani i przywitał się z nią, Ścibor cały czas był posępny i mało mówny. Dłubał widelcem w potrawie i ledwie spróbował doskonałego chianti. Ani udzielił się jego nastroj. Raz po raz spoglądała na księdza, jakby chcąc dodać sobie pewności siebie. Zauważyła, że duchowny jest zakłopotany.

- Czy coś się stało, proszę księdza? - spytała.

Zanim ksiądz zdążył odpowiedzieć, Ścibor otwarcie jej wyjaśnił:

- Nie, nic się nie stało. Ksiądz jest zmartwiony, bo dziś wieczorem okaleczyłem dwóch złodziejasków.

- Nie wydaje mi się, żeby Ania musiała o tym wiedzieć - wtrącił rozdrażniony Heisl.

- Ależ tak - odparł równie zdenerwowany Ścibor. Zwrócił się do Ani. - Próbowali ukraść mi portfel. Jednemu polamałem szczękę. Drugi stracił oko i być może swoją męskość. Ksiądz Heisl uważa, że przesadziłem, a ja wcale tak nie myślę. - Lekko pochylił się w jej stronę wymachując ręką. - Jeśli coś podobnego zdarzyłoby się w czasie naszej podróży, zabilbym ich, żeby nie mogli podać naszych rysopisów. Rozumiesz?

Skinęła z powagą.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że nasza podróż jest niebezpieczna. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał nikogo zabijać.

- I jeszcze jedno - ciągnął Ścibor. - Powinnaś wiedzieć, że byłem przeciwny, abys z mną jechała. Niestety, musiałem się podporządkować sile wyższej.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Postaram się być ci pomocna. - Mówiła spokojnie patrząc mu prosto w oczy. - Wierzę, że para podróżująca razem mniej rzuca się w oczy. Mówię płynnie językami krajów, przez które będziemy przejeżdżać. Jestem wysportowana i nie brak mi inteligencji. Jeszcze zanim dojedziemy do Moskwy, zaczniesz się cieszyć, że jadę z tobą.

Ścibor chrząknął z powątpiewaniem, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo weszła gospodyni niosąc kolejne danie - trippa alla fiorentina. Gdy zamknęła za sobą drzwi, Polak zwrócił się do księdza.

- Wszyscy, łącznie z księdzem i z Van Burghiem, musicie zrozumieć, że moja misja ma absolutne pierwszeństwo. - Gestem wskazał Anię. - Jeśli ona zacznie mi przeszkadzać, pozbędę się jej. Jeśli będziemy ścigani, a ona za mną nie nadąży, zostawię ją. Jeśli zostanie ranna, nie będę ciągnął jej za sobą.

Powiedział to bardzo szorstko. Heisl nieco zaniepokojony kręcił się na krześle, a Ania odparła swym matowym głosem:

- Przyjęłam to do wiadomości, Mirku. A ponieważ żona powinna wiedzieć co nieco o zwyczajach i upodobaniach męża... powiedz mi, czy lubisz muzykę?

Ścibor ostupiał w obliczu tak nagłej zmiany tematu. Powoli pogląskła dość długie już wąsy i wzruszył ramionami.

- Trochę.

- A jaką?

Odpowiedział niemal przestraszony:

- Naszą muzykę, to znaczy dobrą polską muzykę. Na przykład Chopina - jego sonaty i... tak, zwłaszcza mazurki.

Uśmiechnęła się zadowolona.

- Ja też. Uwielbiam jego etudy. Moja ulubiona to "Motyl". Znasz ją?

Ścibor przytaknął. Po raz pierwszy ksiądz dostrzegł w jego oczach ożywienie. Az do końca posiłku, w sumie przez jakieś dwadzieścia minut, rozmawiali o Chopinie i w ogóle o polskiej muzyce. Księdzu słoń nadepnęła na ucho, więc nie interesował się tą dziedziną sztuki i w związku z tym nie brał udziału w rozmowie.

Kiedy jednak podano kawę, Ścibor sucho odmówił, oznajmiając, że zamierza wcześniej pójść spać, i opuścił pokój.

Uprzejmym tonem Heisl zwrócił się do Ani:

- Czekaj, cię trudne zadanie, moje dziecko. On nie jest łatwy we współpracy. Jestem jednak pewien, że chociaż w tej podróży będziesz narażona na niebezpieczeństwo, to z jego strony nic ci nie grozi.

- Też tak myślę, proszę księdza. Ale jeśli tak beztrząsowo mówi o zabijaniu, to ta misja musi mieć ogromne znaczenie dla niego osobiście... nie tylko dla Kościola. Czy te interesy są całkowicie zbieżne?

Nalewała właśnie kawę do dwóch filiżanek. Pamiętała, że ksiądz słodzi dwiema kostkami i dolewa troszkę mleka. Gdy mieszała kawę ksiądz próbował zebrać myśli.

- Tak, Aniu. Ale z pewnych względów, logicznych z punktu widzenia bezpieczeństwa operacji, nie możesz nic o niej wiedzieć.

- Na wypadek gdyby mnie złapano? - spytała podając mu filiżankę.

- Właściwie tak.

- A nie ze względu na spokój mego sumienia?

Ksiądz uniósł filiżankę starając się szybko ocenić sytuację. Ta młoda dama była zbyt inteligentna, aby prawić jej komunały. Upił łyczek kawy i stanowczo stwierdził:

- Nie wolno mi nawet odpowiedzieć na to pytanie. Bekonowy Ksiądz udzielił ci już wszelkich informacji, jakie możesz posiadać na ten temat. Spokój twemu sumieniu musisz zapewnić modlitwą.

- Rozumiem - odrzekła posłusznie, lecz Heisl wiedział, że inteligencja wciąż będzie podsycać jej ciekawość. Pośpieszył też; z wyrażeniem jej swego uznania.

- Świetnie dałaś sobie z nim radę, Aniu. Będzie lepiej, jeśli on cię, w pełni zaakceptuje i zrozumie, że możesz okazać się pomocna.

- Niech się ksiądz nie martwi - uśmiechnęła się. - Dam sobie z nim radę. Zadbam o spokój mego sumienia, a ksiądz niech nie niepokoi swojego.

Siedząc w sypialni na górze, Ścibor czuł się dziwnie poruszony. Ta dziewczyna zburzyła jego spokój, a nie rozumiał jak i dlaczego. Zwykłe to on wpływał w ten sposób na kobiety. Przeanalizował swoje zachowanie i uświadomił sobie, co zaszło. Wielu mężczyzn, pewnie większość, ma jakieś wyobrażenia o zakonnicach - młodych, ładnych, dziewczęcych. Kiedyś miał ołazę przesłuchiwać dwie zakonnice w Krakowie, podejrzane o kontakty z dysydentami. Jedną z nich, w średnim wieku, nie była ładna, ale druga była młoda i atrakcyjna. Przesłuchiwał je osobno i to dosyć długo. Podczas rozmowy z młodszą wyczuwał, że jego męskość i spojrzania robią na niej pewne wrażenie. Miała na sobie długi, luźny habit i w myślach rozbiegał ją z niego, próbując wyobrazić sobie jej ciało. Widział tylko twarz, ale w myślach powstał obraz miękkiego, nagiego ciała i to go podniecało.

A teraz przy Ani zaszło coś zupełnie odwrotnego. Ona nie miała habitu. Właściwie to nawet ta brązowa sukienka z miękkiej wełny uwydatniała jej kształty. Od razu zauważył pełne piersi, wąską talię i zarys nóg. Wysoko osadzone kości policzkowe, smągła cera i czarne włosy czyniły jej twarz piękną. Lecz jakby na przekór sobie, w wyobraźni widział ją wyłącznie w habitcie, osłoniętą kornetem.

Jego pokój urządzony był po spartańsku. Znajdowało się tu tylko łóżko, szafki na ubrania, mały stolik i krzesło. Wyjrzał przez okno. Zaczął się sypiać drobny deszcz i ulice błyszczały w blasku lamp ulicznych. Jakaś para spacerowała trzy mając się pod ramię, ale najwyraźniej sprzeczała się, nerwowo gestykulując wolnymi rękami. Pomyślał, że pewnie są małżeństwem. Kiedyś sam omal się nie ożenił. Córka pułkownika z jego wydziału była dziewczyną ładną i niegłupią, a przy tym dobrą kochanką. Przy puszczał, że ma spory temperament, nad którym świetnie panuje, ale to mu specjalnie nie przeszkadzało. Lubiał kobiety z ikrą. Wiedział, że atrakcyjna, inteligentna żona to cenny nabytek dla ambitnego oficera. Po kilku tygodniach postanowił się oświadczyć. Odebrał bardzo tradycyjne wychoowanie, więc najpierw poprosił jej ojca o prywatne spotkanie. Pułkownik spotkał się z nim w biurze po godzinach pracy. Ścibor zapukał do drzwi drząc lekko, ponieważ o pułkowniku mówiono, że jest groźny i ściśle trzyma się dyscypliny. Chyba zauważył zdenerwowanie Ścibora. Wskazał mu krzesło, wyjął z szafki butelkę wódki i dwa kieliszki. Zdjął też czapkę i niedbale rzucił ją na biurko na znak, że młodszy kolega może mówić swobodnie i nieoficjalnie.

Mocny alkohol rozgrzał go i uspokoił. Nieco formalnie, ale pewny siebie, powiedział:

- Towarzyszu pułkownika, przyszedłem prosić uniżenie o rękę pańskiej córki, Jadwigi.

Słowa te wywarły na pułkownika nieoczekiwane wrażenie.

Wyprostował się na krześle i zmierzył Ścibora świdrującym spojrzeniem, jakby chcąc się upewnić, że mówi poważnie. Gdy pozbył się już co do tego wątpliwości, wychylił kieliszek do dna i zdecydowanie potrząsnął głową.

- Niemożliwe! Absolutnie niemożliwe!

W pierwszej chwili Ścibor poczuł się upokorzony, lecz potem rozdrażniło go to.

- Oby watele pułkownika, pochodzę z dobrej rodziny. W naszej sekcji jestem najmłodszym oficerem awansowanym na kapitana i spodziewam się...

Pułkownik przerwał mu machnięciem ręki.

- Jak długo znasz moją córkę?

- No cóż, zaledwie pięć tygodni... ale mamy czas...

- Ani słowa więcej, Ścibor, i słuchaj.

Pułkownik oparł się o biurko. Nos miał czerwony jak burak, a oczka małe i okrągłe.

- Lubię cię, Ścibor. - Wycełował w niego palec. - Jesteś inteligentny i starasz się. Wróćcie awansujesz na majora... możesz wspiąć się na sam szczyt...

- Więc dlaczego?

- Zamknij się i słuchaj. Powiedziałem, że cię lubię. A moja córka to największa, zaraz po mojej żonie, kurwa na świecie. O, nie! Jadwigę zachowam dla jakiegoś sukina syna, którego nie będę mógł ścierpieć; Już ona się postara, żeby go unieszczęśliwić, tak jak jej matka unieszczęśliwiła mnie... A ciebie lubię. No, idź już.

Ścibor opuścił pokój oszłomiony. I to jej własny ojciec! Ale rozsądek zwyciężył. Któż może znać ją lepiej niż ojciec?

Raz jeszcze zaprosił Jadwigę na kolację i uważnie dziewczynę obserwował. Zauważył, że jej ładne usta są wciąż jakby niespokojne, a duże niebieskie oczy często zerkają w stronę wejścia, zatrzymują się na każdym samotnym mężczyźnie i podążają za nim, jeśli jest przystojny. Jadwiga zamawiała najdroższe dania, choć dobrze wiedziała, że jego fundusze są mocno ograniczone. W myślach podziękował pułkownikowi i zdecydował, że z założeniem rodziny może jeszcze poczekać.

Później spotykał się z wieloma dziewczętami. Prawie zawsze jakąś miał, choć zwykle nie dłużej niż kilka tygodni. Nigdy już nie myślał o małżeństwie...

Odpędził od siebie wspomnienia i usiadł przy stoliku, na którym leżał stosik podręczników medycyny. Wziął jeden i otworzył tam gdzie była zakładka. Przez następną godzinę czytał robiąc w zeszycie notatki. W pewnej chwili usłyszał, że drzwi na dole zamknęły się, a schody zaczęły skrzypieć. Miękkim krokiem Ania przeszła obok jego pokoju. Był pewien, że to ona - Heisl cierpiał na bezsenność i kładł się spać dopiero nad ranem. Potem otworzyły się i zamknęły drzwi do łazienki. Nastąpiła chwila ciszy i zaraz Ścibor usłyszał szum wody napełniającej wannę. Wyobraził sobie, jak Ania rozpina brązową wełnianą sukienkę. Ciekawe, jaką ma bieliznę? Może coś delikatnego? Nie, pewnie wstrętne, ogromne majty.

Spróbował ponownie skoncentrować się na książce, zmusić się do myślenia o tym, co czyta. Doszedł do wniosku, że nerka to najnudniejszy organ ludzkiego ciała. Jak, do diabła, ksiądz Gamelli może poświęcać jej Iwiał część swojego czasu?

Usłyszał trzaskanie drzwi od łazienki. Potem zaskrzykiała podłoga, a następnie drzwi pokoju obok otworzyły się i zamknęły. Ściany były cienkie i wcale nie tłumili cichutkiego skrzypnięcia sprężyn łóżka. Wyobraził sobie, jak Ania siedzi na brzegu wycierając włosy - te czarne, błyszczące włosy, które do niedawna zakrywał kornet. Ciekawe, czy była naga? Zamknął oczy próbując wyczarować jakiś obraz. Bez rezultatu. Widział tylko jej twarz. Reszta stanowiła mieszaninę bieli i czerni. Chyba był to habit.

Zamknął książkę i położył się, ale spał bardzo niespokojnie.

- Co to jest?

Profesor egzaminujący go pchnął w jego stronę duży słoć. Ścibor podniósł go i przyjrzał się zawartości.

- To część nerki.

- Czy stara się pan mnie rozśmieszyć?

- Nie, panie profesorze.

- Co jest nie w porządku z tą nerką? - westchnął profesor. Znajdowali się w instytucie - egzaminator, na wprost niego Ścibor i ksiądz Gamelli siedzący w pobliżu drzwi. Polak ukończył już swój przyśpieszony kurs i przyszedł czas na egzamin. Ścibor wziął głęboki oddech i obrócił słoik - fragment zniekształconej nerki pływał w formalinie. Zauważył groniaste skupiska torbieli zawierające ciemny płyn.

- To zaawansowane wielotorbielowate zwyrodnienie nerek.

Profesor skinął głową i zrobił jakąś notatkę.

- A co poza tym?

Ścibor postanowił zaryzykować.

- Pacjent nie był starym człowiekiem.

Zauważył, że profesor zerknął na księdza Gamellego. Zastanawiał się, czy właśnie zrobił z siebie durnia.

- Jakie leczenie by pan zastosował?

Ścibor akurat czytał coś na ten temat poprzedniego wieczoru.



- Choroba jest nieuleczalna i jedynym ratunkiem jest przeszczep nerki przy uwzględnieniu ograniczeń związanych z samą transplantacją.

Profesor zmów skinął głową i zrobił kolejną notatkę.

Egzamin trwał pół godziny. Ścibor wiedział, że przy niektórych odpowiedziach strasznie się płątał, lecz gdy później wszedł do ciasnego biura Gamellego, ksiądz był z niego zadowolony.

- Profesor był zupełnie zdezorientowany - uśmiechnął się. - W niektórych tematach byłeś wprost genialny, o innych nie miałeś zielonego pojęcia. Ale to nic, poszło ci całkiem niezle. - Wyciągnął do niego rękę. - Powodzenia w twoim przedsięwzięciu.

Ścibor mocno uściśnął jego dłoń i podziękował.

- Proszę księdza, jeśli kiedykolwiek będę miał kłopoty z nerkami, będę wiedział, do kogo z tym przyjść.

Ksiądz potrząsnął głową.

- Tacy jak ty nie zapadają na tego typu choroby.

Jadąc do domu, Ścibor zastanawiał się, co ksiądz miał na myśli. Siedział obok kierowcy - młodego, rudowłosego duchownego. Przez te pięć dni, kiedy razem jeździli, ksiądz nie odezwał się do niego ani słowem. Ścibor domyślał się, że pewnie dostał polecenie od Heisla. Właśnie minęło południe, gdy dojechali do domu. Wysiadając Ścibor podziękował kierowcy, który ledwie skinął głową i odjechał. No cóż, nie ma sensu przejmować się tym. Czuł się rozluźniony, bo naukę miał już za sobą. Naciśnął dzwonek i czekał. Drzwi otworzyła Ania. Miała na sobie bezowy płaszcz przeciwdeszczowy. Natychmiast wsunęła mu rękę pod ramię, odwróciła go i oznajmiła stanowczo:

- Zabierasz mnie dzisiaj na obiad. Dwie godziny temu ksiądz Heisl wyjechał do Rzymu w jakiejś pilnej sprawie. Wróci dopiero wieczorem. A pani Benelli ma wolny dzień.

Pozwolił jej się prowadzić i zapytał:

- W jakiej pilnej sprawie?

- Nie wiem. Ktoś zadzwonił i zaraz potem ksiądz wyszedł. Wydawał się zaniepokojony. Powiedział, że byśmy byli gotowi do drogi jutro rano. Tutaj nie mamy już nic do roboty.

- A gdzie jedziemy?

- Tego nie powiedział. Masz dużo pieniędzy?

- Na co?

Uśmiechnęła się do niego.

- Na drogi obiad. Mam ochotę na frutti di mare. Pani Benelli poleciła mi dobrą restaurację. To niedaleko stąd. Czy mój mąż lubi owoce morza?

Spojrzał na nią. Sięgała mu głową do ramienia. Pomimo niepokoju wywołanego nagłym wyjazdem Heisla zaczął udzielać mu się jej nastrój.

- Właściwie nie wiem. Jadłem tylko krewetki i małże z puszką. Będziesz musiała sama wybrać coś dla mnie.

Puściła jego ramię. Ścibor sięgnął po jej rękę. Ania rzuciła mu szybkie spojrzenie. Ujął jej dłoń i powiedział bez troski:

- Wypada, żeby młodzi małżonkowie trzymali się za ręce. Musisz pamiętać swoją rolę.

Posłusznie skinęła głową. Dłoń miała lekko wilgotną. Ścisnął ją lekko, ale nie zareagowała.

Usiedli w rogu, daleko od innych stolików. Kelner chciał wysunąć krzesło dla Ani, ale Ścibor go ubiegł. Gdy Ania usiadła i zaczęła rozpinać płaszcz, musnął ustami jej kark. Zesztywniała. Kelner patrzył z aprobatą. Siadając Ścibor powiedział:

- Wiesz, kochanie, przypomniało mi się to uroczyste bistro w Taorminie.

Patrzyła na niego nie rozumiejącym wzrokiem. Uśmiechnął się.

- Nie pamiętasz, kochanie? W czasie naszego miodowego miesiąca. Chyba trzeciego wieczoru. Pamiętam, że byłem wtedy całkowicie wyczerpany.

Przypuszczał, że Ania się zarumieni, ale spotkał go zawód.

- Ach, tak - Bez trudu weszła w swą rolę. - Naturalnie. Jedliśmy wtedy homara. A ty byłeś wyczerpany, bo cały dzień pływałeś i opalałeś się. Zdecydowanie wówczas przesadziłeś, mój drogi. - Odwróciła się do kelnera. - Czy macie tu homary?

Kelner ze smutkiem pokręcił głową i podał jej menu.

- Mamy za to wspaniałe, świeżutkie krewetki dublińskie.

Bez porozumiewania się ze Ściborem, zamówiła małże z czosnkiem w białym winie, a na drugie krewetki z grilla z sosem majonezowym i sałatką. Na jej pytanie dotyczące wyboru wina kelner polecił soave. Ścibor obserwował Anię podziwiając jej pewność siebie. Wiedział, że spędziła w zakonie prawie całe życie. Heisl mówił mu, że dopiero kilka tygodni temu zaczęła poznawać życie ludzi świeckich, a przecież teraz sprawiała wrażenie poważnej, pewnej siebie i obytej kobiety. Z uśmiechem na ustach oddała kelnerowi menu i zdjęła płaszcz. Miała na sobie ciemnoniebieską, gładką bluzkę i kremową spódnicę. Wyglądała ślicznie. Nagle Ścibora uderzyła pewna myśl.

- Twoją urodą będziesz zwracać na nas uwagę.

- Nie martw się. To zostało wzięte pod uwagę. Nauczono mnie, jak się ubierać, żeby nie rzucać się w oczy. Ale już niedługo wyruszamy... a potem... potem znów wrócę do klasztoru... pomyślałam więc, że dzisiaj ubiorę się tak, jak chciałabym wyglądać... gdybym nie była zakonnica. - Uśmiechnęła się. - Masz coś przeciwko temu?

Zaprzączył ruchem głowy. Usta miała leciutko pociągnięte sminką, a na powiekach chyba odrobinę cieni. Kiedy muskał wargami jej kark, nie czuł żadnych perfum; tylko delikatny, piżmowy zapach jej skóry. Na chwilę przywiodła mu na myśl siostrę z czasów, kiedy razem się bawili. Od dawna już tłumil podobne myśli. Teraz to wspomnienie było jak słodycz zaprawiona goryczą.

Przyniesiono małże. Chciał natychmiast zabrać się do jedzenia, ale pohamował się, bo Ania z pochyłą głową zaczęła odmawiać modlitwę. Zaczekał uśmiechając się lekko. Podniosła głowę i odwzajemniła uśmiech. Kelner otworzył butelkę i nalal trochę Ściborowi, ale on zaprzeczył ruchem głowy.

- Moja żona skosztuje. To ona jest ekspertem.

Z uprzejmym uśmiechem kelner postawił kieliszek przed Anią.

Ania wysoko go uniosła i ostrożnie potrząsnęła. Potem podsunęła go sobie pod nos wachając bukiet. W końcu skosztowała łyceczek i po chwili zastanowienia przełknęła. Z powagą skinęła głową, a kelner napełnił oba kieliszki. Gdy tylko odszedł, zaczęła chichotać.

- Czy i tego cię uczono?

- Nie, widziałam to kiedyś w telewizji. - Podniosła kieliszki i ponownie popatrzyła na niego pod światło. - Ma piękny kolor. Pierwszy raz w życiu piję wino, które nie jest poświęcone... Reguła mojego zakonu jest bardzo surowa.

- Smakuje ci to wino?

Wypila jeszcze jeden łyceczek.

- Tak, Mirku. Chyba dlatego, że jest wytrawne. Świączone wino zawsze jest słodkie. - Uśmiechnęła się. - No i dlatego, że to zakazany owoc.

Ścibor szybko podchwycił temat.

- Pewnie do tej pory wiele było w twoim życiu zakazanych owoców. - Dostrzegł w jej oczach nieco bojowe spojrzenie. - Czy wszystkich zamierzasz skosztować?

- Nie. Kilka kieliszków wina to nie grzech. - Wypila kolejny łyk. - Mam nadzieję, że nie będziesz mi niczego utrudniał.

Patrzyła mu prosto w oczy. On też jej się przyglądał. Wniesienie krawetek przerwało milczenie.

Do końca kolacji Ścibor dotknął jej tylko raz - kiedy opukiwali palce w miseczkę. Postanowił wtedy, że zanim dojadą do Moskwy, pozna jej ciało. Po raz pierwszy spotkał kobietę, co do której miał pewność, że jest dziewicą. Już sama ta myśl podnieciła go.

Ania wydawała się nieświadoma jego pragnień. Miała teraz ochotę na lody. Kelner, który faktycznie stał się już jej niewolnikiem, zaproponował tartuffo. Ścibor zrezygnował z deseru.

Lody wyglądały raczej nieapetycznie - ot, kula polana czekoladą. Ania spróbowała troszkę i aż krzyknęła w zachwycie. Namawiała Ścibora, żeby skosztował, i podsunęła mu łyżeczkę pod usta. Jemu również lody wydawały się znakomite, więc zjedli je razem.

Przy kawie Ania oznajmiła, że chce pójść do Uffizi.

- A co to takiego?

- Jedna z najslawniejszych galerii sztuki we Włoszech. Słyszałam, że jest tam kilka wspaniałych dzieł sztuki... Może to niepowtarzalna okazja, żeby je zobaczyć.

Tak więc poszli do Uffizi. Ścibor niewiele wiedział o sztuce i nie potrafił jej docenić, ale entuzjazm Ani był zaraźliwy. Przyłączyli się do grupy niemieckich turystów i przysłuchiwali objaśnieniom przewodnika na temat obrazów Leonarda da Vinci, Caravaggia i innych.

Potem wrócili do domu. Ścibor trzymał Anię za rękę. Ona wprawdzie nie odpowiedziała uściskiem, ale też nie cofnęła dłoni.

W lodówce znalazła trochę szynki i salami, i wraz z surówką podała je na kolację. Ścibor otworzył butelkę wina, ale Ania nie miała na nie ochoty. Sprawiała wrażenie zamyślonej.

- Aniu, czy pomyślałaś kiedykolwiek, że mogłabyś prowadzić zupełnie inne życie? Że mury klasztorne to mniej więcej to samo, co mury więzienne?

Wstała, zebrała naczynia i włożyła je do zlewu. Zaczęła zmywać i Ścibor myślał, że nie otrzyma odpowiedzi, ale po chwili Ania spokojnie powiedziała:

- Nigdy nie trzymałam mnie w zamknięciu. Świadomie wybrałam zakon. I jestem szczęśliwa. Oczywiście wiem, że życie poza murami klasztoru byłoby zupełnie inne - i jest - ale nie brakuje mi go. Miło jest móc zobaczyć, jak ono wygląda - to tak jakby pojechać na inną planetę, ale możesz być pewien, będę zadowolona, kiedy to wszystko się skończy i będę mogła wrócić do klasztoru... i do moich ślubów.

Ścibor zastanawiał się, o co jeszcze mógłby ją zapytać, ale ona właśnie odwróciła się wycierając ręce.

- Pójdę już spać. Dobrze się dziś bawiłam, Mirku... dziękuję.

- Ja też. - Wstał. - I sporo się nauczyłem.

Gdy szła w kierunku drzwi, rzucił nieco sarkastycznie:

- Nie pocałujesz swego męża na dobranoc?

Odwróciła się.

- Ależ tak. Jestem poślubiona Bogu. W pokoju mam krzyż. Pocałuję go przed snem.

W saloniku znalazł butelkę taniej brandy. Palila mu gardło, ale wypił pół szklanki. Wreszcie usłyszał odgłos zatrzymującego się samochodu. Po chwili ktoś nacisnął kławkę.

Ksiądz Heisl wyglądał na zmęczonego. Tym razem odmówił drinka.

- To jest ohydne - ostrzegł go Ścibor.

- Nie szkodzi. Przeczyści mi gardło.

- Co się stało? - zapytał podając mu szklaneczkę.

Heisl zakrzuszył się pierwszym łykiem.

- A jak twój egzamin?

- Właściwie zdalem.

Heisl wypił kolejny tyk

- To dobrze. Jutro oboje z Anią wyjeżdżacie do Wiednia. A pojutrze do Czechosłowacji. Tak więc wasza podróż się zaczyna.

- Cieszę się. A co pognęło księdza do Rzymu?

- Potwierdzenie złych wieści. - Heisl westchnął. - Najwyraźniej spowiednik Menniniego doniósł władzom. Teraz KGB wie o tobie. Wczoraj zaostrzyli kontrolę na wszystkich przejściach granicznych. Są bardzo skrupulatni. Potworzyły się tasiełcowe kolejki. - Podsunął szklanczkę, żeby Ścibor mógł mu dolać.

- Przecież spodziewaliście się tego.

- Owszem, ale oni działają z niespotykaną do tej pory surowością. Dowiedzieliśmy się, że schwytano wielu naszych ludzi w Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Rosji... naprawdę wielu. - Przez chwilę pił w milczeniu rozcierając czoło.

- Ale tego także powinniście się spodziewać - zauważył Ścibor.

Heisl odmruknął wyczerpany:

- Tak, Mirosławie, ale nie myśleliśmy, że posuną się tak daleko. Kilka osób zostało pobitych w domach, jeszcze zanim je z nich wywieziono... nawet w Polsce. Modłę się za tych ludzi.

- W takim razie KGB i sam Andropow wpadli w panikę... - wywnioskował Ścibor - boją się mnie. Czy trasa, którą mam jechać, jest zagrożona?

- Nie. - Heisl dopił brandy i odstawił szklanczkę. - Ale obawiamy się, że jeden z naszych kanałów został przerwany, a inny jest w niebezpieczeństwie.

- To ma swoją dobrą stronę, bo odwróci ich uwagę.

- Owszem - westchnął Heisl. - Kosztem ogromnego cierpienia. Dobrze wiesz, do czego zdolni są ci z KGB, gdy czują się przy ciśnięci do muru.

- Może ksiądz być pewien, że wiem - potwierdził Polak ze smutkiem. - Ale to mi coś przypominało. Potrzebuję broni - pistoletu.

- Zapomnij o tym - odparł Heisl stanowczo. - Bekonowy Ksiądz nigdy się na to nie zgodzi. Zdecydowanie się temu sprzeciwi.

Ścibor dolał sobie trochę brandy.

- Proszę księdza, proszę mu powiedzieć, że ja i Ania różnimy się od tych, którymi do tej pory kierował, Prawda, złapali kilku waszych. Będą ich torturować, może wyślą do gułagów, lecz jeśli dostaną mnie w swoje łapy, to wolałbym szybko umrzeć i raczej z własnej ręki. Wolę od razu pójść prosto do piekła, niż testować je przez kilka miesięcy za życia... I Ania pewnie też. Nie wiem, jak bogatą ksiądz ma wyobraźnię, ale niech ksiądz pomyśli, co wtedy z nią zrobią. Może w końcu trafi do raju, ale przedtem przejdzie przez piekło. Jeśli nas złapią, pierwsza kula będzie dla niej, a druga dla mnie.

Heisl miał nieszczęśliwą minę. Ponownie podniósł szklanczkę, a Ścibor wlał do niej resztę brandy. Ksiądz upił trochę.

- To się nie spodoba Bekonowemu Księdzu. Tak czy owak, jest już za późno. Nie będę się z nim widział ani nawet rozmawiał przed wyjazdem.

Ścibor zachichotał i powiedział sarkastycznie:

- Za kogo ksiądz mnie ma - za idiotę? Zna ksiądz Van Burgha lepiej niż ja i dobrze wie, że będzie jutro w Wiedniu. Nie przepuści początku swojej akcji. Na pewno przyjedzie do Wiednia w jednym ze swoich przebrań. Proszę mu powiedzieć, że bez pistoletu nigdzie nie jadę.

- To szantaż.

- Nie. To tylko moja polisa ubezpieczeniowa. Moja i Ani.

- A skąd ja ci wezmę pistolet? - spytał Heisl zrezygowany.

Ścibor wybuchnął pogardliwym śmiechem.

- Potrafiłście umieścić mnie w jednym z najbardziej znanych obozów terrorystycznych, a teraz nie może ksiądz znaleźć jednego małego pistoletu w takim mieście jak Wiedeń? - Postukał go palcem w klatkę piersiową. - Gdyby ksiądz zapragnął, mógłby postawić w stan pełnej gotowości cały oddział artylerii wyposażony w dalmierze laserowe. A ja chcę tylko jeden pistolet.

- Pomyślę o tym - wzruszył ramionami Heisl.

To Polakowi wystarczyło. Stuknął pustą szklanką o prawie pełną szklankę Heisla - rozległ się ostry dźwięk.

- I zapasowy magazynek... Dobranoc księdzu.

Po jego wyjściu Heisl podszedł do okna i ze smutkiem patrzył na ulicę. Zastanawiał się, dlaczego jego ukochany Bekonowy Ksiądz dał się w to wplątać. Dręczył go ogromny niepokój, czy cała ta operacja jest moralna, nawet jeśli udałoby mu się zapomnieć o własnej roli i o wielkim niebezpieczeństwie, w jakie pakują młodą zakonnicę. Losem Ścibora się nie martwił.

Pułkownik Oleg Zamiatin uważał, że najlepiej radzi sobie ze skomplikowanymi zagadkami. Miał umysł detektywa i zawsze był mistrzem w rozwiązywaniu krzyżówek oraz groźnym i pełnym inwencji szachistą. Do tej zagadki zabrał się z rozkoszą, a do pomocy miał trzech asystentów, podobnych sobie zapaleńców, a także najnowocześniejsze w ZSRR centrum komputerowe.

Asystenci siedzieli naprzeciw niego przy biurkach w drugim końcu ogromnego pokoju. Zamiatin holdował teorii wspólnego biura; mógł w ten sposób stale kontrolować tempo pracy swoich podwładnych i odpowiadać bez zwłoki na ich pytania.

Komputer RIAD R400 oraz jego terminale znajdowały się w suterenie. Zamiatin zadowolony był z organizacji swego biura oraz jego lokalizacji. Chociaż znajdowało się przy ulicy Dzierżyńskiego, nie mieściło się w budynku KGB, ale obok niego, tuż przy dużym sklepie "Dietskij Mir" - Świat Dziecka - w którym sprzedawano wszystko - od niemowlęcych ubranek aż do strojów sportowych. Zamiatin jednak nie dostrzegł ironii tego sąsiedztwa.

Ponieważ generalny sekretarz jego akcji przyznał priorytet, pułkownik miał zapewnioną współpracę wszystkich urzędów w ZSRR. Mógł bez żadnych wyjaśnień zagarnąć do swej wyłącznej dyspozycji każdego pracownika i wszelki sprzęt, jakiego tylko potrzebował. Na ścianie obszernego biura wisiała ogromna elektroniczna mapa europejskiej części ZSRR i jego sąsiadów. Wszystkie przejścia graniczne oznaczone były różnokolorowymi światełkami, dzięki którym można było równie odczytać ich znaczenie i przepustowość. W pokoju informacyjnym obok siedziało dwunastu ekspertów, kontrolując bez przerwy wszelkie przychodzące i wychodzące wiadomości oraz obsługując komputer. Wszystko to uruchomiono w ciągu czterech dni. Jeden z nich Zamiatin spędził w Rzymie w biurze agentury KGB. Przejrzał i sprawdził tamtejsze plany infiltracji Watykanu. Nie szczędził ani uwag krytycznych, ani pełnych zachęty. Zaaprobował ryzyko wykrycia, które gotowi byli podjąć. Mogło to oznaczać kilku spalonych agentów, ale gra warta była świeczki. Tuż przed powrotem do kraju sam pojechał do Watykanu.

Wieczór był chłodny, ale to było nic w porównaniu z pogodą w Moskwie. Nie zdejmując płaszcza przechadzał się jak zwyczajny turysta. Stojąc na placu św. Piotra, wpatrywał się w oświetlone okna papieskich apartamentów. Zastanawiał się, czy za którymś z nich przebywa papież.

W pobliżu stała jakaś para starszych Amerykanów. Pełnym szacunku głosem kobieta zwróciła się do męża:

- Jak myślisz, kochanie, może właśnie je kolację?

Mężczyzna miał na sobie płaszcz w jasną kratkę i niemiecką kapelusz w zielonym piórkiem.

- Nie - odparł - jest za wcześnie. Pewnie modli się albo coś w tym rodzaju.

Lepiej dla niego, żeby się modlił, pomyślał Zamiatin. Odwrócił się na pięcie i sprężystym krokiem wrócił do samochodu.

Wszyscy trzej siedzący przy biurkach mężczyźni byli majorami. Każdy miał niewiele ponad trzydzieści lat. Byli najlepszymi w KGB analitykami. Można by ich nazwać raczej akademikami niż agentami wywiadu. Oderwano ich od innych bardzo ważnych zajęć i fakt ten sprawił Zamiatinowi satysfakcję. Od trzech dni skrupulatnie badali każdą informację, których napływały tysiące i to bez przerwy. Pracowali w milczeniu, od czasu do czasu tylko cicho się naradzając. Do Zamiatina zwracali się wyłącznie wtedy, gdy natrafili na coś ważnego. Jak do tej pory przesiew na granicach zaowocował jedynie seria aresztowań różnych przestępców. Przy wjeździe przemycano narkotyki, traktaty religijne i pornografię, a w wieżach nielegalnie próbowano ikony i inne dzieła sztuki. Zatrzymano też podejrzanego mężczyznę, prawdopodobnie brytyjskiego kuryera z MI 6, oraz czterech dydydentów próbujących z fałszywymi dokumentami przekroczyć granicę fińską. W sumie niezły połów, lecz nic, co wiązało się z papieskim posłem. Naturalnie minister turystyki ostro protestował przeciwko posunięciom władz wywołującym bałagan i niezadowolone, ale telefon od Andropowa skutecznie go uciszył.

Zamiatin zdążył już złożyć generalnemu sekretarzowi pierwszy ze swoich czterdziestoosmiodziesięciu raportów. Przedstawił w nim wszystkie podjęte kroki. Właśnie pracował nad drugim raportem. Bardzo chciałby donieść w nim o czymś wyjątkowo ważnym, ale przecież nie upłynęło dużo czasu i Andropow na pewno to zrozumie, niezależnie od tego, jak niecierpliwie czeka na postępy.

Dobiegły go ciche głosy konsultujących się między sobą dwóch majorów. W końcu jeden z nich zwrócił się w jego stronę.

- Towarzyszu pułkowniku...

Zamiatin podniósł wzrok. To najmłodszy i chyba najinteligentniejszy, Borys Gudow, miał mu coś do powiedzenia. Jak zwykle wyglądał niechlujnie i pachniał niezbyt przyjemnie, ale umysł miał bystry. W jego zwykłe zaspanych oczach pojawiło się ożywienie:

- O co chodzi?

Gudow zerknął najpierw w prawo na majora Iwanowa, po czym odezwał się pewnym siebie głosem:

- Cztery dni temu wydano rozkaz włączenia do akcji niektórych naszych nieaktywnych agentów ulokowanych w wywiadach zachodnich.

- Zgadza się - przytaknął Zamiatin przypominając sobie poruszenie wywołane tym posunięciem wśród wyższych oficerów KGB.

- Pamiętacie tego agenta w niemieckiej BND o pseudonimie Mistral?

- Oczywiście.

Zamiatin pamiętał go doskonale. Mistral został umieszczony w BND jeszcze w sześćdziesiątym trzecim roku, na długo przed skandalem wywołanym aferą Guillama. Przetwał skandal i stopniowo wspinał się po szczeblach, aż doszedł do najwyższego, czyli do stanowiska dyrektora strategii. Ale nawet wtedy nie uaktywniono go w nadziei, że pewnego dnia zostanie dyrektorem naczelnym agencji. I dopiero teraz, kiedy Andropow boi się o własne życie, wprowadzono go do akcji.

- No cóż - powiedział Gudow - on i jemu podobni dostali rozkaz składania raportów wyłącznie w sprawach wagi państwowej... oraz tych związanych z Watykanem, Kościołem Katolickim i jego wywiadem.

- I co w związku z tym?

Gudow postukał palcem w leżącą na biurku teczkę.

- Wczoraj Mistral nawiązał łączność ze swoim kontaktem w Bonn. Przekazał mu teczkę, którą jego wywiad otrzymał od kogoś w prezencie. Teczka zawiera opisy dwudziestu czterech uczestników i siedmiu instruktorów z obozu terrorystycznego "Ibn Awad" na pustyni libijskiej według stanu z dnia dwudziestego drugiego ubiegłego miesiąca.

- Mów dalej - zachęcił Zamiatin. Nie było to oznaką zniecierpliwienia, ale miał jakieś przecucie.

Gudow mówił wyraźnie, kładąc nacisk na poszczególne słowa. Koledzy uważnie go obserwowali.

- Cóż, towarzyszu pułkowniku, w normalnych warunkach nie miałyby to większego znaczenia. Wszystkie zachodnie wywiady, a zwłaszcza CIA i Mossad, wkładają wiele wysiłku w próby infiltracji tego typu obozów. Jednak ten prezent nie pochodził od żadnego z tych wywiadów...

Zrobił krótką pauzę.

Zamiatin zdążył się już zniescierplwić.

- A od kogo? - zapytał ostro.

- Od Funduszu Zapomogowego na Rzecz Krajów zza Żelaznej Kury - uśmiechnął się Gudow.

Zamiatin zmarszczył brwi, skojarzył fakty, po czym sam też się uśmiechnął.

- Aha, to pewnie nasz dobry znajomy, Bekonowy Ksiądz... dajcie mi tę teczkę.

Major Gudow wykonał polecenie. Dwaj pozostali obserwowali Zamiatina, który skinął na nich palcem. Podeszli do jego biurka.

Pułkownik zaczął przeglądać zawartość teckę. Na każdej kartce widniały dwa atramentowe szkice męskiej lub kobiecej twarzy - en face i z profilu.

Poniżej umieszczono rysopisy. Właśnie wszyscy przyglądali się podobież młodej, ładnej Azjatki. Major Gudow wskazał palcem ostatnie zdanie: "Gotowa do uprawiania seksu z każdym, aż do granic nimfomani".

- Wynika stąd - mruknął Zamiatin - że ten, kto gromadził te dane, miał w obozie nieco więcej zajęć, niż wymagał tego program szkolenia.

- Z pewnością - przytaknął Gudow. - Jest zresztą więcej na ten temat.

Pięć kartek dalej widniała podobizna nieco surowej, ale atrakcyjnej twarzy Leili. I znów Gudow wskazał ostatnie zdanie: "Lubi dominować w łóżku. Wykazuje tendencje sadomasochistyczne".

Jeden z majorów uśmiechnął się i zapytał:

- Jak mógłbym dostać się do tego obozu?

Roześmieli się wszyscy, nawet Zamiatin, który czuł teraz uniesienie i ulgę.

- Wy nie - powiedział, po czym wskazał palcem Gudowa - ale Borys pojedzie tam i to już wkrótce. A teraz usiądźcie.

Wrócili do biurek i cierpliwie czekali. Zamiatin przejrzał teczkę do końca, a potem zamyślił się głęboko. W końcu podniósł głowę i z dużym ożywieniem wydał polecenie:

- Majorze Gudow, pojedziecie teraz do domu, przebierzcie się w cywilne ubranie, spalujcie, co wam potrzeba na jeden dzień, i udajcie się do bazy lotnictwa wojskowego w Lublinie. Tam będzie czekał na was wojskowy odrzutowiec; polecie nim do Libii. Spotkanie się tam z wyższym oficerem libijskiego wywiadu, który helikopterem zabierze was do obozu "Ibn Awad". W zasadzie nie wolno im fotografować uczestników, ale możecie być pewni, że czasem to robią, potajemnie oczywiście. Postaracie się o te fotografie i porównacie je z rysunkami w teckę. Naturalnie będzie o jedno zdjęcie więcej. I to będzie nasz człowiek, mężczyzna... albo kobieta. Najprawdopodobniej jednak mężczyzna, chyba że papieski poseł jest lesbijką. - Nikt się nie uśmiechnął; jego spojrzenie i ton głosu wykluczały taką reakcję. - Następnie przesłuchacie wszystkich instruktorów oraz tych uczestników, którzy byli w obozie przed dwudziestym drugim zeszłego miesiąca, a zwłaszcza tę Filipinkę i instruktorkę Leilę. Daję wam na to dwanaście godzin. Czekam na raport jutro przed dziesiątą wieczorem. Starajcie się przespać w czasie lotu. I nie zawiedźcie mnie. A teraz idźcie już.

Major Gudow wstał, zsalutował i skierował się do drzwi. Zatrzymał go głos Zamiatina. Pułkownik wyciągnął teczkę w jego kierunku.

- Będziecie tego potrzebowali.

Gudow zawrócił. Wyglądał na zawstydzonego, ale Zamiatin nie złościł się. Wiedział, że geniusze często są roztrągnięci. Odwrócił się od wychodzącego Gudowa i wydał polecenie jednemu z pozostałych majorów:

- Towarzyszu Worincew, zorganizujecie transport i kontakt z wywiadem libijskim poprzez naszego agenta w Trypolisie. Działajcie jak w sytuacji wyjątkowej.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. - Worincew sięgnął po jeden z telefonów na swoim biurku.

Zamiatin spojrział na trzeciego asystenta oczekującego instrukcji. W końcu zlecił mu zadanie:

- Majorze Iwanów, zamówcie dla nas wszystkich herbatę!

Iwanów uśmiechnął się i sięgnął po telefon. Złożył zamówienie i zapytał:

- Jak, do diabła, udało się Bekonowemu Księdzu umieścić swojego człowieka w takim miejscu?

Zamiatin westchnął.

- Spróbujemy się tego dowiedzieć, ale obawiam się, że jednak nam się to nie uda. Nie wolno nie doceniać tego cholernego klechy... - Wziął głęboki oddech i podniósł z biurka pisak - Ale właśnie depczemy mu po piętach.

Raport do generalnego sekretarza zakończył następująco: "Istnieje możliwość zasadniczego zwrotu w próbie ustalenia tożsamości zamachowca i jego rysopisu. Spodziewam się otrzymać informacje w tej kwestii przed napisaniem kolejnego raportu".

Arcybiskup Mario Versano czuł się nieswojo. Wprawdzie krzesło było wygodne, ale sytuacja zdecydowanie nie.

- Ale co się właściwie dzieje, Mario? - delikatnie powtórzył pytanie papież.

Zakłopotany arcybiskup potrząsnął głową.

- Naprawdę nie wiem, Wasza Świątobliwość. To wszystko wydaje się jakieś dziwne.

- Bardzo dziwne - potwierdził papież. Wstał, podszedł do biurka i podniósł jakąś kartkę. - Dostałem raport od prymasa Glempa z Warszawy. SB otrzymała jakieś rozkazy prosto z Moskwy i przeprowadza aresztowania w całej Warszawie. Złożyliśmy już protest, ale zignorowali go. I podobnie dzieje się w całym bloku wschodnim. Zupełnie nie dbają o opinię światową. Aresztowali już setki naszych ludzi. Od dawna tego nie było. - Wypuścił z rąk kartkę i podniósł następną. - Ciban doniósł mojemu sekretarzowi, że tylko w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś próbował przekupić trzech pracowników fizycznych Watykanu, żeby umożliwili założenie podsłuchu. Na szczęście to dobrzy ludzie i natychmiast powiedzieli o tym Cibanowi. Ten z kolei zwrócił się z tym do agentów kontrwywiadu, którzy złapali jakiegoś Włocha, już notowanego. Podobno ma on jakieś powiązania z KGB. A poza tym zauważyli wzmrożoną aktywność KGB w Rzymie, W dodatku ty otrzymujesz tajemnicze pogrożki, prawdopodobnie od Czerwonych Brygad. Ciban bardzo niepokoi się o moje bezpieczeństwo. Chce, żebym odwołał mój jutrzejszy wyjazd do Mediolanu.

- A czy Wasza Świątobliwość zrobi to?

Papież upuścił kartkę, wrócił do krzesła i ciężko na nim usiadł.

- Niczego nie odwołam. Myślisz, że za tym wszystkim stoi Andropow? Myślisz, że będzie próbował zabić mnie tutaj... w Watykanie... we Włoszech?

- Nie, Wasza Świątobliwość.

- A więc o co chodzi?

Versano założył nogę na nogę i pochylił głowę. Starał się zaplanować tok swojej wypowiedzi. W końcu zdecydował się i z wahaniem w głosie odpowiedział:

- Wasza Świątobliwość, oczywiście słyszałem to i owo. Wydaje mi się, że wchodzą tu w grę mylne informacje. Niektórzy stwarzają pozory za pomocą podstępów.

- Co to znaczy?

Versano skinął głową.

- Tak, myślę, że to o to chodzi. Wasza Świątobliwość wie doskonale, że włoski wywiad zawsze miał powiązania z pewnymi osobami w Watykanie. Stało się to oczywiście po ujawnieniu łoża masońskiej P2.

Papież westchnął.

- Owszem, ale staraliśmy się to ograniczyć.

- Mimo to, Wasza Świątobliwość, bardzo możliwe, że ci ludzie w Watykanie dowiedzieli się o ponownym spisku KGB... Andropowa właściwie... niektórzy są w gorącej wodzie kąpani. Może powiedzieli trochę za dużo.

Papież wciąż nie rozumiał.

- Co masz na myśli?

Versano już polubił ten temat.

- No cóż, może powiedzieli coś o jakimś rzekomym odwecie. - Przerwał na chwilę, żeby wzmocnić napięcie. - Naturalnie, tylko tak mówili. Darzą Waszą Świątobliwość najwyższym szacunkiem i pewnie byli przerażeni groźbą kolejnego zamachu. To właściwie zagrożenie dla naszego umiłowanego Kościoła. Sam muszę się przyznać, że ta wiadomość wzbudziła we mnie ogromny gniew. Oczywiście powinniśmy nad tym panować, ale nie wszyscy to potrafią.

Papież zaczął rozumieć.

- Czy wiesz, Mario, coś więcej na ten temat? Kto mógłby brać w tym udział? Sądząc po sytuacji w Polsce, pewnie ksiądz Van Burgh ma z tym coś wspólnego. Ciban mówił, że między innymi właśnie w Russico próbowano założyć podstuch. Chciałem skontaktować się z Van Burghiem, ale podobno prowadzi jakąś akcję charytatywną za żelazną kurtyną.

Versano wzruszył ramionami.

- Pewnie tak, Wasza Świątobliwość. Na tym polega jego praca.

- Tak, niech go Bóg błogosławi. Ale wiem też, że on lubi chadzać własnymi ścieżkami. Kiedy jeszcze byłem arcybiskupem w Krakowie, Van Burgh często podejmował rozmaite działania, o których dowiedziałem się dopiero po fakcie.

Versano postarał się nadać głosowi pojednawczy ton.

- Będę miał uszy i oczy otwarte, Wasza Świątobliwość; jeśli tylko dowiem się czegoś, powiadomię o tym Waszą Świątobliwość. Sprawdź też, czy m. ksiądz Van Burgh zajmuje się aktualnie i kiedy wraca. Wasza Świątobliwość może to zostawić mnie... Wasza Świątobliwość ma tyle innych zmartwień.

Papież przytaknął i potarł brodę. Gdy się odezwał, w jego głosie brzmiał smutek.

- Strata kardynała Menniniego to wielki cios. Codziennie modłę się za jego duszę. Dopiero co zaczął reorganizować i kształtować nowe oblicze zakonu. To ogromna strata... - westchnął. - A ostatnio dowiedziałem się, że najprawdopodobniej zastąpi go kardynał Bascone. - Rozłożył ręce w geście rozpaczy. - On niestety reprezentuje bardzo radykalne poglądy... Być może będę musiał interweniować, a bardzo nie chciałbym tego robić. Mogłoby to spowodować jeszcze większy rozłam wewnątrz zakonu... a nawet Kościoła.

- Myślę, że na razie Wasza Świątobliwość nie musi się o to martwić. - Versano wciąż mówił pojednawczym tonem. Cieszył się, że porzucili już poprzedni temat. - Z moich informacji wynika, że zwolennicy Basconego rekrutują się wyłącznie spoza zakonu.

- Obyś miał rację. - Smutek ustąpił miejsca uśmiechowi na twarzy papieża. - Tak chciałbym, Mario, żebyś pojechał ze mną do Mediolanu. Brakuje mi ciebie w czasie tych podróży.

Na twarzy Versana pojawił się wymuszony uśmiech.

- Ja też chciałbym pojechać, Wasza Świątobliwość. Mam nadzieję, że już wkrótce sytuacja się wyjaśni... Na pewno nie odstąpię Waszej Świątobliwości w czasie podróży na Daleki Wschód.

Papież wstał.

- Nic bardziej mnie nie ucieszy. A tymczasem, Mario, wierzę, że dasz mi i znać, jak tylko dowiesz się czegoś w tamtej sprawie. Ona mnie niepokoi. - Znów westchnął. - Czy wiedziałeś, że kardynał Mennini nosił włosienicę? Wyšlo to na jaw dopiero po jego śmierci. Umartwiał swe ciało, musiał prawdziwie cierpieć...

Versano skinął głową.

- Tak, Wasza Świątobliwość. Kardynał Mennini miał duszę nieskalaną grzechem. Ja także modłę się za niego.

Papież uśmiechnął się i podsunął arcybiskupowi pierścień. Versano schylił się i ucałował go.

Frank rozłożył na biurku zdjęcia typu paszportowego. Niektóre były bardzo wyraźne, inne mniej. Żadne nie było pozowane. Major Gudow, ubrany w jasnoniebieską koszulę z krótkimi rękawami i źle skrojone spodnie z nieścieralnego jeansu, otworzył swoją teczkę i pochylił się nad biurkiem. Za nim stał szef trypoliskiej agentury KGB. Miał na sobie ubranie typu safari; na jego twarzy malował się niepokój. Obok stał Hassan ubrany w burnus. Pełnił funkcję zastępcy szefa libijskiego wywiadu. Jego mina wyrażała rozdrażnienie. Gudow reprezentował Wielkiego Brata, więc Hassan musiał traktować go z szacunkiem, choć nie podobało mu się jego wywyższenie się.

Gudow szybko dopasował zdjęcia do zdjęć. Frank mu pomógł; był bardzo spostrzegawczy. Cała operacja zajęła dziesięć minut. Powoli Gudow przysunął do siebie ostatnią fotografię przedstawiającą twarz Mirosława Ścibora z półprofilu.

Frank uśmiechnął się mówiąc:

- Jeśli jego szukacie, to muszę powiedzieć, że nigdy nie popełnił najmniejszego błędu. Nigdy nie zadał niedozwolonego pytania. Nigdy nie wzbudził najmniejszych podejrzeń.

- Chcę zobaczyć jego teczkę - rzucił niecierpliwie Gudow.

Frank podszedł do stalowej szafki, przeczucił kilka teczek, po czym wyjął właściwą. Kiedy podawał ją Rosjaninowi, wciąż miał na ustach nikły uśmiech. Gudow popatrzył na imię wypisane flamastrem na tece: "Werner".

- To Niemiec?

Frank zaprzeczył ruchem głowy.

- Mówił doskonale po niemiecku, ale z obcym akcentem. Znał też angielski. Myślę, że pochodzi z Europy Wschodniej; może jest Czechem albo Polakiem... może nawet Rosjaninem.

Gudow prychnął z niedowierzaniem i ostro zwrócił się do Hassana:

- Skąd przyjechał?

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę uzyskać zgodę szefa... może nawet samego pułkownika - stanowczo oświadczył Hassan.

Gudowa to rozjuszyło. Przez dwie minuty obrzucał Araba obelgami. Gdy wreszcie skończył, ślina ciekła mu po brodzie. Hassan oparł się o ścianę, jakby przyparty do niej potokiem przekleństw Rosjanina. Na jego surowej twarzy malowała się mieszanina zaskoczenia i strachu. Gudow wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł nią podbródek po czym kładąc nacisk na każde słowo, powiedział:

- Twój szef rozkazał ci udzielić mi wszelkiej pomocy. A teraz albo odpowiesz na moje pytanie, albo umrzesz jeszcze przed zachodem słońca.

Hassan nie śmiał nawet drgnąć. Zaczął mówić mechanicznie jak robot:

- Przyjechał do Trypolisu z Triestu na statku s/s "Lydia". To cypryjski statek zarejestrowany w Limassolu.

- Kto go przysłał? - warknął Gudow.

Hassan zdobył się na wzruszenie ramionami.

- Powiedziano nam, że niemiecka Frakcja Czerwonej Armii.

- Czy masz na to jakiś dowód?

- Nie. Nigdy tego nie wymagamy. Takie mamy zasady; nie zadajemy żadnych pytań. Szkolimy wszystkich bez względu na ideologię. Jedyne, co ich łączy, to stosowanie bezwzględnej terrory. - Nieco ostrzejszym głosem powtórzył: - Takie mamy zasady. To KGB je ustanowiło... i dla tego obozu, i dla innych.

- Gdzie jest teraz ten statek?

Hassan odpowiedział po chwili namysłu:

- Kursuje regularnie między Limassolem, Triestem i Trypolisem... za kilka dni powinien przybyć do Trypolisu.

- Lagowski! - Gudow zwrócił się do agenta KGB. - Żądam, żeby przesłuchano załogę. Zrobicie to osobiście. Wyciągniecie z nich każdy szczegół na temat tego człowieka. Chcę mieć te informacje w ciągu dwudziestu czterech godzin od przybycia statku.

- Tak jest, towarzyszu majorze!

Lagowski przewyższał rangą Gudowa, ale polecenia, jakie otrzymał przed nagłym przyjazdem majora, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, kto komu podlega.

- Macie także znaleźć i przesłuchać tego, kto wprowadził go na statek w Trieście. Uzyskajcie wszelkie informacje od Hassana i przekażcie wiadomość do Rzymu. Oni już złożą mi meldunek bezpośrednio do Moskwy.

- Tak jest, towarzyszu majorze!

W końcu Gudow otworzył teczkę. Zawierała raporty instruktorów na temat Wernera. Szybko wszystkie przeczytał. Raport Franka, jako głównego instruktora, znajdował się na końcu. Gdy Rosjanin czytał końcową opinię, Frank patrzył na niego z tym samym nikłym uśmiechem.

- Ten człowiek miał przejść szkolenie we wszystkich dziedzinach i w każdej przewyższał innych. W chwili opuszczenia obozu znajdował się u szczytu sprawności fizycznej. Zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym jest doskonałym zamachowcem.

Gudow spojrzął na niego pytająco. Frank dodał cicho:

- Jest najlepszy ze wszystkich, których kiedykolwiek szkolilem. Najlepszy, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jest śmiertelnie niebezpieczny.

Gudow wskazał palcem fotografię.

- Kto z tych ludzi wciąż jest w obozie?

Frank szybko przebrał zdjęcia, odkładając część z nich na bok. Zostało dwanaście. Gudow przejrzał je.

- Filipińczycy wyjechali?

- Cztery dni temu.

- Szkoda. - Zwrócił się do Lagowskiego, a palcem wskazał Hassana. - Spróbujcie ich wyśledzić. Werner utrzymywał stosunki seksualne z jedną z kobiet. Chcę ją przesłuchać. - Spojrzął na zegarek, ściągnął brwi i zwrócił się do Franka: - Przesłucham tutaj wszystkich z tych zdjęć. Najpierw uczestników, a potem instruktorów. Pana na końcu. A tuż przedtem Leile.

Odprawił obecnych ruchem ręki. Wychoząc, Frank zapytał jeszcze:

- Czy chce pan napić się kawy, majorze?

- Nie - odparł z wahaniem. - A macie coca-cole?

- Oczywiście - uśmiechnął się Frank

- To proszę mi przysłać trzy butelki, dobrze schłodzone.

Gudow nie liczył zbyt na uzyskanie znaczących informacji od przesłuchiwanego, może z wyjątkiem Leili.

I miał rację. Dowiedział się jedynie, że Werner lubił słuchać, ale mówił niewiele. Zaczynał już tracić nadzieję, kiedy wreszcie wprowadzono Leilę. Na jej ładnej twarzy malował się kamienny spokój. Wobec innych Gudow był surowy, niemal groźny. Z Leilą zamierzał postąpić łagodnie. Nie dlatego, że była kobietą, ale jeden rzut oka na jej twarz uświadomił mu, że potrafi być uparta. Poza tym słyszał o niej co nieco i wiedział, że nie można jej zastraszyć.

Wstał wyciągając rękę. Uściśnęła ją mocno. Wskazał jej krzesło i usiadł. Gładka brązowa skóra dekoltu Leili widoczna spod nie dopiętej koszuli przyciągnęła wzrok Gudowa. Instruktorzka usiadła oczekując pytań.

- Jak już pewnie pani słyszała, Leilo, prowadzimy dochodzenie w sprawie Wernera. Podejrzewamy, że jest imperialistycznym agentem... może pracuje też dla syjonistów.

Usta jej drgnęły.

- On nie jest Żydem. Z całą pewnością nie był obrzezany.

- To nic nie znaczy - wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. - Nie narażaliby się na zdemaskowanie w taki sposób... Leilo, potrzebujemy pani pomocy. Odbiwała pani stosunki z tym człowiekiem... kilkakrotnie.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Ile razy? - zapytał.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie liczyłam, panie majorze. Przypuszczam, że jakieś osiem, dziesięć razy.

- O czym wtedy rozmawialiście?

- O niczym.

- O niczym! No, no. - Gudow nachylił się ku niej. Mówiąc podkreślał słowa. - Byliście kochankami... przynajmniej osiem razy... i on nic nie mówił?

Zaczerpnęła tchu i spojrzała mu prosto w oczy.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie majorze. Powiem wszystko, co wiem o tym człowieku. Nigdy więcej go nie zobaczę. Emocjonalnie nie dla mnie nie znaczy. To był czysto fizyczny stosunek. Często wybieram sobie jednego z uczestników kursu i utrzymuję z nim kontakty seksualne. I proszę mi wierzyć, że prawie wcale się do siebie nie odzywaliśmy... - Zrobiła krótką przerwę, jakby się namyślając. - Panie majorze, ja chciałam, żeby tak właśnie było. On zresztą też. Znacznie lepiej było milczeć... żadnych uczuć... żadnych czułych słów... czy słodkich kłamstewek... po prostu dwa ciała. Rozumie pan?

Rozumiał i wierzył jej. Ale był już bliski rozpacz - wiele się spodziewał po tej kobiecie. Spojrzał na leżącą na biurku kartkę. Widniała na niej twarz Leili i charakterystyka podana przez Wernera. Rzuciły mu się w oczy słowa "tendencje sadomasochistyczne". Właśnie miał zadać pytanie, gdy przerwał mu jej zdecydowany głos:

- Panie majorze, odłóż dowiedziałam się, że prowadzi pan śledztwo w jego sprawie, jakieś dwie godziny temu, próbowałam przypomnieć sobie wszystko, co mogłoby panu pomóc. Proszę wziąć pióro, podyktuje to, co pamiętam.

Nieco zaskoczony, Gudow wziął do ręki pióro i przysunął notes. Leila zaczęła monotonne wyliczanie:

- Skórę miał bardzo bladą, nawet jak na Europejczyka. Zupełnie jakby od dawna nie przebywał na słońcu. W czasie pobytu w obozie troszkę się opalił, ale bardzo uważał, żeby nie dopuścić do poparzeń. Na prawym pośladku w jego dolnej części miał wąską bliznę długości około dziesięciu centymetrów. Druga blizna, o połowę krótsza, widniała nad lewym kolaniem. Jak na swój wzrost, stopy miał raczej przeciętnej wielkości, ale z wysokim podbiciem. Plecy szczupłe, lecz bardzo silne. Owłosienie raczej umiarkowane, bujne na klatce piersiowej. Włosy łonowe czarne, gęste i bardziej kręcone niż u przeciętnego Europejczyka. Penis nieco większy od przeciętnego, nie obrzezany. Moszna bardzo duża.

Zrobiła przerwę, a Gudow kończył notować. Właśnie napisał słowo "duża" i spojrzał na Leilę. Zaczęła mówić dalej:

- Zanim przybył do obozu, przez długi czas nie uprawiał seksu. Wiem o tym, bo wiele razy miałam kontakty seksualne z mężczyzmi, którzy długo tego nie robili, a poza tym sam mi o tym powiedział. Jego sprawność seksualna przewyższała przeciętną. Może mieć dwa orgazmy w odstępie dwudziestu minut, a trzeci godzinę później. Ale w łóżku nie myśli wyłącznie o sobie. Wie, jak dać rozkosz kobiecie i sprawia mu to przyjemność... - Dała Gudowowi trochę czasu na zanotowanie, potem ciągnęła dalej: - A poza tym, było zupełnie oczywiste, że dzięki temu szkoleniu osiągnął wyjątkową formę. Zwykle zdarza się osiągnąć aż tyle tylko fanatykom islamu i Japończykom, a ponieważ nie był żadnym z nich, myśle, że jego wysiłki, by osiągnąć doskonałą kondycję, podsycały przez nienawiść... ale do czego - nie wiem. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

Gudow zapisał właśnie "nienawiść" i cicho zapytał:

- Czy jest sadystą... mam na myśli seks?

Uśmiechnęła się.

- To znaczy, czy ja jestem masochistką? Cóż, w pewnym sensie tak.. Ale Werner nie był sadystą. W seksie lubił dominować - większość mężczyzn to lubi - i miał w sobie zły okrucieństwa... ale, panie majorze, wiele kobiet to lubi.

Gudow skinął głową, jakby właśnie coś sobie uświadomił. Potem kąką ust wygięły mu się w grymasie rozczarowania. To, co powiedziała, nie było zbyt przydatne. Mogło pomóc w identyfikacji jednostki, ale nie dawało żadnych wskazówek, gdzie jej szukać. Spodziewał się czegoś więcej. Myślał, że zaprezentuje pułkownikowi Zamiatinowi coś więcej niż tylko fotografie i charakterystykę fizyczną. Na razie oczami wyobraźni widział Wernera jako mężczyznę z owłosioną klatką piersiową i dużą moszną.

Leila chyba zauważyła jego rozczarowanie. Niemal ze skrucną w głosie powiedziała:

- Przykro mi, panie majorze. Tak jak powiedziałam, nie rozmawialiśmy ze sobą. Wątpię, czy rozmawiał z kimkolwiek w obozie.

Gudow nałożył skuwkę na pióro i zapytał:

- Nawet z tą Filipinką?

Dostrzegł w jej oczach błysk gniewu. To dało mu pewność, że Leila powiedziała wszystko, co sama wiedziała. Werner nie był jej tak bardzo obojętny emocjonalnie - wzbudzał w niej zazdrość. Miał nad nią przewagę i wykorzystywał to, kiedy chciał. Nienawidziła go. Wstając z krzesła Gudow powiedział:



- Dziękuję pani, Leilo. Poproszę teraz Franka.

Podali sobie ręce. Kobieta odeszła w kierunku drzwi. W połowie drogi przy stanęła - nad czymś się zastanawiała.

- Panie majorze, raz powiedział coś, ale nie zrozumiałam tego. Powtórzył to dwa razy, zawsze tuż po orgazmie... mówił to do samego siebie - nie do mnie - tylko trzy słowa.

- Jakie?

- "Kurwa, ale dupa"... czy coś w tym rodzaju.

Gudow odetchnął z ulgą i w myślach podziękował losowi za cztery lata służby w Warszawie i polską kochankę odwiedzającą go przez dwa ostatnie lata pobytu w Polsce.

- "Kurwa, ale dupa" - śmiał się. - Leilo, to po polsku. To znaczy, że uważał panią za świętą kochankę czy coś w tym stylu.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

- A więc jest Polakiem. Czy ta wskazówka w czymś pomogła?

- O, tak - westchnął. - Bardzo pomogła. Dziękuję pani, Leilo...

Pół godziny później Frank patrzył, jak major Gudow wsiaada do helikoptera. Był w świetnej formie pomimo napiętego rozkładu zajęć. Najprawdopodobniej wizyta przyniosła oczekiwane rezultaty. Frank był u niego bardzo krótko. Powiedział mu prawie wszystko, co zdołał zaobserwować. Ale dwie rzeczy zataił. Pierwsza to wiadomość, którą Werner otrzymał, a która polecała mu zapuszczenie wąsów i włosów. Druga to fakt, że podarował mu flamaster "Denbi". Patrząc na wzbijane przez startujący helikopter tumany piachu zastanawiał się, dlaczego nie powiedział o tym Gudowowi. Nie przychodziło mu do głowy żadne wyjaśnienie. Było oczywiste, że bez względu na to, kim był, Werner działał przeciwko KGB. Wbrew samemu sobie Frank kibicował przegranej.

Major Gudow doleciał do Moskwy o szóstej wieczorem. Nawet na chwilę nie zmrzył oka w samolocie; cały czas pracował nad raportem. Stworzył swego rodzaju majstersztyk ukazujący, jak to dzięki błyskotliwej dedukcji udało mu się dotrzeć wprost do prawdy. Wiedział, że pułkownik Zamiatin zostanie powiadomiony o dokładnym czasie przybycia samolotu, ale nie od razu pojechał do biura. Udał się najpierw do suterenu i wdał w ożywioną rozmowę z niską, niemłodą, przypominającą ptaką kobietą, która nadzorowała obsługę komputera RIAD R400. Przyjrzała się fotografiom i spokojnie pokiwała głową. W ciągu kilku minut komputer powiększył zdjęcia. Ostrość była znacznie lepsza. Potem przez dziesięć minut komputer porównywał zdjęcia z tymi, które miał w bazie danych. W tym czasie sprawdził dziesiątki tysięcy cech. Kobieta powiedziała Gudowowi, że to może potrwać nawet pół godziny. Tyle nie mógł czekać, więc odetchnął z ulgą, kiedy po dziesięciu minutach komputer podał nazwisko i pochodzenie zamachowca. Gudow oderwał wydruk i włożył do teczek zawierającej raport. O siódmej Zamiatin gratulował mu w swoim biurze. Wpół do ósmej Zamiatin przyjmował gratulacje od Czebrikowa. Można by pomyśleć, że całe KGB pracuje po godzinach. Twarz Czebrikowa przybrała bardzo ponury wyraz, kiedy przeczytał nazwisko na wydruku. Zamiatin zaczął relacjonować dane o zamachowcu, ale Czebrikow przerwał mu ostro. Najwyraźniej znał tego człowieka.

O wpół do dziewiątej Czebrikow pił wódkę z Andropowem w jego apartamencie na Kremlu. Generalny sekretarz miał na sobie kwiecisty jedwabny szlafrok

- To prezent od żony - wyjaśnił jakby przepraszającym tonem. Skończył właśnie czytać raport, zamknął teczkę i spojrzał na Czebrikowa.

- Wiktorze, czasem robimy coś, co w danej chwili wydaje się doskonałym pomysłem, ale potem... - nie dokończył.

- Juriju, nie mogliśmy tego przewidzieć - dyplomatycznie odparł Czebrikow.

Andropow postukał palcem w teczkę i rzekł w zamyśleniu:

- Mirosław Ścibor... świętego wyboru dokonali ci księża; dobrali człowieka i motywację... Musisz go złapać, Wiktorze, i natychmiast zabić. Bez zadawania pytań. Żadnych. Po prostu zabić.

- Dostaniemy go - odparł Czebrikow entuzjastycznie. - Teraz, kiedy już wiemy, kim jest, papieski poseł jest martwy.

- Twoja obietnica mi wystarczy, Wiktorze. - Andropow pochylił się ku szefowi KGB. - Chcę zobaczyć jego ciało i to szybko!

W Krakowie profesor Stefan Szafer uwijał się z pracą. Nie robił niczego na lew, na szyję, ale pracował szybciej niż normalnie. Zdziwiło to trochę asystującego mu lekarza, Witolda Beredę, oraz pielęgniarkę, Danutę Pesko. Nie chodziło o to, że przyspieszone tempo pracy zagrażało życiu pacjenta - profesor palce miał zawsze jednakowo zręczne. Po chwili jednak naprawdę ich zaskoczył. Najpierw powoli uwolnił podwiązane naczynia i sprawdził równiutką linię drobniotkich szwów zamykających ranę w nerce. Odwrócił się do doktora Beredy i powiedział przez maskę:

- Doktorze, niech pan skończy, dziękuję. Mam ważne spotkanie w czasie obiadu, a czasu pozostało mi już bardzo niewiele.

Odszedł od stołu operacyjnego i szybko skierował się do szatni. Doktor Bereda spojrzał w oczy pielęgniarki - zobaczył, że jest równie jak on zaskoczona. Wielu, nawet większość najznamienitszych chirurgów pozostawia życie asystentom, ale nie profesor Szafer - jemu nigdy się to nie zdarzyło. Bardzo szczylił się swą biegłością w tej dziedzinie. Zawsze więc wykonywał szew z precyzją amerykańskiego chirurga plastycznego tak, by blizna była jak najmniej widoczna.

- To musi być ktoś cholernie ważny - wybełkotał doktor obchodząc stół.

Ten ktoś rzeczywiście był ważny, ale nie w takim sensie, jak myślał doktor. Była to młoda, wybijająca się aktorka - Helena Maresa, a Stefan Szafer ślepo, nieprzytomnie się w niej zakochał.

Przyszedł do Wierzyńka na piętnaście minut przed umówionym spotkaniem. Szef sali rozpoznał w nim ważną osobistość oraz stałego klienta i jak zwykle poprowadził go do stolika w niszy. Tylko jedna rzecz odbiegała od schematu - zwykle profesor jadał tu kolację, a tym razem zjawił się na obiad, który normalnie zjadał pośpiesznie w szpitalnej stołówce.

Zamówił wódkę z wodą sodową. Czekał, rozglądał się po eleganckiej sali. Restauracja była bardzo droga, więc odwiedzali ją tylko ludzie zajmujący wysokie stanowiska w rządzie lub w wojsku, najlepsi naukowcy, czy tacy jak on - należący do najlepiej zarabiających. Jednakże w odróżnieniu od innych bywalców Wierzyńka, na Szaferze nie robił wielkiego wrażenia luksus tego miejsca czy tutejsze ceny. Dużo czasu spędził na Zachodzie i takie rzeczy stały się dla niego normalne, nie przywiązywał do nich wagi. Właściwie to nawet, jako zaprzyśięgły idealista, nie bardzo to aprobował. Czułby się świetnie w jakimś zwyczajnym, mniej pretensjonalnym miejscu, ale wiedział, że Helena lubi eleganckie lokale. Zaprosił ją tutaj na pierwszą randkę chcąc zrobić na niej wrażenie. Zastanawiał się wtedy, czy przyjęła jego zaproszenie tylko dlatego, że mógł pozwolić sobie na kolację u Wierzyńka. Lecz Helena sama szybko rozwiła te wątpliwości. Tak piękna kobieta miała pewnie mnóstwo podobnych propozycji, a poza tym, podczas kolacji była tak wesoła i tak wiele poświęcała mu uwagi, że przekonała go zupełnie o szczerym i zainteresowaniu jego osobą.

Po drugiej randce pocałowała go. Skromny początkowo buziak przerodził się w namiętny pocałunek. Szafer się zorientował, że Helenie wcale nie przeszkadza jego "problem".

Gdy kelner przyniósł mu zamówionego drinka, spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze dziesięć minut, a Helena nigdy się nie spóźniała. Szafer bardzo sobie to cenił. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął małą tabletkę amplexu i szybko włożył ją do ust. Ta tabletkę wiązała się z jego "problemem", czyli z nieprzyjemnym oddechem. Stanowił zawsze zmartwienie jego życia. Szafer, jako przystojny mężczyzna, podobał się kobietom. Przyciągała je również jego osobowość i pozycja, ale nie na długo; nie mogły ścierpieć tego wstrętnego zapachu z ust. Próbował już wszelkich możliwych sposobów medycznych. Starał się też zmienić sposób żywienia. Udało mu się co najwyżej osłabić nieprzyjemny odór, ale nigdy zupełnie go usunąć. Jego dziadek również na to cierpiał. Przypuszczał, że to przypadłość dziedziczna, występująca w co drugim pokoleniu. Szafer zdawał sobie sprawę, że jego miłość do Heleny zrodziła się nie tylko z podziwu dla jej urody i osobowości, ale też stąd, że zupełnie nie zwracała uwagi na ten defekt. Raz nawet, na próbę, wspominał jej o nim, ale ona tylko roześmiała się i stwierdziła po prostu:

- Pewnie mam coś nie tak z węchem, bo ledwie to czuję. W ogóle się tym nie przejmuj, Stefanie.

Zawsze myślał, że aktorki z reguły wykazują sporą swobodę seksualną. Doszedł jednak do wniosku, że choć może jest to regułą, to Helena jest od niej wyjątkiem. Poznali się cztery tygodnie temu i w tym czasie spotykali osiem razy. Pozwoliła mu na pocałunek, a potem pieścił się wzajemnie. Głaskał nawet jej nagą pierś - Helena nigdy nie nosiła stanika - ale ani razu nie zezwoliła mu na nic więcej, choć w jej figlarnych oczach zawsze kryła się podniecająca obietnica. Raz, kiedy całowali się w samochodzie, próbował wsunąć rękę między jej uda, ale odepchnęła go. Wyczuła jednak jego zawód.

- Nie myśl, że drażnię się z tobą, Stefanie - powiedziała delikatnie. - Ja też tego chcę, ale mam swoje zasady. Najpierw muszę mężczyznę dobrze poznać, upewnić się, że go Kocham.

- Myślisz, że mogłabyś mnie pokochać?

W jej oczach był uśmiech i czułość.

- Czy traciłabym swój i twój czas, gdybym tak nie myślała? Ale poczekaj jeszcze trochę. Powoli jem, powoli się myję, powoli się ubieram... i powoli się zakochuję.

Poczuł się ułagodzony i zachęcony. Wiedział, że już niedługo jego cierpliwość zostanie wynagrodzona. Przypomniał sobie wieczór, kiedy ją poznał na jakimś nudnym przyjęciu na uniwersytecie. Przedstawił ich sobie jakiś znajomy. Na początku rozmawiali bardzo krótko. Helena była najpiękniejszą kobietą na przyjęciu i wciąż jący mężczyźni składali jej holdy. Stefan bezustannie na nią patrzył, a ona kilka razy odwzajemniła jego spojrzenia. Wreszcie zdołała się uwolnić od towarzysztwa i podeszła do niego. Uśmiechając się powiedziała:

- Słyszałam, że jest pan znakomitym lekarzem. Nie wygląda pan na takiego - proszę to uznać za komplement. A teraz zamierzam złamać towarzyskie zasady i zadać lekarzowi na przyjęciu fachowe pytanie. Jak najlepiej wyleczyć kaca?

- A spodziewa się pani go mieć? - zapytał poważnie.

- Nie, ale moja współlokutorka dużo pije i wciąż ma kaca. Twierdzi, że najlepszym lekarstwem jest "wypicie kłina".

Uśmiechnął się.

- W zasadzie to prawda, panno Heleno. Medycyna dowiodła, że kilka kropli tego, co spowodowało chorobę, pomagają również uleczyć... ale tylko parę kropli! No i jeszcze kilka wdechów czy stego tlenu.

- O tym na pewno jej nie powiem - zaśmiała się. - Zastawilaby cały pokój butlami z tlenem. - Zerknęła na zegarek i zakłopotana powiedziała: - O rety, muszę już wyjść, bo ucielnie mi ostatni autobus.

- Mam tu swój samochód, chętnie panią odwiozę.

- Naprawdę? To dość daleko stąd.

- Naprawdę - odparł stanowczo.

Spóźniła się tylko dwie minuty; wchodząc patrzyła na zegarek. Miała na sobie krótki kożuszek i małą czarną toczkę. Jej jasnopopielate włosy wysuwały się spod niego w artystycznym nieładzie. Pomachała Szaferowi ręką i zaczęła przeciskać się między stolikami. Ludzie oglądali się za nią, a Stefan jak zwykle w takich okolicznościach poczuł przeszywający go dreszcz. Wstał z krzesła, a Helena przywitała go pocałunkiem. Nos miała zmarnięty. Rozpięła kożuszek i podała go kelnerowi. Ubrana była w ciemnoniebieską kaszmirową sukienkę. Dostała ją w prezencie od Stefana, który sprowadził ją z Londynu i podarował jej na poprzedniej randce. Szybciutko się przed nim obróciła.

- No i jak?

- Wyglądasz prześlicznie.

Kelner właśnie podsuwał jej krzesło. Usiadła. Na jej twarzy malowało się ożywienie.

- A więc co to za dobra wiadomość? - zapytał.

Gestem przyhamowała jego ciekawość.

- Najpierw coś zamówimy.

Kiedy kelner przyjął zamówienie i oddalił się, obwieściła:

- Jadę na dwa tygodnie do Moskwy.

- Tak? Myślałem, że nie lubisz Rosji.

- Rosjan - poprawiła go.

- Czy to w związku z jakąś rolą?

- Nie. W pewnym sensie nawet lepiej. Odbędą się tam warsztaty teatralne, które poprowadzi Oleg Tabakow, a on jest najlepszy, chociaż to Rosjanin. Przyjadą tam aktorzy z Węgier, Czechosłowacji, Rumunii, z różnych krajów. To będzie wspaniałe doświadczenie... no i pomoże mi w zrobieniu kariery.

Stefan ucieszył się ze względu na Helenę, a jednocześnie poczuł ukłucie żalu. Niby to tylko dwa tygodnie, ale będzie za nią tęsknił.

- To cudownie, Heleno. Jak to się stało, że dostałaś tę propozycję?

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Właściwie to nie od razu ją dostałam. Ministerstwo zakwalifikowało najpierw Barbarę Płańską, ale potem Szczepański dał jej rolę w swojej nowej sztuce - szczęściara! - no i nie może pojechać. Wtedy mnie zaproponowano to miejsce.

- Udało ci się - rzekł z uśmiechem - lecz w pełni na to zasługujesz. Kiedy wyjeżdżasz?

- Piątego w przyszłym miesiącu. - Przechyliła głowę na boki i zajrzała mu w oczy. - Będiesz za mną tęsknił, Stefanie?

- Wiesz, że tak.

Położyła rękę na jego dłoni.

- Więc pojedź ze mną.

Aż drgnął zaskoczony. Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, poczęła go przekonywać:

- Mówiłeś, że już nawet nie pamiętasz, kiedy ostatnio brałeś urlop. Będę miała mnóstwo wolnego czasu. Moglibyśmy nawet pojechać na kilka dni do Leningradu. Podobno jest piękny. Irmina była tam w zeszłym miesiącu. Mówiła,

że było fantastycznie. Pojechała nocnym pociągiem... proszę, jedź ze mną. Będziemy razem... Stefanie, razem.

Już samo słowo "razem" i sposób, w jaki je wypowiedziała, sprawiło, że wiele sobie po tym obiecywał. Poczul, że drzy.

- Nie mogę wyjechać na dwa tygodnie, Heleno. Na razie to niemożliwe.

Jednak to wcale nie osłabiło jej zapału.

- Więc przyjedź na kilka dni. Choćby tylko na weekend. Proszę, Stefanie... Proszę... - błagalnie ścisnęła jego dłoń.

- Postaram się - obiecał. - Ale tylko na kilka dni. Dziś jeszcze sprawdzę rozkład operacji i wykładów i porozmawiam z profesorem Skibińskim.

Roześmiała się radośnie. Uwielbiała, gdy się śmiała. Sięgnęła ręką do sąsiedniego krzesła po opakowane pudełeczko i położyła je przed nią.

- Co to?

- Aparat fotograficzny.

- Dla mnie?

- Oczywiście. Mówiłaś, że bardzo lubisz robić zdjęcia, ale nie możesz sobie pozwolić na nowoczesną lustrzaną. To leica - jeden z najlepszych aparatów na świecie.

Spojrzała na niego czule. Oczy jej błyszczały, kiedy mówiła:

- Dziękuję, kochanie. Będę teraz dużo fotografować... zwłaszcza ciebie.

Po obiedzie młoda, początkująca aktorka wróciła do swojego małego mieszkania. Po drodze zatrzymała się przy budce telefonicznej i wykonała jeden krótki telefon.

Dwa dni później profesor Roman Skibiński, ordynator oddziału chirurgii, jadł obiad w tej samej restauracji z Feliksem Kurowskim, dyrektorem szpitala. Ojciec Skibińskiego był pułkownikiem w przedwojennej kawalerii - jednym z tysięcy polskich oficerów zamordowanych w lasach Katyń. Profesor nie wierzył w sowiecką propagandę głoszącą, że to naziszi popełnili tę zbrodnię.

Po obiedzie, w czasie którego rozmawiali głośno o problemach szpitala, zamówili kawę i brandy, a Skibiński zapytał mimochodem:

- Feliksie, kiedy dowiesz się, jaki będzie nowy budżet?

- W sierpniu, jak zwykle. O ile ci idioci w Warszawie nie pogubili liczydeł, czy czego tam używają do liczenia.

- Jak myślisz, dostaniesz coś na nową pracownię patomorfologii?

Kurowski westchnął głęboko. Skibiński dotknął bardzo czulego miejsca. Już od pięciu lat dyrektor starał się uzyskać z ministerstwa fundusze na ten projekt - jak dotąd, bez rezultatu. Wciąż słyszał tę samą odpowiedź: "może w przyszłym roku".

- Wiesz, jak jest, Romku. Od lat ich cisnę. Szczerze mówiąc, wątpię. Chodzą słuchy, że ogólny budżet dla resortu ma być zredukowany.

Podano właśnie kawę i brandy. Po odejściu kelnera Skibiński zapytał:

- Mogę być z tobą szczerzy?

- Romku - uśmiechnął się Kurowski. - Przecież zawsze mówisz to, co myślisz.

Skibiński odwzajemnił uśmiech. Obydwaj dobrze się rozumieli.

- Poza tym, że jesteś dobrym komunistą, Feliksie, masz przecież talent organizatorski. Kierujesz najlepszym w Polsce, a może nawet we wszystkich demoludach, szpitalem Akademii Medycznej. - Kurowski wzruszył ramionami, ale najwyraźniej polecało to jego ambicję. - Ale dyplomata z ciebie taki, że pożał się Boże.

- No to co? Nie zamierzam działać w dyplomacji.

- Feliksie, przecież tylko w ten sposób możesz zdobyć swoje laboratorium. Przyjrzyj się Ratajskiemu z Warszawy. Połowę swego czasu spędza w ministerstwie, schlebując, komu tylko się da. No i zobacz, w zeszłym roku dostał tyle pieniędzy, że urządził dwie sale operacyjne.

- Być może - zgodził się Kurowski. - Tyłko że ja nie jestem lizusem i dobrze o tym wiesz.

- To prawda, ale jest jeszcze inny sposób. Nasz drogi minister ma bzika na punkcie spraw prestiżowych i, bez żadnej obrazy, ma o sobie wysokie mniemanie.

Kurowski wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Co ci chodzi po głowie?

- Hm... mówię, że Andropow cierpi na poważną chorobę nerek, między innymi, oczywiście. Gdyby tak poproszono o poradę pewnego polskiego specjalistę, cóż, wtedy nasz minister zyskałby wielką sławę, no i oczywiście szpital, z którego pochodzi ten specjalista.

Kurowski w mig powiązał fakty.

- Czy przypadkiem masz na myśli profesora Szafera?

Skibiński poważnie skinął głową.

- On jest genialny. W zeszłym miesiącu opublikował dwa artykuły w "Sowieckiej Medycynie" - spotkały się z dużym uznaniem. Jego osiągnięcia w dziedzinie dializy są na całym świecie uważane za przełomowe. To, co ci sugeruję, Romanie, jest najzupełniej logiczne, a poza tym, a poza tym, były już podobne przypadki. Na przykład do Brezniewa wzywano szwajcarskiego specjalistę, Brunnera... no i chodzą słuchy, że u Andropowa nie obejdzie się bez operacji.

Kurowski odparł natychmiast:

- Nie, nie pozwolą cudzoziemcowi na przeprowadzenie operacji.

- Pewnie nie, lecz jeśli choroba jest aż tak poważna, chętnie przyjmę wszelką fachową poradę. Znają reputację Szafera... on jest naprawdę genialny.

Kurowski rozważał sugestię kolegi. Skibiński miał dar przekonywania. Odczekał chwilę, po czym rzucił niby od niechcienia:

- Tak się składa, że Szafer wybiera się niedługo do Moskwy.

Kurowski spojrział na niego zdziwiony.

- Naprawdę?

Skibiński uśmiechnął się rozbrajająco.

- Oczywiście potrzebna jest twoja zgoda. Powiedział mi o tym wczoraj. Jego dziewczyna, aktorka, jedzie tam służbowo. Szafer poprosił o kilka dni urlopu, żeby móc jej towarzyszyć. Wziąłem na siebie jego wykłady, a co do operacji, to bez problemu mogę je przesunąć.

Kurowski znów się zamyslił, a Skibiński ponownie odczekał odpowiednio długą chwilę, by dodać ostatnią, rozstrzygającą informację.

- A w dodatku tak się składa, że w przyszłym tygodniu minister również jedzie służbowo do Moskwy. To niebywała okazja.

Kurowski roześmiał się głośno.

- Brzmi to tak jakby sam Bóg ją nam zesłał!

Skibińskiego zamurowało na chwilę, lecz zaraz oprzytomniał i skinął głową.

- Rzeczywiście, Romku, i nie możemy jej przegapić. A gdy będziesz rozmawiał z ministrem, postaraj się tak wszystko przedstawić, żeby myślał, że to jego własny pomysł.

Ściszył głos i dokładnie wyjaśnił Kurowskiemu, jak ma to zrobić.

- Ścibor wziął do ręki mundur i zdziwiony spojrzął na Heisla. Ksiądz najpierw roześmiał się, a potem powiedział poważnie:

- Na pewno będzie świetnie pasował. Tęsknisz za mundurem?

Polak potrząsnął głową. Ania siedziała przy stole nieco zdezorientowana. Znajdowali się właśnie w wiedeńskim "czyścicu". Za dwadzieścia cztery godziny wyruszą w drogę.

- Co to? - zapytała.

Ścibor rzucił ubranie na stół.

- Mundur pułkownika polskiej milicji. - Palcem wskazał dwa medale przypięte na przodzie. - W dodatku bardzo kompetentnego. - Spojrzął na Heisla. - Ale o co tu chodzi?

- To pomysł Bekonowego Księdza. Jakkolwiek by było, doskonale znasz SB, jej strukturę i działanie. Ten mundur może się przydać w jakiejś podbramkowej sytuacji.

Ścibor w zamyśleniu pokiwał głową.

- Możliwe, ale co z dokumentami?

- Otrzymasz je po przekroczeniu czesko-polskiej granicy. I podobnie będzie przez całą drogę. W każdym punkcie kontaktowym dostaniesz nowy zestaw dokumentów na najbliższy etap podróży.

Polak coś sobie przypomniał.

- Żaden pułkownik nie porusza się bez makarowa.

Ksiądz ponuro skinął głową i sięgnął po dużą płócienną torbę leżącą na podłodze. Wyciągnął z niej czarny pas i kaburę. Podał je Ściborowi, który szybkim ruchem otworzył kaburę i wyjął pistolet. Jego czarna, matowa powierzchnia nie odbijała światła. Przez chwilę z zadowoleniem ważył broń w ręku, po czym otworzył zatrzask i wysunął magazynek. Policzył kule i sprawdził każdą z osobna. Potem załadował je z powrotem i wsunął magazynek.

- Przyniosłem też zapasowy - oznajmił Heisl.

- Świetnie. A więc Bekonowy Ksiądz zgodził się?

- Bardzo niechętnie - westchnął Heisl. - Powiedział, że będzie niepokieszony, jeśli konieczne okaże się jego użycie.

- Ja też - odparł ponuro Ścibor. - Czy Bekonowy Ksiądz jest w Wiedniu?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że ksiądz wie - rzekł Polak z uśmiechem. - Założę się, że jest niedaleko stąd.

Ksiądz wzruszył ramionami i sięgnął do torby po kolejne przedmioty. Najpierw postawił na stole kilka małych plastikowych butelek

- To farby do włosów - objaśnił. - Ania wie, jak ich używać. Wprawdzie ona będzie nosić peruki, ale w przypadku mężczyzny to od razu rzucaloby się w oczy. - Położył na stole trzy peruki. Ania przymierzyła najpierw kaszтанową. Wyglądała teraz zupełnie inaczej. Palcem przesunęła po brwiach.

- Będę je musiała ufarbować.

Ściągnęła perukę i rzuciła ją na stół. Heisl wyjął właśnie brązową papierową torbę i wytrząsnął jej zawartość. Stanowiło ją kilka płaskich plastikowych wkładek, okrągłych i owalnych.

- Wiecie, co to jest?

Oboje przytaknęli. Już wcześniej uczyli się ich używać. Wkładki te umieszczano się pomiędzy szczęką a policzkami; dzięki temu można było zmienić nieco kształt twarzy. Ksiądz z powrotem schował je do torebki.

- To by było prawie wszystko. Jeszcze tylko jedno. Aniu, czy mogłabyś na chwilę zostawić nas samych?

Posłusznie wstała i wyszła z pokoju. Ścibor spodziewał się usłyszeć jakąś bardzo poufną wiadomość, lecz zamiast tego ksiądz polecił:

- Wymień jeszcze raz, po kolei, wszystkie kontakty, hasła, telefony i "czyścice" awaryjne.

Polak w zamyśleniu zmrugał oczyma. Znów w wyobraźni zaczęły mu się przesuwać imiona, miejsca, hasła i numery telefoniczne. Wszystkie były wyryte w jego pamięci. Wymienił je bez chwili wahania.

Heisl uśmiechnął się i zawołał głośno:

- Aniu!

Wróciła do pokoju, a ksiądz podał ją temu samemu testowi. Ona również wyliczyła bez zastanowienia wszystkie dane.

Ksiądz podszedł do stolika i nalał dwa kieliszki brandy i jeden wina. Ściborowi podał brandy, a Ani wino, po czym ciepłym tonem wniósł toast:

- Jesteście już gotowi. Wypijmy za szczęśliwą podróż i pomyślne wypełnienie misji.

Ania i Ścibor spełnili toast wraz z księdzem, ale mimo to nastrój był raczej posępny.

- Czas już chyba, żebyśmy się dowiedzieli, w jaki sposób przekroczy my pierwszą granicę - przerwał ciszę Polak

Ksiądz zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Naszym zdaniem ten etap podróży należy do najbardziej niebezpiecznych. To jedyna granica, którą przekroczycie w ukryciu. Kolejne, czyli czesko-polską i polsko-rosyjską, przejedziecie posługując się fałszywymi dokumentami - dostaniecie jakieś przekonywujące "zyciorysy". Początkowo zamierzaliśmy postąpić w ten sposób także przy pierwszej granicy, ale obecnie byłoby to bardzo niebezpieczne. Dlatego przerzucimy was jako "sardyńki". - Uśmiechnął się na widok ich zdziwienia. - Oczywiście nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Chodzi po prostu o to, że będziecie ukryci w jakimś małym pomieszczeniu. Nie będzie tam zbyt wiele miejsca. - Podeszedł do ściany, na której wisiała dokładna mapa wschodniej Austrii i zachodniej Czechosłowacji. Palcem wskazał jakiś punkt na granicy. - To jest Hate, przejście używane głównie przez TIR-y. Wy będziecie ukryci w tajnym schowku wielkiej ciężarówki wiozącej narzędzia do zakładów "Skody". Czescy celnicy świetnie znają tę ciężarówkę, bo jeżdżą tamtędy regularnie. Czas przyjazdu na granicę będzie starannie wyliczony przy uwzględnieniu ruchu na przejściu. Chodzi o to, żeby kontrola ciężarówki odbyła się pomiędzy ósmą a dziewiątą rano. O dziewiątej zero zero celnicy się zmieniają, a przepisy mówią, że ekipa odchodząca nie może zostawić samochodu w połowie tylko sprawdzonego. A jak wszyscy urzędnicy, oni też lubią kończyć pracę punktualnie, więc o tej porze kontrole są zwykle pobieżne.

Na twarzy Ścibora malował się sceptycyzm. W SB zdobył trochę doświadczenia w przeszukiwaniu wiozących towar ciężarówek. Orientował się, że uczynić taki schowek niezauważalnym było niezmiernie trudno. A celnicy umieli sprawdzać pojazdy. Dysponowali też sprzętem ułatwiającym im wykrycie tego typu schowków. Dawno już minęły czasy, kiedy dało się uciec za żelazną kurtynę pod stertą ziemniaków na ciężarówce. Powiedział księdzu o swych wątpliwościach, ale ten wciąż był pewien swego.

- Mirosławie, musisz nam zaufać. Rozważyliśmy to bardzo dokładnie. Ciężarówka jest własnością kierowcy, który naprawdę jest profesjonalistą w tym, co robi. Z naszych informacji wynika, że bezpiecznie przemycił w ten sposób dziesiątki ludzi. A my też już kilka razy korzystaliśmy z jego usług.

- Kto to taki?

- Jest Australijczykiem.

Twarz Polaka wyrażała zdziwienie. Ksiądz się uśmiechnął.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Przewozem towarów między Europą Wschodnią a Zachodnią zajmują się ludzie z całego świata. Nawet sporo Irlandczyków to robi... ale oczywiście nie współpracowalibyśmy z którymś z nich. Ten biznes daje dużo pieniędzy, zupełnie legalnie. Naturalnie, może dać znacznie więcej, jeśli przemycą się ludzi.

- A on robi to właśnie z tego powodu? - chciała upewnić się Ania. - Dla pieniędzy?

- Tak - bez wahania odparł ksiądz. - Kieruje się czysto materialnymi pobudkami. Jest bardzo drogi, ale i najlepszy. Zajmuje się tym już od pięciu lat i nie zaliczył żadnej wpadki.

Ścibor spojrział na Anię, ale ona tylko wruszyła ramionami. Ksiądz kontynuował kojącym głosem:

- Nie powinno być żadnego problemu, nawet przy uwzględnieniu zwiększonej kontroli na granicach. Przez to przejście przejeżdża mnóstwo ciężarówek. Australijskie urzędnicy mają ogromne znaczenie dla fabryki "Skody". Kierowca ma odpowiednie dokumenty i jest bardzo doświadczony.

Ścibor nabrał już więcej zaufania.

- Na jak długo mamy wcielić się w sardyńki? - zapytał.

- Na jakieś osiem do dwunastu godzin - oznajmił spokojnie ksiądz.

- Do diabła! I to w schowku takim jak ten na statku?

Ksiądz powoli pokręcił głową.

- W znacznie mniejszym, Mirosławie. Podłoga ma metr na pół metra, a wysokość niecałe pół.

- Na dwanaście godzin... we dwójkę? - powątpiewał Ścibor.

- I jeszcze z twoją torbą - dodał ksiądz. - Ale będziecie nieprzytomni.

- Co ksiądz przez to rozumie?

- To rodzaj polisy ubezpieczeniowej, której wymaga Australijczyk - westchnął Heisl. - Kiedyś przewoził klienta z Niemiec Wschodnich na Zachód. Facet dostał ataku klaustrofobii i zaczął krzyczeć. O mało ich nie złapano. Od tamtej pory kierowca wstrzymuje pasażerom narkotyki wywołujące głęboki, około dziesięciogodzinny sen. To bardzo rozsądne zabezpieczenie. Obydwójce jesteście zdrowi. Nic wam nie będzie.

Zanim ktoreś zdążyło coś powiedzieć, ksiądz spojrział na zegarek i dodał:

- A skoro mowa o śnie, to powinniście się trochę przespać. Rano zjedzcie bardzo skromne śniadanie i nic nie pijcie. W tym schowku nie ma ubikacji.

Uśmiechnął się i dopił brandy.

Podróż zaczęli w jakimś magazynie na przedmieściach Linzu. Heisl zawiózł ich tam o piątej rano. Po drodze prawie wcale nie rozmawiali. Po prostu wszystko zostało już powiedziane. W magazynie stała tylko ogromna ciężarówka marki "Scania" z zieloną kabiną. Obok czekał mężczyzna o wyrazistej, pokrytej piegami twarzy, długich rudych włosach, wielkich bokobrodach i nierówno obciętej brodzie. Miał na sobie prążkowany drelichowy kombinezon. Przyglądał im się mrugając ciemnoniebieskimi oczami. Zatrzymał wzrok na Ani i uśmiechnął się szeroko. Mówił po niemiecku, ale akcent miał straszny.

- Będzie ci bardzo przytulnie w moim małym kąciku.

W końcu go zobaczyli. Schowek był prosty, ale bardzo pomysłowy. Kierowca odkręcił ogromną pokrywę zbiornika z paliwem umieszczonego tuż za drzwiami szoferki i włożył rękę do środka. Usłyszeli jakiś brzęk, a potem w miejscu, gdzie przebiegała pozioma listwa, pojawiła się szczelina. Australijczyk schylił się, włożył w nią palce i pociągnął do góry. Pokrywa się uchyliła. Zawiasy były sprytnie ukryte w listwie biegnącej wzdłuż całej ciężarówki. Sama pokrywa grubości około piętnastu centymetrów i była bardzo ciężka. Australijczyk podparł ją tyczką.

- Ci komuniści są cholernie przebiegli - wyjaśnił. - Mają plany wszystkich używanych powszechnie ciężarówek. Jeśli wymiary im się nie zgadzają, potrafią zdemontować cały wóz. - Ręką wskazał pokrywę. - Pierwotnie była to część zbiornika paliwowego. - Przykucnął i wskazał długie wyrzucenie zbiornika. - Ma teraz o połowę mniejszą pojemność, ale to nic. Zawsze woźę ze sobą kilkanaście dużych kanistrów. Ci idioci myślą, że właśnie w nich coś szmuglują. - Uśmiechnął się szeroko. - Zawsze wypychają tam kije.

Ścibor schylił się, by popatrzeć na schowek. Ścianki były obite czymś miękkim, a na podłodze leżał stary dywanik. Wyglądało na to, że ledwie sam się tam zmieści, a cóż dopiero z Anią. Głośno wyraził swoje obawy. Australijczyk zaś się roześmiał. Zęby miał żółte od nikotyny.

- Nie martw się, kolego - rzucił bezrozko. - Będzie wam tu jak u Pana Boga za piecem.

A do księdza powiedział:

- Dzwonili z Hate. Tworzy się tam kolejka. Wolałbym zaraz wyjechać. Właściwie to im wcześniej, tym lepiej.

- W porządku - odparł spokojnie Heisl.

Australijczyk podszedł do stojącej pod ścianą ławki i wziął z niej małe, eleganckie, drewniane pudełeczko. Poprosił księdza, żeby je potrzymał, po czym otworzył wieczko. W środku znajdowała się butelka z gumową przykrywką i kilka jednorazowych strzykawek. Wyjął jedną z nich oraz butelkę. Wprawnym ruchem wbił igłę w gumę i nabrał trochę bezbarwnego płynu. Potem z uśmiechem zwrócił się do Polaka:

- W porządku, kolego. Podwiń rękaw. Czas wstąpić do krainy snów. Ile ważyś?

Podwijając rękaw, Ścibor odpowiedział poważnie:

- Osiemdziesiąt sześć kilogramów. Co to jest?

- Trepalina, kolego. Przyniesie ci słodkie sny. Po przebudzeniu będziesz czuł lekki ból głowy i nudności. Coś w rodzaju niewielkiego kaca. Minie zupełnie po paru godzinach. A teraz zacznie działać za jakieś piętnaście minut.

Przytrzymał mu rękę poniżej łokcia, a kciukiem ucisnął miejsce tuż przy zgięciu. Ścibor obserwował jego oczy wpatrujące się w skałę na strzykawce. Po chwili było już po wszystkim i kierowca odrzucił strzykawkę w kąt. Wziął drugą i wbił igłę w gumową pokrywkę butelki, mrużąc coś pod nosem.

- Ostrożności nigdy za wiele, prawda? - Potem zwrócił się do Ani: - Ile pani waży, młoda damo?

- Sześćdziesiąt kilogramów - odparła pewnym siebie głosem. Rękaw miała już podwinięty.

- Bardzo ładnie ukształtowane te kilogramy - skomentował przytrzymując jej rękę.

Nawet nie mrugnęła, kiedy wbił igłę. Patrzyła tylko na niego pogardliwie. Znowu odrzucił strzykawkę i oznajmił:

- No to pakujcie się i ruszamy do Raju Demokracji Ludowej.

Pożegnanie było krótkie i tylko pozornie zdawkowe, bo kiedy Ścibor i Heisl ściskali sobie ręce, a Ania zarzuciła księdzu ramiona na szyję i cmoknęła go w policzek, posmutnieli i nagle poczuli się samotni. Ksiądz, teraz jakby nagle postarzały, okazał się mądrym i troskliwym opiekunem. Tak jak potrafił, mimo swej nieśmiałości, był im nauczycielem i przyjacielem. Gdy Ania i Ścibor skierowali się w stronę samochodu, żegnani jeszcze przez księdza życzeniami szczęśliwej podróży, poczuli, że ich wyprawa naprawdę się zaczyna. Wszystkie ich rzeczy znajdowały się w niewielkiej płóciennej torbie. Australijczyk kupił ją w dalszym końcu schowka, twierdząc, że będzie stanowiła świetną poduszkę. W górnym rogu wisiała małeńka żaróweczka oświetlająca schowek. Wyjaśnił, że może ją włączyć i wyłączać za pomocą przycisku w sfoferce i za jakieś dwadzieścia minut, gdy będą już spali, zgasi ją.

Ścibor wszedł do środka zwrócony głową w kierunku torby. Czuł się już senny i oparł głowę na torbie. Wyczuwał kształt pistoletu, który zapakował na samym wierzchu. Dało mu to poczucie bezpieczeństwa. Ania właśnie się wciskala do schowka. Czuł jej miękkie ciało tuż przy sobie. Usiadła plecami do niego. Przesunęła się między jego kolanami i po chwili poczuł jej pośladek tuż przy swoim kroczu. Jej włosy dotykały jego twarzy. Próbowala jakoś odsunąć się od niego.

- W porządku? Postaraj się rozluźnić.

- Tak już dobrze. - Jednakton głosu zaprzeczwał słowom. Było jej bardzo niewygodnie, nie tylko fizycznie, ale i w sensie psychicznym. Gdzieś z dala dobiegł ich jeszcze głos księdza Heisla.

- Niech was Bóg prowadzi.

Potem pokrywa została zamknięta, a oni poczuli się niczym poczwarzki w kolonnie. Usłyszełi jeszcze, jak kierowca zatrząskuje drzwiami sfoferki, a zaraz potem ich małeńka kryjówka zaczęła drżeć, bo kierowca uruchomił silnik. W chwilę później poczuli, że ciężarówka wyjeżdża z magazynu. Wskutek użycia hamulców Anię wcisnęło niemal w Ścibora. Znowu spróbowała się odchylić cała spięta, co go rozłościło.

- Nie prosiłem o twoje towarzystwo - przypomniał jej. - Odpręż się... Przecież nie rzucę się na ciebie. A za kilka minut i tak stracimy świadomość.

Trochę się rozluźniła. Plecami oparła się o niego, ale pośladek usiłowała trzymać jak najdalej od jego kroczu.

Ścibora ogarniała coraz większa senność. Przyszła mu do głowy idiotyczna myśl - zastanawiał się, czy kóreś z nich chrapie. Spróbował jakoś wygodniej ułożyć lewą rękę, ale nie było gdzie, chyba że na Ani. Oparł ją więc na jej biodrze. Nie drgnęła; zaczęła tylko ciężko oddychać. Jej włosy pachniały jak sosnowy las. Niemal automatycznie jego lewa ręka zaczęła przesuwać się w górę, po klatkę piersiową, aż dłoń spoczęła na jej piersi. Ania próbowała delikatnie ją zsunąć, ale sama też traciła już przytomność. Ścibor wyczuł twardniejący sutek. I zaraz zasnął.

Heisl podał lornetkę Bekonowemu Księdzu, który przyłożył ją do oczu i ustawił ostrość. Na zegarku była 8.45. Siedzieli w samochodzie na wzgórzu oddalonym o sześć kilometrów od przejścia granicznego w Hate. Widzieli nawet most przecinający rzekę March. W równych odstępach przemierzały go TIR-y i samochody osobowe. Czekali na zieloną ciężarówkę. Żaden nie wyglądał na zdenerwowanego, ale obydwaj byli wewnętrznie spięci. Wielotygodniowe plany zaczęły przybierać realny kształt. Kiedy zielona scania przejedzie most, kości zostaną rzucone. Do tej pory pociągali sznurowadła marionetek, a teraz marionetki będą poruszać się same.

Bekonowy Ksiądz odłożył lornetkę mówiąc:

- Daleś mu broń?

- Tak

Van Burgh ponownie przyłożył lornetkę do oczu i powiedział zamyślony:

- Lepiej, że tak się stało... to znaczy, że on sam o niego poprosił... a nie, że my go namawialiśmy.

Heisl odparł smutnym głosem:

- Też tak myślę, Pieter. Ale boję się o Anię. Ścibor jest tak pełen determinacji, powiedziałbym nawet obsesji, że pozbędzie się jej bezskrupułów, jeśli uzna, że ona mu przeszkadza. I wcale nie będzie się wahał.

Nie odwracając wzroku od mostu, Bekonowy Ksiądz odpowiedział łagodnie, jakby samemu sobie:

- Nie można mieć wszystkiego. Jego obsesja, jego motywacja tylko zwiększają szansę sukcesu naszego planu. To, że Ania z nim jedzie, jeszcze bardziej powiększa tę szansę. Zgadzam się, Janie, jest narażona na duże niebezpieczeństwo, także z jego strony... ale przecież nasz Kościół został zbudowany na męczeństwie i zawsze będzie się na nim opierał. - Ręką zakleślił przed sobą huk - Nawet teraz wielu naszych jest torturowanych i psychicznie i fizycznie. Musimy pamiętać o wszystkich, a nie troszczyć się tylko o jednego człowieka. W tym, co robimy... - Nagle zaczął uważniej patrzeć w stronę mostu. - Już jest. Po wszystkich przejeżdżają most.

Nawet gołym okiem Heisl dojrzał zieloną ciężarówkę. Widział, jak zjeżdża z mostu i znika między budynkami. Bekonowy Ksiądz spojrział na niego z szerokim uśmiechem.

- Przejechali. Papieński poseł wyruszył w drogę.

Heisl jakoś nie był w stanie dzielić radości swego szefa. Miał jakieś przecucie. W pewnym momencie poczuł, że Bekonowy Ksiądz lekko go uszczyplił.

- No, rozchmurz się. Przygotowałeś ich do tej misji i to doskonale. Uda im się.

Ksiądz Heisl odpowiedział bladym uśmiechem.



Pierwsza obudziła się Ania. Bolał ją cały kark i tył głowy. W ustach czuła lepkość, a kończyły zupełnie jej zeszywniały. Ręka Ścibora wciąż obejmowała jej lewą pierś. Ostrożnie zsunęła ją na biodro. Poczwała, że drgnął, ale więcej się nie poruszył, a oddech wciąż miał głęboki. Spróbowała trochę rozruszać mięśnie. Prawa ręka zwiślała z boku całkowicie niewładna. Czwała, jak szybko jadąca ciężarówka przechyla się leciutko na zakrętach. Oblizując wysuszone wargi zastanawiała się, ile jeszcze potrwa ta jazda. Miała nadzieję, że mężczyzna się nie obudzi, dopóki nie dotrą do celu. Zaowała, że cyferblat jej zegarka nie jest nafosforyzowany. Ale właśnie obudził się Ścibor. Poczwała, jak napina mięśnie. Chyba uświadomił sobie, jak bardzo jest mu niewygodnie, bo zaczął przeklinać. Stłumionym głosem spyła:

- Wszystko w porządku?

- Tak - odburknął. - Ale jeśli to ma być mały kac, to nie chciałbym mieć wielkiego. A ty jak się czujesz?

- Nigdy nie miałam kaca, ale jeśli on tak wygląda, to nie rozumiem, jak ludzie mogą się upijać? Wiesz, która godzina?

Podniósł rękę z jej biodra i odwrócił głowę.

- Prawie trzecia. Ten Australijczyk miał rację. Minęło niemal dziesięć godzin.

- Więc chyba dojeżdżamy. - W jej głosie pojawił się niepokój.

Ścibor odpowiedział dość szorstko:

- Wszystko zależy od tego, ile staliśmy na granicy. Może bardzo długo. I może będziemy tu siedzieć jeszcze parę godzin. Musisz po prostu wytrzymać.

Poczwała się dotknięta podtekstem tej uwagi i odparła ze złością:

- Wytrzymam do końca.

Ale jechali jeszcze tylko pół godziny. Wyczuli skręt w prawo, chyba w jakąś drugorzędną drogę, bo trochę nimi rzucalo.

- To objazd do Blovice - wymamrotał Ścibor. W myślach widział plan całej trasy.

Pięć minut później ciężarówka zwolniła i znów skręciła w prawo. Droga stała się teraz jeszcze bardziej wyboista, lecz kierowca jechał znacznie wolniej, a po chwili zatrzymał samochód. Jednak dopiero po dziesięciu minutach usłyszeli głuchy trzask - pewnie Australijczyk zamknął drzwi szoferki. Minutę później ujrzeli światło dzienne i poczuli świeże, lodowate powietrze. Odetchnęli nim z ulgą. Ścibor przechylił głowę i spojrział w dół. W pierwszej chwili światło oślepiło go, a potem częściowo przyśloniła mu pole widzenia rudowłosa głowa Australijczyka.

- Nic wam nie jest... obudziliście się?

- Tak, w porządku - wymamrotali.

- To dobrze. Dojechaliśmy na miejsce szybciej, niż myślałem. Bałem się, że jeszcze śpicie. No, a teraz wysiadać; panie mają pierwszeństwo. - Mocno chwycił przeguby Ani i pomógł jej wyjść. W pierwszej chwili ledwie mogła ustać na nogach. Podtrzymując ją pod pachami, Australijczyk niemal przeniósł ją przez drogę i posadził na powalonym pniu. Gdy wrócił do ciężarówki, Ścibor zdążył już z niej wyjść i opierał się o szoferkę. Kierowca szybko sięgnął do schowka i wyjął płócienną torbę. Postawił ją obok Polaka i oznajmił:

- No to wszystko, kolego, spadam.

- Poczekaj! - Ścibor staniając się odszedł kilka kroków. Potem stanął wyprostowany. - Jesteś pewien, że to właściwe miejsce?

Australijczyk już wsiadał do szoferki.

- Oczywiście! - krzyknął wskazując na lewo. - Cztery kilometry za tym wzgórzem leżą Blovice.

Ścibor spojrział we wskazanym kierunku. Pamiętał, że u stóp wzgórza powinien rosnąć mały zagajnik. Ręką dał kierowcy znak, że wszystko się zgadza. Australijczyk wskoczył na fotel i zatrasnął drzwi. Silnik był wciąż na chodzie.

- Powodzenia! - krzyknął i ciężarówka ruszyła. Tyłne koła o mały włos nie przejechały torby. Kierowca nie oczekiwał żadnych wyrazów wdzięczności. To, czego chciał, spoczywało już w innym, znacznie mniejszym schowku. Umieścił tam dziesięć cieniutkich paseczków czystego złota.

Ścibor podniósł torbę i pokałystał do Ani.

- Chodź - rzucił. - Musimy szybko zejść z tej drogi. Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ale nie przyjął jego pomocy; nie chciała okazać nawet najmniejszej fizycznej słabości.

Było jeszcze widno, ale zimno. Po ich lewej stronie rozciągały się zaorane pola uprawne. Przed nimi ziemia była kamienista i nie nadawała się do uprawy. Pełno tu było wyschniętych kępek trawy i małych krzaczków.

Minęło pół godziny, zanim dotarli do zagajnika. Po przejściu pół kilometra weszli na wyboistą drogę rozjeżdżoną przez wozy konne. Zdążyli się już trochę rozruszać i humory mieli lepsze. Trawa była tu gęściejsza i zieleńsza, usłyszeli też szmer płynącej wody. Rzeczywiście ze wzgórza spływał małeńki strumyk i wiał się między drzewami w kierunku pół. Ania pomyślała, że pewnie w letnie weekendy ludzie urządzają tu pikniki.

Usiedli nad potokiem. Ścibor spojrział na zegarek i obwieścił:

- Pierwsze spotkanie wypada za dwadzieścia minut. Mam nadzieję, że dojdzie do skutku, bo umieram z głodu.

Torba leżała na trawie między nimi. Ania rozwiązała sznurek i sięgnęła do środka. Ścibor roześmiał się widząc, że wyjmuje kosmetyczkę.

- Masz zamiar poprawić makijaż?

- Nie. Mam zamiar zatroszczyć się o zdrowie mojego drogiego męża.

Wyjęła buteleczkę aspiryny, wytrząsnęła na dłoń trzy tabletki i podała mu. Wziął je mrucząc coś na znak pochwały. Ania podała mu też wodę w plastikowej butelce. Kiedy połknął tabletki, ona również zażyła dwie, po czym wstała i

otrzepała się z trawy.

- Pospaceruję trochę. Chcę się rozgrzać.

Przeskoczyła strumyki i weszła w lasek ślizgając się na zmarzniętej ziemi.

- Nie odchodź daleko! - krzyknął.

Uspokoila go gestem ręki. Trochę śmieszło go jej zachowanie, odkąd zaczęli tę podróż. Koniecznie chciała mu udowodnić, jak bardzo jest wytrzymała i odporna na trudy, mimo iż jest kobietą.

A była nią, zdecydowanie. Patrzył, jak przechodzi nad powaloną kłodą. Pod grubym anorkiem miała obcisłe spodnie, które uwydatniały talię i biodra. Przypomniał sobie, jak leżąc w schowku dotykał Ani piersi. Jeszcze teraz czuł jej ciepło, miękkość i kształt. I jednocześnie powróciły wrażenia z pierwszego spotkania, kiedy to wyobrażał ją sobie wyłącznie w habitcie. W pewnym sensie wciąż jeszcze tak było, bo gdy patrzył na nią jak na kobietę, to nogi znikaly gdzieś pod luźnym białym habitem sięgającym aż do kostek. Ale w dłoni ciągle czuł jej pierś.

Wróciła po piętnastu minutach. Zeszła ze wzgórze z twarzą zarumienioną od wysiłku.

- Wszłam na szczyt - wysapała. - Widziałam Blovicę. To mała, ale śliczna wioska z białymi domkami i czerwonymi dachami, i wieżyczką starego kościoła.

Miał właśnie powiedzieć jej, że kościół na pewno już dawno przestał służyć celom religijnym, ale w tej chwili usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Wstał. Zobaczyli starą szarą skodę, podskakującą na wertepach. Zatrzymała się jakieś pięćdziesiąt metrów od nich, niedaleko zagajnika. Wysiadł z niej niski mężczyzna. Ubrany był w brązowe sztruksowe spodnie, grubą jesionkę i zniszczony miękki kapelusz w brązowym kolorze. Sięgnął na tylnie siedzenie po łaskę i podpierając się nią, szedł w ich kierunku, rozglądając się z zadowoleniem. Gdy podszedł bliżej, zauważyli, że ma zgrubiałą, pomarszczoną skórę na twarzy i małe oczki. Musiał dobiegać siedemdziesiątki.

Wytrzymał ich między drzewami, pomachał na przywitanie łaską i krzyknął:

- Witam was, taki piękny dziś dzień, w sam raz na spacer.

- Chodźmy - powiedział Ścibor podnosząc torbę. Kiedy wyszli z zagajnika, zwrócił się do staruszka: - Tak, ale w lesie jest bardzo zimno.

Twarz staruszka pomarszczyła się jeszcze bardziej, gdy zagościł na niej uśmiech. Wyciągnął rękę.

- Tadeuszu, mój drogi siostrzeńcze, i ty, Tereniu, witajcie. Tak się cieszę, że przyjechaliście.

Serdecznie uściskał dłoń Ściborowi, a Anię objął i ucałował w oba policzki, właśnie tak, jak przywitaliby się krewni po długiej rozłące.

- Obydwoje dobrze wyglądacie - mówił uszczęśliwiony prowadząc ich do samochodu. - A jak się ma twoja matka, Tadeuszu, i ta hetera, Alicja?

- Bardzo dobrze, wujku Albinie. Przesyłają pozdrowienia. A co u cioci Sylwii?

- Wszystko po staremu, nie daje mi chwili spokoju. Ma początki zapalenia stawów, ale to nic poważnego.

Zajęli miejsca w samochodzie, Ścibor z przodu, Ania z tyłu, i wtedy staruszek porzucił pozę swobodnej wesołości i zaczął działać. Szybko otworzył schowek na rękawiczki i wyjął duży, szfatygowany, skórzany portfel. Wręczył go Ściborowi.

- Tu są wasze dokumenty. Sprawdź dokładnie.

Ścibor otworzył portfel i porównał jego zawartość z listą niezbędnych dokumentów zakodowaną w pamięci. W porządku. Było wszystko, co potrzeba. Pasporty dla Tadeusza i Teresy Bednarków - ostemplowane i podpisane; ćwiczyli wcześniej te podpisy. Były też legitymacje i bilety kolejowe w obie strony na trasie Warszawa-Brno przez Wrocław; część "do Brna" nosiła znaki kontroli konduktora. Portfel zawierał też kilka starych listów od przyjaciół. Była też przepustka pracownicza dla Ścibora; zgodnie z tym, co na niej napisano, pracował w fabryce opon. Druga przepustka świadczyła, że Ania jest zatrudniona we wrocławskim szpitalu miejskim. Poza tym znajdowały się tu kartki żywnościowe z datą sprzed trzech dni. Było wszystko, dokładnie tak, jak powiedział ksiądz Heisl. Ścibor wiedział, że niektóre z tych dokumentów są prawdziwe, a inne doskonale podrobione. Ale mimo całego doświadczenia zdobytego w SB, nie potrafił powiedzieć, które są które. Mógł odetchnąć z ulgą i zaczęła mu wracać pewność siebie.

- Bez zarzutu - stwierdził zamykając portfel i chowając go do kieszeni.

- To dobrze. - Staruszek zapuścił silnik i ruszył. - Będę jechał powoli. Wasz pociąg opóźnił się pół godziny, a jadąc tym gruchotem nawet taki szalony kierowca jak ja nie mógłby obrócić w mniej niż dwie godziny. A propos, wasze walizki są w bagażniku. Zostaw tę torbę w samochodzie. Wnioś ją do domu po zmroku... Wprawdzie nasz domek stoi na obrzeżach, ale w takiej małej wiosce wszyscy wszystko widzą. Zwłaszcza kiedy pojawiają się obcy.

Ścibor miał właśnie zamiar zapytać, od kedy mieszka w Blovicach... ale ugryzł się w język. Ksiądz Heisl uprzedził go, że żaden kontakt nie będzie zadawał im podobnych pytań i oni również nie powinni tego robić. Wiedział, że ten staruszek miał uchodzić za mieszkańca Pragi polskiego pochodzenia, który odszedł na emeryturę i wraz z żoną, czy też rzekomą żoną, wynajął domek w małej wiosce, żeby tam spędzić resztę życia. Po wyjeździe Ani i Ścibora staruszkowie uznają, że życie i na wsi, mimo wszystko, jest dla nich zbyt monotonne. Spakują się więc, pożegnają i wyprowadzą.

Staruszek odwrócił się i spojrzał na Anię.

- Bardzo jesteś zmęczona? - zapytał.

- Nie, wujku Albinie - zaśmiała się. - Przespałam całą drogę... Jestem tylko głodna.

- Nie martw się, malutka, już ciocia Sylwia cię nakarmi.

Jakby na przekór sytuacji, Ścibora drażniły te pieszczotliwe słówka. Staruszek był chudy i wazył pewnie mniej niż Ania. A poza tym naprawdę nie było konieczne, żeby odgrywali swoje role, kiedy nikt ich nie widział. Dość szorstko zapytał:

- Czy wszystko gotowe? Kiedy stąd wyjeżdżamy?

Dojechali właśnie do końca dróżki. Staruszek poczękał z odpowiedzią, dopóki nie skręcił na asfaltową szosę i przyspieszył trochę. Dopiero wtedy odrzekł bezbarwnym głosem:

- Wszystko jest przygotowane. Jutro będziecie wypoczywać. Po południu pospacerujemy razem po wiosce i wstąpimy do baru na kieliszek śliwownicy. Dzwonne byłoby, gdybyśmy tego nie zrobili. Pojutrze rano wyruszymy na wycieczkę. Najpierw zwiedzimy muzeum w Brnie. Podobno warto je zobaczyć. Potem pojedziemy do Ostrawy i tam przenocujemy. Następnego dnia zjemy obiad w jakiejś gospodzie i pojedziemy do Cieszna, gdzie wsiądziecie do pociągu.

Zbliżali się właśnie do wioski. Minęli już pierwsze zabudowania. Jacyś ludzie doglądali warzyw w ogródkach. Jeden po drugim podnosili wzrok na przejeżdżający samochód. Tutaj, z dala od głównej szosy, nieczęsto ktoś przejeżdżał.

Z przodu Ania dojrzała wieżę kościoła.

- Czy ten kościół jest otwarty dla wiernych? - spytała.

- Wolne żarty - odparł podrażniony Albin. - Od dwudziestu lat mieści się tu magazyn zboża. Ci komuniści są gorsi od zwierząt!

Gwałtowność, z jaką zostało to powiedziane, kazała Mirkowi domyślić się, że staruszek jest głęboko religijny. Może nawet był jednym z tych utajnionych księży i działając w tym kraju, ryzykował znacznie więcej niż inni.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Albin i zaparkował przy małym domku niedaleko drogi.

Wysiedli z samochodu, a Albin otworzył bagażnik. Niewielki domek z dwoma oknami na górze i dwoma na dole otoczony był plotem. Furtką wchodziło się na betonową ścieżkę, która przez mały ogródek prowadziła do drzwi frontowych. Wybiegła z nich uśmiechnięta kobieta. Była zupełnym przeciwieństwem męża, jeśli chodzi o wygląd. Wysoka, pulchna, z dość gładką skórą, sprawiała wrażenie dziesięć lat od niego młodszej. Miała na sobie czarną sukienkę, rozpinany sweter i beżowy fartuszek. Przebiegła ścieżkę, otworzyła furtkę i entuzjastycznie przywitała gości. Ścisnęła ich i całowała. W końcu zabrała Anię do domu, a Ścibor tymczasem pomagał Albinowi wyjąć dwie skromne walizki. Spojrzal na drogę. Przechodził właśnie kościasty staruszek ze sparszonymi włosami, małym pieskiem. Piesek zatrzymał się przy drzewie i zadarł tylną łapę. Staruszek czekał cierpliwie, przyglądając się Ściborowi.

W środku domek wyglądał dokładnie na to, czym był - tymczasowym mieszkaniem. Stały tu tylko niezbędne meble - tanie i już mocno zużyte. Ale zapachy dolatujące z kuchni przywodziły na myśl opowieści o domowych ogniskach, miedzianych garnkach i glinianych naczyńkach.

Sylwia objęła dowodzenie.

- Nalej im czegoś mocniejszego - poleciła Albinowi, po czym podniosła obie walizki i powiedziała do Ani: - Chodź ze mną, Tereniu.

Poprowadziła Anię w górę po stromych drewnianych schodach i wskazała drzwi na ich szczyt.

- Tu jest toaleta i prysznic. Przykro mi, że nie ma wanny, ale woda jest gorąca i na pewno się rozgrzejesz. - Skręciła w prawo, postawiła jedną z walizek i otworzyła jakieś drzwi. Ania weszła za nią.

Pokój był mały i zagracony. Stała tu szafa, komoda, białe trzcinowe krzesło i jeszcze jeden mebel zajmujący większość pokoju - małżeńskie łóżko z różową narzutą. Był tu też elektryczny piecyk. Włączono go zawczasu. Ani serce zamarło na widok łóżka. Sylwia zauważyła jej minę i w lot zrozumiała.

- O, mój Boże... wy nie jesteście małżeństwem... Nikt nas o tym nie uprzedził.

- To nie... To nie ma znaczenia - wyjąkała Ania.

Sylwia położyła walizki na łóżku.

- Porozmawiam z Albinem. Mógłby spać tutaj z Tadeuszem, a ty spałabyś ze mną. - Ręką wskazała łóżko. - Ono już tu było, kiedy przyjechaliśmy... Nie uprzedzili nas.

W pierwszej chwili Ania odczuła ulgę, ale zaraz potem przyszło poczucie winy. Przecież w najbliższej przyszłości jeszcze nieraz znajdzie się w podobnej sytuacji. Lepiej od razu się do tego przyzwyczaić. Lepiej, żeby od razu zrozumieli się nawzajem. Lepiej, żeby przyzwyczaiła się do jego obecności w swoim łóżku. Stanowczo potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Nie trzeba, ciociu Sylwio. Proszę spać z mężem. Wszystkie będzie dobrze.

Sylwia spojrzała na nią niepewnie. Coś jej mówiło, że ta dziewczyna jest dziewicą. Już widziała podobny wyraz oczu.

- Na pewno?

- Tak. Tak będzie lepiej.

- Dobrze. A teraz chodź na dół, wypijesz kieliszczyk i zjesz kolację.

Posilek składał się z gęstej zupy warzywnej i gulaszu z królika. Do tego gruba pajda domowego chleba. W rozmowie wyraźnie omijali sprawy osobiste. Mówili raczej o polityce. Albin obwieścił, że niedawno był w Polsce. Ścibora interesowały wieści stamtąd, dotyczące może nie tyle spraw państwowych, co życia na co dzień. Rozmawiali więc o Solidarności i różnych siłach nacisku, o wszelkich niedostatkach i goryczy, o wciąż rosnącej nienawiści do Rosjan, o Kościele. Wymiana uwag na temat religii zupełnie zdezorientowała Albina. Gdy siadali nad dymiącymi talerzami, Albin znacząco spojrzal na gości i pochylił głowę. Ania i Sylwia poszły za jego przykładem. Staruszek odmówił prostą modlitwę, a kątem oka widział, że Ścibor siedzi wyprostowany z szyderczym uśmiechem na twarzy. Potem znów, przy okazji rozmowy o sytuacji Kościoła w Polsce i polskim papieżu w Rzymie, Albin nie mógł się nadziwić, że jego gość tak wiele wie na ten temat. Poczul się zaniepokojony. Ścibor wypowiadał się na temat Kościoła mniej więcej tak, jak mówi się o działalności partii. Świetnie znał strukturę Kościoła i nazwiska duchownych zajmujących najwyższe stanowiska. Orientował się doskonale w stanie stosunków między partią a Kościołem, wiedział, jakie naciski wywierają na siebie obydwie strony. Mówił tonem protekcyjnym, jak ktoś, kto wie lepiej i więcej. Od czasu do czasu Albin spoglądał na Anię - nie zabięła głosu. Na jej twarzy malował się smutek. Chwilami patrzyła na Ścibora, gdy właśnie wyrażał jakiś pogląd. W końcu postanowiła zmienić temat.

- Gdzie ciocia dostała takiego tłustego królika?

Sylwia uśmiechnęła się zadowolona.

- Od pewnego rolnika. Prawie wszyscy prowadzą tutaj handel wymienny. Opał oddaje się za warzywa, pomidory za oliwę, i tak dalej. - Ręką wskazała garnek. - Te dwa króliki kosztowały mnie pół polcia najlepszego bekonu.

- Ale skąd ciocia miała...?

Ścibor przerwał pytanie głośnym chrząknięciem. Albin uważnie przyglądał się utrzymanemu w ręku widelcowi.

W pierwszej chwili Ania nie wiedziała, o co chodzi, ale zaraz zrozumiała. Pewnie niedawno był tu Bekonowy Ksiądz. Uśmiechnęła się do Sylwii mówiąc:

- Gulasz z królika to jedno z moich ulubionych dań. Nigdy jeszcze nie jadłam go w tak świetnym wykonaniu. Ale jest tu jakaś przyprawa, której nie potrafię zidentyfikować. Coś ostrego. Coś, co nadaje szczególny smak.

Uśmiechając się do męża, Sylwia odpowiedziała:

- Matka Albina nauczyła mnie przyrządzania tej potrawy. Pochodziła z północnej części kraju, aż z Lebore. Tam zawsze dodaje się do gulaszu nieco imbiru.

- Właśnie! Imbir! - krzyknęła Ania.

Kobiety zaczęły rozmawiać o gotowaniu. Albin wyjął paczkę papierosów i poczęstował Ścibora, który odruchowo wziął jednego. Już od miesiąca nie palił. Mimo że tytoń był fatalnej jakości, zaciągał się nim chciwie. Staruszek przyglądał mu się poprzez gryzący dym. Ścibor miał wrażenie, że ten człowiek go nie aprobuje i z jakiegoś niejasnego powodu niepokoiła go ta świadomość. A właściwie nie powinna. Przecież ci ludzie byli tylko jednym z elementów całości, niczym zwykły pionek na szachownicy torujący drogę królowej. W zasadzie więc nie powinien się przejmować tym staruszką, a jednak czuł, że jego opinia ma dla niego znaczenie. Przysunął się do Albina i cicho powiedział:

- Ja... my jesteśmy bardzo wdzięczni za waszą pomoc... za waszą gościnność.

Staruszek zdezaprobatą machnął ręką.

- Służymy, czym możemy.

Ścibor skiniął głową, lecz postanowił jakoś pozyskać sympatię tego człowieka. Wypuścił dym nosem, po czym zgasił papierosa.

- Tak myślałem kiedyś, że wiem, co znaczy służyć. Teraz wiem, że się myliłem. Dopiero ostatnio zacząłem pojmować znaczenie tego słowa. Zrozumiałem, że aby służyć, nie wystarczy być posłusznym. Trzeba jeszcze być bezinteresownym. Nie można robić tego po prostu dla nagrody. To musi wynikać z prawdziwej pokory... I to właśnie odczuwam w tym domu, w waszym towarzystwie. Odbywamy razem tylko fragment drogi, a potem się rozjedziemy... Nigdy więcej się nie spotkamy, ale nie zapomnę ciebie i twojej żony. Nie znacie celu naszej misji... lecz jesteście świadomi ryzyka, jakie podejmujecie. Nie znam waszych prawdziwych nazwisk, ale to nie ma znaczenia. Nigdy nie zapomnę odwagi Albina i Sylwii Woźniaków.

Kobiety skończyły już rozmawiać. Słyszały końcówkę wypowiedzi Ścibora i przyglądały mu się zaciękawione. Wprawilo go to w zakopotanie. Nigdy przedtem nie mówił takich rzeczy. Teraz był zły sam na siebie. Albin wstał, odszedł od stolika i wrócił z butelką i czterema kieliszkami. Bez słowa nalał do nich śliwovicę i wzniosł toast:

- Wypijmy za naszą matkę... za Polskę!

- Za Polskę - powtórzyli i jednocześnie spełnili toast. Pod wpływem palącego trunku Mirkowi przeszła gdzieś złość. Poczł też w sobie jakieś przyjemne ciepło, ale nie był to rezultat picia alkoholu

Nie rozumiał, co to właściwie było. Nie zdawał sobie sprawy, że pierwszy raz w życiu znalazł się w życzliwym towarzystwie.

Kobiety wstały i sprzątnęły ze stołu. Gdy dobiegł ich dźwięk zmywanych naczyń, Albin mrknął coś i znów sięgnął po butelkę. Wprawnie napełnił kieliszki aż po brzeg. Tym razem nie wnieśli żadnego toastu. Miłczeli i czuli się zrelaksowani. Ścibor ledwie spróbował wódki. Lubił alkohol i uczucie lekkiego rauszu, ale wiedział, że mogłoby to być niebezpieczne. Na razie wszystko było w porządku. Mógł wypić ten kieliszek i spokojnie położyć się spać. Ale w czasie akcji miałyby to fatalne skutki. Wiedział, jak działa na niego alkohol. Po wypiciu stawał się zbyt pewny siebie, wręcz arogancki. A w czasie tej podróży zbytnia pewność siebie mogłaby okazać się zgubna.

Wróciła Sylwia i widząc butelkę na stole, skarciła męża. Ania obwieściła, że zamierza wziąć prysznic i iść spać. Ucałowała gospodarzy na dobranoc i poszła na górę. Ścibor patrzył na jej nogi. Kilka minut później Sylwia wzięła przykład z Ani, a Albin napełnił kieliszki śliwovicą.

- Wolnego - wymamrotał Ścibor bez wielkiego przekonania.

Staruszek uśmiechnął się lekko.

- Daj spokój. To ostatni kieliszek. Będziesz lepiej spał. Nie musisz się wcześniej zrywać... pośpij sobie.

- Spróbuję. - Ścibor wypił do staruszka, ale myślami był na górze. Myślał o podwójnym łóżku i Ani pod prysznicem. Wyobrażał sobie, jak wystawia twarz na strumień wody, jak jej włosy opadają do tyłu i zmoczone połyskują jeszcze bardziej. Widział jej błyszczące ciało, wodę spływającą między piersiami, pośladkami i po biodrach. Już sama ta myśl sprawiła, że serce zaczęło mu bić szybciej. Nagle uświadomił sobie, że staruszek mówi do niego.

- Ostatnią wiadomość otrzymałem tydzień temu. Wynikało z niej, że jesteś przyczyną zwiększonej aktywności milicji. I to nie tylko na granicach, wiesz chyba o tym. Ni stąd, ni zowąd pojawiają się na drogach blokady i rewizje. Czy oni wiedzą dokładnie, czego szukają?

Ścibor pomyślał, że na to pytanie może odpowiedzieć. Potrząsnął głową.

- Szukają męzczyzny, prawdopodobnie podróżującego samotnie. Nie znają jego wieku ani narodowości. Wiedzą tylko, że odbywa tajną podróż przez Europę Wschodnią. Wiedzą, dokąd zmierza, ale nie skąd wyruszył.

Albin mrknął coś na znak zadowolenia i wychylił kieliszek

- A więc niebezpieczeństwo nie jest aż tak wielkie, jak myślałem. Właściwie szukają igły w stogu siana. - Uśmiechnął się. - Dwóch igieł... To sprytne posunięcie ze strony Bekonowego Księdza, że wysłał cię z dziewczyną.

Ścibor przyglądał mu się przez chwilę, wzruszył ramionami i powiedział:

- Może tak

Potem wychylił swój kieliszek i wstał. Słyszał, że drzwi łazienki otwierają się i zamykają.

- Idę spać. Dzięki za wszystko, Albinie.

Łazienka była ciepła, wilgotna i wypełniona kobiecym zapachem. Przy umywalce leżała kosmetyczka Ani. Otworzył ją i przejrzał zawartość. Były tam dwie szminki, szampon, wata w plastikowej torebeczce, grzebień, cień do powiek, kredka i tusz do rzęs. No i jeszcze paczka tamponów, nie używana. Wziął ją do ręki i obrócił w palcach. Nie wiadomo dlaczego, jakoś nie mógł skojarzyć tamponów z zakonnica.

Wszystkie kosmetyki były polskie. Włożył je z powrotem do kosmetyczki, z wyjątkiem szamponu. Wprawdzie miał własny, ale jakby na przekór chciał umyć włosy jej szamponem, choć wiedział, że pewnie mocno pachnie.

W sypialni zastał Anię siedzącą na łóżku. Czytała książkę. Na głowie miała turban z ręcznika. Flanelowa koszula z długimi rękawami zapięta była aż pod szyję. Ścibor domyślił się, że sięga aż do kostek. Już ksiądz Heisl zadbał o to.

Podniosła wzrok nad książki, kiedy wszedł. Miał na sobie tylko ręcznik, a w ręku ubranie i buty. Ania wróciła do czytania. Ścibor starannie złożył ubranie i położył je na krześle. Zauważył, że Ania naszykowała dla niego pidżamę. Uparcie wpatrywała się w czytającą książkę. Roześmiał się i rzucił pidżamę na krzesło.

- Nigdy nie zakładam pidżamy - powiedział. - Zawsze śpię nago. Tak jest znacznie zdrowiej.

Obserwowała go nad książką. Dostrzegł w jej oczach błysk złości. Z melodramatycznym westchnieniem pochylił się nad walizką i wygrzebał szorty. Podniósł je do góry, żeby mogła się im przyjrzeć.

- Twoja skromność musi się tym zadowolić.

Lewą ręką rozluźnił ręcznik, który opadł na podłogę. Zanim zdążyła ukryć wzrok za książką, dostrzegł w jej oczach przerażenie.

- Czy musisz się tak zachowywać? - syknęła ze złością.

Zakładając szorty odpowiedział bez troski:

- Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić.

Przez chwilę milczała, po czym zza książki dobiegł jej szorstki głos:

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Owszem, będę musiała nosić twoje prostackie zachowanie, o ile go nie zmienisz... ale coś ci powiem, uważam, że zachowujesz się jak sprośny uczeń. Jesteś w domu pobożnych ludzi. Nie zapomnij o tym!

Jej słowa rozłościły go, zwłaszcza to, że nazwała go sprośnym uczniakiem.

moralizowaniem... Do diabła, kobieto, w muzeum we Florencji podziwiałaś starożytne arcydzieła. Niektóre wykonane na zamówienie twojego wspaniałego, potężnego Kościoła. I pokazują nagość, kobiety z obnażonymi piersiami, nagich mężczyzn nawet bez figowego listka... zupełnie nagich, do jasnej cholery! A w życiu ma to niby być grzechem... coś ci powiem, to zwykła hipokryzja. Nawet nie zakamuflowana, ale oczywista, jasna jak słońce hipokryzja. Jak ci się zdaje, w jaki sposób namalowano te obrazy? Myślisz, że Botticelli i inni tworzyli z wyobraźni? Nie, mieli żywe modele. A więc zgodnie z twoją logiką, grzeszyli tworząc arcydzieła dla Kościoła!

Ania wpatrywała się w książkę, jakby niepomna obecności Ścibora, który wyładował już swoją złość.

- A, niech to - powiedział zrezygnowany. - Nie można wyperswadować komuś czegoś, do czego nigdy nie był przekonany. Nie można sprzeczać się ze ślepy mi przesądami.

Odwinał kódrę i położył się do łóżka. Sprężyny zaskrzyptały. Materac był miękki i Ania uświadomiła sobie, że pod większym ciężarem Ścibora przechylił się w jego stronę. Westchnęła, przewidując bezsenność.

- Co czytasz?

Podobnie jak każdy, komu zadano takie pytanie, pokazała mu okładkę.

- "Burzę" Stefana Osowskiego. Syłwia mi ją pożyczyła.

- Mogłem się tego domyślić - zachichotał. - Chyba to kiedyś czytałem. Byłem strasznie wzruszony, gdy on w końcu znalazł pocieszenie w Bogu.

Ania zobaczyła jego cyniczny uśmiešek. Wróciła do książki, ale nie mogła się skupić, bo wiedziała, że za chwilę usłyszy jakiś komentarz.

- Chcesz już spać? Zgasić światło?

- Nie, czytaj sobie.

Ania nie miała ochoty czytać. Nie chciała już rozmawiać, ale ponad wszystko bała się zgasić światło.

- Załóż się, że nigdy nie czytałaś Kunga - powiedział. - Jestem pewien, że w klasztorze nie pozwalali wam go czytać.

- Rzeczywiście nie.

Ścibor opadł na poduszkę i ułożył się wygodnie. Ania oczekiwała tego, co było nieuniknione.

- Kung jest szalenie błyskotliwy i bardzo radykalny. Wyszła teoria, pod którą - o to mogę się założyć - podpisałoby się wielu waszych księży.

- Naprawdę? - w jej głosie brzmiało zdumienie, ale wcale go to nie zniechęciło.

- Tak. Jest fascynująca. Kung twierdzi, że celibat i czystość to dwie różne rzeczy. Obecnie, zgodnie z nieomylną papieską bullą, księża - no i oczywiście zakonnice - muszą żyć w celibacie... I tego nie można zmienić, chyba że jakiś inny papież będzie miał odmienne zdanie. - Widać było, że z upodobaniem mówi na ten temat. - Kung interpretuje znaczenie słowa celibat dokładnie tak, jak rozumiano je tysiąc sześćset lat temu. A więc, jako niewchodzenie w związek małżeński, co nie znaczy, że nie można uprawiać seksu. Czystość natomiast, zarówno wtedy jak i teraz, znaczy powstrzymanie się od seksu. Jeśli ksiądz albo zakonnica zawiera małżeństwo, łamie ślub celibatu i zgodnie z prawem kanonicznym musi wystąpić ze stanu duchownego. Ale jeśli ksiądz albo zakonnica - położył nacisk na słowo "zakonnica" - utrzymuje stosunki seksualne, zwłaszcza jeśli są tylko okazjonalne, może uzyskać rozgrzeszenie poprzez spowiedź... - Spojrzała na Anię. - Nie uważasz, że to interesująca teoria?

- Ani trochę! - Gwałtownie zamknęła książkę i położyła ją na nocnym stoliku. Światło wyłączało się przez pociągnięcie zwisającej nad łóżkiem linki. Sięgnęła po nią i szarpnęła. Już w ciemności powiedziała:

- Myślę, że powinniśmy zasnąć.

Kładąc się na łóżku, usłyszała jego chichot. Poprawiła poduszkę i ułożyła się. Ścibor zrobił to samo. Ania przesunęła się jak najbliżej brzegu. Ścibor rozłożył się wygodnie. Przez jakieś dwadzieścia minut panowała cisza, po czym Ścibor ziewnął i odwrócił się. Słyszała jego głęboki oddech. Po chwili zeszywniała, czując jego rękę na swoim biodrze. Powoli przesunął dłoń na jej pośladek. Sięgnęła do tyłu i odepchnęła go. Ścibor odwrócił się chrząkając niby to przez sen. Minęło następne dwadzieścia minut. Ania rozluźniła się i poczuła senność. Ale Ścibor znów się odwrócił. Tym razem jego dłoń wyładowała na jej talii i zaczęła przesuwając się w górę. Ponownie odepchnęła ją ze złością.

- Nie oszukasz mnie. Wiem, że nie śpisz. Przestań.

Odwrócił się na plecy i nie udawał już śpiącego. Zastłony był tu bardzo grube i pokój pogrążony był w całkowitej ciemności. Po jakichś dziesięciu minutach Ścibor odezwał się:

- Aniu, mam zamiar się masturbować. Masz coś przeciwko temu?

Zerwała się przerażona, szukając ręką przełącznika. Zapaliła światło. Ścibor osłonił ręką oczy podrażnione nagłym blaskiem i powiedział:

- Są takie męskie sprawy, których zupełnie nie rozumiesz. Nie ma w tym nic dziwnego. Posłuchaj. Jestem podniecony seksualnie... i to bardzo. I w tym też nie ma nic dziwnego. Kiedy mężczyzna jest podniecony, to albo musi się rozładować, albo rozbolą go jądra. Nazywamy to "szaleństwem kochanka". I ja właśnie to mam, więc nie mogę zasnąć...

Popatrzyła na niego dysząc z oburzenia i wściekłości. Spuściła nogi na podłogę i sięgnęła po poduszkę.

- Rób te swoje paskudztwa, ty świntuchu! Ja wychodzę. Prześpię się w fotelu.

Przekręcił się w łóżku i chwycił ją za rękę.

- Nie! Już dobrze... Nie będę tego robił.

Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. W jego głosie brzmiała powaga.

- Aniu, uspokój się. Obiecuję, że tego nie zrobię i że już cię nie dotknę. Nie musisz spać w fotelu. Jeśli będziesz się upierać, to sam pójdę na dół, chociaż nie zasną. A poza tym, tam jest zimno.

Wciąż próbowała się uwolnić z jego uchwytu, a on prosił dalej:

- Aniu, proszę. Nie dotknę cię. Przyrzekam na pamięć mojej matki.

Odsłonił oczy. Ania dojrzała w nich szczerą. Znów zapadła ciemność i cisza na jakieś dziesięć minut. Przerwał ją Ścibor. Głos miał cichy i ochryply.

- To nie jest takie złe, Aniu. Według zakorzenionych przesądów to jest tabu, ale w rzeczywistości masturbacja nie jest złą rzeczą. Każdy lekarz, każdy psychiatra to potwierdzi.

- Przyszłam na pamięć twojej matki - przypominała ostro.

- Przyszłam, że cię nie dotknę i nie zrobię tego. Nie dotknę cię, dopóki sama nie będziesz tego chciała.

Rękami zakryła uszy, ale i tak słyszała jego głos:

- Nigdy nie próbowałaś tego robić, Aniu?... Kiedy leżałaś na łóżku w swojej klasztornej celi... Czy nigdy nie ogarniało cię podniecenie... w nocy? Nigdy nie wsuwałaś tam dłoni... nie głaskałaś się... nie czułaś wilgoci między udami... nie rozsuwałaś ud... nie wsuwałaś tam palca... a może używałaś świecy?

Uderzyła ją jakaś myśl. Zerwała się z łóżka. Zapaliła światło oślepiając go na chwilę. Stała przy łóżku łkając z wściekłości i poniżenia. Łapała powietrze krótkimi haustami.

- Dobrze! Niech ci będzie! Chcesz zobaczyć nagą zakonnice. Jak sobie życzyś!

Sięgnęła po brzeg koszuli, podciągnęła ją najpierw do pasa, by zebrać ją w dłoniach, a potem ściągnęła przez głowę i rzuciła na podłogę. Miała na sobie elegancki biały stanik i niebieskie majteczki. Sięgnęła do tyłu, rozpięła biustonosz i rzuciła go na podłogę.

- Chciałeś zobaczyć nagą zakonnice? - syknęła. - To patrz... przy patrz się!

Zsunęła majtki i zdjęła je potykając się. Potem się wyprostowała. Piersi jej falowały. Z oczu ziała wściekłość.

- No patrz! To jest nagie ciało zakonnicy. Chcesz go dotknąć? Chcesz dotknąć nagiej skóry zakonnicy?

Okrążyła łóżko uderzając w nie nogą i stanęła przed Ściborem.

- No więc dotknij go! - Wskazała palcem jego szorty. - Wsadź to w ciało zakonnicy, jeśli o to ci chodzi!

Ścibor leżał opierając się na łokciu. W głowie miał zamęt. Tuż przed oczami widział czarny trójkącik jej owłosienia łonowego. Czuł zapach jej ciała. Spojrzał wyżej, czując, że ma erekcję. Wolna ręka automatycznie powędrowała w ślad za wzrokiem - po miękkim brzuchu, do falującej piersi. Tam się zatrzymała wyczuwając doskonałość jej ciała. Spojrzał w jej twarz. Była zalana łzami. Usta miała rozchyłone, a wargi drgały tak jak całe ciało. Zmrużyła oczy. Ścibor dostrzegł w nich ogromny ból.

- Rób, co chcesz, ale, na Boga, przestań mnie poniżać! - powiedziała przez łzy.

Nagle opadła mu ręka. Penis też Ścibor zwałił się ciężko na łóżko wciskając dlonie w oczy tak mocno, jakby chciał samego siebie oślepić.

Blask wschodzącego dnia przedostał się nawet przez grube zasłony rzucając mgliste światło na łóżko. Ścibor leżał na prawym boku tuż przy brzegu, a Ania na lewym pośrodku posłania. Jej ręka spoczywała na biodrze Ścibora, a głowa na jego piersi w miejscu, gdzie podżama była rozpięta. Oby dwoje pogrążeni byli w głębokim śnie.

Godzinę po wschodzie słońca Ania zaczęła się budzić i powoli odzykiwała świadomość. Twarz miała niemal wtuloną w szyję mężczyzny. Na wół śpiąc jeszcze, zdała sobie sprawę, że leży tuż przy nim, że są bliźniętami niczym dwie lizętki w futerale. Zesztywniała, po czym przypomniała sobie, że noc była bardzo zimna. We śnie musiała się przesunąć i instynktownie, jak każdy ssak, zbliżyła się do ciepła drugiego ciała. Bała się teraz poruszyć, żeby go nie obudzić.

Przez następne dziesięć minut drzemała leżąc bez ruchu niczym ciepła lizętki. Potem dobiegł ją brzęk sztućców z kuchni. Powolutku, zachowując najwyższą ostrożność, cofnęła rękę i wyszła z łóżka. Podeszła do pieca.

Ścibor spał, kiedy się ubierała. Już stojąc przy drzwiach, spojrzała na jego twarz. Malowała się na niej beztroška i nawet z wąsami nie wyglądał jak młodzieniec. Nozdrza rozszerzały mu się lekko, kiedy wciągał powietrze. Ania patrzyła tak przez kilka minut, po czym cichutko otworzyła drzwi i wyszła.

George Laker lubił gwizdać w czasie jazdy. Ogromna scania zmierzała autostradą w kierunku Hate. George gwizdał właśnie melodię z "Joseph and his Technicolour Dreamcoat". Lubił operę rockową. Tę oglądał w kraju, w Melbourne. Australia była na drugim końcu świata, ale nie tęsknił za nią. Gwizdał, kiedy był zadowolony, a był zadowolony, kiedy przybywało mu pieniędzy. Im więcej ich było, tym humor miał lepszy. A ta wyprawa szczególnie się udała. W sumie tylko dwa dni, a zarobił kupę pieniędzy. Dostał dwadzieścia uncji złota za wwiezienie dwójki młodych ludzi, i dwa tysiące funtów szterlingów za wwiezienie dwójga starszych. Zaczął teraz gwizdać melodię "Nie wiem, jak go kochać" z musicalu "Jesus Christ Superstar" i pomyślał o starszej parze zamkniętej w schowku. Byli rosyjskimi Żydami. O nic ich nie pytał, ale domyślił się, że nie zdołali wyemigrować z Rosji, więc przedostali się do Czechosłowacji, prawdopodobnie na turystycznej wizie. Tak czy owak, nie go to nie obchodziło. Wiedział tylko, że dwa tysiące funtów powiększyło już jego szwajcarskie konto. Wpłacili je pewnie krewni z Izraela albo jakaś żydowska organizacja charytatywna. Wprawdzie ci dwoje byli starzy, ale sprawiali wrażenie zwyczajnych. Byli podenerwowani, lecz w doskonałych humorach. Bez chwili wahania pozwolili sobie zrobić zastrzyk, jakby wstrzykiwał im nie trepalinę, a czyste złoto.

Spojrzał na zegarek, potem na licznik i w myśli wykonał obliczenia. Zwiększył trochę prędkość. Zaryzykował mandat za przekroczenie szybkości. Uśmiechnął się. I tak byliby to tylko małeńki procent sumy zarobionej w czasie tego kursu. A w Wiedniu czekała na niego Elza, Elza o długich nogach. Znowu zaczął gwizdać.

Przestał dopiero, gdy do Hate zostało dwadzieścia kilometrów.

Duży silnik zaczął się krztusić. Zaklął - to znowu ta cholerna pompa paliwowa. Już miewał z nią kłopoty w tym miesiącu. Na szczęście kupił zapasową w Wiedniu i miał w skrzynce z narzędziami, ale nie zdążył wymienić jej przed podróżą. Było to zajęcie czasochłonne i brudne. Postanowił, że jakoś spróbuje dojechać do Hate. Zmniejszył nieco nacisk na pedał i zwolnił. Przez następne pół godziny zrobił piętnaście kilometrów i zostało mu jeszcze pięć, kiedy silnik jęknął, zacharczał i stanął zupełnie, gdy George zjeżdżał na pobocze. Ponownie zaklął spoglądając na zegarek. Wymiana pompy zajmie mu przy najmniej czterdzieści pięć minut, a na zewnątrz trzymał duży mróz. Wprawdzie nadrobił trochę czasu, bo jazda w tę stronę trwała jakoś krócej niż w przeciwnym kierunku. Staruszkowie obudzą się za jakieś dwie godziny. No cóż, trudno. Będą siedzieć cicho. Wydawało się, że nie cierpią na klaustrofobię; wchodzili do środka całkiem ochotczo. Wskoczył z szoferki, wyjął skrzynkę z narzędziami i zabrał się do pracy.

Dwie godziny później zatrzymał się na przejściu granicznym w Hate. Przed nim stało osiem TIR-ów. Samochody osobowe i małe ciężarówki czekały w osobnej kolejce. Zgasił silnik, włączył ręczny hamulec, wyjął szaszkę z dokumentami, wysiadł i skierował się do urzędu celnego. Przy ladzie stał jakiś kierowca wyjaśniając coś celnikowi. Sześciu innych cierpliwie czekało na laweczkę. Jednego rozpoznał - Irlandczyka z Dublina, który specjalizował się w przewożeniu kotar i materiałów obiciowych ze Wschodu na Zachód. Podeszedł do niego, przywitał się i usiadł obok.

- Tylko jeden dzisiaj załatwia?

- Nie - odparł Irlandczyk swoim belkotliwym głosem. - W sąsiednim biurze powstało jakieś zamieszanie wokół samochodu osobowego. Dwaj stąd poszli tam, żeby dodać trochę urzędowej powagi.

Laker znowu spojrzał na zegarek. Zanosilo się na długie czekanie, dłuższe niż myślał.

- Miałaś dobrą podróż? - spytał Irlandczyk.

- Tak, dopóki nie nawaliła mi pompa paliwowa. Dobrze, że miałem zapasową.

Irlandczyk roześmiał się głośno.

- Spotkałem Ernesta Krugera przy wyjeździe z Ostrawy. Para buchała spod maski jego wozu, a i w nim też się gotowało. Poderwał jakąś miłutką Niemkę i wiózł ją do Wiednia. Dziewczyna spieszyła się, więc zrobiłem jej uprzejmość i zabrałem ze sobą.

- A gdzie jest teraz?

Irlandczyk mruknął.

- Odpoczywa w szoferce... Wygląda na taką, co umie się odwdzięczyć.

Kierowca przy ladzie zebrał swoje dokumenty, wymamrotał "dziękuję" i wyszedł. Następny wstał z końca lawy i podeszedł do celnika. Pozostali przesunęli się o jedno miejsce.

- Opowiadałem ci o tej małej, którą poderwałem w Pradze parę miesięcy temu? - spytał Laker.

Irlandczyk potrząsnął głową. Laker roześmiał się na samo wspomnienie.

- Chryste, to dopiero była szalona Sheila. Nie minęła minuta, odkąd weszła do ciężarówki, i już... - urwał. Wszedł kapitan STB, a to znaczyło, że zaszło coś poważnego; STB była tajną milicją. Oficer miał czarne wypolerowane buty, a na ustach zagadkowy uśmiešek. Przesunął wzrokiem po wszystkich kierowcach, jakby w poszukiwaniu oznak nieczystego sumienia, a potem zapytał uprzejmie:

- Który z panów nazywa się G. Laker?

Laker poczuł ucisk w żołądku i przyspieszone bicie serca. Powoli podniósł rękę.

- I pan jest kierowcą scanii o numerze AGH 5034D?

Laker przelknął ślinę. Z trudem wykrztusił:

- Tak... O co chodzi, panie kapitanie?

- Chodzi o to, że z wnętrza pańskiej ciężarówki wydobywają się jakieś dziwne głosy - ludzkie głosy, Laker... coś w rodzaju pisku.

Australijczyk siedział jak sparalizowany. Irlandczyk odsunął się na bok i przyglądał mu się ze współczuciem, podobnie jak pozostali kierowcy.

- Myślę, że powinien pan pójść ze mną, żeby wyjaśnić to zjawisko - powiedział kapitan. Te łagodne wypowiedziane słowa brzmiały dla Lakera jak dzwony pogrzebowe.

Dwadzieścia minut później siedział przy stalowym stoliku naprzeciw pułkownika STB. Kapitan stał obok z zadowoloną miną. Australijczyk miał na rękach kajdanki. Przez zakratowane okno dobiegało wycie odjeżdżającej karetki.

Pułkownik przysunął do siebie notatnik z żółtymi liniowanymi kartkami, wyjął z kieszonki staromodne wieczne pióro i na pierwszej stronie dużymi literami napisał, , George Laker". Wyraz jego twarzy mówił, że nawykł do pisania raportów. Odnaczenia na mundurze świadczyły nie tyle o odwadze, co o znaczących wynikach w pracy. Podniósł wzrok. Oczy miał osadzone głęboko pod łukami brwiowymi, jakby w ochronie przed dymem z papierosów. Niczym za sprawą telepatii wyjął z kieszeni starą, porysowaną srebrną papierosnicę i zapalił. Nie poczęstował kapitana. Australijczyk marzył o papierosie. Pułkownik wypuścił dym w górę i powiedział:

- Nie dopisało ci szczęście, Laker. Staruszek miał prawdopodobnie kłopoty z sercem. To, co mu wstrzyknąłeś, pewnie pogorszyło sprawę. Zresztą opowiedz nam o tym. Jego ukochana żona obudziła się, zobaczyła, że mąż sżywniej, i wpadła w panikę. Prawdziwy pech. Za pół godziny miałbyś odprawę za sobą. - Do tej pory pułkownik mówił łagodnie i spokojnie. Teraz jego głos stał się szorstki. - Naturalnie, taki doświadczony szmugler jak ty doskonale wie, jaka kara grozi

za wywołanie zbiegłych przestępców z naszego kraju.

Laker odżył się głosem.

- To nie byli przestępcy.

Pułkownik wypuścił dym wprost na niego.

- Ich czyn jest przestępstwem, Laker. Grozi ci dziesięć lat ciężkiego więzienia. To minimum. A może więcej, znacznie więcej. Zależy, jak będziesz z nami współpracował. - Jakby oczekując na sygnał do rozpoczęcia pisania, okręcił pióro w palcach. - A więc po pierwsze, skąd ich zabrałeś i kto ci ich przekazał?

Laker rozważał sytuację. Myśli prześcigały się nawzajem, analizując wszelkie ewentualności. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie był twardym człowiekiem. I w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka. Wszyscy kierowcy, przemierzający kręte drogi komunistycznego handlu, doskonale znali konsekwencje nielegalnych transportów. Laker prowadził tę działalność już od pięciu lat i zdolał odłożyć blisko ćwierć miliona dolarów. Potrzebował teraz czasu, żeby je wydać. I zrobiłby wszystko, żeby nie stracić tego czasu. Miał czterdzieści siedem lat. Z więzienia wyjdzie jako sześćdziesięcioletni stary, złamany człowiek.

- No więc? - przytrzymał pułkownik

Laker uspokoił go gestem.

- Chwileczkę - powiedział szorstko. - Dajcie mi chwilę pomyśleć.

Przez dwie minuty milczał. Pułkownik w tym czasie stukał się piórem po nosie. W końcu pewnym siebie głosem Australijczy kodparł:

- No cóż, może ubijemy interes.

Pułkownik roześmiał się szyderczo.

- Nie mam zwyczaj u ubijania interesów, ty głupte. Albo będziesz z nami współpracował, albo spędzisz resztę życia w więzieniu. Wiesz, jak jest. No więc, skąd ich zabrałeś?

- Pewnie, że wiem, jak jest. Jeździłem już i przez Czechosłowację, i przez Rumunię, Polskę, Niemcy Wschodnie, Jugosławię, Bułgarię, a nawet Rosję. My, kierowcy, rozmawiamy ze sobą. Do cholery, nie potrzebujemy nawet radia CB, a i tak mnóstwo wiemy. Może być pan pewien, że wiem, jak to jest, ale jak pan usłyszysz, co mam do powiedzenia, to ubiję interes, tylko, do jasnej cholery, nie z panem ani nawet z pańskim szefem!

Wyprostował się na krześle i czekał. Znał sposób myślenia tych ludzi. Pułkownik zerknął na kapitana i zachęcił:

- Mów dalej.

Laker postanowił kuć żelazo, póki gorące. Wiedział, że słowo "szef" wywołuje u tych ludzi odruch warunkowy.

- Papieros odświeżyłby mi trochę pamięć.

Pułkownik spojrział na niego z niechęcią, ale jednak podsunął otwartą papierosnicę i zapalniczkę. Laker sięgnął zakutymi w kajdanki rękami i wziął jednego. Zapalniczka - również porysowana-była starym, amerykańskim egzemplarzem marki Zippo. Zapalił nią papierosa, zaciągnął się z zadowoleniem i rzekł:

- Złożę się, że to wojenna zdobycz.

- Nie jestem aż tak stary - odciął się pułkownik - Mów, co masz mówić, i lepiej niech okaże się to cenną informacją.

Laker zaciągnął się głęboko, czekając, aż dym wypełni mu płuca. Delektował się smakiem tytoniu. Kiedy zaczął mówić, dym wychodził mu ustami i nosem.

- Co się wydarzyło dwudziestego trzeciego zeszłego miesiąca, panie pułkowniku?

- To ja jestem od zadawania pytań...

Pułkownik urwał, kiedy uzmysłowił sobie znaczenie tej daty. Wyglądało to niemal komicznie. Laker uśmiechnął się do siebie.

- Przypomnę panu. Tego dnia otrzymał pan rozkazy. Polecono panu zwiększyć do maksimum kontrolę na całym obszarze, za który jest pan odpowiedzialny. I nie tylko pan otrzymał takie rozkazy. Rozesłano je do każdego punktu kontroli granicznej w całym bloku wschodnim, zarówno w ruchu powietrznym, jak i lądowym czy morskim. A zwłaszcza do wszystkich przejść na granicach z Zachodem, od Bałtyku aż po Morze Czarne. - Znow wypuścił dym. Pułkownik przyglądał mu się uważnie. - Nie ma w tym nic dziwnego. Ciężarówki jeżdżą po całym bloku wschodnim. Kierowcy rozmawiają ze sobą. Próbowaliśmy odgadnąć przyczynę tej wzmożonej kontroli. Rodzi ona przecież pewne problemy. Przewóz towarów znacznie się zwolnił, nawet wewnątrz samego bloku. Turystyka też na tym cierpi. A biorąc pod uwagę rozmaite blokady drogowe i sprawdzanie tożsamości, na pewno wyrabiacie cholernie dużo nadgodzin. Musi to kosztować poszczególne rządy kupę forsy. I w dodatku to nie jakieś dwutygodniowe manewry.

Zrobił krótką przerwę, żeby wzmocnić napięcie. W końcu pułkownik zapytał:

- I co w związku z tym?

- To znaczy, że jesteście spanikowani. Szukacie kogoś. A zakres całej akcji świadczy, że Moskwa rozpacziwie kogoś poszukuje... może jakiegoś szpiega... a może nawet kogoś ważniejszego niż zwykły szpieg. Sami jeszcze niewiele wiecie. Nie wiecie nawet, czy ten, którego szukacie, jest już w bloku wschodnim. A jeśli tak, to gdzie.

Znow zapadła cisza. Pułkownik pomyślał właśnie o materiałach, które dostał rano. Były do tego stopnia pilne, że przysłano je przez tak drogie urządzenie, jakim jest telefax. Dossier opatrzone fotografią. Pułkownik ponownie zapytał:

- I co w związku z tym?

- To, że mógłbym trochę rozwikłać całą tę gmatwaninę.

- Błefujesz, Laker. - Pułkownik nie dowierzał mu. - Jesteś tylko zwykłym szmuglerem przewożącym drobnych przestępców. Bujasz w obłokach. Odbywamy po prostu rutynowe ćwiczenia w zakresie zwiększonej kontroli.

- Gówno prawda, i nie może pan sam zaryzykować ubicia ze mną interesu. - Laker rzucił peta na podłogę i rozdeptał go obcasem.

Pułkownik spojrział na kapitana.

- Kiedy ten człowiek wjechał do Czechosłowacji?



Kapitan stanął na baczność.

- Dwa dni temu, oby watele pułkownika. O ósmej czterdzieści pięć.

- A jaki był punkt docelowy?

- Brno, oby watele pułkownika. Wiózł zamówione narzędzia do fabryki Skody.

Pułkownik w zamyśleniu rozcierał nos. Laker poczęstował się kolejnym papierosem. Wreszcie pułkownik spytał:

- Przywiozłeś kogoś w czasie tamtego kursu?

Laker wypuścił dym.

- Myślę, że już czas, żeby sprowadził pan tu swego szefa... naczelnego.

Cztery godziny później zadzwonił telefon na biurku pułkownika Zamiatina. Telefonował stary przyjaciel, Garik Szołochow, szef agentury KGB w Pradze. Był bardzo podniecony. Dwadzieścia sekund później Zamiatinowi udzielił się jego nastrój. Zaczął nawet robić notatki, mimo iż rozmowa była nagrywana. Parę razy zerknął na dużą mapę ścienną. W końcu uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Doskonale, Gariku. Czy Australijczyk go rozpoznał?... To dobrze. Tak miał wąsy. Wysłali z nim kobietę, sprytnie posunięcie... ale nie tak bardzo. A teraz posłuchaj. Wygląda na to, że ta wioska to ich pierwszy punkt kontaktowy. Może jeszcze tam są i odpoczywają. Chcę, by otoczono tę wieś ścisłym kordonem, a na wszystkich drogach w promieniu pięćdziesięciu kilometrów mają być ustawione blokadki. Jeśli zajdzie potrzeba, wykorzystajcie wojsko. Nikt nie może się prześlizgnąć przez kordon, dopóki nie dotrzesz na miejsce. Wydadź rozkazy w tej chwili. Ja zaczekam.

Położył słuchawkę na biurku i uśmiechnął się do obserwujących go trzech majorów. Po chwili podszedł do mapy.

- Dzięki staraniom majora Gudowa i odrobinie zasłużonego szczęścia już prawie go mamy. - Palcem wskazał jakiś punkt na mapie. - Tutaj przekroczył granicę w towarzystwie kobiety: Byli ukryci w schowku TIR-a. Wyszadono ich tutaj - cztery kilometry od wsi Blovica, dwa dni temu. Mam nadzieję, że jeszcze tu są.

Wrócił do biurka i podniósł słuchawkę. Minutę później rozmawiał ponownie z Szołochowem. Przez pięć minut wydawał zwięzłe rozkazy, po czym odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Była za kwadrans dziesiąta. Zadzwonił do szefa, Wiktora Czebrikowa. Czekając na połączenie, myślał o dacz w Usowie i generalskich gwiazdkach.

Czebrikow zdał Andropowowi relację z ostatnich wydarzeń podczas wczesnego obiadu w prywatnej jadalni generalnego sekretarza, który przyjął te rewelacje bez oczekiwanego przez Czebrikowa entuzjazmu. Szef KGB stwierdził:

- Juriju, wieś jest teraz otoczona kordonem. Być może za niecałą godzinę złapiemy rybkę w sieć.

Jedli akurat śledzie w śmietanie. Andropow włożył do ust kawałek ryby, żuł przez chwilę spokojnie, przełknął i powiedział:

- Wiktorsze, rybę uważamy za złapaną dopiero wtedy, gdy leży już w łódce... a nawet wtedy jeszcze potrafi wyskoczyć, jeśli od razu jej nie zabijesz.

Czebrikow westchnął w duchu. Szef miał chyba swój zły dzień, jego błada twarz była wymierzowana. Przed posiłkiem zażył jakieś trzy tabletki.

- Tak czy owak - mówił dalej Andropow - jeśli go nie złapiecie, to dojedzie do Moskwy przed dziesiątym przyszłego miesiąca. - Spojrzął na Czebrikowa, który wyglądała na zaintrygowanego. - Dobrze to rozpracuj, Wiktorze. Dziesiątego papież leci na Daleki Wschód. Bekonowy Książdz i jego watykańscy przyjaciele założyli, i słusznie, że właśnie tam dokonamy zamachu. Dowiedzieli się od tego sukínsyna Jewczenki, że niektórzy sprzeciwiają się mojemu projektowi: są wśród nich nawet Czernienko i Gorbaczow. Oni nie dostrzegają znaczenia tego przedsięwzięcia. I jeśli umrę, to natychmiast otrzymasz rozkaz odwołania tej operacji.

Czebrikow potwierdził skinieniem głowy. Doskonale rozumiał strukturę władzy i zasady jej działania. Jeśli Andropow umrze, to on sam może stracić stanowisko.

- Nie martw się, Juriju, złapiemy go i natychmiast zabijemy. A tymczasem podjęliśmy tak ścisłe środki ostrożności w stosunku do twojej osoby, jak to tylko możliwe.

Po raz pierwszy generalny sekretarz się uśmiechnął.

- Wiem, że mogą na tobie polegać, Wiktorze. Tak czy owak, w przyszłym miesiącu, od siódmego, jadę na tydzień na badania do kliniki. Odpocznę trochę. No i pewnie jest to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Zanim stamtąd wyjdę, ten cholerny papież będzie mógł się już przekonać, czy naprawdę istnieje niebo.

Było wpół do dwunastej miejscowego czasu, kiedy z bezchmurnego nieba helikopter Szołochowa opuścił się na plac w Blovicach. Wszystkich mieszkańców wioski, łącznie z niemowlętami i dziećmi, zebrano już przed starym kościołem. Ludzie byli bardzo zaniepokojeni - wiedzieli, że wioskę otoczył kordon wojska, a nie mieli pojęcia dlaczego. Już po chwili jednak Szołochow przekonał się, że zwierzy na wyłknęła się z pułapki wczesnym rankiem.

Jego ludzie zaczęli właśnie rozbierać dom na części, a on sam udał się do wozu łącznościowego, by wydać rozkaz pościgu za starą, szarą skodą o numerze rejestracyjnym TN 588179. Należało zatrzymać i przeszukać wszystkie skody sprzed 1975 roku, na wypadek gdyby zmieniono tablice. Szołochow wiedział, że utrudni tym podróż tysiącom ludzi, ale nie dbał o to. Podał dokładne rysopisy czwórki poszukiwanych, ostrzegając, że mogą być niebezpieczni, zwłaszcza młodszy mężczyzna.

Następnie zatelefonował do Zamiatina. Kiedy przekazał mu najświeższe wiadomości, wyraźnie wyczuł jego rozczarowanie.

- Nie przejmuj się, Oleg. Nie mogli uciec daleko. A poza tym nie wiedzą, że jesteśmy na ich tropie. Grali tu rolę turystów, których ciotka i wujek obwozła po okolicy. Po dwóch dniach mieli pociągiem wrócić do Polski. Może być w tym jakieś ziarno prawdy.

Zamiatin zaczął wydawać instrukcje, ale Szołochow przerwał mu.

- Oleg, najpierw daj mi powiedzieć, co już zrobiłem. Zaoszczędzi nam to trochę czasu.

Szybko wyliczył przedsięwzięte przez siebie działania. Powiedział też, co on sam zamierza zrobić przez najbliższych kilka godzin. Potem zapadła cisza. Zamiatin wszystko rozważał. W końcu rzekł: - Doskonale. Wygląda na to, że o wszystkim pomyślałeś. - I już nieco placzywym głosem dodał: - Garik, jak będziesz coś wiedział, zadzwoń natychmiast.

- Oczywiście.

Okolica była spokojna, a oni wyglądali dokładnie na ludzi, za których chcieli uchodzić - starsze małżeństwo zabierające młodych krewnych na wycieczkę. Albin i Sylwia siedzieli plecami do rzeki - miejsca, z których było ją widać, zostawili dla Ani i Ścibora. Ich stolik stał na drewnianym tarasie wysuniętym poza brzeg nad rzeką. Taras był oszklony, co chroniło od zima, więc przy zimowym słońcu było tu jak w cieplarni. Zjedli dobry obiad i wypili półtorej butelki caberneta. Nawet powietrze wokół nich było jakby przesycone zadowoleniem. Tylko Sylwia jakoś zupełnie nie potrafiła się rozluźnić. Dręczyła ją ciekawość. Zawsze tak było. I teraz wciąż się zastanawiała, co właściwie łączy tych dwoje. Ciekawiło ją, co wydarzyło się między nimi i tamtej nocy. Przez drzwi sypialni jej i Albina dochodziły słabe odgłosy sprzeczki. Nie mogli rozróżnić słów, ale przejął ich do głębi straszny ból w głosie szlochającej Tereni.

Albin już nawet miał zamiar interweniować, ale Sylwia, pomimo swej ciekawości, powstrzymała go. Jednak kiedy głosy ucichły, wstała i cicho poszła do łazienki. Wracając podeszła pod drzwi sypialni i nasłuchiwała przez chwilę. Dobięgił ją męski głos, lecz bardzo niewyraźny. Nie słyszała słów, ale ton był jakiś dziwny, jakby błagalny. Ścibor mówił przez kilka minut, a potem zapadła zupełna cisza.

Rano Terenia zeszła na dół pierwsza i pomogła jej przygotować śniadanie. Wydawała się spokojna i odprężona niczym chory po ustąpieniu wysokiej gorączki.

Przy śniadaniu widać było po Ściborze, że cokolwiek wydarzyło się tej nocy, wywarło na nim ogromne wrażenie. Był jakiś cichy i zamknięty w sobie, a wobec Tereni dziwnie opiekuńczy. I raz po raz spoglądał w jej kierunku.

I tak już zostało - w czasie podróży, w muzeum w Brnie i teraz w restauracji. Był dla niej bardzo grzeczny, pomagał wysiadać z samochodu i zdejmować płaszcz, podsuwał krzesło, kiedy siadała. Zachowywał się tak, jakby chciał zatrzeć wspomnienia kłótni z kochaną osobą.

Albin zauważył, że Ścibor nie rozstawał się ze swoją torbą. Nawet teraz wisiała na oparciu jego krzesła.

Ścibor sięgnął po butelkę i dolał do kieliszka Ani. Próbowała się sprzeciwić, ale on powiedział z uśmiechem:

- Wypiłaś tylko jeden kieliszek, Aniu. Wypij jeszcze trochę.

Staruszkowie zauważyli jego pomyłkę, ale nie skomentowali tego.

Ania natomiast odparła ostro:

- Dziękuję, Tadeuszu.

Kiwnął głową, jakby przyznając się do błędu, ale wcale nie był zmieszany.

Albin zerknął na zegarek, poprosił o rachunek i rzekł:

- Do Cieszyna jest trzydzieści kilometrów, a do odjazdu pociągu została zaledwie godzina.

Wychodząc z restauracji, Albin i Sylwia szli przodem. Staruszek tak nagle się zatrzymał, że Ścibor wpadł na niego, ale zaraz sam zobaczył, dlatego Albin stanął jak wryty.

Ich szara skoda była zaparkowana jakieś czterdzieści metrów od wejścia do lokalu. Teraz stał przed nią milicyjny radiowóz. Przednie drzwi miał otwarte. Jakiś milicjant przyglądał się naklejonemu na przedniej szybie skody znaczki potwierdzającemu zapłacenie podatku. Inny stał przy drzwiach radiowozu mówiąc coś niecierpliwie do mikrofonu. Milicjanci również spostrzegli już poszukiwanych i na ulamek sekundy wszyscy zastygli bez ruchu. Potem obydwaj sięgnęli po pistolety i jeden z nich krzyknął:

- Stać. Nie ruszać się!

Cała czwórka rzuciła się z powrotem w głąb restauracji wymijając stoliki i zaskoczonych gości. Albin uderzył bokiem w jakiś stolik, który przewrócił się z brzękiem szklą i spadających sztućców. Rozległy się okrzyki przerażonych ludzi.

Wybiegli na taras. Obok stolika, przy którym wcześniej siedzieli, znaleźli schodki prowadzące na zwirowaną ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki. Szła nią właśnie jakaś para nastolatków. Ścibor zderzył się z nimi - upadli i przestraszeni krzyczeli. W lewej ręce wciąż trzymał swoją torbę, a prawą grzebał w niej nerwowo. Przeskoczył nad leżącą dziewczyną i pobiegł w dół ścieżką. Usłyszał jakiś krzyk i odwrócił się. Ania była tuż, tuż. Staruszkowie wleki się z tyłu. Jeden z milicjantów stał na tarasie i celował z pistoletu. Znow krzyknął i strzelił. Albin zawył z bólu i przewrócił się na ścieżkę, ścisnąc ręką lewe udo.

Wreszcie Ścibor wyczuł palcami stalową kolbę makarowa. Błyskawicznie wyciągnął broń, odwrócił się i przykluczył. Ania przebiegła obok, gdy celował. Myślał znow był na pustyni, na obozowej strzelnicy. Naciśnął spust i usłyszał głuche pąknięcie, kiedy kula trafiła milicjanta w pierś. Nie czekał, aż tamten upadnie. Zobaczył, że Sylwia podbiegła do Albina krzycząc "Józefie! Józefie!" - pewnie było to jego prawdziwe imię. Coś mu mówiło, że nie zostawi go samego. Odwrócił się i pobiegł za Anią, która wyprzedziła go o jakieś czterdzieści metrów. Dobięgała właśnie do drzew; ścieżka gdzieś skręcała. Dwadzieścia metrów na lewo unosiła się na rzece łódka, a w niej dwaj mężczyźni obserwujący całą scenę z przerażeniem na twarzach. Ścibor znow usłyszał za sobą jakiś okrzyk, a potem odgłos strzału. Poczul, że kula przeleciała tuż nad jego głową. Nie odwrócił się. Ania właśnie znikła za zakrętem ścieżki. Rzucił się w prawo, przeskakując krzaczki, by szybciej dotrzeć do drzew. Kolejna kula przeleciała górą. Nie wiadomo, dlaczego znow zabrzmiał mu w uszach ponury głos portugalskiego instruktora: "Strzaly z pistoletu mają to do siebie, że zwykle przechodzą górą". Wpadł właśnie do zagajnika, kiedy kula trafiła w drzewo tuż obok. Milicjant celował teraz nieco lepiej, ale jednak za bardzo na prawo. Ścibor dogonił Anię po drugiej stronie zagajnika. Zwolniła trochę i niespokojnie patrzyła w kierunku, z którego przybiegła. Gdy zobaczyła Ścibora, na jej twarzy odmalowała się ulga.

- A tamci? - wysapała.

- Trafieni. Szybko!

Chwycił ją za ramię i pociągnął. Rzeka wila się tutaj, a razem z nią ścieżka. Zastanawiał się, czy milicjant biegnie za nimi, czy też wrócił do radiowozu, by wezwać pomoc. Miał nadzieję, że jednak ich goni.

Musiał trochę zwolnić, żeby nie zostawić Ani w tyle.

- Uciekaj! - dyszała. - Zostaw mnie.

Znow chwycił jej ramię i pociągnął za sobą. Skręcili. Ścieżka dochodziła do owalnego placyku. Stąd biegła dróżka na prawo aż do głównej szosy. Jakiś chłopak z dziewczyną właśnie zsiadali z motoru. Na głowach mieli jeszcze niebieskie kaski. Odwrócili się słysząc biegnących. Chłopak zdejmował kaski i nagle zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu. W jego oczach odmalowało się przerażenie.

- Zabieram twój motor - rzekł Ścibor. - Dawaj kluczyki.

Chłopak nieruchomiał ze strachu. Ścibor zerknął na motor - kluczyki tkwiły jeszcze w stacyjce. Rzucił torbę Ani, która z trudem łapiąc oddech przycisnęła ją do piersi.

Ciągle celując w chłopaka, Ścibor wsiadł na motor i zapalił. To był rosyjski nerval 650cc; Ponownie przyszła mu do głowy jakaś bezsensowna myśl - ten chłopak musiał być synem jakiegoś wazniaka. Zarówno on, jak i przestraszona dziewczyna mieli na sobie wytarte oryginalne levisy i kurtki narciarskie. Mimo dziwnych myśli nie przestał działać; odwrócił motor tak, żeby po prawej stronie mieć ścieżkę, którą przybiegli. Usłyszał właśnie głuchy tupot kroków biegnącego. Podniósł pistolet, wyprostował rękę i zaczerpnął powietrza.

Milicjant wyłonił się właśnie zza zakrętu. Widząc wymierzony w siebie pistolet, zwinął trochę i próbował zboczyć w lewo, ale poślizgnął się na żwirze. Ścibor zaczęła, aż upadnie, po czym strzelił dwa razy. Pierwsza kula zatrzymała milicjanta, a druga zepchnęła ze ścieżki. Ciało powoli stoczyło się do rzeki.

Dziewczy na puszczala przeraźliwie. Ścibor kopnął starter i motor był gotowy do jazdy. Wsunął pistolet za paseki krzyknął do Ani:

- Prędzej! Musimy dojechać do Gottwaldowa. - Drgnęła. - Pośpiesz się, do cholery!

Szybko usiadła za nim ściskając torbę przed sobą.

- Trzymaj się dobrze. - Poczul, że chwyciła go mocno w pasie, i ruszył. Żwir synął się spod tylnego koła. Pędzili ścieżką słysząc oddalające się piski dziewczyny.

Zgodnie z przepisami nerval był dobrze wyciszony i kiedy zbliżali się do głównej szosy, Ścibor usłyszał wycie syren. Skręcił w zarośla i czekał.

Wkrótce jeden za drugim przejechały szosą cztery radiowozy. Poczekał, aż syreny umilkły, gdy samochody dojechały do restauracji, po czym wyjechał z krzaków na ścieżkę. Przy szosie zwinął trochę i Ania powiedziała mu do ucha:

- Mówiłeś przecież, że jedziemy do Gottwaldowa.

Odwrócił głowę.

- Tak, ale jedziemy w przeciwnym kierunku. Może dzięki temu zyskamy kilka cennych minut.

Skręcił w lewo, dodał gazu i patrzył, jak wskazówka szybkościomierza zbliża się do maksymalnej dozwolonej prędkości stu kilometrów na godzinę. Nie było dużego ruchu, ale znów usłyszał syreny. Spróbował zbliżyć się do ogromnej ciężarówki. Zwinął i jechał teraz tuż za nią, trzymając się jak najbardziej na prawo. Chwilę później po lewej stronie mignął mu samochód milicyjny. Zaraz potem Ścibor szybko wyminął ciężarówkę. W myślach wszystko sobie obliczył.

Para nastolatków dotrze wkrótce do restauracji. Na szosach będą ustawione blokadę. Musi zjechać z tej drogi najpóźniej za dwie, trzy minuty. Wykręcił nieco przegub i spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia. Odtworzył w myśli zapamiętaną mapę okolicy; ksiądz Heisl kazał mu wyryć w pamięci każdy szczegół.

Przejechali już dwanaście kilometrów. W pobliżu po tej stronie granicy znajdowały się dwa awaryjne "czyścice". Jeden celowo ulokowany był tuż przy granicy i mieścił się w gospodarstwie na przedmieściach Opawy. Ta sama rzeka, nad którą jedli obiad, przepływała przez Opawę i blisko "czyścica". Miasto było oddalone o jakieś trzydzieści kilometrów od restauracji. Za dnia nigdy nie zdołają przedostać się do tego gospodarstwa nie zauważeni. Teraz milicjanci obstawiający wszystkie blokadę wiedzą już, że uciekają motorem. Maksymalnie zwiększył obroty silnika nie przejmując się ograniczeniem szybkości. Poczul, że Ania ścisnęła go mocniej. Wskazówka skoczyła do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ciągu trzech minut przejechali siedem kilometrów. Obok mignęło kilka samochodów i ciężarówek. W dali Ścibor dojrzał boczną drogę skręcającą w lewo w kierunku rzeki. Przyhamował nieco. Wciąż jednak jechali szybko. Droga była tuż, tuż. Zastanawiał się właśnie, czy zboczyć w nią, a potem zawrócić, kiedy znów usłyszał wycie syreny. Nacisnął ręczny hamulec i z ostrym przechylem zakręcił.

Zaraz za zakrętem zjechał z asfaltu i wpadł w poślizg na błotnistym podłożu. Poczul, że motor wymyka się spod niego i zostaje gdzieś z tyłu. Jego natomiast wyrzuciło w górę w kierunku niskich krzaków. Ania krzyknęła i puściła go dopiero, gdy uderzyli o ziemię. Ścibor upadł z hukiem, odbił się dwa razy, po czym potoczył bezwładnie po zmarzniętej ziemi. W końcu zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od drogi. Przez chwilę leżał nieruchomo. Czuł silny ból w boku, w miejscu gdzie pistolet wbił mu się w ciało. Radiowóz na sygnale przejechał główną szosą jakieś pięćdziesiąt metrów od niego.

- Ania! - krzyknął.

- Jestem tutaj. - Drżący głos dobiegł z odległości kilku metrów.

- Nie ruszaj się.

Uświadomił sobie teraz, że mieli szczęście. Leżeli w niskich krzaczkach. Gdyby nie upadli, milicjanci w radiowozie mieliby ich jak na dłoni.

- Nic ci nie jest, Aniu?

- Chyba nie. Trochę guzów i zadrapań, i coś sobie zrobiłam w kostkę. A ty?

Poruszył rękami i nogami. Tylko w pasie go bolało. Wyciągnął pistolet. Pod wpływem uderzenia krawędź muszki wbiła mu się w brzuch, zostawiając płytką, krwawiącą ranę. Przekręcił się i podczołgał do Ani. Leżała na boku z podkurczonymi nogami, jedną ręką obejmując chorą kostkę. Jej lewe ramię było zadrapane i lekko krwawiło, ale w oczach nie było ani śladu strachu czy doznanego wstrząsu. Przejeżdżała właśnie ciężarówka, więc schylił szybko głowę i uśmiechnął się.

- Możesz wierzyć albo nie, ale mieliśmy szczęście. Gdyby nie ten wypadek, to już by nas dopadli. Co z twoją kostką?

- Nie jest złamana, ale chyba paskudnie skrzywiona - odparła rzeczowo. - Puchnie.

- Jak my ślisz, będziesz mogła iść?

Usiadła, postawiła stopę na ziemi i skrzywiła się z bólu.

- Tak, ale powoli.

Zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział:

- Pójdziemy do "czyścica" pod Opawą. To jakieś dwanaście kilometrów stąd. Musimy teraz ukryć motor, a potem sami się schowamy, dopóki się nie ściemni. Wkrótce nadlecą tu helikoptery. Po zmroku pójdziemy wzdłuż rzeki.

Podczołgał się do motoru i szybko go obejrzał. Prawy błotnik był wykręcony i przyciśnięty do koła, a dźwignia hamulca ręcznego odłamana. Poza tym wszystko było w porządku. Odgiął błotnik od koła i podniósł torbę leżącą kilka metrów dalej. Potem zawołał:

- Aniu, wyjrzyj na szosę! Powiedz mi, kiedy będzie pusta.

Ostrożnie podniosła głowę.

- Jeszcze nie teraz.

Usłyszał przejeżdżający samochód, potem ciężarówkę zmierzającą w przeciwnym kierunku, w końcu Ania zawołała:

- Już!

Szybko postawił motor, wsiadł i kopnął starter. Za trzecim razem silnik zapalił. Pochylił się, by podnieść torbę, a Ania pokużyła do niego. Chwilę później wpadli na szosę i pomknęli w dół w kierunku rzeki, zastanawiając się, czy szczęście ich nie opuści.

Dojechali do rzeki nie zauważeni. Właścicielka wyla się przez wąską leśną dolinkę. Ścibor przejechał brzegiem jakieś dwa kilometry. Dalej lasy były już rzadsze. Dwukrotnie zatrzymywali się i chowali w zaroślach przed przelatującymi helikopterami. Ścibor doszedł do wniosku, że już najwyższy czas, by pozbędzie się motoru i ukryć się. Rzeka płynęła tu wolno, ale była bardzo głęboka. Zsiadli, by obejrzeć brzeg. Woda wyłobizała go głęboko tworząc jakby nawis. Zauważyli jeszcze do toreb przy siodelku i znaleźli plastikowy pojemnik z wędliną, serem i chlebem. Była też butelka czerwonego wina. Wyjęli wszystko, po czym Ścibor mocno popchnął motor do rzeki. Wpadł z pluskiem i zniknął im z oczu, pozostawiając po sobie tylko bąbelki na powierzchni wody. Ścibor spojrzął na zegarek. Było tuż po wpół do czwartej. Najbardziej oczywistą kryjówką był las. Rano na pewno zaczną go przeszukiwać wojsko; może nawet za godzinę czy dwie. Została jeszcze jakaś godzina do zmroku. Około kilometra dalej nad strumieniem zauważył mały zagajnik. Mniej prawdopodobne, że będą ich tam szukać. Między miejscem, gdzie stali, a zagajnikiem rosły kępy drzew - zapewnią im osłonę.

Całą godzinę stracili na przejście tego kilometra. Dwukrotnie musieli ukrywać się przed helikopterami, a poza tym Ania nie mogła chodzić. Skakała na jednej nodze opierając się na ramieniu Ścibora. Kiedy wreszcie doszli do zagajnika, była blada jak płótno i osunęła się na trawę z westchnieniem ulgi. Ścibor poszperał w torbie, znalazł kosmetyczkę i dał Ani cztery aspiryny. Wyjął też butelkę wina, otworzył wciskając korek do środka i podał jej. Popiła tabletki i oddała mu wino bez słowa. Sam też wypił kilka łyków, po czym odstawił butelkę opierając ją o kamień.

- Reszta na kolację. Dobrze, że te dzieciaki miały zamiar zjeść podwieczorek. Rozejrzę się po okolicy. - Rzucił torbę obok Ani. - Usiądź wygodnie. - Zniknął między drzewami.

Przyciągnęła torbę i wyjęła sweter. Wiedziała, że do "czyścica" zostało jeszcze około dziesięciu kilometrów, a ona ich nie przejdzie. Wiedziała też, że Ścibor zdaje sobie z tego sprawę. Pewnie ją zostawi. We Florencji bez ogródek zapowiedział: "Jeśli nie będziesz mogła za mną nadążyć, zostawię cię".

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Gdy w pełni ją sobie uświadomiła, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się modlić.

Zastał ją w takiej właśnie pozycji i zapytał:

- Co się stało?

Podniosła głowę. Policzką miała mokre od łez, w oczach obojętność. Bezbarnym głosem odparła:

- Lepiej zrób to od razu.

- Co?

- Zabij mnie.

W pierwszej chwili zaniemówił, nie wiedząc, o co chodzi. Zaraz jednak zrozumiał, co miała na myśli. Jednym susem był przy niej, przykłąknął i wziął jej ręce w swoje. Spojrzała na niego. Dojrzał w jej oczach strach.

- Aniu, nie zamierzam cię zabić - powiedział łagodnie. - Nie mogę cię tu zostawić. Wiesz, gdzie jest "czyścic" i że nas tu szukają. Znaleźliby cię i zmusili do mówienia. Jeśli nie przemocą, to narkotykami. Nie możesz iść, więc będę cię niósł.

Strach na moment zniknął z jej oczu, ale zaraz powrócił.

- Przecież to dziesięć kilometrów... teren jest tu bardzo wyboisty. Nie dasz rady donieść mnie tak daleko... a na pewno nie przed świtem.

Uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech rozproszył lęk Ani i otworzył jakieś maleńkie drzwi do jego duszy.

- Nie masz pojęcia, jaki jestem silny. Bez problemu doniosę cię do "czyścica".

Zajął mu to siedem godzin. Wiedzieli, że żadne z nich nigdy tego nie zapomni, nawet gdyby żyli sto lat. Po tych siedmiu godzinach Ania znalazła jego siłę. Wyruszyli zaraz po zapadnięciu zmroku. Na niebie świecił księżyc. Ścibor zawiesił sobie torbę na szyi. Gdy szli, objęła mu się o klatkę piersiową. Anię niósł na plecach. Często potykał się w ciemności, a kilka razy się przewrócił. Ale za każdym razem starał się upaść tak, żeby ochronić ją swoim ciałem. Co godzinę odpoczywał przez kilka minut. Ania nie mogła wyjść z podziwu nad jego wytrzymałością. Wczesnym rankiem zatrzymał się i postawił dziewczynę na ziemi. Właśnie przeprawili się przez rzekę, ale wyla się tutaj w licznych zakrętach, więc znów ją mieli przed sobą. Wskazał palcem na wprost.

- Dom powinien stać jakieś pół kilometra stąd na tamtym wzgórzu. Poczekaś tutaj, a ja pójdę sprawdzić. - Dyszał mówiąc to, ale w jego głosie dźwięczała duma.

Ania ledwie czuła własne ręce i nogi ściernięte od kurczowego przytrzymywania się jego ciała i zeszywniałe od chłodu. Osunęła się na ziemię mówiąc:

- Uważaj na siebie, Mirku.

Zdjął z szyi torbę i położył przy niej. Potem wyjął zza pasa pistolet, odbezpieczył go i ostrożnie ruszył w kierunku brzegu. Rzeka była tu szersza i płytsza. Brnął przez nią ostrożnie trzymając broń wysoko nad głową. Pośrodku woda sięgała mu aż do piersi. Była lodowato zimna. Kiedy wchodził na przeciwny brzeg, Ania widziała jeszcze jego sylwetkę. Potem zniknął między drzewami.

Dziesięć minut później zamajaczył przed nim jakiś budynek. Wolniutko posuwał się do przodu, trzymając pistolet gotowy do strzału. Dom był parterowy. Nie paliło się żadne światło. Dojrzał dwa okna. Uświadomił sobie, że podszedł od tyłu. Zatrzymał się i stał nasłuchując. Jedynym dźwiękiem, jaki doszedł jego uszu, było dalekie pohukiwanie sowy. Poczuli lekkie mrowienie na skórze. W gospodarstwach zwykle są psy. Dlaczego nie szczekają? Powoli podszedł do rogu domu. Nieco dalej zauważył zarys jakiegoś większego budynku - pewnie stodoły. Pod butem trzasnęła mu sucha gałązka. Chwilę później usłyszał głos z prawej strony:

- A gdzie jest dziewczyna?

Odrzucił się celując z pistoletu. Ale zobaczył tylko kępę niskich drzewek. Wyrzucił się z nich jakiś cień i szedł w jego kierunku. Po obu jego stronach szły jakieś mniejsze cienie. Gdy się zbliżył, duży cień przybrał kształt człowieka. Mniejsze okazały się psami. Jeden z nich warczał. Mężczyzna coś do niego powiedział i pies się uspokoił.

- Miałeś mi coś powiedzieć - rzekł niezadowolony do Ścibora.

Ścibor poczuł całkowitą pustkę w głowie. Usiłnie szukał w pamięci, po czym odparł:

- Chyba się zgubiłem. Czy może mi pan pomóc?

Mężczyzna odparł spokojnie:

- W tych okolicach ciągle ktoś się gubi. - Potem niecierpliwie powtórzył: - A gdzie dziewczyna?

- Nad rzeką. Skręciła nogę. Zaraz ją przyniosę.

- Pomogę ci. - W głosie nieznanego dało się wyczuć ulgę.

- Sam ją przyniosę.

Mężczyzna zbliżył się. Zapalił latarkę, która na moment oślepiła Ścibora. Zaraz jednak ją wyłączył i rzekł:

- Jesteś zupełnie skonany. Może ci pomogę.

- Nie - powtórzył Polak z uporem, - Przynieś ją. Wróć za jakieś pół godziny.

- Dobrze. Niezajomy gestem wskazał budynek - Przynieś ją do stodoły. Wszystko jest przygotowane.

Przeprowadzając się przez rzekę, Ścibor niósł Anię nad głową - jedną ręką podtrzymywał jej plecy, a drugą łdyki. Całkiem zapomniał, że jest wyczerpany. Nie widział twarzy tego mężczyzny, ale zapamięta go na całe życie. Jego i jego ufny głos.

Na brzegu najpierw postawił Anię na ziemi, a potem zarzucił ją sobie na plecy. Postępując z wysiłkiem, wspinał się na wzgórze pośród drzew.

Mężczyzna czekał przy wejściu do stodoły. Psów nie było widać. Gdy podeszli, otworzył wrota i gestem zaprosił ich do środka. Potem je zamknął i zapalił światło. Z zawieszanej pod sufitem żarówki sączyło się mdłe światło. Ścibor ostrożnie postawił Anię na podłodze. Stała na jednej nodze. Mężczyzna był młody. Dobiegał dopiero trzydziestki. Był krępy, miał okrągłą twarz i zwichrzoną czuprynę czarnych włosów. Uśmiechnął się do nich szeroko.

- Nareszcie. Czekalem na to dziesięć lat.

- Na co? - zapytał Ścibor.

- Na możliwość przysłużenia się. Przez dziesięć lat powtarzał mi: "Nadejdzie taki dzień, Antonie, że będziesz mi potrzebny!"

- Kto? - zaciękała się Ania.

Głos mężczyzny stał się poważny.

- Myślę, że sama wiesz - Wyciągnął rękę. - Anton, do usług.

Następnie Ścibor uściśnął jego dłoń, po czym Anton kontynuował:

- Chodźcie. Jesteście wyczerpani i zziębnięci.

Skierował się w głąb stodoły. Ścibor objął Anię w pasie i pomógł jej kuśtykać. Nie odwracając się, Anton rzucił:

- Tak myślałem, że dzisiaj przyjdziecie. Słuchałem dziennika; Podawali, że przestępcy zamordowali dwóch milicjantów. Potem wasze rysopisy. I to dokładne.

- A gdzie są psy? - zainteresował się Ścibor.

Anton wskazał ręką najpierw w jednym kierunku, potem w przeciwnym.

- Jeden jest jakieś pół kilometra stąd dole rzeki, a drugi w górze rzeki. Zaczyna szczekać, jeśli kogoś będzie się zbliżał A teraz odpocznijcie, moi drodzy.

Doszli do końca stodoły, gdzie znajdowała się duża zagroda dla trzody. Były w niej trzy tłuste świny i dwanaście prosiąt. Anton otworzył furtkę i wypędził zwierzęta na teren stodoły. Palcem wskazał jedno z nich.

- Ten jest bardzo agresywny. Gdyby mnie tu nie było, zaatakował by cię.

Zagroda zarzucona była brudną słomą. Odsunął ją na bok. Zobaczył drewnianą podłogę. Pochylił się, wsunął palec w róg i pociągnął. Fragment podłogi unosił się do góry odsłaniając betonowe podłoże. Anton uśmiechnął się zadowolony.

- A teraz uważajcie.

Chwył metalowy pierścień przymocowany do ściany i energicznie go przekręcił. Potem zrobił krok do przodu i stopą mocno przycisnął podłogę. Fragment betonu odchylił się cichutko w pionie - połowa sterczała w górę, reszta w głębi. Zobaczyli, że oszpty - naoliwiony, gruby, metalowy pręt - wmurowana była w podłogę po przeciwnych stronach włazu. Drewniana drabina prowadziła prosto w ciemność. Z miną magika, który właśnie pokazał udaną sztuczkę, Anton obszedł właz i zaczął schodzić po drabinie. Kiedy głowę miał już na poziomie podłogi, sięgnął gdzieś ręką. Usłyszał pstryknięcie i zapaliło się mdłe światło.

- Jak się nazywacie? - spytał.

- Tadeusz i Teresa - odparł Ścibor.

- Dobrze. Spuść tu Teresę. Podtrzymam ją.

Ania położyła do włazu. Zdrową nogę postawiła na górnym szczeblu. Ścibor trzy mając ją za przeguby, powoli opuścił w dół. Poczuli, że Anton chwytają ją w pasie i przejmują ciężar na siebie.

Czech był bardzo dumny ze swojej kryjówki i miał ku temu powody.

- Zbudował ją mój dziadek w czasie wojny. Ale nie dla partyzantów - raczej nie było ich w tych okolicach. Chował tu żywność przed Niemcami. Kilka razy przeszukiwali stodołę i to bardzo dokładnie. Nigdy tego miejsca nie znaleźli.

Pomieszczenie było dość duże, jakieś pięć metrów na sześć. Stały tu dwa łóżka połowe już pościelone, a pomiędzy nimi stolik z nie heblowanego drewna i dwa krzesła. Stół zastawiony był talerzami, kubkami i sztućcami. Na drugim stole w rogu pokoju stał piecyk naftowy. Na ścianie wisiały półki, a na nich ułożone były konserwy, przetwory, mleko w proszku, kawa. Pod stołem leżały dwa akumulatory. Od jednego odchodził przewód. Biegł w górę po ścianie i suficie aż do żarówki. W drugim końcu pokoju wisiała kotara. Anton wskazał ją palcem.

- Za tą zasłoną jest chemiczna toaleta, umywalka i dwa dzbany wody. Idź tam, Tadeuszu, i zmień to mokre ubranie.

Ścibor skłinał głową. Wyjął z torby świeże spodnie i przeszedł za kotarę.

Anton wskazał na kratkę w rogu pod sufitem.

- Wentylacja jest w porządku - powiedział do Ani. - Sam ją założyłem pięć lat temu i sprawdziłem niedawno, kiedy dowiedziałem się, że kryjówka może okazać się potrzebna.

Ania dokuśtykała do krzesła i usiadła. Powietrze było wilgotne i zimne. Objęła się ramionami.

Anton zauważył to i pośpieszył w kierunku pieca.

- Za pół godziny będzie tu ciepło i przyjemnie. - Włączył piec i odwrócił się do niej. - Napijesz się kawy, Tereso? A może gorącego mleka? Jest świeżutkie, prosto od Cyrkonii - mojej ulubionej krowy.

- Poproszę o mleko - odparła ożywiając się nieco.

Anton pytająco spojrzął na Ścibora, który właśnie wychodził zza kotary zasuwając rozporek. Wskazał palcem butelkę na półce.

- Rozgrzejemy się kieliszkiem śliwownicy. Potem się prześpić. - Spojrzął na zegarek. - Za trzy godziny odchodzi pociąg do Brna. Pojadę, żeby złożyć raport. A teraz powiedzcie mi, co zaszło.

- Raport? Komu?

- Szeffowi mojej komórki. On z kolei prześle wiadomość, wiecie komu, i da mi jakieś tymczasowe instrukcje.

Dla Ścibora było oczywiste, że Anton świetnie się czuje w roli konspiratora.

- Kto oprócz ciebie mieszka w tym gospodarstwie?

- Nikt. Jest bardzo małe. W sam raz dla samotnika. Mój ojciec zarządza dużym PGR-em na południu kraju. Matka jest razem z nim. Czasami mnie odwiedzają. Dziadek zostawił mi tę chałupę. Pewien starszulek przyjeżdża czasem z Opawy, żeby mi pomóc. Ale nie wie o tej kryjówce. A nawet gdyby wiedział, i tak nie miałoby to znaczenia - nienawidzi tego reżimu.

Przyniósł trzy parujące kubki, a potem butelkę i trzy kieliszki. Ania objęła kubek dłońmi, żeby je rozgrzać, i upiła troszkę mleka. Było gęste i tłuste.

- Podziękuj Cyrkonii - uśmiechnęła się do Antona. Mężczyzna odpowiedział tym samym, po czym usiadł i poważnym głosem zapytał Ścibora:

- A więc co zaszło?

W trakcie opowiadania oczy błyszczały mu podnieceniem niczym u chłopca zachwyconego bajeczną przygodą. Przy wzmiance o strzelaninie spojrzął na makarowa, którego Ścibor rzucił wcześniej na łóżko. Kiedy doszło do zatopienia motoru, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

Spojrzął na Anię.

- W jaki sposób przeszłaś dziesięć kilometrów ze zwichniętą nogą?

- Nie szłam. On mnie niósł.

Powoli Anton przeniósł wzrok na Ścibora. Kompletnie zbaraniały zapytał:

- Niosłeś ją... po tym terenie... w nocy?

Ścibor ty lko skinął głową i zaczął mówić dalej, ale Anton przerwał mu i wznosił toast:

- Twoje zdrowie, przyjacielu. Uważam się za silnego i wytrzy małego, ale nawet nie próbowałbym porwać się na coś takiego.

- Nie miałem wyjścia, musiałem ją nieść albo zabić - odparł.

W pierwszej chwili Anton nie zrozumiął, ale gdy dotarło do niego znaczenie tych słów, pokłiwał spokojnie głową. Chłopięcy entuzjazm znikł z jego oczu. Uświadomił sobie, że uczestniczy w czymś znacznie poważniejszym niż zwykła przygoda.

Ścibor szybko dokończył opowiadania. Anton zadał jedno pytanie:

- Jak myślisz, Tereniu, kiedy będziesz mogła chodzić?

Myślała przez chwilę.

- Za jakieś dwa, trzy dni.

- No cóż, pójdę już. - Wstał. - Wrócę wieczorem. Wypocznijcie.

Coś nie dawało Ściborowi spokoju, zapytał więc Antona:

- Gdy jesteś tutaj, tak jak teraz z nami, to skąd wiesz, kiedy ktoś się zbliża? Tu nie sły chać psów, nawet jak wejście jest otwarte.

Anton uśmiechnął się i stwierdził z dumą:

- Tadeuszu, ja dobrze wykszoliłem te psy. Wiedzą, kiedy szczekać, a kiedy siedzieć cicho. A gdy szczekają, wiedzą, gdzie mają to robić. - Ręką wskazał kratkę pod sufitem. - Kanał wentylacyjny wychodzi między korzeniami ogromnego starego dębu tuż za stodołą. Jeśli ktoś zbliżyłby się teraz na odległość pół kilometra, psy cichutko podbiegłyby pod dąb i szczekały przez pół minuty. Sły szelibyśmy je tutaj. Potem wróciłyby do obcych i ujadły, dopóki bym ich nie odwołał. - Uśmiechnął się. - Prawie na sto procent farma będzie jutro przeszukana. Starszulek oprowadzi ich po zabudowaniach. Psy szczekaniem ostrzegą was, gdy milicja będzie blisko. Siedźcie wtedy cicho. - Zaczął wchodzić po drabinie i wskazał jeszcze inny pierścień przytwierdzony do ściany. - Gdyby coś się stało... na przykład, gdyby mnie złapali, a wy musielibyście wyjść, przekręć to kółko o sto osiemdziesiąt stopni i popchnij płytę obojętnie z której strony - otworzy się.

- A jeśli akurat będzie na niej stała tłusta świnia? - upewniał się Ścibor. - Nie chciałbym, żeby spadła na mnie.

W oczach Antona odmalowało się zaskoczenie. Uśmiechnął się.

- Do diabła! Nie pomyślałem o tym. W takim razie najpierw postukaj czymś w płytę. To odpędzi zwierzęta.

Wyszedł na górę, a zanim zamknął wejście, powiedział jeszcze:

- Kolorowych snów. Zobaczymy się wieczorem.

- Dziękujemy.

Gdy płyta się zamykała, dosły szeli jego odpowiedź:

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wiedzieli, że powiedział to szczerze.

Piętnaście minut później leżeli wygodnie w łóżkach. Światło było zgaszone. Mimo całkowitego wyczerpania Ścibor nie mógł zasnąć. Myślał o Anionie. Co skłoniło go do podjęcia takiego ryzyka? Sprawiał wrażenie zadowolonego. Na pewno było w tym coś więcej niż chęć przeżycia przygody. Czy miała na to jakiś wpływ religia? Wątpliwe. Nagle usłyszał cichy głos Ani.

- Mirku, nie śpisz?

- Nie.

- Co... co się stanie z Albinem i Sylwią?

- Nie pytaj, Aniu... i lepiej nie myśl o tym.

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała ze smutkiem:

- To byli tacy mili starsi ludzie.

- Tak - przyznał Ścibor - ale musieli popełnić jakiś błąd... albo ktoś inny go popełnił. Tym razem nam się udało... Ale jeśli coś takiego się powtórzy, to możemy nie mieć już tyle szczęścia.

Znów zapadła cisza, którą przerwała Ania.

- Pamiętasz, we Florencji powiedziałeś, że jeśli nie będę mogła za tobą nadążyć, to mnie zostawisz?

- Tak

- Dlaczego mnie nie zostawiłeś?

- Przecież wiesz dlaczego.

- Nieprawda. Tych milicjantów zabiłeś bez wahania. Dlaczego mnie nie zastrzeliłeś? Byłam ci tylko ciężarem.

Zapadła długa cisza. W końcu Ania upomniała się o odpowiedź - Mirku?

Usłyszała jego westchnienie: - Nie wiem.

Przekręcił się, zwinął poduszkę i spróbował jakoś wygodniej się ułożyć w wąskim łóżku. Kiedy niósł ją na plecach potykając się na nierównym terenie, sam zadawał sobie to pytanie. Teraz odpowiedź powoli obejmowała go ciepłym, ale przerażającym uściskiem. Znów usłyszał głos Ani:

- Mirku, nie zakochuj się we mnie... Nigdy nie będę mogła cię pokochać... nigdy... Jestem zakonnica... i pozostanę nią na zawsze.

Nie odpowiedział. Usłyszała tylko, że znów poprawił poduszkę, po czym zapadła grobowa cisza.

Pułkownik Oleg Zamiatin przyjmował naganę Czebrikowa wyprężony na baczność. Rzadko zdarzało się, żeby Czebrikow beszał starszego oficera w obecności młodszych rangą. Ale był tak wściekły, że nie mógł się opanować. Trzej majorzy ze spuszczoneymi oczami siedzieli przy biurkach.

- Prawie dwie godziny! - wrzeszczał Czebrikow prosto w twarz Zamiatina. Był czerwony z gniewu. - Potrzebowali dwóch cholernych godzin, żeby ustawić kordon. To pieprzone czeskie wojsko nie potrafiło złapać ptaszka w klatce! - odwrócił się z odrazą i spojrzął na mapę. - Przecież mogłeś ściągnąć do tej wsi setkę milicjantów z Brna i to w niecałą godzinę. Ale nie, ty musiałeś użyć wojska i czekać, aż ten twój cholerny koleżka Szolochow przyjedzie z Pragi.

- Człowiek, którego szukamy, jest świetnie wyszkolony i bardzo niebezpieczny, towarzyszu dyrektorze - odważył się wtrącić Zamiatin.

- I co z tego? - wybuchnął Czebrikow. - Nie by się nie stało, gdyby zabił paru czeskich milicjantów. Zresztą mógłby nawet wybić cały batalion, jeśli w tej akcji sam również by zginął. - Wyciągnął palec w stronę Zamiatina. - Gdybyś wydał właściwe rozkazy, to znalazłby ten samochód godzinę wcześniej, a oni jeszcze siedzieliby w restauracji.

Zamiatin nic nie powiedział, ale mocno odczuł niesprawiedliwość tych słów. Gdyby wysłał do wsi mniejszy oddział, a Ścibor ostrzeżliwując się zdolałby uciec, to i tak teraz spadałyby na niego gromy, może nawet gorsze.

Czebrikow znów spojrzął na mapę.

- A więc co zamierzasz zrobić? - zapytał

Zamiatin odetchnął trochę swobodniej. Podszedł do mapy i zatoczył na niej koło.

- Cała milicja i wojsko, łącznie z naszymi oddziałami, przeszukują ten teren. Jednocześnie polska granica jest praktycznie zamknięta stąd - wskazał palcem punkt zbiegu granic polskiej, czeskiej i niemieckiej - aż dotąd - przesunął palec w miejsce, gdzie Polska stykała się z ZSRR.

- Jesteś skończonym durniem - z odrazą podsumował Czebrikow. - A może ci się zdaje, że Bekonowy Książd nim jest? W obecnej sytuacji on nie przetrza ciędy swojego człowieka. - Podszedł do mapy i wskazał pewien obszar. - Z całą pewnością Ścibor i ta kobieta ukrywają się gdzieś tutaj. I pozostaną tu jakieś dwa, trzy dni. Raczej nie dłużej, bo, zdaje się, mają określony czas na wykonanie zadania.

- Ach tak? - Zamiatin usłyszał o tym pierwszy raz.

- Tak. Nie mamy pewności, ale towarzysze Andropow uważa, że Ścibor zamierza dotrzeć do Moskwy przed dziesiątym przyszłego miesiąca.

- A czy wiadomo dlaczego, towarzyszu dyrektorze?

- Owszem, ale to poufne. - Czebrikow przyglądał się mapie. - O, nie. Bekonowy Książd przemyśli sprawę dokładniej, niż ci się wydaje. Skieruje swojego człowieka inną drogą, taką, której najmniej się spodziewamy. - Przesunął palec trochę na północ na granicę wschodnioniemiecką. - Mogę się założyć, że przemyci Ścibora do NRD, a stamtąd do Polski. - Machnął ręką, jakby odpędzał jakąś myśl. - Możecie zapomnieć o polsko-czeskiej granicy, pułkowniku. Zgrupujcie swoje siły tutaj... i możecie już nie szukać pary. Ta kobieta była tylko maską. Jest już spalona, więc Ścibor się jej pozbędzie. No, zabierajcie się do roboty.

Wciąż był żywy. Szedł do drzwi myśląc o czekającym go spotkaniu z generalnym sekretarzem. Andropow na pewno bezlitośnie przypomni mu o rybce wyskakującej z łódki.

Ania przygotowała gulasz jaginiący z puszek, a do tego młode ziemniaki.

Przez dziesięć godzin spali jak zabici i obudzili się z wilczyimi apetytami. Ścibor wyszedł z łóżka cały obolały; po nocnym wysiłku zeszywniały mu ręce i nogi. Mieszając gulasz, Ania patrzyła, jak torturuje swoje ciało krótką serią forsownych ćwiczeń. Zakończył pięćdziesięcioma szybkimi pompkami, po czym, dysząc, poszedł za zasłonę. Wrócił pięć minut później, wycierając ręce w ręcznik. Ania właśnie podawała do stołu. Usiadł łakomie wdychając zapach.

Zjedli posiłek w błogim milczeniu. Gdy Ania dołożyła mu trochę gulaszu, pokiwał głową na znak "dziękuję". Wycierając chlebem reszkę sosu, stwierdził poważnie:

- Byłabyś bardzo dobrą żoną.

Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć, gdy usłyszeli na górze jakieś drapanie. Betonowa płyta otworzyła się, a po chwili zobaczyli uśmiechniętą twarz Antona.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak - odparł Ścibor. - Witaj w najlepszej restauracji w mieście.

Anton roześmiał się i stanął na górnym szczeblu.

- Pomóż mi, Tadeuszu.

Ściągał właśnie z podłogi wielką, i najwyraźniej ciężką, płócienną torbę. Ścibor podszedł do drabiny, wszedł na drugi szczebel i wyciągnął rękę. Powoli Anton podał mu torbę. Gdy Ścibor stawiał ją na dole, dobiegł z niej głuchy brzęk metalu.

- Co tam jest?

- Wszystko w swoim czasie - stwierdził Anton schodząc.

- Jadłeś już kolację? - spytała Ania.

- Kanapkę w pociągu. - Podszedł do stołu i zobaczył, że w garnku jest jeszcze gulasz. - Ale chętnie zjem trochę, jeśli wy już się najedliście.

Ania przyniosła miskę i łyżkę, a Ścibor podsunął mu krzesło, dopytując się niecierpliwie:

- Co dzieje się tam na górze?

Anton wrócił oczami i mówił nie przerywając jedzenia.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Włączyli do akcji wszystkie oddziały. Nawet armia sowiecka opuściła koszary. To niesłychane. Mój pociąg, zarówno tam, jak i z powrotem, przeszukiwali trzy razy, i to dokładnie.



Aresztowali kilkanaście osób.

- Czepiali się ciebie? - spytała Ania.

- Nie. W Brnie mam prawdziwego wujka i on naprawdę jest chory. Odwiedzam go regularnie.

- A co teraz zrobimy? - interesował się Ścibor.

Anton dokończył gulasz, odsunął miskę i poszedł po torbę. Wyjął z niej zwiniętą mapę. Ania sprzątała ze stołu, kiedy ją rozwijał. Był to dokładny plan okolicy. Anton wskazał jakiś punkt na południe od Opawy.

- Jesteśmy tutaj. Zdaje się, że wojsko przeszukuje głównie tereny północno-zachodnie przy granicy z NRD. - Spojrzał na Ścibora i rzekł dramatycznym tonem: - Zdecydowaliśmy, że przekroczysz granicę na południowy wschód stąd... o tutaj. - Przesunął palec do punktu oddalonego o jakieś sto kilometrów, nad jeziorem. Ścibor pochylił się nad mapą. Jezioro rozlewało się po obu stronach granicy; miało około piętmastu kilometrów długości, z czego pięć po stronie polskiej. Nie bardzo jednak rozumiał, co zamyśla Czech.

- Mamyny jedyny w swoim rodzaju sposób przemycenia cię nad to jezioro - obwieścił z dumą Anton.

- My, to znaczy kto? - chciał wiedzieć Ścibor.

- Nasza komórka... cóż, szef naszej komórki o tym zdecydował. Tak się składa, że masz niewiele czasu na dotarcie do celu swej podróży.

- A co na to Bekonowy Ksiądz?

Anton wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wie, co zaszło. Skontaktowanie się z nim wymaga czasu. A tu trzeba podjąć natychmiastową decyzję.

Na twarzy Ścibora malował się sceptycyzm.

- Kiedy wyruszamy? - zapytała Ania.

Anton zwrócił się do niej.

- Ty nie jedziesz, Tereniu. Zdecydowaliśmy, że Tadeusz pojedzie sam.

- Dlaczego? - spytał ostro Ścibor.

Anton rozłożył ręce.

- To oczywiste. Szukają teraz małżeństwa. Wszystkim znane są wasze twarze - w gazetach i w telewizji podali wasze rysopisy. Zamieścili także twoje zdjęcie, Tadeuszu, i doskonały szkiełko Tereni. Każdy, kto was zobaczy, ma natychmiast zameldować o tym władzom albo narazić się na surową karę. Szef mojej komórki uznał, że bezpieczniej będzie dla ciebie jechać w pojedynkę.

Ścibor popatrzył na Anię. Zaciśnął usta, odwrócił się do Antona i stwierdził wojowniczo:

- Poczekamy na decyzję Bekonowego Księdza.

Anton momentalnie stał się nieustraszony i władczy.

- Nie. Jesteście teraz pod naszą opieką i naszym dowództwem. Hierarchia jest bardzo prosta. Szef mojej komórki cieszy się zaufaniem Bekonowego Księdza i ma prawo podejmować decyzje... - Zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował: - Mamyny podbramkową sytuację. Należy podjąć decyzję tu i teraz, i to już zostało zrobione. W tym przypadku nie możemy czekać. A tak się składa, że mamy absolutnie niezawodny sposób przetransportowania cię w pobliże tego jeziora i dalej do Polski. Taka okazja nieprędko się powtórzy... - Ręką wskazał torbę. - A w dodatku sprzęt mam tylko dla jednej osoby i niełatwo byłoby go zdobyć w tak krótkim czasie.

Rozsiadł się splatając ręce na piersi. Ścibor spojrział na Anię - wzruszyła ramionami.

- A co z nią? - zapytał ostro.

- Nie martw się. Zostanie tu przez jakiś czas - tydzień, może dziesięć dni. Nic jej tu nie grozi. Potem, jak już trochę się uspokoi, zabierzemy ją do Pragi, a stamtąd do Austrii. Za dwa, trzy tygodnie będzie już na Zachodzie. A do tego czasu poszukiwania przemieszczają się już na wschód Polski.

Ścibor pozostał niezadowolony. Jakby w przyływie zrozumienia, Anton przemówił łagodniej:

- Obiecuję ci, że będzie bezpieczna. Bardziej niż gdyby pojechała z tobą. Podejmujesz ogromne ryzyko. Sam rozumiesz.

- Nie boję się ryzyka... - wtrąciła Ania.

Anton uśmiechnął się do niej z podziwem.

- Wiem, ale musisz się podporządkować rozkazom... wszyscy musimy.

Ścibor pogodził się z sytuacją.

- W porządku, co jest w tej torbie?

Anton uśmiechnął się od ucha do ucha i skoczył po torbę. Kucnął przy niej i wyciągnął ciasno zwiniętą rolkę czarnej gumy posypanej talkiem. Rozwinął ją ostrożnie. Zobaczyli, że jest to skafander pletwonurka. Przyglądali się zaciekawieni, a Anton wyjął tymczasem sprzęt do oddychania pod wodą i uważnie rozłożył go na podłodze.

- Do diabła - mruknął Ścibor. - Mam przepłynąć jezioro pod wodą?

Anton znów szeroko się uśmiechnął i wstał.

- Wcale nie. Dojedziesz do jeziora w mleku!

Roześmiał się na widok ich min i wyjaśnił: Trzy razy w tygodniu beczkowiec objeżdża wszystkie gospodarstwa w okolicy zbierając mleko, po czym zawozi je do mleczarni w Liptowskim. Zatrzymuje się także przy domu Antona i w

Namestowie, miejscowości leżącej tuż nad jeziorem. Tamtejszy gospodarz współpracuje z ich organizacją. Jeden z kierowców zresztą też, a akurat jutro ma prowadzić beczków. Ścibor ukryje się w wypełnionym już do połowy zbiorniku. Gdy dotrą do jeziora, beczków będzie zapelniony w trzech czwartych. Po drodze samochód z pewnością będzie kontrolowany, może nawet kilkakrotnie, ale milicji nie przyjdzie do głowy szukać w mleku. Wprawdzie jest to kryjówka zimna i niewygodna, ale przecież Polak już udowodnił, że ma świetną kondycję.

Ścibor, nieco zakłopotany, przyglądał się akwalungowi.

- Nigdy do tej pory nie używałem czegoś takiego.

Anton uśmiechnął się rozbrajająco.

- To nic trudnego. Pokażę ci. A tak czy owak, nie musisz w tym pływać. Pamiętaj tylko, żeby zanurzyć się w mleku, gdy beczków się zatrzyma. To nie może się nie udać.

Te zapewnienia nie rozwiały wątpliwości Ścibora.

- Czy już kiedyś próbowaliście tej sztuczki?

- Nie - przyznał Anton. - Nigdy jeszcze nie przemycaliśmy tym sposobem człowieka, ale różne rzeczy to owszem i to wiele razy. Beczków jeździ tą trasą regularnie. Pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami.

Do tej pory Ania uważnie słuchała. Teraz zapytała:

- A co potem, kiedy już dojedzie do jeziora?

Anton ucieszył się ze zmiany tematu. Wciąż pełen entuzjazmu odparł:

- Ten rolnik z Namestowa już wiele razy pomagał nam przeprawić się przez jezioro w nocy. Jego dom znajduje się tylko trzy kilometry od polskiej granicy. Przepływa jeziorem dużą łodzią, a wiosła zawsze ma czymś owinięte, żeby stłumić hałas. Właściwie sporo ludzi łowi tam ryby nocą, zwłaszcza gdy nie ma księżyca, a jutro go nie będzie. Rybacy używają zwykle jasno świecących latarek, żeby zwabić ryby. To zupełnie normalne. Tym sposobem przemycimy Tadeusza i wysadzimy na polskim brzegu. Tam już będzie czekał na niego kontakt. Jeszcze przed świtem dotrże do "czyścica" i będzie mógł kontynuować podróż.

Widać było, że Anton wierzy w to, co mówi.

- Czy ten rolnik z Namestowa jest przemynikiem? Dostanie za to jakieś pieniądze? - ciekaw był Ścibor.

Anton zawahał się na chwilę, po czym skinął głową. Ścibor odetchnął z ulgą. Bardziej ufał najemnemu profesjonalistcie niż amatorowi idealistcie.

- Wyruszasz jutro o trzeciej - obwieścił Anton z nadzieją w głosie.

Przez moment Ścibor w milczeniu przyglądał się wyposażeniu pletwonurka. W końcu powiedział:

- Pokaż mi lepiej, co się z tym robi.

Po raz pierwszy w życiu Heisl miał inne zdanie niż Bekonowy Ksiądz i w dodatku dość ostro je wyraził.

Właśnie odbywali naradę wojenną w wiedeńskim "czyścicu", omawiając wieści z Pragi. Bekonowy Ksiądz po raz kolejny postukał w leżącą przed nim kartkę i powtórzył:

- Ale dlaczego on jej nie zabił i nie poszedł dalej sam?

Heisl powtórzył z uporem:

- Może myślał, że jej ciało wskaże drogę ścigającym.

Van Burgh z uśmiechem pokręcił głową.

- Janie, pomyśl, postaw się na jego miejscu. Gdyby chciał ją zabić, przywiązałby ją do motocykla i zatopił razem z nim, i nieprędko znalazłby jej ciało... jeśli w ogóle.

- Więc pewnie obawiał się, że huk wystrzału, nawet przytłumiony, ściągnie pogoń - upierał się Heisl.

Bekonowy Ksiądz prychnął ironicznie.

- Kpisz czy o drogę pytasz? Przecież mógł ją zabić bezgłośnie na dziesięć różnych sposobów; wydaliśmy piętnaście tysięcy dolarów, żeby się tego nauczył.

Heisl spuścił oczy, wiedząc, że przegrał. Van Burgh wciąż dumał:

- A więc niósł ją dziesięć kilometrów. Świątek z Pragi, który świetnie zna tamtejszą okolicę, twierdzi, że to nieprawdopodobny wyczyn. Więc dlaczego właściwie Mirosław to zrobił? Sam wiesz, jaki on jest. Pamiętaj, co powiedział: "Jeśli staniesz mi się ciężarem, pozbędę się ciebie". A teraz niósł ten ciężar dziesięć kilometrów. Dlaczego?

Bekonowy Ksiądz wiedział dlaczego. Wiedział też, że Heisl wie. Zapragnął, żeby wypowiedział to głośno.

- Dlaczego? - naciskał.

Heisl podniósł głowę i odpowiedział niechętnie:

- Bo się w niej zakochał.

- Właśnie. - Van Burgh ścisnął palcami czubek nosa i zamyślił się głęboko.

Heisl czekał zasmucony, zgadując, co dalej nastąpi.

- A jak myślisz - ciągnął Bekonowy Ksiądz - jak zareaguje Ania widząc, że człowiek, który obiecał zabić ją bezlitości, gdy zacznie mu przeszkadzać, ratuje jej życie? I to ryzykując własne.

Heisl nie odpowiedział. Van Burgh również milczał.

- Nie można wykluczyć, że ona też się w nim zakochała. W zasadzie każdy analityk korzełby, że to bardzo możliwe.

- Zapominasz, że jest głęboko wierzącą zakonnica - wtrącił lodowatym głosem Heisl.

- Ależ pamiętam o tym! I wcale nie mam na myśli miłości cielesnej. Ale weź pod uwagę, iż Ania wyruszyła w tę podróż przekonana, że jedzie z człowiekiem złym, obojętnym, zaślepionym własną misją. My zresztą też. A teraz musiała zmienić zdanie. To, co zrobił, nie było czynem człowieka złego i obojętnego. Przy najmniej w stosunku do niej taki nie jest. - Znow postukał w kartkę. - Uważam, że Świątek popełnił błąd. Powinien wysłać ich dalej razem. Twierdzi, że Rosjanie oczekują wycofania jej z akcji, bo już jest spalona. Ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że powinniśmy robić to, czego najmniej się po nas spodziewają. Oni myślą prosto. Będą teraz szukać samotnego mężczyzny. Prześlemy do Pragi rozkaz, że Mirosław i Ania muszą podróżować razem - w przebraniu, ale we dwoje.

- Może już jest za późno. Przekazanie wiadomości zajmie trochę czasu. Ścibor mógł już wyruszyć.

- W takim razie Ania musi go dogonić.

Heisl westchnął i wstał, żeby przygotować wiadomość do wysłania. Zatrzymał go głos Bekonowego Księdza.

- Obaj dobrze wiemy, Janie, że dwójka ludzi pracujących razem... ściśle współpracujących ze sobą, zawsze działa efektywniej niż każdy z nich osobno. Przekonaliśmy się o tym już wiele razy. Lecz żeby współpracowali naprawdę ściśle, musi istnieć między nimi więź - a najsilniejszą więzią jest miłość.

Heisl pochylił się do przodu, oparł dłonie na stole i powiedział stanowczo:

- Oczywiście, masz rację. Ale słuszne postępowanie w jednej kwestii może przynieść ujemne skutki w innej. Wysłanie Ani z Mirosławem może okazać się dla niej zgubne... nawet jeśli nie zostanie złapana.

Bekonowy Ksiądz poważnie skinął głową.

- Janie, muszę podjąć to ryzyko. Podejmowałem je już wiele razy, dla wyższego dobra... dla naszego Kościoła.

Decyzja Ścibora była nieodwołalna. Do końca życia nie weźmie do ust kropli mleka. Siedział właśnie w stodole nad jeziorem Orawsko ukryty za stertą siana. Wyciągnęli go z cysterny dwadzieścia minut temu, ale wciąż jeszcze ciężko oddychał zmęczony wysiłkiem i napięciem ostatnich godzin. Doskonale rozumiał teorię względności, lecz dzięki podróży w beczkowie przekonał się o tym na własnej skórze.

Przejechali niewiele ponad sto kilometrów. W tym czasie zatrzymywali się pięć razy, żeby zabrać mleko. W sumie podróż trwała troszkę ponad trzy godziny, ale każda z ostatnich sześćdziesięciu minut ciągnęła się w nieskończoność.

Wszedł do beczkowozi o trzeciej po południu.

Rozstanie z Anią było bolesne. Anton zostawił ich na chwilę samych w stodole. Ścibor czuł się jakoś idiotycznie, ubrany w skafander pletwonurka. Gdyby nie ból pożegnania, to rozśmieszyłby go fakt, że stoi w takim stroju, choć wokół nie ma nawet kałuży. Wpatrywał się w jej oczy uważnie i z niepokojem. Tak bardzo chciał coś w nich dojrzeć. Coś znaczącego. Widział współczucie, nawet troskę, ale nie to, co chciałby zobaczyć.

Bolała go jeszcze głowa, bo za dużo wypił poprzedniego wieczoru i teraz przeklinał samego siebie za taki brak rozsądku. Ania podała mu aspirynę, ale odmówił; nie chciał w ostatniej chwili okazać słabości. Płócienna torba leżała na podłodze, owinięta w szczególnie zaklejony, czarny plastikowy worek.

Położył Ani ręce na ramionach i delikatnie ją przytulił. Odwróciła głowę i podała mu policzek do pocałowania. Przytulił twarz do jej twarzy.

- Powodzenia, Mirku. Myśl teraz tylko o sobie. Nie martw się o mnie - wyszeptała mu do ucha.

Czuł jej ciało tuż przy sobie, ale pozostało obojętne. Puścił ją z westchnieniem i schylił się po torbę. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Skinął tylko głową i skierował się do drzwi. Gdy miał już wyjść, zawołała go. Zatrzymał się i odwrócił. Światło było tu bardzo słabe i nie mógł dojrzeć wyrazu jej twarzy.

- Tak?

Podeszła do niego. Zobaczył, że w oczach ma łzy. Wyciągnęła ręce, żeby go objąć. Rzucił torbę i poczuł, że przylgnęła do niego całym ciałem.

- Będę... będę się za ciebie modlić.

Poczuł łzy spływające po jej policzku. Po chwili odwróciła głowę i pocałowała go. Pocałunek był niewinny i delikatny, ale prosto w usta. Puściła go, odsunęła się i powtórzyła:

- Będę się za ciebie modlić.

Powoli podniósł torbę i powiedział pełnym zdecydowania głosem: - Aniu, kiedy to wszystko się skończy i jeśli wyjdę z tego cało, odnajdę cię.

Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Początkowo wydawało się to proste. Na wypukłej części beczkowozi przymocowana była metalowa drabinka. Podobna przytwierdzona była do okrągłego luku na górze i prowadziła w dół. Tuż przy niej siedział Anton i trzymał akwalung. Kierowca, człowiek już po sześćdziesiątce, ale krzepki, wziął od Ścibora torbę proponując:

- Podam ci ją, synu.

Jakaś myśl uderzyła Ścibora. Spojrzał na Antona mówiąc:

- Przecież jeśli ktoś zajrzy do środka, to zobaczy na powierzchni mleka pęcherzyki powietrza z butli.

Anton uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Chodź tutaj i sam zobacz.

Ścibor wspiął się na górę i zajrzał do środka. Zbiornik był wypelniony w jednej trzeciej. Na wierzchu pływała gruba warstwa piany.

- Nie będzie widać żadnych pęcherzyków - zapewnił Anton. - W czasie jazdy trzymaj się drabinki. Kiedy beczkowóz się zatrzyma, przejdź do tyłu i zanurz się. Mało prawdopodobne, żeby ktoś otwierał ten luk - używany jest tylko przy myciu zbiornika. Uważaj, żeby przy poruszaniu nie uderzyć butlą o ściankę.

Ścibor odczuwał niechęć przed zejściem na dół - jakąś trudną do opisania obawę. Biała piana wyglądała raczej niewinnie.

- Dokąd sięgnie poziom mleka?

- Do jakichś dwóch trzecich wysokości. Nie martw się, w górze zostanie dużo miejsca. Pamiętaj, że powietrza w butli starczy ci na dwie godziny. Korzystaj z niego wtedy, kiedy będziesz musiał.

Właśnie usłyszeli odległe szczekanie psa. Anton popatrzył uważnie w kierunku, skąd dobiegało.

- Posłałem starszka do miasta; pewnie wraca. Lepiej wchodź.

Wdzięczny był za to ponaglenie. Zszedł kilka stopni w dół, poczym wychylił się jeszcze i zmierzwił czuprynę Antona.

- Dziękuję. Opiekaj się nią.

- Nic się nie martw - zapewnił go młody Czech. Ścibor zszedł jeszcze niżej - nogi miał już w mleku - i spojrział w górę. Anton spuszczał właśnie butlą tlenową. Polak sięgnął po nią, przytrzymał i krzyknął:

- W porządku!

Rano ćwiczył zakładanie butli na plecy - zajmowało mu to dwie minuty i nawet nie było mu z nią niewygodnie. Dobiegł go ponagląjący głos Antona:

- Sprawdź dokładnie. Szybko, zanim zamknę luk.

Wsunął ustnik między zęby i wciągnął powietrze - przepływało. Wypuł go i odrzyknął:

- W porządku!

Anton podał mu jeszcze czarny plastikowy worek

- Powodzenia, Tadeuszu. Jedź z Bogiem.

Rozległ się szezęk zamykanej kłapy i zapadła ciemność. Ścibor słyszał jeszcze kroki Antona schodzącego po drabince. Minutę później włączony silnik wprawił zbiornik w drżenie, a pod wpływem nagłego szarpnięcia, gdy samochód ruszał z miejsca, fala mleka przełała się do tyłu zalewając Polaka aż po usta. Szybko wspiął się o kilka szczebli, żeby mleko nie dostało się do ustnika. Obejrzał go i zdecydował, że będzie trzymał go w zębach cały czas. W ciągu pierwszej godziny zatrzymali się dwukrotnie, żeby zabrać mleko. Przed upływem tego czasu Ścibor zorientował się, że ma parę problemów. Po pierwsze - zimno. Stopniowo przeniknęło przez skafander, pod którym nie miał nic. Anton mówił, że podobno skafander szybko przemięka i wilgoć dochodzi aż do skóry, ale ogrzewa się pod wpływem ciepłoty ciała. Tylko że jego ciało nie było już ciepłe. Zimno przeniknęło przez skórę aż do mięśni, a potem wsącżyło się w kości.

Po drugie - palce. Bezcukowóz jechał głównie polnymi dróżkami, wijącymi się i wyboistymi. Ścibor musiał więc mocno przytrzymać się i zaczęły go boleć palce. Próbował wsunąć rękę za szczebel drabiny, ale nie była do tego przystosowana, w niektórych miejscach metal był ostry i chropowaty. Myślam wrócił do pustynnego obozu i do ćwiczeń palców - jego zasadniczej broni. Dziękował teraz Frankowi.

Po trzecie - problemy stwarzał sam akwalung. Przeznaczony był do używania pod wodą i to raczej krótko. Nad powierzchnią jednak bardzo ciężki, a paski, którymi był przypięty, szybko zaczęły wznąć się w ramiona.

Po czwarte - mleko; przelewało się z boku na bok, do przodu i do tyłu, z siłą, której nigdy by nie podejrzewał. Było tak, jakby porwał go prąd wodny. Zbiornik zappełnił się już do połowy. Ścibor zdał sobie sprawę, że kiedy znajdzie się tu cała zaplanowana ilość mleka, przyjdzie mu niemal walczyć o życie.

Pod koniec drugiej godziny spełniły się jego najgorsze przewidywania. Ręce miał zmarnięte i zeszywniałe, a całe ciało zdrętwiało pod wpływem zimna i uderzeń mlecznych fal. Zabrali właśnie ostatnią porcję mleka i teraz już prawie przez cały czas musiał korzystać z maski tlenowej.

Przez ostatnią godzinę jego umysł toczył zaciętą walkę z ciałem; stawką było przetrwanie. Ścibor wiedział, że człowiek, zwłaszcza tak sprawny jak on, może znacznie przekroczyć granice normalnej ludzkiej wytrzymałości, jeśli ma bardzo silną wolę przetrwania. A on miał. Nie dopuszczał do świadomości bólu palców i całych rąk. Starał się myśleć o czym innym. Najpierw wspominał dzieciństwo - rodziców i siostrę Jolanę. Lecz to wspomnienie również wywołało ból, więc szybko je odepchnął i przywołał inne - szkolenie w SB, kobiety, które miał, piosenki i melodie, których kiedyś się uczył. Dwukrotnie zwiłmiał prosto w mleko. Gdy siły już go opuszczały, myślał o swoim celu i nienawiści. Wreszcie, pod koniec podróży, kiedy każda minuta wlokła się godzinami, zaczął myśleć o Ani. Odtworzył w wyobraźni jej twarz, przypomniał sobie, co do niego mówiła, i niemal słyszał jej głos zabarwiony jakby lekką chrypką. Chociaż w ustach miał gumową rurkę i mleko, wciąż czuł smak jej warg i ich lekką dotyk. Odczuwał Anię każdym swoim zmysłem, kiedy wreszcie bezczukowóz zatrzymał się i mleko zalało go po raz ostatni.

Miał wrażenie, że przykleił się do drabinki. Musieli mu odginać palce. Kierowca był wprawdzie człowiekiem starszym, ale krępkiem. Rolnik był młody i silny, a syn jeszcze go przewyższał pod tymi względami. Niezbędne okazały się wysiłki wszystkich trzech, żeby wciągnąć Ścibora przez lukę postawić na ziemi, a potem doprowadzić do stodoły.

Teraz leżał w niej owinięty w trzy koce i koldrę. Na nogach miał buty z owczej skóry. Powoli powracało krążenie krwi w całym ciele. Próbował ruszać palcami, co sprawiało mu przeszywający ból. Usłyszał, że drzwi stodoły otworzyły się, a chwilę później nad spowijającymi go warstwami koców pojawiła się chłopska twarz. Mężczyzna miał długi sterczący nos i rzędzące ciemne włosy zaczesane do tyłu. Przypominał czatującą na zdobycz fretkę, ale gdy się uśmiechał, wyglądał przyjaźnie. Pokazał Ściborowi menażkę i pajdę chleba z chrupiącą skórką.

- Zjedz to. Masz tu domowy rosół - rozgrzeje cię i doda sił. A potem spróbuj zasnąć. Wyruszamy o dziesiątej. Zostało jeszcze trzy i pół godziny.

Głowa chłopca zniknęła, a Ścibor, pojął, podniósł się i usiadł. Zdjął pokrywę menażki i chwilę później poczuł w ustach coś, co uznał za najlepszą zapę na świecie. Było jej chyba ponad litr, ale wypił wszystko, przegryzając chlebem. Potem znów położył się na słomie i spróbował zasnąć.

Niezupełnie mu się to udało, ale jednak zdrzemnął się trochę i kiedy rolnik po niego wrócił, czuł się wprawdzie obolały, ale wypoczęty.

Noc była zimna i ciemna. Obydwaj ubrali się na czarno, a twarze osłonili czarnymi szalami. Łódkę, długą na jakieś pięć metrów, też pomalowano na czarno. Tylko numer rejestracyjny odcinał się białym od tej powierzchni. Chłop zakrył go czarną szmatą. Sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie. Palcem wskazał odległe światła na jeziorze.

- To polscy rybacy. - Przechodząc obok rufy, postukał w kiosk lampy. - Jeśli się nas będą czepiać, to powiem, że zepsuło się połączenie zbiornika gazowego z lampą i właśnie plynimy do którejś z łódek, żeby sprawdzić, czy mają części zapasowe. Papiery masz w porządku, a w razie czego ja będę mówił.

Podniósł torbę Ścibora i wrzucił ją na rufę. Następnie poślinił palec, podniósł go do góry i mruknął zadowolony.

- Wiat nam sprzyja. Powinniśmy dotrzeć na miejsce za jakieś dwie godziny. Wsiadaj.

Ścibor wgramolił się do łodzi i usiadł na rufie, kładąc torbę tuż obok. Chłop odwiązał łódkę od małego pomostu, wsiadł i odepchnął się. Szybko podniósł wiosła z dna i ułożył je w miękko wyścielonych dulkach. Wiosła były długie i ciężkie.

- Później ja powiosuję - szepnął Ścibor.

Za szala dobiegła go stanowcza odpowiedź:

- Nie. W taką noc jak ta mogą nas zlokalizować tylko dzięki odgłosowi wiosel uderzających o wodę. Nawet gdy byś był mistrzem olimpijskim w wioslarstwie, nie pozwoliliby ci się do wiosel - nie w tej łódce.

Ścibor zauważył, że przy zanurzeniu ciężkich wiosel woda prawie wcale nie płuszcze. Za każdym razem pióra wiosel ustawione były pod kątem ostrym.

Chłop mu wyjaśnił, że popłyną wzdłuż brzegu oddaleni od niego o jakieś czterysta metrów. Jezioro patrolują dwie łodzie - polska i czeska, chociaż nie zawsze wypływają. Zwykle jednak trzy mają sięśrodek jeziora i czyhają na nie zarejestrowane łodzie rybackie. Załozde polskiej łódki raczej nie groziło wpadnięcie w tarapaty, bo dryfując wolno po jeziorze, zajmowała się przeważnie popijaniem wódeczki. Na koniec powiedział:

- Domyślam się, że w tej torbie masz pistolet. Jeśli nas zatrzymają, natychmiast wyrzuć go za burtę, jasne?

- Oczywiście - zapewnił Ścibor, choć nie miał zamiaru spełnić tej obietnicy. Nie zamierzał też przyznać się, że ma jeszcze mundur pułkownika milicji.

- Wszystko już wiesz - podsumował chłop. - Nie będziemy więcej rozmawiać. Aż trudno uwierzyć, jak wyraźnie niesie się dźwięk po spokojnej wodzie.

Tak więc przez dwie godziny płynęli w milczeniu. Kilkakrotnie chłop przerywał wiosłowanie, nie tyle, żeby odpocząć - wydawał się niezmiernie wytrzymały - ale żeby nasłuchiwać. Gdzieś w oddali Ścibor słyszał nawołujących się rybaków. Początkowo dobiegające słowa były czeskie. Później usłyszał swój ojczysty język i zrobiło mu się dziwnie ciepło na duszy. Rzeczywiście, niesamowicie, że głos niesie po wodzie tak daleko. Światła łódek błyszczały gdzieś w oddali, a jednak wyraźnie słyszał, jak jakiś rybak ze śmiechem woła do kolegi, że na biegunie północnym nie można się przeziębnić.

Po prawej stronie kilkakrotnie przesunął się snop reflektora, ale nie obejmował ich swym zasięgiem i przewoźnik wiosłował dalej nie zwracając na to uwagi. Tuż po północy zaczęli stopniowo skręcać w kierunku wybrzeża. Chłop coraz częściej teraz zatrzymywał się i wpatrywał w niewyraźną ciemną linię. W końcu mruknął zadowolony, kilka razy uderzył lewym wiosłem i podpłynął prosto do łądu.

Lekko uderzyli o brzeg. Rybak bezgłośnie ułożył wiosła w łodzi, wyszedł na ziemię i wyciągnął łódkę. Ścibor zabrał torbę, wspiął się na burtę i miękko zeskokczył na miękką mech. Potem spojrział we wskazanym przez swojego przewoźnika kierunku.

- Tam jest ścieżka. Przejdź nią jakieś sto kroków. Na lewo zobaczysz wysoką samotną brzozę. Tam ktoś będzie na ciebie czekał... Powodzenia w tym, co zamierzasz... cokolwiek to jest.

Jednym ruchem zepchnął łódź i wskoczył do niej.

- Dziękuję - szepnął Ścibor za oddalającym się cieniem. Potem wyjął z torby i odbezpieczył pistolet. Znalazł ścieżkę, ale nagle uświadomił sobie, że wciąż ma na nogach należące do chłopca buty z owczej skóry. Odruchowo zatrzywał się i odwrócił, po czym uśmiechnął się do samego siebie - przecież było już za późno. A, tak czy owak, Czechowi dobrze zapłacono.

Ostrożnie wspinał się po dość stromej ścieżce. Po przejściu osiemdziesięciu kroków zauważył na lewo zarys brzozy. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł tam jeszcze jedną ciemną plamę i usłyszał delikatny, wysoki kobiecy głos:

- Trochę za zimno na spacer.

- W ogóle jest za zimno.

- Niekoniecznie - zaśmiała się kobieta. - Chodź, Mirku. Zdążyłeś w sam raz na przyjęcie.

Zaczęła iść w górę ścieżki. Ścibor stał, jakby zapuścił korzenie. Odwróciła się.

- No chodź.

W końcu odzyskał głos.

- Skąd masz moje imię? Jakie przyjęcie? Oszalała?

Znów zachichotała.

- Niektórzy tak myślał, ale lekarz tego nie stwierdził. A kim innym mógłbyś być? Domyślam się, że dziewczynę odesłali. No, chodź już. Cholernie przemarzłam.

Zaczęła iść. Ścibor poszedł za nią - nie miał innego wyjścia. Zabezpieczył pistolet i wsunął go w spodnie, ale po namyśle zdecydował, że lepiej mieć go w pogotowiu.

Ścieżka skręciła teraz w lewo i biegła wzdłuż jeziora. Jakies pół kilometra dalej przecinała ją polna droga. Poniżej ujrzał oświetlony dom. W sumie przeszli jakieś dwa kilometry. Minęli jeszcze dwa domy nad brzegiem jeziora, z pewnie, przy puszczał Ścibor, daczę wyższych urzędników partyjnych.

Najpierw usłyszał muzykę rockową, a dopiero później zobaczył budynek Pięćdziesiąt metrów dalej ścieżka schodziła w dół do jeziora. Stanął w miejscu i wpatrywał się w dom - zbudowany jakby bez jednolitego planu, z rozświetlonymi oknami i jasną smugą wyzierającą spod drzwi. Usłyszał śmiech prowadzącej go kobiety.

- Poczekaj! - krzyknął. - Nie zamierzam pokazywać się w tłumie. Ty naprawdę jesteś szalona.

Odwróciła się do niego. Przy świetle zobaczył, że jest wysoka i ma na sobie długie do kostek futro, a na głowie kaptur.

- Nie w żadnym tłumie - poprawiła. - Są tam tylko cztery osoby i wszyscy cie oczekują.

- Kim są?

- Przyjaciółmi, naprawdę. No, chodź już. Czeka na ciebie gorący posiłek, zimna wódka i ciepłe łóżko.

Zawahał się.

- Nie musisz się niczego obawiać - zapewniła. - Jesteś tu bezpieczny. Dla tych ludzi, i dla mnie też, jesteś bohaterem.

Westchnął i zrobił krok do przodu. Raczej nie miał wyboru.

Przy drzwiach dziewczyna zatrzymała się i zsunęła kaptur. Uderzyła go jej uroda - taka figlarna. Miała jasne kręcone włosy i żywe niebieskie oczy, z których emanowała radość. Ruchliwe wargi były pełne i czerwone. Mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Ona również mu się przyglądała. Uniosła kąciki ust.

- Rzeczywiście jesteś przystojny. Bałam się, że jesteś tylko fotogeniczny.

- Czyj to dom?

- Należy do zastępcy sekretarza partii we wspaniałym mieście Krakowie.

- Czy on wie, że korzystasz z jego domu?

Zatrzepotała rękami.

- Oczywiście. Jestem jego córką.

Nie od razu dotarło to do jego świadomości. Dziewczyna zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła rękę.

- Jestem Maria Lidkowska. Do usług.

Dłoń miała ładną, miękka i ciepła. Delikatnie ścisnęła jego rękę. Ścibor poczuł się lekko dezorientowany, co od razu wyczuła. Znów zachichotała i otworzyła drzwi.

Wszedł za nią do dużego holu.

- Lubisz Genesis? - spytała.

- Co to takiego?

- To muzyka, którą słyszysz - zaśmiała się.

- Nie znam tego.

- Och, naturalnie - rzekła przekornie. - Przy czymś takim raczej w SB nie tańczą. - Wskazała krzesło przy drzwiach. - Zostaw tu swoją torbę. Później zaprowadzę cię do twojego pokoju... i możesz odłożyć ten pistolet.

Rzucił torbę na krzesło, a pistolet wsunął za pasek, zastanawiając się, co też wymyślił ten Bekonowy Ksiądz. Zobaczył, że Maria zdejmuje futro. Miała na sobie czerwoną jedwabną sukienkę dopasowaną w taliu, a rozkłoszowaną w dole. Pod cienkim materiałem rysowały się sutki jej piersi. Skóra dekoltu była różowa jak krew z mlekiem. Spojrzał na jej twarz - uśmiechała się, jakby odgadując jego myśli. Podeszła do drzwi i otworzyła je - zadudniła muzyka, Maria gestem zaprosiła go do środka. Wszedł nieco oglądający i trochę poirytowany. Znalazł się w ogromnym pokoju. Ściana od strony jeziora była cała przeszklona. Dwa kryształowe żyrandole oświetlały jasno salon. W głębokich pluszowych fotelach i na sofach rozsiadła się czwórka gości - dwie dwudziesto-paroletnie dziewczyny, jeden chłopak w takim samym mniej więcej wieku i drugi tuż po trzydziestce. Obaj mężczyźni nosili brody, okulary i wypłowiałe drelichowe spodnie. Jedna z dziewcząt - ładny rudzielec - miała na sobie ogrodniczkę w biało-zielone pasy i czarną bluzkę, a druga, ciemnowłosa, podobna do Cyganki, ubrana była w czerwoną sukienkę z kołnierzykiem ozdobionym niebieskimi cekinami. To ona pierwsza skoczyła na nogi krzycząc:

- To on! Ścibor, Ścibor!

Podbiegła, objęła go i ucałowała w oba policzki. Za sobą Ścibor usłyszał głos Marii:

- Uwważaj, Irka, on ma pistolet.

- To czy wiste - odparła Irena robiąc krok do tyłu.

Starszy z mężczyzn wstał i podszedł do Ścibora z wyciągniętą ręką.

- Witaj z powrotem w Polsce. Jestem Jerzy Zamojski. - Potem przedstawił swego kolegę i drugą dziewczynę. - To Antoni Zonn... a to Natalia Banaszek... Antoni, ścisz to trochę.

Chłopak sięgnął do magnetofonu stereo firmy Sony i ściszył muzykę.

- Wódka na stół! Napijesz się dobrej polskiej wódki! - ogłosił Jerzy. Podszedł do barku i wyjął butelkę z wypełnionego lodem wiaderka.

- Kim jesteście? - zapytał szorstko Ścibor.

Jerzy napełniał właśnie kieliszek. Wódka była tak zimna, że sączyła się z butelki niczym olej. Jerzy z uśmiechem podał Ściborowi kieliszek mówiąc:

- Masz właśnie przed sobą zespół redakcyjny miesięcznika "Teraz".

Ścibor wziął kieliszek. To, co usłyszał, uspokoiło go - "Teraz" było pismem, które zaczęło wydawać podziemie zaraz po upadku Solidarności. Jako jedyne atakowało ostro nie tylko państwo, ale i Kościół. Trafiało do wszystkich uczelni i szkół w całej Polsce. Było też jednym z tych pism podziemia, którego miejsca wydania i zespołu redakcyjnego władze zupełnie nie mogły wyśledzić. Ścibor zaczął już rozumieć dlaczego.

Okrążyli go wszyscy. Mężczyźni zdjęli okulary.

- Za Polskę... i za wolność! - wznosił płomienny toast Jerzy.

Pozostali przyłączyli się i duszkiem opróżnili kieliszki. Potem Jerzy srogim głosem zwrócił się do Marii:

- Ty tu jesteś gospodynią, więc powinnaś zadbać, żebyśmy mieli pełne kieliszki.

Wyjął kieliszek z ręki Ścibora i wraz ze swoim podał Marii, po czym ujął gościa pod łokieć i poprowadził go w kierunku sofy. Najwyraźniej był tu szefem.

Maria wkrótce przyniosła mu wódkę.

- A jeśli przyjedzie tu twój ojciec? - zapytał Ścibor.

- Nie ma obawy - odparła. - Prawie wcale się tu nie pojawia. Zbyt jest zajęty swoją pracą i dwiema energicznymi kochankami. Tak się składa, że dobrze je znam i uprzedzają mnie zawsze o planach ojca. - Mrugnęła. - Nawet o tych bardzo intymnych.

- A twoja matka?

Potrząsnęła głową.

- Umarła dawno temu.

- I twój ojciec nie wie, że działasz w piśmie "Teraz"?

Odpowiedział za nią Jerzy:

- Nie, żaden z naszych ojców nic nie wie... a każdy z nich to wielka szych. Mój jest prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ojciec Antoniego-prezesa Związku Literatów Polskich, rodzic Ireny to generał Teodor Nawienko, o którym na pewno słyszałeś, a papa Natalii to dyrektor okręgowy PKP.

Ścibor w zamyśleniu skinął głową i stwierdził:

- A więc jeśli wpadniecie, to zwolni się parę wysokich stołków.

- To prawda - przyznał Jerzy - ale oni poszli swoją drogą... a my swoją.

Sięgnął do małego stolika, otworzył srebrną papierośnicę i poczęstował Ścibora.

- Dziękuję, nie palę.

- Nawet takich?

Ścibor przyjrzał się uważnie. Papierosy były większe niż normalnie, z jednej strony grubsze, a z drugiej cieńsze. Owinęte były białą bawełnianą nitką.

- Co to jest?

Jerzy uśmiechnął się z dumą.

- Marihuana, najlepsze tajskie laseczki. Pomyśl tylko, gdyby parę miesięcy temu złapał nas z tym major SB, ziemia paliłaby nam się teraz pod stopami.

Ścibor pokręcił głową. Nie mógł pozbawić swego głosu odrobiny goryczy, kiedy mówił:

- Wątpię. Jeden z waszych tatusiów użyłby swoich wpływów i wyciągnął was z tego.

Jerzy zapalił papierosa. Ścibor przyglądał się nieco zdziwiony rytuałowi palenia - wszyscy po kolei zaciągali się i podawali dalej.

- Nie uważasz, że to sprytne? - zauważył Antoni. - Wszyscy biorą nas za zblazowanych szpanerów. To świetna przykrywa dla tego, co robimy.

Irena głośno się roześmiała.

- Bo jesteśmy zblazowanymi szpanerami. Jako jedyna grupa podziemia nie musimy niczego udawać.

Siedziała na poręczu fotela i obejmowała Antoniego. Najwyraźniej tworzyli parę. Ścibor zastanawiał się, czy dziewczyną Jerzego jest Maria czy Natalia. A może obie - w końcu w tym środowisku... Wypił następny kieliszek rozkoszując się ognistym smakiem wódki. Poczł, że jest śmiertelnie zmęczony.

- Może lepiej uświadomcie mnie, zanim to ćpanie przeniesie was w inną krainę. Kiedy mnie stąd wyprawicie?

Policzki Jerzego zapadły się, kiedy zaciągnął się głęboko papierosem. Potem wstrzymał oddech i delektował się dymem. W końcu odezwał się wyrzucając z siebie jego reszkę:

- Początkowo miałeś wyjechać jutro... ale dziś po południu dostaliśmy z Warszawy zaszyfrowaną wiadomość, że mamy czekać na dalsze instrukcje. Widocznie zaszły jakieś zmiany.

- Wiecie coś więcej na ten temat?

- Nie. Ci twoi ludzie nie są zbyt otwarci. Tak czy owak będzie ci tu wygodnie i masz zapewnione bezpieczeństwo. Nikomu nie przyjdzie do głowy przeszukiwać tego domu.

Ścibor wiedział, że to prawda. Dzisiaj może spać spokojnie. Przez chwilę o czymś myślał, po czym zapytał:

- W jaki sposób zostaliście włączeni do tej akcji?

Jerzy udzielił mu dokładnej odpowiedzi:

- Jesteśmy w bliskim kontakcie z innymi grupami podziemia. Głównie z tymi, które rozprowadzają naszą gazetę. Parę tygodni temu ktoś z tych ludzi uprzedził nas, żebyśmy byli w pogotowiu, chociaż mało prawdopodobne, że zostaniemy zaangażowani.

- Ale dlaczego się na to zgodziliście?

Jerzy uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dla pieniędzy, kolego. No, ściśle mówiąc, dla cieniutkiego paseczka metalu - bardzo cennego. Wydawanie gazety to kosztowny interes. Naprawdę bardzo jesteśmy ci wdzięczni, że wpłaciłeś się w całą tę awanturę w Czechach. A teraz, skoro już się tobą zajęliśmy, dostaniemy następne dwadzieścia paseczków błyszczącego metalu.

- Rozumiem. - Ścibor postawił kieliszek na stoliku. - Ale skąd wiedzieliście, że to o mnie chodzi?

Odpowiedziała Natalia.

- Jesteś sławny. Obecnie przewyższasz popularnością nawet papieża. Od trzech dni twoje zdjęcie jest wszędzie - w telewizji, w gazetach, na listach gończych. W dniu, w którym zastrzeliłeś te świnię w Ostrawie, dostaliśmy polecenie przygotowania się do akcji. Nie musieliśmy długo myśleć, żeby zgodnąć, kim mamy się zająć.

Ścibor skinął głową przyznając jej rację.

- A gdzie zamierzacie przekazać mnie dalej?

- W Krakowie - odparł Jerzy. Powieki zaczynały mu już ciężać, a głos stał się belkotiwy. - Przy najmniej taki był pierwotny plan... Dziewczynę pewnie odesłali z powrotem?

- Tak - Ścibor wstał krzywiąc się trochę z powodu bólu w nogach. - Jestem zupełnie skatowany. Muszę się trochę przespać. Dzięki za wszystko.

Maria momentalnie się podniosła.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Ścibor podał rękę Jerzemu i Antoniemu. Dziewczyny objęły go i kokieterycznie pocałowały w policzek

Potem poszedł za Marią po schodach. Głęboki dekolot odsłaniał jej plecy. Biodra poruszały się tuż przed jego oczami. Miała zgrabne nogi. Na piętrze skręciła w lewo i szła korytarzem kołysząc biodrami.

- Wybrałam dla ciebie pokój od frontu - powiedziała. - Okno wychodzi na jezioro, widok jest wspaniały, a poza tym... - zatrzymała się przy drzwiach i otworzyła je - jest tu duże i bardzo wygodne łóżko.

Zajrzał do środka. Łóżko było ogromne. Maria wskazała palcem drzwi z boku.

- Tam jest łazienka. Wanna jest wpuszczana w podłogę i swobodnie pomieści dwie osoby. Nie lubisz wpuszczanych wanien?

Nie odpowiedział. Nigdy nie widział czegoś takiego. Wszedł do pokoju, położył torbę na łóżku i odwrócił się do Marii.

- Dziękuję ci.

Opierała się o framugę. Jej oczy i sylwetka wyrażały zachęte. Stwardniałe sutki piersi wyraźnie rysowały się pod sukienką.

- Do zobaczenia rano - powiedział Ścibor. - Jeszcze raz dziękuję.

Zawiedziona wyduła wargi, zaraz jednak się uśmiechnęła.

- Mój pokój jest tuż obok. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował... Słodkich snów, Mirku.



Dziesięć minut później leżał w wannie zanurzony w bardzo gorącej wodzie aż po podbródek. Stwierdził, że mogłyby się tu zmieścić nawet cztery osoby. Powoli ból opuszczał jego ciało, a on rozmyślał nad tym, co mu się przytrafiło. Przecież tamten Mirosław Ścibor sprzed kilku zaledwie dni pieściłby teraz namydlone różowe ciało tej uwodzicielskiej blondynki. Sam był zaskoczony, że zdołał opanować fizyczne pożądanie. Ostatnio spał z kobietą w libijskim obozie; był wtedy z Leilą i wydawało mu się teraz, że zdarzyło się to całe wieki temu.

Rozejrzył się po urządzonej z przepychem łazience. Krany były połączane, drążki na ręczniki podgrzewane, lustra błyszczwały, a na podłodze leżał gruby puszysty dywan. Mógł sobie wyobrazić coś takiego na Zachodzie, ale tutaj zakrawało to na nieprzyzwoitość. Sprawiała mu przyjemność myśl, że seksowna córeczka wykławała własnego ojca i to aż zastępcę sekretarza partii. Potem porównał ten luksus ze spartańskimi warunkami, w jakich mieszkała Ania w klasztorze. Myślał o niej przez dłuższą chwilę. Poczł ogromne znużenie, ale zastanawiał się jeszcze, czy Ania o nim pamięta. Spróbował wyobrazić sobie, że są razem w wannie. Zamknął oczy, żeby lepiej to zobaczyć.

Pół godziny później kaszlał i pluł mydlinami. Po prostu zasnął w kąpiele.

Profesor Szafer zdecydował poczękać z niespodzianką aż do kawy. Jak zwykle jedli obiad w Wierzyńku i Stefan uznał, że Helena jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Miała na sobie czarny jak smoła golf i kremową lnianą spódnicę. Włosy upięła w kok. Osądził, że zarys jej szczęki jest prawdziwym dziełem sztuki. W uszach miała małe kolczyki w kształcie dzwoneczków.

Właśnie chciał podzielić się z nią nowiną i już cieszył się tą chwilą, kiedy Helena powiedziała:

- Zasmucasz mnie, Stefanie.

Zaniepokoiło go to stwierdzenie. Przejęty pochylił się nad stolikiem.

- Ale dlaczego, Heleno? Co ja takiego zrobiłem?

Wydęła wargi.

- Minęło już prawie dwa tygodnie, odkąd powiedziałam ci o moim wyjeździe do Moskwy. Obiecałeś, że przyjedziesz tam do mnie, a jak do tej pory nawet o tym nie wspomniałeś. Pewnie więc nie masz na to ochoty.

Uśmiechnął się z ulgą, skinął na kelnera i zamówił koniak dla siebie, a dla Marie dla Heleny. Potem odparł:

- To miała być moja niespodzianka.

Spojrzała na niego udając zagniewanie.

- Jesteś okropny, Stefanie. To nie fair... Tak na to czekałam.

Wziął ją za rękę.

- Przecież wiesz, że nie potrafię ci niczego odmówić. Po prostu dopiero dzisiaj się co do tego upewniłem. Od początku wiedziałem, że mogę wziąć tydzień urlopu, ale parę dni temu zasugerowano mi, że ten wyjazd mógłby nabrać oficjalnego charakteru... no i by się wydłużył. Dziś rano poprosił mnie na rozmowę dyrektor, towarzyszył Kurowski. Ministerstwo potwierdziło, że ma to być wyjazd służbowy. Dyrektor był tym bardzo podekscytowany, a ja oczywiście też.

Kelner przyniósł zamówione drinki i dołączył kawę do filiżanek. Helena ledwie umoczyła usta w kieliszku i powiedziała:

- A więc ja też się cieszę. Jaką misję masz do spełnienia?

Niedbale wzruszył ramionami.

- Wygłoszę kilka wykładów.

- I to wszystko?

Uśmiechnął się.

- Heleno, będzie mnie słuchać śmietanka radzieckiej medycyny. Poza tym udzielę wywiadu "Sowieckoj Medycynie" - jednemu z najlepszych czasopism medycznych na świecie... To dla mnie wielki zaszczyt.

Przez chwilę sączyła swojego drinka uważnie obserwując Stefana.

- A poza tym?

- Jak to poza tym?

- Daj spokój, Stefanie! Dobrze cię znam. Co przede mną zataiłeś?

Przyglądał się jej jakiś czas, potem szybko rozejrzał się po sali i powiedział ściszonego głosem:

- Naturalnie podczas mojego pobytu w Moskwie radzieccy specjaliści skonsultują się ze mną w sprawach swoich najcięższych przypadków... No cóż, uprzedzono mnie, że jednym z takich przypadków jest bardzo ważna osobistość. - Powstrzymał ją gestem. - Nie pytaj kto, bo nie mogę ci powiedzieć. Ale możesz być pewna, że to ogromny krok do przodu na drodze mojej kariery.

Helena dopiła drinka i postawiła na stole małe kieliszki - stuknęła lekko o spodeczek. Stefan czekał na jej reakcję; spodziewał się oznak radości, ale się zawiodł. Usta wygięła w podkówkę, głęboko westchnęła i poprosiła smutnym głosem:

- Stefanie, błagam, nie zgadzaj się na to.

Zamurowało go. Po chwili wymamrotał:

- Dlaczego? Co...?

Przerwała mu cichym, lecz zjadliwym głosem.

- Nie jestem idiotką. Dlaczego mężczyźni myślą, że każda ładna blondynka jest głupia? Stefanie, przecież to oczywiste, kim jest ta ważna osobistość. Nie bój się, nie wymienię jego nazwiska. Krążą plotki, no cóż, w Polsce zawsze jakieś są, ale te powtarza się już całkiem głośno. Ten twój ważny człowiek jest bardzo chory... śmiertelnie chory. Jak myślisz, co się stanie z twoją karierą, jeśli wkrótce po twojej kuracji on umrze? Zresztą, co tam kariera, chodzi o twoje życie. Nigdy nie zapominał, Stefanie, że jesteś Polakiem. Pamiętaj, że Rosjanie zawsze lubią mieć w pogotowiu kózła ofiarne.

Uśmiechnął się wzruszony jej troską. Spróbował ją uspokoić.

- Heleno, ja nie będę go leczył. Po prostu wybitni lekarze skonsultują się ze mną, zwłaszcza w kwestii moich doświadczeń w dziedzinie dializy.

- Czy to znaczy, że nie będziesz go badał osobiście?

Ponownie się uśmiechnął.

- Oczywiście, że będę musiał go zbadać. Ale nie będę go leczył... I jeszcze coś - te plotki, o których wspomniałaś, są mocno przesadzone, jak zwykle zresztą. Widziałem już wstępne orzeczenie i to bardzo poufne. Nie wygląda na to, żeby miał umrzeć w przyszłym tygodniu czy nawet w przyszłym miesiącu. Nie będę niczyim kozłem ofiarnym.

Jego słowa podziałały na Helenę uspokajająco i trochę się rozweseliła.

- Tak czy owak to cudownie, że będziemy w Moskwie razem. A teraz opowiedz mi dokładnie, jaki masz program.

Ucieszył się, że poprawił jej się humor, i z zadowoleniem zmienił temat. Pelen entuzjazmu zaczął opowiadać:

- Przy lecę do Moskwy ósmego lutego po południu. - Uśmiechnął się. - Oczywiście pierwszą klasą Aeroflotu. Ty już będziesz na miejscu. Mam zarezerwowany apartament w hotelu Kosmos.

Teraz ona pokazała zęby w uśmiechu.

- Jej, ale mam ważnego chłopaka. Ja będę mieszkając w dwuosobowym pokoju w hotelu Junost - podobno to jakaś brudna rudera.

- Nic nie szkodzi - rzucił niedbale. - Możesz przeprowadzić się do mojego apartamentu.

Uśmiechnęła się do niego figlarnie.

- Ale nie od pierwszej nocy. Ósmego nasza grupa jedzie do Kowna na występ mimów. Tam będziemy nocować i wrócimy do Moskwy następnego ranka. A ja pojedę prosto do twojego pałacu, żeby cię zobaczyć.

Skinął głową.

- Najpierw jestem umówiony na to ważne spotkanie. Zabiorą mnie z hotelu w południe. Potem zamierzali zaprosić mnie na obiad, ale przełożyłem to na następny dzień, bo pierwszego chcę zjeść go z tobą w Lastoczce.

Skloniła głowę w uroczystym podziękowaniu i zapytała:

- A co potem?

Wzruszył ramionami.

- Potem wykłady i wizyty przez trzy dni, a następne cztery będę miał tylko dla siebie. Czy mogłabyś zwolnić się ze swojego seminarium, żeby pojechać ze mną do Leningradu?

- No cóż... Naturalnie będzie to bardzo trudne. Mam wypełniony każdy dzień, a moja praca jest ogromnie ważna dla kraju i dla całej ludzkości. Muszę się nad tym poważnie zastanowić. Spróbuję osądzić, co jest ważniejsze - mój wkład w dziedzinę sztuki i życia społecznego czy towarzysstwo rozpustnego... i, powiedzmy, niedokształconego, młodego lekarza...

Uśmiechnął się na widok jej wykrzywionych ust. Po chwili niedbale dodała:

- No cóż, zawsze chciałam zwiedzić Ermitaż... a więc, zgadzam się, Stefanie. Pojadę z tobą do Leningradu.

- Świetnie. Musimy to uczcić.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kelnera i dopiero wtedy zauważył, że zostali jedynymi gośćmi w restauracji. Mrużąc oczy spojrzał na zegarek i natychmiast wstał.

- Już prawie trzecia. Za piętnaście minut muszę być na sali operacyjnej.

Sięgnął po portfel, wyjął kilka banknotów dwustużłotowych i położył je na stole.

- Proszę cię, ureguluj rachunek. Zobaczymy się w piątek wieczorem. Przed dziewiątą.

Szybko schylił się, żeby ją pocałować, i wyszedł. Szef sali podszedł właśnie z rachunkiem na srebrnej tacy. Helena położyła na niej banknoty i uśmiechając się powiedziała:

- Reszta dla pana, ale dopiero, jak dostanę jeszcze jedną tia marie.

Kelner odważemnił uśmiech i odszedł.

- Podwójną proszę! - krzyknęła za nim.

Spojrzał w jej kierunku i potwierdził skinieniem głowy. Po chwili znów zatrzymał go jej głos:

- I ze śmietanką proszę.

Wiktor Czebrikow również zjadł dobry obiad w prywatnej jadalni w Prezydium. Zaproсили go tam dwaj ludzie na tyle ważni, żeby wzbudzić jego respekt. Byli bardzo mili i uprzejmi, a jednocześnie nalegali, by powiedział im, co właściwie się dzieje. Mógł milczeć albo nawet okazać gniew powołując się na swego szefa, ale nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Umiał poruszać się w politycznym labiryncie Prezydium. Odpowiedział więc przypowiesciami i porównaniami, a jego towarzysze, też niegłupi, rozumieli.

Idąc do biura Zamiatina, ssał tabletkę łagodzącą skutki zjedzenia czekoladowego ciastka. Na jego widok pułkownik i trzej majorzy stanęli na baczność i zaszalutowali.

Czebrikow zapytał uprzejmie:

- Macie jakieś wieści?

Ton szefa przyniósł Zamiatinowi zarówno zaskoczenie, jak i ulgę.

- Niewiele, towarzyszu dyrektorze - odparł. - Pod wpływem narkotyków ten Polak Albin wyznał, że jest tajnym księdzem, że naprawdę nazywa się Józef Pietkiewicz i że kobieta, którą złapano razem z nim, jest jego prawowitą żoną. Bardzo żywo reagował na pytania dotyczące Bekonowego Księdza, ale wygląda na to, że nigdy nie spotkał go osobiście. Natomiast jego żona dostała niegroźnego ataku serca podczas ostrego przesłuchania. Zanim jednak to się stało, nie powiedziała nic mimo podanych jej narkotyków.

Czebrikow machnął ręką dając do zrozumienia, że obecni mogą usiąść i czuć się na luzie.

Major Gudow odezwał się zamyślony:

- To dziwne, ale rzeczywiście potwierdza regułę - kobiety są bardziej odporne na narkotyki niż mężczyźni. Zupełnie tego nie rozumiem.

- Zrozumiałbyś, gdybyś żył z moją żoną przez trzydzieści lat - odparł Czebrikow.

Roześmiali się wszyscy, jednak niezbyt głośno.

- Czy napijecie się herbaty, towarzyszu dyrektorze? - spytał major Iwanów.

Czebrikow skinął głową, a Iwanów podszedł do niedawno zainstalowanego samowaru. Kiedy wrócił ze szklanką, szef studiował właśnie ogromną ścienną mapę. Minęło kilka minut ciszy przerywanej tylko głośniejszym siorbaniem Czebrikowa, który nie spuszczał wzroku z mapy.

W końcu zwrócił się do Zamiatina.

- Możesz zapomnieć o tych starszakah. Tamci już zabezpieczyli się na taką ewentualność. Trzeba teraz zniszczyć następny kanał. - Palcem wskazał obszar w pobliżu granicy wschodniemieckiej.

- Nie zaprzstawajcie koncentracji wojsk w tym rejonie. Tędy może prowadzić kanał przerzutowy. To słaby punkt. A tymczasem przetransportujcie większość sił polskiej SB na północno-zachodnią granicę czechosłowacką... na zachód od Wrocławia. Bardzo prawdopodobne, że pojawią się gdzieś na tym obszarze. Funkcjonariusze SB to jedyni Polacy, na których można polegać w tej akcji. W końcu Ścibor był jednym z nich, a oni nie lubią zdrajców.

Zamiatin miał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Czebrikow wciąż przyglądał się mapie kłując głową. Wreszcie oznajmił:

- Wycofam wszystkie nasze oddziały. Nie na wiele się przydadają przy blokadach dróg, a włączanie ich do akcji jest niezgodne z naszą polityką.

Zamiatin już miał zamiar zwrócić uwagę, że takie posunięcie pociągnie za sobą odwołanie oddziałów polskiej milicji od przeszukiwania miast i przydzielenie ich do blokad dróg, ale znowu, w ostatniej chwili, powstrzymał się. Przeczucie mówiło mu, że uprzejmość Czebrikowa szybko minie, jeśli on cokolwiek zakwestionuje.

Pewnym siebie głosem Czebrikow podsumował:

- Ścibor wciąż jest w Czechosłowacji. Bekonowy Książd wyśle go na północ. Przypuszczam, że zrobi to w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Te godziny są dla nas przełomowe. - Odwrócił głowę i uważnie popatrzył na Zamiatina. - Powiedziałem: "przełomowe", pułkowniku. Jeśli zdoła przedostać się do Polski, jego szansę na sukces znacznie wzrosną. Przykro to przyznawać, ale tak jest. A poza tym, termin napisania kolejnego raportu dla towarzysza generalnego sekretarza upływa jutro w południe.

- Tak jest, towarzyszu dyrektorze.

- Miejmy nadzieję, że będzie zawierał dobre wieści.

Poszedł w kierunku drzwi zostawiając pustą szklankę na biurku Gudowa.

Po jego odejściu zapanowała cisza. Współpracownicy Zamiatina wyчувali jego niepokój. W końcu milczenie przerwał Gudow.

- Obywatelu pułkowniku, czy mam wydać rozkaz koncentracji sił polskiej SB w okolicach granicy na zachód od Wrocławia?

Zamyślony Zamiatin potwierdził skinieniem głowy, lecz gdy Gudow sięgał po telefon, polecił mu:

- Pozostaw wszystkie oddziały krakowskie na miejscu.

Major znieruchomiał z ręką na słuchawce. Wszyscy trzej wpatrywali się w Zamiatina, który wzruszył ramionami.

- Towarzysz Czebrikow rozkazał mi obsadzić siłami SB granicę na zachód od Wrocławia, ale nie polecił mi całkowicie zlekceważyć reszty granicy z Czechosłowacją. Stosuję się do jego rozkazów, lecz pamiętam, że Kraków zawsze był ośrodkiem akcji wyrotowych. A poza tym leży tylko sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym widziano Ścibora. Jeśli zdążył przekroczyć granicę, to albo już jest w Krakowie... albo tam jedzie.

Znów zapadła cisza. Po chwili major Gudow wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i podniósł słuchawkę.

Tymczasem major Iwanów wciąż się nad czymś zastanawiał, bębniąc palcem w jakąś teczkę. W końcu namyślił się.

- Towarzyszu pułkowniku... nie jestem pewien, czy to ważne...

- Co takiego? Iwanów otworzył teczkę.

- Odkład zaczęliśmy podejrzewać Bekonowego Książdza o udział w tej akcji, prowadzimy ciągłą obserwację Collegio Russico w Rzymie. Fotografujemy wszystkich wchodzących i wychodzących. Parę dni temu przeglądałem te zdjęcia. Na kilku z nich jest jakaś kobieta. Istnieje pewne podobieństwo między nią a szcikiem tej kobiety, którą widziano w Czechosłowacji razem ze Ściborem. - Przerwał i obliznął wargi.

- Sprawdziłeś to?

- Tak, towarzyszu pułkowniku, ale obawiam się, że to fałszywy trop. Ta kobieta ze zdjęcia jest zakonnica, Polką, ale pochodzi z klasztoru na Węgrzech.

- Zakonnica! - prychnął Zamiatin.

- Tak, towarzyszu pułkowniku, jednak doniesiono mi wczoraj, że ona jeszcze nie wróciła do klasztoru. I wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie jest. A podobieństwo jest bardzo duże.

- Pokaż.

Major Iwanów wstał i podał teczkę Zamiatinowi. Otworzył ją i palcem wskazał zdjęcie przypięte do wewnętrznej strony okładki. Obok widniał szcik. Zamiatin przyglądał się im przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową i odwrócił stronę głośno odczytując raport:

- Anna Król. Wiek dwadzieścia sześć lat. Urodzona w Krakowie. Rodzice zginęli w katastrofie samochodowej siódmego października 1960 roku. Pochowani w Krakowie...

Podniósł wzrok i przez kilka minut patrzył gdzieś przed siebie.

- Nie można wykluczyć, że Bełonowy Książdz posłużył się zakonnicą. Gudow, połączenie z szefem naczelnym w Krakowie.

- Na pewno jesteś zakochany.

Ścibor westchnął.

- Skąd ten pomysł?

Maria wycelowała w niego palec z czerwono pomalowanym paznokciem.

- Nie jesteś pedalem ani pobożnym katolikiem, a jednaknie chciałeś się ze mną przespać, choć podałam ci siebie jakna tacy.

Ścibor odpowiedział uśmiechem na jej szczerłość. Siedzieli sam na sam w ogromnym salonie. Zapadł już wieczór. Nie zaciągnęli zaslon i z okna widać było odbijające się w czarnej wodzie światelka. Antoni i Irena pojechali rano do Krakowa. Godzinę temu Jerzy odebrał telefon. Najpierw słuchał przez kilka minut, a potem coś powiedział, ale Ścibor nic nie zrozumiał, bo Jerzy mówił szyfrem. Wkrótce potem on i Natalia założyli okrycia i wyszli mówiąc, że niedługo wrócą. Ścibor nasłuchiwał odgłosu ruszającego samochodu, ale nic nie zakłóciło ciszy. Pomyślał, że pewnie przybył kurier, i wzbudziło to w nim nadzieję na rozpoczęcie kolejnego etapu podróży. Wprawdzie w tym domu mieszkał w luksusowych warunkach i na pewno był w nim bezpieczny, ale drugiego dnia zaczął się już niecierpliwic. Patrzył teraz na Marię, która siedziała przy ogniu trzaskającym w kominku, cierpliwie czekając na odpowiedź. Miała na sobie krótką, obcisłą dżersejową sukienkę w czarnym kolorze. Było oczywiste, że pod nią nie ma nic.

- Czy każdy facet, który nie jest pedalem, księdzem albo zakochanym ma na ciebie ochotę?

- Naturalnie.

- To musi być męczące.

Uśmiechnęła się.

- Wybieram tylko tych, na których ja mam ochotę. A w pewnym sensie dla nich jest to naprawdę męczące... No więc, kim ona jest?

Ścibor wstał, podszedł do barku i nalał sobie szkockiej z wodą. Butelka była owinięta w niebieską aksamitną ściereczkę. Słyszał kiedyś, że taka whisky kosztuje w Polsce ponad szesnaście tysięcy złotych. Nalał sobie tylko troszkę, nie z oszczędności, ale żeby zachować jasny umysł.

- Zrobić ci drinka? - zaproponował Marii.

- Tak proszę to samo.

Nalał whisky do drugiej szklaneczki i podszedł do Marii. Kiedy podawał jej drinka, chwyciła go za przegub i powtórzyła rozdrażniona:

- Powiedz, kim ona jest?

Zdenerwował się. Wyrwał rękę rozlewając alkohol na jej sukienkę. Potem postawił szklaneczkę na stoliku obok, a sam przysunął się do kominka, by ogrzać plecy.

- Ty i ci twoi przyjaciele - rzucił ostro - dzieci kacyków. Ludzie nienawidzili mnie jako oficera SB... ale możesz być pewna, że ci sami ludzie nienawidzą takich jak ty równie mocno, a może i bardziej. Prowadzicie królewskie życie. Macie wszystko bez pracy, bez stania w kolejkach, bez najmniejszego wysiłku. Spójrz na siebie - mała "czerwona" księżniczka strojąca fochy, bo po raz pierwszy w życiu nie może czegoś mieć. Nie muszę być zakochany, żeby nie pragnąć twojego ciała.

Śmiejąc się potrząsnęła głową.

- Ależ ty mnie pragniesz. Wiem to. Zawsze potrafię to zauważyć. Widzę, jakna mnie patrzysz, na moje piersi, na nogi... Pragniesz mnie, Mirku, ale coś cię powstrzymuje. I może to być tylko miłość do innej kobiety. A skoro taki mężczyzna jak ty pragnie, a nie bierze, to ona musi być wyjątkowa... Czy poznałeś ją na Zachodzie?

Wzruszył ramionami.

- Nie będziemy o tym mówić, Mario. Nie przyjechałem tu na pogaduszki. Myśli mam zajęte innymi sprawami. Ważniejszymi niż czyjeś ciało, które jeśli nawet jest bardzo kobiece, to mocno zużyte.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie bądź okrutny, Mirku - powiedziała poważnie. - Przecież tylko drażnię się z tobą. To tylko takie gadanie dla zabicia czasu. Jestem dziewczyną bardziej myślącą i mniej zużytą, niż ci się wydaje. Owszem, jesteśmy dziećmi kacyków, ale dzięki tej pozycji możemy się na coś przydać. Polska nie jest nam obojętna. Nie zapominaj, że pod płaszczkiem zepsucia niesiemy ludziom prawdę... i wiele przy tym ryzykujemy... i pomagamy ludziom, choćby tobie.

Mimowolnie poczuł skruchę. Przepił do niej.

- Wiem. Nie chciałem być okrutny. Po prostu przez wiele lat wszczępiano we mnie nienawiść do takich jak ty. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla ciebie i twoich przyjaciół to częściowo gra, ale przecieżnie musisz grać przede mną, Mario.

Uśmiechnęła się ujmująco.

- Weszło mi to w nawyk. Tak czy owak, intuicja mi mówi, że jesteś zakochany. Więc niech tak zostanie. Bądźmy po prostu przyjaciółmi. Czy mógłbyś nalać mi nowego drinka, bo prawie wszystko mi rozlałeś?

Podszedł z jej szklaneczką do barku. Kiedy nalewał whisky, usłyszał trzaśnięcie drzwi wejściowych. Maria zerwała się na równe nogi i pośpieszyła do holu. Po chwili Ścibor usłyszał jej okrzyk:

- Mój Boże! Jak ona się czuje?

Dobiegł go natarczywo głos Jerzego.

- Tak sobie. Posadź ją blisko ognia.

Weszedł do pokoju bokiem; najpierw Jerzy - wyglądał jak olbrzym w swoim futrze. Ramieniem podtrzymał jakąś mniejszą postać. Za nimi szły Natalia i Maria.

Ścibor wciągnął stół przy barze ze szkaneczkami w ręce. Zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Kiedy podeszli do kominka, Jerzy zdjął z drobnej postaci futro Natalii. Ścibor nie widział dobrze ze swojego miejsca, więc podszedł bliżej. Odwrócona do niego plecami stała jakaś kobieta. Maria rozcierała jej dłonie, a Natalia zdjęła szal z głowy. Wtedy zobaczył kruczoczarne włosy. Znał je. Szkaneczki wysunęły mu się z palców.

- Ania!

Odwróciła się. Miała zapadnięte oczy i była blada jak płótno. Usta jej drżały. Wymamrotała jego imię i rzuciła się prosto w jego ramiona.

Pozostali w milczeniu przyglądali się tej scenie. Ania była przemarznięta na kość. Ścibor wziął ją na ręce i zaniósł do kominka, do którego Jerzy dokładał już drewna. Potem dotknął policzków dziewczyny - były niczym tafle lodu.

- Jak tu dotarłaś?

Wciąż się go przytrzymując, wymamrotała:

- Tak jak ty.

Minęła chwila, zanim w pełni zrozumiał znaczenie tych słów. Opanował go gniew.

- Wysłali cię tym beczkowozem... chociaż wiedzieli, przez co ja przeszedłem? Zabiję tych sukąsynów!

- To nie było tak, Mirku. Ja sama tego chciałam. Ostrzegli mnie, a potem pomogli, jak tylko umieli.

- Ale dlaczego cię wysłali?

- Bekonowy Książdz zdecydował, że powinnam jechać dalej z tobą.

W głowie miał zamęt, ale jedno wiedział na pewno. Dziewczyna, którą obejmował, była przemarznięta i wyczerpana. Spojrzał na Marię.

- Mario, czy mogłabyś nalać gorącej wody do tej wielkiej wanny? To ją rozgrzeje szybciej niż ogień w kominku. Jerzy, poproszę o kieliszek brandy.

Maria i Natalia wyszły z salonu. Jerzy napełnił kieliszek na jakieś dwa palce i podał Ściborowi, który podsunął go Ani do ust. Trochę alkoholu trafiło do jej gardła, ale i po skórzanej kurtce spłynęła strużka. Dziewczyna na się rozkaślała gwałtownie. Ścibor otarł jej brodę dłonią i ponownie podstawił kieliszek do ust.

- Postaraj się wypić więcej. To cię rozgrzeje.

Wlał jej do ust jeszcze trochę brandy. Ania znów się zakrztusiła. Potem pokręciła głową mówiąc:

- Wystarczy, Mirku. Już mi lepiej.

Wziął ją na ręce.

- Za chwilę znajdziesz się w największej wannie, jaką kiedykolwiek widziałas.

Jerzy otworzył im drzwi i szedł przodem. Sypialnia była już otwarta. Wchodząc do środka, zobaczyli parę doby wającą się z łazienki. Zaraz też wyszła z niej Natalia.

- W porządku, teraz my się nią zajmujemy.

Ścibor postawił Anię na podłodze, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Natalia objęła dziewczynę ramieniem i poprowadziła do łazienki. W salonie Jerzy włączył cicho jazz i nalał whisky do dwóch szkaneczek. Ścibor stał przy kominku próbując pozbiierać myśli i uspokoić się. W końcu, kiedy Jerzy podał mu drinka, zapytał:

- Co właściwie zaszło?

Jerzy wzruszył ramionami.

- Miałem telefon z Warszawy. Szyfrem przekazano mi wiadomość, że z tego samego punktu kontaktowego mam odebrać kogoś nowego i przyprowadzić tutaj. Dalsze instrukcje dostanę jutro rano. Nic więcej nie wiem. Czy to z nią jechałeś?

- Tak

Jerzy wciągnął nosem aromat whisky i zauważył:

- Widzę, że twoi szefowie umieją grać w szachy. Domyślam się, że ta dziewczyna miała odwracać od ciebie uwagę. Teraz nasze władze doszły pewnie do wniosku, że skoro jest spalona, to zostanie wycofana z akcji i już nie będą jej szukać... Sprytne posunięcie.

- Może i tak - odparł zamyślony Ścibor. - Ale Rosjanie też grają w szachy i w dodatku są w nich najlepsi.

- To prawda - zgodził się Jerzy - ale zwykle nie doceniają inteligencji przeciwnika.

Do salonu weszła Maria.

- Nic jej nie będzie. Jest teraz z Natalią. Kazałam jej iść prosto do łóżka, zaniósł tam kolację, ale ona koniecznie chce zejść do nas... Mówi, że nie była w Polsce od dzieciństwa.

- Owszem.

- W takim razie przygotuj kolację, której nigdy nie zapomni.

Wychodząc porozumiewawczo mrugnęła do Ścibora.

- A jednak miałam rację.

Wprawiła go w zakłopotanie tym stwierdzeniem. Poczuli, że się rumieni.

- To po prostu moja koleżanka.

- Oczywiście - uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

- Czy ona rzeczywiście umie gotować? - powątpiewająco spytał Jerzego.

- Zobaczysz - odrzekł ze śmiechem tamten. - Ona ma więcej talentów, niż na to wygląda.

Dochodziła już północ, kiedy zasiedli do kolacji. Ania przespalała się dwie godziny. Wiedząc, przez jakie męczarnie przeszła, Ścibor dziwił się, że tak świetnie się trzyma i jest zupełnie spokojna. Tylko w jej oczach widoczne było jeszcze zmęczenie. Na twarzy miała lekką makijaż, a ubrana była w długą spódnicę w ukośne czerwono-niebieskie pasy i białą koronkową bluzkę. Ścibor nie widział tych rzeczy w jej bagażu.

- Natalia mi je pożyczyła - wyjaśniła. - Moje ubrania są bardzo pogniecione.

- Dobrze ci w tym - pochwalił. - Wyglądasz jak Cyganka.

- I chyba tak się czuję.

Jerzy zdecydował, że zjedzą kolację w salonie zamiast w jadalni. Przenieśli ze Ściborem stół i pięć krzeseł. Natalia zapaliła kilka świec na okapie nad kominkiem, a gdy przygasła górne światło, weszła Maria z tacą. Stało na niej pięć złotych pucharków i duży dzbanek. Postawiła to wszystko na stoliku i z przejęciem objaśniła Ani:

- To jest krupnik. Witaj znowu w Polsce.

- Krupnik? - zdziwiła się Ania wprawiając pozostałych w zaskoczenie.

- Nigdy nie piłaś krupnika? - spytał Jerzy.

Z odpowiedzią pośpieszył Ścibor.

- Ania wyjechała z Polski będąc jeszcze małym dzieckiem, a potem żyła wśród ludzi, którzy nie pili alkoholu. - Potem wyjaśnił Ani: - Krupnik to czysty spirytus doprawiony miodem i przyprawami. To tradycyjny trunk podawany myśliwym i podróżnym, kiedy wracają przemarznięci... Serwuje się go na gorąco.

Jerzy wznosił jeden z pucharków i podał go Ani, która od razu wciągnęła nosem aromat trunku.

- Pachnie fantastycznie... i chyba jest mocny!

Każdy wziął pucharek z tacy, a Jerzy wznosił toast:

- Witajcie w domu, obydwoje.

Ścibor pociągnął mały łyseczek. Wiele razy już pił krupnik, ale miał wrażenie, że wcześniej były to zwykłe pomyje.

Maria miała na sobie falbaniasty biały fartuszek, który jakoś do niej nie pasował. Kolacja była wręcz znakomita. Po przystawce - wiejskiej kielbasie i wędzonym mięsie - przyszła kolej na gołąbki w sosie pomidorowym, delikatne, ale jędrne. Ścibor z łatwością kroił je widelcem. Ania dobrze знаła tę potrawę, ale od lat już jej nie jadła. Zaraz po pierwszym łyku aż krzyknęła z podziwu i pochwaliła zdolności kulinarne gospodyni. Ścibor poznał teraz nową Marię; aż do tej pory nie wiedział, że taka istnieje - pewna siebie, zdolna, bez cienia kokieterii. Sądził, że gołąbki są daniem głównym, ale jak tylko Natalia uprzątnęła ze stołu, pojawiła się Maria z kolejną tacą. Tym razem były to zrazy nelsonskie z kaszą w sosie grzybowym.

Do kolacji pili półslodki tokaj barwą przypominający złoto. Wzniesli nim wiele toastów. Jerzy zapytał Anię, jakiej muzyki chciałyby posłuchać, po czym zdjął z półki długogrającą płytę z mazurkami Chopina.

Takie zestawienie potraw, wina i muzyki może wpłynąć na Polaków w dwojaki sposób. Pierwszy to niepojęta wesołość, drugi to melancholia. Tym razem wszystkich ogarnął refleksyjny nastrój. Z gramofonu sączyła się cicha muzyka, a oni pili wino i wpatrywali się w światło świec i ogień kominka. Cała piątka zatopiona była w myślach.

W końcu, kiedy płyta się skończyła, Jerzy uderzył pięścią w stół.

- Dostyc tego. Teraz nie czas na dumanie. Nie będziemy się smucić. Mirku, słyzałeś ostatnio jakiś dobry kawał?

Ścibor zaprzeczył, a Jerzy uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Opowiem wam najświeższy. Pewien facet już od paru dni stoi w kolejce po chleb. W końcu nie wytrzymał, wychodzi z kolejki i krzyczy: "Mam tego dość! Zabiję tego sukinsyna Jaruzelskiego". Po dwóch godzinach wraca, a ludzie pytają: "No i co? Zabił go pan?", Nie. Kolejka była za długa".

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Natalia dołąła wina do kieliszków, a Maria powiedziała:

- W zeszłym tygodniu słyzałam dobry kawał. Na komisariat przybiega przeorysza cała roztrzęsiona i mówi, że żołnierze rosyjscy napadli na klasztor i zgwałcili wszystkie zakonnice. Bardzo zdenerwowana odlicza na palcach: "I siostrę Jadwigę, i siostrę Marię, i siostrę Lidzię, i siostrę Barbarę... tylko siostry Honoraty nie zgwałcili". "A dlaczego?" - pyta milicjant. "Bo nie chciała".

Maria, Natalia i Jerzy wybuchnęli głośnym śmiechem, ale uspokoiili się widząc, że Ścibor i Ania nie przyłączyli się do ogólnej radości.

- Nie uważacie, że to świetny kawał? - spytał Jerzy.

- Owszem... tak - odparł Ścibor.

- Więc o co chodzi?

- Ja bylam zakonnicą - wyjaśniła cicho Ania.

Zapadła zupełna cisza; tylko ogień strzelał w kominku.

- Przepraszam - powiedziała Maria. - Nie wiedziałam. To znaczy, nikt mi...

Ania dotknęła jej ręki.



- Rozumiem. Nie przejmuj się... Nie się nie stało. Ja też uważam, że to śmieszny dowcip, tylko po prostu nie potrafię się z niego śmiać.

Ścibor spróbował jakoś uratować miły nastrój tego wieczoru.

- Zwykle w dowcipach wyśmiewa się ludzi, którzy samych siebie biorą zbyt poważnie - biurokratów, milicjantów... i osoby głęboko religijne.

Patrząc na Anię Jerzy zapytał:

- Jesteś bardzo pobożna?

- Tak, ale to nie znaczy, że nie potrafię docenić dobrego żartu. W klasztorze też opowiadałyśmy sobie dowcipy. Na przykład taki: Pewnego dnia matka przełożona zemdląła. Zgadnijcie dlaczego?

Nikt nie wiedział. Ania uśmiechnęła się i dokończyła:

- Bo zobaczyła, że deska sedesowa jest podniesiona.

Nie od razu zrozumieli. Po chwili Jerzy parsknął śmiechem i musiał wyjaśnić żart Natalii. Lody zostały przełamane i powrócił miły nastrój. Dziewczęta zasypały Anię pytaniami na temat życia w klasztorze. Ścibor podziwiał jej opanowanie; odpowiadała spokojnie i życzliwie. Kiedy zapytały ją, dlaczego wystąpiła z zakonu, myślała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

- W pewnym sensie to zakon zrezygnował ze mnie... na rzecz czegoś innego.

Ani dziewczęta, ani Jerzy nie zrozumieli, co miała na myśli, ale skinęli głowami uznając za bardzo głębokie stwierdzenie. Ścibor dostrzegł, że Ania walczy z ogarniającą ją sennością.

- Zrobiło się już późno - zauważył - a jutro może trzeba będzie wyruszyć w dalszą drogę. Musimy się wyspać.

Wszyscy wstali. Poczuli się jakoś dziwnie przejęci, jakby razem przeszli szmat drogi. Objęli się niczym rodzeństwo. Maria skromnie przyjęła komplementy pod adresem swych umiejętności kulinarnych. Ucisnęła mocno Anię i ucałowała w oba policzki, mówiąc:

- Jutro przejrzy my moje rzeczy i wybierzemy dla ciebie coś ciepłego na drogę.

Opuszczając salon, Ścibor zauważył, że Jerzy zapala papierosa z marihuaną, a Natalia przegląda kolekcję płyt w poszukiwaniu heavy metalu.

Wchodząc na schody roześmiał się i stwierdził:

- Ech, wy dzieci kacyków, nie jesteście tacy zblazowani, jak mogłoby się wydawać.

Ania spojrzała na niego pytająco.

- Takich nazywają zwykli ludzie. Kacykowie to ludzie wysoko postawieni w hierarchii partyjnej... Ich dzieci to czerwoni księżęta. Ale my mamy szczęście, ci są zupełnie w porządku.

Dopiero przy drzwiach sypialni coś sobie przypomniał.

- Aniu, to był mój pokój. Poproszę Marię o inny i zaraz uprzątnę moje rzeczy.

Zatrzymała go kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie trzeba, nie przejmuj się. Łóżko jest ogromne, a ja ci ufam. Wolalabym nie być sama dzisiejszej nocy. Sama nie wiem dlaczego. Niby wiem, że jestem tu bezpieczna... To chyba skutki tej okropnej podróży.

Tak więc ułożyli się w jednym łóżku na przeciwnych jego krańcach. Kiedy zgasili już światło, Ścibor wypytował ją o podróż. Wyjaśniła, że zaraz po jego wyjeździe nadeszły rozkazy od Bekonowego Księdza. Z jej nogą było już znacznie lepiej, a nie istniał inny sposób dowiezienia jej tutaj, jak ten, z którego on sam skorzystał. Kiedy następnego dnia bezczłówek wrócił, kierowca bardzo obrazowo opisał stan Ścibora po spędzeniu trzech godzin w mleku. Wątpił, żeby Ania przeżyła taką podróż. Na szczęście Ścibor opowiedział mu dokładnie o problemach, z jakimi walczył w czasie jazdy. Gdy Ania nalegała na odbytej tej podróży, wymyślił parę sposobów jej ułatwienia. Przede wszystkim, pod skafander pletwonurka założyła kilka warstw wełnianych ubrań. Na wełniane rękawiczki wciągnęła jeszcze grube skórzane. Wymyślono też sposób przy mocowania Ani do drabinki, żeby nie musiała cały czas trzymać się szczebelków. Anton pojechał z nimi w szoferce. Wprawdzie było to niebezpieczne, ale uparł się twierdząc, że jeśli Ani coś się stanie, to pewnego dnia Ścibor wróci i go zabije. Trzy razy, kiedy nikt ich nie widział, zatrzymywali się po drodze i Anton sprawdzał, jak dziewczyna na się czuje. Ta podróż była okropnym przeżyciem dla Ani ale nic jej się nie stało.

Opowiadała, a Ścibor wyobrażał ją sobie zawieszoną na drabince i zalewaną ogromnymi falami mleka. Uznał, że te dodatkowe zabezpieczenia ułatwiły jej trochę tę podróż, ale też doskonale zdawał sobie sprawę z ogromnego wysiłku fizycznego i psychicznego, jaki włożyła, żeby tu dojechać. Zapragnął przetrząść się po łóżku i wziąć ją w ramiona, ale się nie poruszył. Jemu też już oczy się zamykały.

Po chwili usłyszał jej senny głos.

- Mirku, śpisz?

- Nie.

- Wiesz... to wstrętne, ale dwa razy zymiotowałam w to mleko.

W ciemności uśmiechnął się do samego siebie.

- Nie przejmuj się. Ja też.

Po chwili ciszy Ania dodała:

- Ale ja nie tylko to zrobiłam.

Zdusił śmiech i odparł:

- Założę się, że nie podniosłaś przedtem deski.

Po obiedzie zjawił się Antoni z wieściami; przyjechał czarnym BMW. Najpierw spotkał się w jadalni z Jerzym, a potem wezwał na naradę jeszcze Marię i Natalię. Po dziesięciu minutach wszyscy przeszli do salonu. Ścibor i Ania czytali właśnie gazetę, którą przywiózł Antoni. Gdy usiedli, głos zabrał Jerzy:

- Wasi szefowie zarządzili zmianę planu. Nie wiem dokładnie, co pierwotnie zamierzali, ale domyślam się, że chcieli wyprawić was przez Wrocław, a potem jeszcze trochę na północ i dopiero później na wschód. Tak się jednak składa, że nasze władze i prawdopodobnie sowieckie też gromadzą wszelkie siły, a zwłaszcza za SB, właśnie w tamtych okolicach. Kazano więc nam przewieźć was do Warszawy przez Kraków. Zgodziliśmy się.

- To znaczy, że narazicie się na większe ryzyko - zauważył Ścibor.

Jerzy potwierdził skinieniem głowy i uśmiechnął się.

- To prawda, ale oceniliśmy je i zaakceptowaliśmy. Kraków to nasz rewir. Znamy tam każdą uliczkę. W końcu działamy od ponad dwóch lat. A w dodatku milicja dobrze nas zna - nas i oczywiście naszych tatusiów. Zajmujemy ostatnie miejsca na liście podejrzanych.

- Jesteśmy wam bardzo wdzięczni - powiedziała Ania.

- Nie ma za co - rzekł Jerzy. - To my wam dziękujemy. - Sięgnął do kieszonki koszuli, wyjął cieniutki pasek blyszczącego metalu i podał go Ani. - Czyste złoto. Dostaniemy za to pięćdziesiąt tysięcy złotych. A za przewiezienie was do Warszawy dadzą nam jeszcze pięćdziesiąt takich pasków, co wystarczy na pokrycie kosztów wydawania naszej gazety przez dwa lata. Wygląda na to, że przedstawicie dla kogoś ogromną wartość.

Ania obracała w palcach pasek złota.

- Czy tylko o to wam chodzi? O pieniądze?

- Nie - odpowiedziała Maria - nie wiemy, jakie macie zadanie do wykonania, ale powiedziano nam, że działacie przeciw Rosjanom, pomogliśmy każdemu, kto walczy z tymi sukinykami.

- A więc, kiedy wyruszamy? - spytał Ścibor. - I gdzie?

- Dziś po południu - odparł Jerzy. - Jedziemy do Krakowa.

- Tak po prostu?

Na twarzy Jerzego pojawił się szeroki uśmiech.

- Tak po prostu. Wasi ludzie są przygotowani na każdą okoliczność. Pewnie są z jakiegoś zachodniego wywiadu. - Podniósł rękę. - Nie ma obawy, nie zamierzam węszyć. Antoni dostał dokumenty dla was obojga. Naszym zdaniem wyglądają na prawdziwe, a już my wiemy, jak je sprawdzać. Brakuje tylko zdjęć. Mamy tutaj ciemnię, aparat fotograficzny i niezbędne pieczęcie. Podobno macie wszystko, co konieczne do charakterystyki. Proponuję, żebyście tym się teraz zajęli. Potem zrobimy zdjęcia i umieścimy je w dokumentach. No i możemy ruszać w drogę.

- Chwileczkę - wtrącił Ścibor stanowczo. - Nie chodzi o to, że wam nie ufam albo nie doceniam waszych umiejętności, ale chciałbym znać wszystkie szczegóły. Gdzie zatrzymamy się w Krakowie i na jak długo? I w jaki sposób dostaniemy się do Warszawy?

Na brodatej twarzy Jerzego znów pojawił się uśmiech.

- Zatrzymacie się w domu generała Teodora Nawłienko, ojca Ireny. Irena właśnie przygotowuje dom na wasz przyjazd. Zaczny generał wyjechał w delegacji do Moskwy i będzie tam jeszcze przez dwa miesiące. Jest wdowcem, a ponieważ jest też skąpy, więc nie zatrudnia żadnej gospodyni. W czasie jego nieobecności domem opiekuje się Irena. Zwykle urządzamy wtedy wspaniałe przyjęcia, wypijamy najlepszą nalewkę generała, a butelki napelnamy jakimś świństwem. Jeszcze nigdy się na tym nie poznał.

Ścibor uśmiechnął się.

- A macie jakieś awaryjne lokum?

- Oczywiście. Mamy dwa mieszkania. Są całkowicie bezpieczne. Upewniły nas o tym ostatnie dwa lata. Ale naturalnie nie aż tak bezpieczne, jak dom generała...

- Jak długo tam zostaniemy i jak dojedziemy do Warszawy?

Jerzy wymownym gestem wyciągnął rękę w kierunku Natalii.

- Wyjedziecie z Krakowa, jak tylko Natalii uda się przekonać kochanego tatusia, że koniecznie musi zrobić zakupy w Warszawie. Pojedziecie pociągiem.

Ścibor i Ania wymienili zdziwione spojrzenia. Pozostali uśmiechali się. W końcu Jerzy wyjaśnił:

- Pamiętaj, czym zajmuje się ojciec Natalii?

Ścibor zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

- Chyba ma coś wspólnego z kolejnictwem?

- Nie coś - poprawiła Natalia. - Jest dyrektorem okręgowym... Jak myślisz, w jaki sposób podróżuje pociągiem on i jego rodzina?

Ścibor słyszał o tym, kiedy był w SB.

- W obrzydliwym luksusie. Ma prywatny wagon, w którym jest sypialnia, kuchnia, jadalnia i salonik.

Natalia słodko się uśmiechnęła.

- Dokładnie tak. Ale mój tata w zasadzie go nie potrzebuje - jest niecierpliwy i nie znosi pociągów. Przeważnie lata samolotami. Ja natomiast często korzystam z salonki - jest staromodna i śliczna. Jeździł nią jeszcze Paderewski,

kiedy był premierem. Jest w niej nawet pianino.

Na twarzy Ani malowało się niedowierzenie. Ścibor zdumiony kręcił głową. Jerzy przez chwilę przyglądał im się rozbawiony, po czym powiedział:

- Natalia jest jedyńską i ukochaną córeczką. Tatuś rozpieszcza ją aż do granic przyzwoitości. Opiera się jej najwyżej czterdzieści osiem godzin.

- A jeśli mama Natalii też będzie chciała pojechać? - spytała Ania.

- Wykluczone - zapewniła Natalia. - Mama nie znosi Warszawy. W czasie wojny Niemcy zamordowali tam jej rodziców i dwóch braci. Od tamtej pory nigdy nie była w stolicy.

- Nie macie się czego obawiać - przekonywał Jerzy. - Kilkakrotnie już przewoziłem w tym wagonie naszą gazetę. Wygląda to tak: wagon stoi na specjalnej bocznicy. Kiedy ma być wykorzystany, powiadamia się naczelnika stacji, który wydaje polecenie doczepienia salonki na końcu pociągu. Wy siadajecie na bocznicy. Gdy pociąg dojeżdża do Warszawy, ale zanim jeszcze stanie na stacji, salonka jest odczepiana i przetaczana na boczny tor. W ten sposób unika się wszelkich kontroli.

Ścibor aż trząsał się od tłumionego śmiechu.

- Nic dziwnego, że nigdy nie przyłapali was na gorącym uczynku. A co robicie, gdy chcecie polecieć gdzieś samolotem? Pozy czacie odrzutowiec Jaruzelskiego?

Jerzy podniósł palec.

- To nieżyj pomysł. Nie przyszło nam to jakoś do głowy. Ale lepiej idźcie już się przebrać. Pomóc wam?

- Nie, dziękuję. Poradzimy sobie.

Oboje z Anią wstali i wyszli z pokoju.

Wrócili po dwudziestu minutach. Pierwszy wszedł Ścibor. Jerzy czytał właśnie gazetę. Gdy usłyszał wchodzącego, podniósł wzrok i na ułamek sekundy pojawiła się w jego oczach panika. Zaraz jednak z uznaniem pokijał głową. Podobnie zresztą, kiedy pojawiła się Ania. Pozostali otoczyli ich klaszcząc w dłonie.

- Nie rozpoznałbym was, gdybym nie był na to przygotowany - stwierdził Jerzy.

Ścibor postarzał się o jakieś piętnaście, dwadzieścia lat. Miał teraz szpakowate włosy i także wąsy. Twarz była pełniejsza. Piwne oczy zmieniły się w niebieskie. Ania także dodała sobie lat. Włosy miały mysi kolor i były znacznie dłuższe. Twarz jej i sylwetka trochę się zaokrągliły.

- Do diabła! - wykrzyknęła Maria. - Doskonale! Zmieniliście nawet kształt swych twarzy.

- Włożyliśmy do ust specjalne wkładki - wyjaśniła Ania. - Trzeba trochę czasu, żeby się do nich przyzwyczaić... no i jedzenie nie jest zbyt wygodne.

- Ale nie picie! - wywnioskował Jerzy. - Rozgrzejemy się trochę przed podróżą, a tymczasem Antoni przygotuje aparat. Nie możecie wyglądać tak porządnie. W końcu jedziecie z dziećmi kacyków i musicie być do nich podobni. Mario, poszukaj jakiejś rzucającej się w oczy biżuterii dla Ani - wiesz, jakieś bransolety, wiszące kolczyki czy coś w tym rodzaju. A ciebie, Natalio, poproszę o przyniesienie kilku moich jedwabnych szalików dla Mirka. I chusteczkę też. Trochę go wystroimy, żeby wyglądał na początkującego poetę.

Po drodze minęli pięć blokad - przy wjeździe i wyjeździe z Rabki, następnie pod Myśliczami, potem przy skrzyżowaniu z szosą na Bielsko-Białą i wreszcie przed Krakowem. Już za pierwszym razem Ścibor zorientował się, co ma robić. On i Ania jechali na tylnym siedzeniu mercedesa 380 SE. Prowadziła Maria, a obok niej siedziała Natalia. Przed nimi jechał Jerzy i Antoni w BMW.

Przy pierwszej blokadzie podszedł do nich młody kapral z przewieszonym przez ramię karabinem maszynowym. W sumie czekające w kolejce samochody sprawdzało sześciu milicjantów. Maria opuściła szybę i zanim policjant zdążył cokolwiek powiedzieć, zapytała niecierpliwie:

- Czy to długo potrwa? Śpieszy mi się.

Kapral zwrócił uwagę na ton jej głosu i nalepki na przedniej szybie. Ze zdenerwowania oblizal wargi.

- Nie, proszę pani, ale muszę zobaczyć wasze dowody.

Z westchnieniem zniecierpliwienia Maria odwróciła głowę pytając:

- Czy przy padkiem macie przy sobie dowody?

Ścibor sięgnął do kieszeni i podał jej dokumenty swoje i Ani. Natalia grzebała w torebce mrucząc:

- Gdzież on się, do cholery, podział?

Maria przerzucała zawartość schowka na rękawiczki, aż wreszcie znalazła swój dowód. Nie patrząc na milicjanta podała mu wszystkie dokumenty. Z doświadczenia Ścibor wiedział, jakie myśli przelatują teraz przez głowę kaprala: "Pieprzone bachory kacyków! Tacy jak ja trzymają masy w ryzach po to, żeby takie bękarty jak wy mogły rozbijać się zachodnimi samochodami!". Zgadzał, że milicjant dodaje jeszcze w myśli: "Ale chętnie bym cię przeleciał, ciebie i twoją koleżankę".

A głośno kapral zapytał:

- A jaki jest cel państwa podróży?

- Wracamy do Krakowa - odparła Maria. - Byliśmy w willi mojego ojca nad jeziorem.

Położyła nacisk na słowa "willa" i "ojciec". Milicjant rzucił okiem na dokumenty, a potem zajął do samochodu. Ścibor przybrał znużony wyraz twarzy i odezwał się do Ani:

- Mam nadzieję, że te książki z Paryża już przysły. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie przeczytam nowe dzieło Montague'a.

- A mnie się wydaje, że to już przestarzałe - skomentowała Ania.

- Tobie pewnie tak - wzruszył ramionami Ścibor.

- Może pani jechać - powiedział do Marii milicjant.

Maria bez słowa wzięła od niego dowody, rzuciła je na kolana Natalii i podniosła szybę. Kiedy odjechali, stwierdziła:

- Właśnie tak trzeba traktować tych ludzi.

- Czy z oficerem SB też byś tak rozmawiała? - spytał Ścibor.

Patrząc w lusterko uśmiechnęła się do niego.

- Niezupełnie. Byłabym trochę bardziej uprzejma... a gdyby był tak przy stojny jak ty, to zatrzepotałabym rękami.

Wjechali do miasta w milczeniu. Zarówno dla Ścibora, jak i dla Ani była to uroczysta chwila. Ona opuściła Kraków jako kilkulatnia sierota, on jako zbieg. Ania myślała teraz o zmarłych rodzicach.

- Wiesz, gdzie jest Cmentarz Rakowicki? - spytała Marii.

- Naturalnie. Mój dziadek jest tam pochowany. To całkiem niedaleko od domu generała. A dlaczego pytasz?

- Moi rodzice tam leżą. Zginęli w wypadku samochodowym dwadzieścia trzy lata temu.

- Chciałabyś pójść na ich grób?

- A mogłabym? - zwróciła się do Ścibora.

Zacisnął usta i wzruszył ramionami.

- To może być niebezpieczne.

- Nonsens! - wykrzyknęła Maria. - Przecież nikt jej nie rozpozna, a dokumenty ma w porządku. Najpierw podrzucę cię do domu, a potem zabiorę Anię na cmentarz.

Ania patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Westchnął.

- Naprawdę chcesz tam pojechać?

- Tak. Chciałabym położyć kwiaty na grobie... i pomodlić się... Nie zajmij mi to dużo czasu.

Niechętnie, ale się zgodził; wiedział, ile to dla niej znaczy. Objechali centrum miasta. Ania rzuciła kilka uwag na temat korków ulicznych i zachodnich samochodów, na co Ścibor wybuchnął śmiechem.

- Właściwie nie wiadomo, skąd się one biorą - czy z handlu na czarno, czy przywożą je powracający z zagranicy albo ludzie mający tam krewnych, czy może sprowadzają je rozpieszczone bachory kacyków, takie jak te dwa na przodzie.

W lusterku wstecznym zobaczył uśmiech Marii, a potem usłyszał nutę szyderstwa w jej głosie.

- To, co mówisz, pachnie zazdrością. Ale poczekaj, aż zobaczysz dom, w którym się zatrzymamy...

Kilka minut później skręciła w boczną uliczkę i stanęła przed żelazną bramą osadzoną w wysokim kamiennym murze.

Natalia wyskoczyła z samochodu i nacisnęła dzwonek. W pobliżu przechodziło kilku przechodniów. Przy ciskając ramię Ani, Ścibor dał jej znak, żeby się trochę schowała. Sam też obsunął się nieco, mówiąc:

- Po co ma nas ktoś zobaczyć.

Zerkając ponad przednim siedzeniem zauważył, że po drugiej stronie bramy pojawiła się Irena. Pomachała ręką i krzyknęła coś na powitanie. Chwilę później byli już za bramą.

- Chłopcy robią rundę po mieście i sprawdzają, ile milicji się tam kręci - wyjaśniła Maria. - Przyjadą za jakieś pół godziny. Aha, zostaw otwartą bramę.

Na końcu zwirowanej ścieżki stał imponujący stary dom. Ścibor wysiadł i rozejrzał się z uznaniem. Wysoki mur otaczał całą posiadłość. Żadne inne domy nie wznosiły się ponad niego.

- Jesteście tu całkowicie bezpieczni - zapewniła Maria. - I nie martw się, Mirku. Wrócimy za pół godziny.

Z powrotem usiadła za kierownicą, a Ania obok Ścibora zajrzał jeszcze przez okno.

- Uwważaj na siebie, Aniu.

Dotknęła jego ręki.

- Nic się nie martw, Mirku. Zależy mi, żeby pójść na grób rodziców, i cieszę się, że mogę to zrobić.

Ze zrozumieniem skinął głową.

- Ale wracaj szybko, pamiętaj.

Wzrokiem odprowadził samochód aż na ulicę. Irena zamknęła bramę, potem podbiegła do Ścibora i ucałowała go w oba policzki, a on podniósł torbę i pozwolił jej poprowadzić się do domu,

Maria zapytała Anię, co działo się z nią po śmierci rodziców. Ania szybko streściła jej swoje dzieje.

- A kiedy wystąpiłaś z zakonu?

Po chwili wahania Ania odparła:

- Całkiem niedawno.

- Byłaś kiedyś na tym cmentarzu?

- Tak po pogrzebie... ale miałam wtedy trzy lata. Zaraz potem wyjechałam z Krakowa i aż do tej pory nigdy tu nie byłam.

- O, to tutaj.

Wysuwając podbródek do przodu, Maria wskazała cmentarz i szybko zaparkowała samochód w miejscu, które zamierzała zająć jakaś skoda. Odpowiedziała śmiechem na obelgi, którym zasypał ją zdenerwowany kierowca skody, i stwierdziła:

- To właśnie są korzyści kierowcy ze wspomaganiami. Palcem wskazała budynek z przodu.

- Tam mieści się biuro. Urzędnik pokaże ci na mapie, jak trafić do grobu. A przy bramie można kupić kwiaty. Spotkamy się przy tamtym kramie.

Stara kobieta otworzyła na biurku duży rejestr i przebiegła palcem kilka kolumn. W końcu wymamrotała:

- Tak, Król. Małżeństwo we wspólnym grobie. Pochowani czternastego października 1960... Grób J14.

Dała Ani niewielki plan cmentarza.

- Niech pani pójdzie tą alejką, a potem skręci w prawo. Grób mieści się tutaj przy zachodnim murze. Bramę zamykamy o szóstej, to znaczy za pół godziny.

Ania podziękowała i wyszła. Maria kupowała akurat dwa duże bukiety. Jeden z nich podała Ani.

- Proszę. Na pewno chcesz pójść tam sama. Ja położę kwiaty na grobie mojego dziadka. - Uśmiechnęła się. - Jeśli ten stary zrzęda widzi mnie teraz, to chyba w grobie się przewraca... Spotkamy się w samochodzie.

Ania z wdzięcznością przyjęła kwiaty. Wiedziała, że o tej porze roku są strasznie drogie. Było bardzo zimno i cieszyła się, że Maria pożyczyła jej futro, rękawiczki i kozaki.

Ostatnimi laty nie myślała wiele o rodzicach. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia i zwierzyła się z tego matce przełożonej, która ją pocieszyła. Wytłumaczyła, że to zupełnie naturalne, że z czasem zapomina się o zmarłych. Dodała też, że w jej wypadku wcale nie ma się czego dziwić, bo przecież była małym dzieckiem, kiedy straciła matkę i ojca. Ale teraz Ania próbowała przywołać w pamięci ich obraz. Pozostały jej jakieś mgliste wspomnienia matki o wesołej, okrągłej twarzy, pachnącej chlebem, i ojca, który choć posępny i groźny, to we wszystkim słuchał żony. Ania wiedziała, że byli biednymi, ale pobożnymi ludźmi. Miała teraz tyle lat co matka w chwili śmierci. Wydało jej się to jakieś dziwne.

Niewielu ludzi kręciło się w pobliżu. Zrobiło się już późno i opatulone postacie zmierzały do wyjścia. W większości byli to starzy ludzie. Ania doszła właśnie do jakiejś bocznej alejki i sprawdziła mapkę. Grób mieścił się po prawej stronie, kilka metrów od niej. Zupełnie nie pamiętała, jak wyglądał nagrobek. Mogiły były tu bardzo ściśnione, jedna przy drugiej, więc odnalezienie tej właściwej zajęło jej kilka minut. Grób wyglądał na opuszczony. Był mały i ginął zupełnie wśród otaczających go ogromnych pomników z granitu i marmuru. Jednak po namyśle Ania uznała, że jest pełen godności. Pomnik był prosty i skromny, tak jak i wyryty na nim napis, a sama płyta całkiem zwyczajna, ale czy sta. Ania przeżegnała się i położyła kwiaty w nogach mogiły. Poczula wtedy nagły przypływ wzruszenia. Klękając miała łzy w oczach, a z drżących ust wyrwało się jej łkanie.

Sto metrów dalej, ukryty za drzewami, stał kapral SB - Bogumił Winid. Nerwowo przytupywał w miejscu, żeby choć trochę się rozgrzać, i co chwila spoglądał na zegarek, przeklinając los, który zgotował mu tę bezsensowną wartę. Stał tu od rana z godziną zaledwie przerwą na posiłek. Jakiegokolwiek uzalenie się byłoby zupełnie bezcelowe; od ponad dwóch tygodni wszyscy musieli pracować po godzinach. A zresztą przydadzą się dodatkowe pieniądze. Ponownie zerknął na zegarek - jeszcze tylko dziesięć minut. Już po raz setny spojrzął w kierunku grobu.

Ktoś przy nim klęczał.

Tak się zdenerwował, że parę chwil zajęło mu sięgnięcie po lornetkę. Ręce mu się trzęsły, gdy próbował ustawić ostrość, i musiał wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. Obraz stał się teraz wyraźniejszy. Tak, ktoś był przy tym grobie, tuż obok wysokiego pomnika z czarnego marmuru, i najwyraźniej była to kobieta. Puścił lornetkę, która swobodnie opadła mu na pierś, i sięgnął do kieszeni po radio. Szybko włożył słuchawkę do ucha i wcisnął przełącznik.

- Osiemdziesiąt do kwatery głównej. Osiemdziesiąt do kwatery głównej.

Po kilku sekundach usłyszał jakiś metaliczny głos.

- Tu kwatera główna. Słucham cię, osiemdziesiąt.

- Przy grobie Królów jest jakaś kobieta.

- Jesteś pewien, że to kobieta?

- Prawie. Jest cała opatulona futrem.

- Młoda czy stara?

- Nie widzę tego stąd.

- Nie rozłączaj się.

Po chwili usłyszał podelsecytowany głos pułkownika Koczego.

- Kapralu, czy jest tam poszukiwany mężczyzna?

Winid rozejrzał się dookoła i wziął kolejny głęboki oddech. Zdawał sobie sprawę z powagi chwili. Wiedział, jakie ma ona znaczenie dla niego i dla jego kariery. Pewnym siebie głosem odparł:

- Nikogo nie ma w pobliżu. Tylko dwójka starszych ludzi dwieście metrów dalej zmierza do wyjścia.

Po krótkiej chwili odezwał się pułkownik Koczy:

- W porządku. Nie spuszczać jej z oka. Zaraz tam będziemy.

Winid dodał szybko:

- Oby watełu pułkownika, jest już za pięć szósta. Ona na pewno wie, że cmentarz zamykają o szóstej. W każdej chwili może odejść.

Pułkownik podjął szybką decyzję.

- W porządku, kapralu. Zbliżyć się do niej. Jeśli będzie chciała odejść, aresztujcie ją. Nie jest niebezpieczna i wątpię, żeby miała przy sobie broń, ale jeśli w pobliżu jest poszukiwany, to z pewnością jest uzbrojony i groźny. Będę za niecałe dziesięć minut. Brać ją z wycmem. Rozumiecie?

- Tak oby watele pułkownika... Koniec odbioru.

Winid schował radio do kieszeni i wyszedł zza drzew. Szybko, ale cicho, zbliżał się do grobu, uważając, żeby osłaniał go duży pomnik.

Ania skończyła modlitwę i wstała ocierając oczy rękawiczką. Potem podciągnęła nieco rękaw i spojrzała na zegarek - dochodziła szósta. Trzeba się śpieszyć. Jeszcze raz spojrzała na nagrobek, przeżegnała się i odwróciła.

Nagle dziesięć metrów przed nią zza marmurowego pomnika wyszedł jakiś mężczyzna. Ubrany był w brązową skórzaną kurtkę i czarny beret. Jego młoda pociągła twarz powiedziała jej, że zbliża się niebezpieczeństwo. Futro doskonale chroniło przed chłodem, ale teraz w jednej sekundzie zrobiło jej się zimno.

- Co pani tu robi? - zapytał mężczyzna.

Ania wzruszyła ramionami i wskazując grób.

- Odwiedziłam grób krewnych. Kim pan jest?

Mężczyzna zbliżał się do niej powoli i ostrożnie.

- Jakich krewnych?

- Ciotki i wujka. - Podniosła trochę głos. - Jakim prawem pan mnie wypytuje?

Był już blisko.

- Dokumenty proszę.

Zrozumiała - to był esbek i obserwował grób. Był teraz o trzy kroki od niej. Ania westchnęła głęboko i sięgnęła do kieszeni mówiąc:

- No cóż...

Rzuciła się w lewo przeskakując niski nagrobek po czym skręciła w prawo do ścieżki.

Sprzy sięgły się przeciwko niej dwie rzeczy. Pierwsza, to ocieplone futerkiem kozaki; były ciężkie i bardzo utrudniały bieg. Druga, to fakt, że Bogumił Winid był w szkole mistrzem w biegu na sto i dwieście metrów.

Dogonił ją na ścieżce pięćdziesiąt metrów dalej i chwycił tak nagle, że aż straciła oddech, a czapka poszybowała w powietrze. Chwilę później siedział na jej plecach i zakładał kajdanki na wykręcone do tyłu ręce.

Staruszkowie byli już przy bramie. Odwrócili się i przez chwilę obserwowali scenę przed sobą. Zaraz jednak zrobili to, co każdy inny na ich miejscu - odeszli tak szybko, jak mogli.

Maria też widziała, co zaszło, bo szła właśnie jedną z bocznych alejek prowadzących do bramy. W pierwszej chwili pomyślała, że to złodziej albo gwałcieciel i nawet zaczęła biec na pomoc, ale potem zobaczyła kajdanki i stanęła jak wryta. Widziała, jak mężczyzna zrywa Ani perukę i uśmiecha się triumfalnie na widok kruczoczarnych włosów. Właśnie sięgnął po radio, kiedy Maria naciągnęła kaptur na głowę i skierowała się do bramy. Szła szybko, ale nie biegła. Gdy doszła do samochodu, dobiegł ją odległy dźwięk syren.

- Napij się piwa i przestań się martwić - rzekł Jerzy. W wyciągniętych rękach trzymał butelkę piwna i szklankę.

Ścibor wziął od niego piwo, ale szklanczki nie chciał. Z ponurą miną pociągnął duży łyk.

- Pewnie zaraz wrócą - uspokajał go Antoni. - Przecież nikt jej nie szuka. Wolałbym jednak, żebyś ty nie pokazywał się na ulicach... nawet w tym przebraniu.

Siedzieli w bogato urządzonym salonie. Najwyraźniej generał pochodził z rodu, w którym było wielu znakomitych żołnierzy, bo na ścianach wisiały ogromne szkaradne obrazy olejne przedstawiające obwieszonych medalami starszków z bujnymi bokobrodami. W wielkim kominku palił się ogień.

Otworzyły się drzwi i weszła Natalia. Teatralnym gestem skłoniła się w pas i obwieściła:

- Już zdążyłam ublażyć tatę, w iście rekordowym czasie. Mogę skorzystać z salonki, ale musiałam uroczście przyrzec, że nie zakopimy jej, jak tato powiedział, "oparami haszyszu". Przyrzekłam.

Jerzy wybuchnął śmiechem.

- Dobrze się spisałaś. Dotrzyśmy twojej obietnicy. Może najwyżej powąchamy trochę koki... Kiedy jedziemy?

Podeszła do Antoniego, wyjęła mu piwo z ręki, wypila do dna, po czym wyjaśniła:

- Pozostawiłam tatę w przekonaniu, że to on podjął decyzję. Zaproponował jutrzejszy express o wpół do dwunastej. Właśnie wydaje niezbędne polecenia. Musimy być na bocznicy po dziesiątej.

Ściborowi nieco ulżyło. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił traktować naprawdę poważnie tych szalonych ludzi. Ale oto właśnie Natalia spokojnie go poinformowała, że pojedą do Warszawy specjalnym wagonem i nawet podała dokładny czas. Już miał jej podziękować, kiedy dobiegł jego uszu jakiś hałas z zewnątrz. Usłyszał głos Ireny, a zaraz potem ostry głos Marii. Drzwi gwałtownie się otworzyły i dziewczęta wpadły do środka. Jeden rzut oka na twarz Marii powiedział Ściborowi, że zdarzyło się najgorsze. Dziewczyna na zalana była łzami, a z jej oczu wycierał strach. Wszyscy zasykali ją pytaniami. Gardło miała ściśnięte łkaniem.

- Uciszcie się! Wszyscy! - krzyknął Ścibor.

Zamilkli.

- Opowiedz... spokojnie - zwrócił się do Marii.

Przełknęła łzy, uspokoiła się i w kilku krótkich zdaniach powiedziała, co zaszło. Na chwilę zapadła martwa cisza. Kiedy wszyscy uświadomili sobie, co się stało, wpadli w panikę. Natalia chlipała z twarzą ukrytą w dłoniach. Irena ścisnęła ramiona Antoniego i coś wykrzykiwała. Jerzy z wbitym w podłogę wzrokiem przeklinał pod nosem.

Ściborowi zrobiło się niedobrze. Całą siłą woli walczył z zalewającą go falą mdłości i wciąż nie mógł pogodzić się z rzeczą wistocią.

W końcu Jerzy zapanował nad sytuacją. Poturlał butelkę po piwie w kierunku kominka - rozbiła się z głośnym, ostrym brzękiem.

Zapadła cisza. Jerzy spokojnie powiedział:

- Musimy stanąć z tym twarzą w twarz i podjąć niezbędne działania. - Zwrócił się do Ścibora: - Przykro nam z powodu Ani... Ale teraz musimy myśleć o sobie. Ania jest w rękach SB. Oni wydobędą z niej wszystko... jeśli nie oni, to KGB na pewno... Nasze rodziny są zgubione... Fakt, wzięliśmy na siebie to ryzyko. My sami musimy natychmiast się ukryć, a potem spróbować uciec z kraju. Ty, Mirka, zostaniesz z nami, dopóki nie skontaktujemy się z twoimi i nie prześlemy cię komuś innemu.

Ścibor wciąż miał ochotę zymiotować, lecz jego mózg pracował już normalnie. Ręką dał znak, że chce coś powiedzieć.

- Chwileczkę, Jerzy. Daj mi pomyśleć.

Pomyśl nasunął mu się niemal natychmiast i już wiedział, co ma zrobić. W myśli przeanalizował wszystkie za i przeciw. W końcu zastanowił się nad własnymi pobudkami. Potem spojrzął na struchlałe twarze i rzekł:

- Jerzy ma całkowitą rację. Zmusz ją do mówienia. Wy wszyscy będziecie powiązani z tą sprawą, a wasze rodziny zgubione... chyba że uda nam się Anię odbić.

Miejsce strachu na ich twarzach zastąpiło zdziwienie. Pierwszy odezwał się Jerzy. Pogardliwym tonem stwierdził:

- Jesteś szalony. Odbić ją SB? W ciągu godziny zabiorą ją samolotem do Warszawy albo do Moskwy. Jak chcesz się do niej dostać?

- Mam pewien plan - odparł Ścibor spokojnie. - Wprawdzie niesie z sobą jeszcze większe ryzyko, ale jeśli się powiedzie, to ocalicie i wy, i wasze rodziny, i będziecie żyć jak gdyby nigdy nic.

- Ty chyba zupełnie oszalałeś - zauważył Antoni.

Ścibor zaczerpnął powietrza. Wiedział, że aby pozyskać ich dla swego pomysłu, musi być bardzo przekonujący.

- Dajcie mi pięć minut. Potem wszystko wam wyjaśnię.

- Teraz każda minuta się liczy - odrzekł gorzko Jerzy. - Przecież sam wiesz!

- Owszem, wiem - spokojnie odparł Ścibor. - I te pięć, których potrzebuję też.

Spojrzął Jerzemu prosto w oczy, wiedząc, że wszyscy się jemu podporządkują. Chłopak nerwowo oblizał wargi, po czym niechętnie skinął głową.

- A teraz do rzeczy - zaczął Ścibor. - Czy znacie kogoś, kto mógłby szybko ukraść dwa samochody?

Jerzy ponownie skinął głową.

- Ale przed upły wem godziny? - pytał dalej.

- Tak

- Dobrze. Zajmij się tym od razu. Niech czekają niedaleko stąd w jakimś spokojnym miejscu. Idę teraz do siebie i wrócę za pięć minut. W tym czasie postaraj się o plan miasta.

Nagle przy stąpienie do działania trochę wszyscy uspokoiło. Ścibor opuścił salon, a Jerzy podszedł do telefonu. Maria przy pomniała sobie, że ma plan w samochodzie i poszła po niego. Irena i Natalia wyszły do kuchni zrobić kawę, żeby zająć czymś ręce. Antoni zapalił papierosa.

Sześć minut później stali wszyscy przed kominkiem, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Ścibor. Irena krzyknęła odruchowo. Na talerzyku trzymanym przez Marię filiżanka zaczęła drżeć. Antoni jęknął.

Jak zwykle pierwszy opanował się Jerzy, ale głos miał zdławiony, gdy pytał:

- Skąd to masz, do ciężkiej cholery?

Ścibor miał na sobie mundur pułkownika milicji z przypiętym do pasa makarowem i imponującym rzędem medali na piersi. Całość uzupełniały czarne wypolerowane buty i charakterystyczna czapka z daszkiem.

- Ktoś miał przecucie i mnie w to zaopatrzył - szybko odparł Ścibor. - Do tego jeszcze doskonale podrobione dokumenty. Czy chcecie poznać mój plan?

Wszyscy przytaknęli. Zdawali sobie sprawę, że wrażenie, jakie wywołuje jego mundur, dodaje temu szalonemu planowi odrobinę realizmu. Ścibor zbliżył się do nich pytając:

- Czy udało wam się załatwić samochody i plan miasta?

- Tak - Jerzy wskazał palcem na mapkę rozłożoną na stole.

Wszyscy skupili się wokół niej.

- Mam zamiar przedstawić wam od razu cały plan. Potem zgłosicie swoje uwagi. A następnie podejmiemy decyzję. - Przesunął wzrokiem po twarzach. Wszyscy kiwnęli na znak zgody. Wziął głęboki oddech.

- W porządku. Musicie zrozumieć i zapamiętać trzy rzeczy. Po pierwsze, do niedawna byłem bardzo zdolnym i szybko awansującym oficerem SB. I wcale się nie przechwalam mówiąc, że gdybym wciąż tam służył, to już niedługo należałby mi się ten mundur. Lata spędzone w SB pozwoliły mi dobrze zrozumieć system pracy i sposób rozmawiania wyższych rangą oficerów. Łączy się to z drugą sprawą. Dzięki wiedzy, o której wspomniałem, i przynależności do SB, zdołałem już raz zabić dwóch wysokiej rangi oficerów i uciec. - Znowu powiódł wzrokiem po twarzach i zauważył, że zdołał ich przekonać. Wszyscy słyszeli o tym, co zrobił. - Po trzecie - mówił dalej - niedawno najwyższej klasy eksperci szkolili mnie na terrorystę i zamachowca; byłem umiejętnościami w sam raz do tego, co mam zrobić. Pamiętajcie o tym... Nie jestem przeciętnym człowiekiem. - Znowu zrobił krótką przerwę i wyczuł akceptację słuchaczy. Zwrócił się do Jerzego: - Miałeś rację, bo normalnie szybko przewieźliby ją do Warszawy. Tylko tam SB przeprowadza "gruntowne przesłuchania". Ale to wyjątkowa sytuacja. Zdają sobie sprawę, że jeśli mają mnie złapać, to liczy się każda minuta. Przewiezienie Ani do kwatery głównej SB w Warszawie zajęłoby kilka godzin. Ale teraz jest już w tutejszej siedzibie SB, a specjaliści przyłecą tu z Warszawy.

Westchnął i zrobił przerwę. Domyślali się już, co zamierza, a gdy znowu zaczął mówić, głos miał równie stanowczy jak zawsze.

- Miejscowy dowódca dostanie polecenie użycia wszelkich środków, aby wydobyc z niej informacje. Wiem, gdzie będą to robić... chyba wiem, kto to zrobi. Zaczną pewnie za kilkanaście minut. Jedno z was weźmie samochód i zaczęła gdzieś tu - wskazał jakiś punkt na mapie. - Ustalimy dokładne miejsce. Ktoś inny podwiezie mnie, wyładzi kilkadziesiąt metrów od siedziby SB i zaczeka tutaj, blisko bramy, z silnikiem na chodzie. Ja dostanę się do środka twierdząc, że przybyłem z Warszawy ze specjalną, poufną misją. Powiem, że jestem ekspertem w dziedzinie "gruntownych przesłuchań", otrzy mam rozkaz porzucenia wszystkiego i bezwzględnego przybycia tutaj. Błefując w ten sposób dotrę do piwnicy, uwolnię Anię i wydam się z nią na zewnątrz - albo blefem, albo ostrzeliwując się. Jak tylko pokażemy się na schodach, ten, kto będzie czekał w samochodzie przy bramie, ruszy z miejsca. My wskoczmy, potem przesiądziemy się do drugiego samochodu i pojedziemy do "czyścica". Tak to wygląda.

Pierwsze pytanie zaskoczyło Ścibora, bo zakładało, że plan zostanie przyjęty. Zadał je Jerzy.

- A co będzie, jeśli ona zacznie mówić, zanim do niej dotrzysz?

Odpowiedź była bardzo stanowcza:

- Nie zacznie. Znam Anię. W końcu ją złamię, zawsze tak jest, ale minie parę dni, może nawet tygodni, zanim im się to uda.

Spojrzał na Marię - kiwała głową przyznając mu rację. Wszyscy spoglądali na niego i na mapę. Taki pomysł nawet nie przyszedł im do głowy.

- Musicie to przemyśleć, rozważyć, co niesie większe ryzyko, mój plan czy zeznanie Ani. Jeśli nie wyjdę z tego budynku, to nic się nie zmieni - po prostu odjedziecie i ukryjecie się. Jeśli uda mi się wyjść, będę miał ze sobą Anię. Wtedy prowadzący obydwa samochody ryzykują życie w czasie ucieczki.

W ciszy rozważali jego słowa.

- Co zrobisz, jeśli się nie zgodzimy? - spytała Maria po chwili.

- Spróbuję na własną rękę.

- To byłoby samobójstwo - podsumował Jerzy.

Ścibor wzruszył ramionami.

- Zawsze jest jakaś szansa... Ale musimy podjąć decyzję... i to już. Czy chcecie porozmawiać o tym beze mnie?

Jerzy pokręcił głową.

- Potrzebujesz dwóch kierowców. Będę jednym z nich.

- A ja drugim - zgłosiła się natychmiast Maria.

Antoni spojrzał na Irenę i Natalię - jednocześnie skinęły głowami. Zwrócił się do Ścibora:

- Polacy to szaleńcy. Wehodzi my w to.

Ścibor próbował zapanować nad ogarniającym go wzruszeniem, a Jerzy mówił:

- Tak się składa, że Maria i ja jesteśmy najlepszymi kierowcami w tym gronie. Wprawdzie Maria prowadzi jak szalona, ale świetnie panuje nad kierownicą. Irena i Natalia nie mają prawa jazdy, a Antoni miał w zeszłym roku trzy wypadki... wszystkie z własnej winy.



- Chwileczkę - wtrącił ostro Antoni. - A co my mamy robić? Pluć i łapać siedząc w domu?

- Nie ma nic więcej do zrobienia - odparł Ścibor.

- Owszem, jest. - Antoni pochylał się nad mapą i wskazał palcem jakiś punkt. - Jadąc od budynku SB, jakieś dwieście metrów dalej, musicie przeciąć to skrzyżowanie. Przecież SB zaraz ruszy w pogoń za wami. - Spojrzał na Jerzego. - Zadzwoni do Figuera. Powiedz mu, że potrzebujemy jeszcze czterech samochodów albo ciężarówek, im będą większe, tym lepiej... i trzech kierowców. Może wziąć paru czubków z szajki Rogulskiego. Oni sprzedaliby własną matkę, a za złoto nawet z dostawą do domu. - Potem zwrócił się do Ścibora: - Zaparkujemy te samochody po dwa po przeciwnych stronach skrzyżowania. Jak tylko przejedziecie, zrobimy tam mały śliczny korek. Zaraz potem kierowcy znikną. To trochę powstrzyma tych sukinyków.

Szybko omówili ten dodatek do planu i przyjęli go. Jerzy podszedł, do telefonu, a pozostali dopracowywali szczegóły. Uzgodnili, że jeśli plan się powiedzie, to wrócą do tego domu zamiast przemieszczać się do któregoś z mieszkań. Irena i Natalia będą przy telefonie.

Przygotowanie wszystkich samochodów zajęło czterdzieści pięć minut. Ścibor boleśnie odczuwał każdą upływającą sekundę, a Jerzy i Maria klócili się, bo każde chciało prowadzić pierwszy, narażony na największe niebezpieczeństwo samochód. O dziwo, wygrała Maria i osiągnęła to zwykłą logiką. Samochód może być zaparkowany w pobliżu wejścia do budynku SB. Jakś milicjant czy esbek może kazać kierowcy odjechać. Jerzy jest brzydki i nawet homoseksualista nie byłby nim zainteresowany. Ona jest piękna i seksowna, co zwiększa szansę na to, że kiedy Ścibor i Ania będą zbiegać po schodach, samochód wciąż będzie na nich czekał. Jerzy wprawdzie niechętnie, ale jednak przyznał jej rację.

Wreszcie wszystko było gotowe. Wymienili uściski, jakby się żegnali, i wyruszyli.

Była to chwila jego triumfu i pułkownik Oleg Zamiatin się nią delectował. Nie kiwnął nawet palcem, żeby załagodzić Czebrikowa. Wysłał już raport do generalnego sekretarza, który niewątpliwie potrafi czytać między wierszami i zauważył błyskotliwość Zamiatina. Znowu oczami wyobraźni ujrzał obiecaną daczę.

Czebrikow postukał w teczkę i ponownie spojrzał na mapę.

- W Krakowie... - mruzczał - na cmentarzu...

Zamiatin spojrzał na swoich majorów - udawali, że pracują. Wiedział, że cieszą się razem z nim. Niedbale powiedział:

- Tak, towarzyszu dyrektorze. Doszedłem do wniosku, że jeśli Bekonowy Książd rozszyfrował nasz sposób myślenia, to jednak wyśle tę kobietę dalej, mimo iż jest spalona. Wywnioskowałem też, że jeśli przejdą raczej południowy odcinek granicy czeskiej, to zatrzymają się w Krakowie...

- Rozumiem - rzekł zimno Czebrikow. - I dlatego nie wypełniłeś mojego rozkazu i nie wysłałeś SB na zachód od Wrocławia?

Zamiatin się go nie bał - doskonale zdawał sobie sprawę, że zajmuje silniejszą pozycję.

- Oczywiście, że nie, towarzyszu dyrektorze. Dostałem rozkaz koncentracji sił SB na północno-zachodniej części granicy czeskiej i wykonałem go. Ale przecucie podpowiedziało mi, że Kraków również powinien pozostać pod obserwacją. Upewniłem się o tym, kiedy zidentyfikowaliśmy tę kobietę... i odkryliśmy, że jest zakonnica.

Czebrikow prychnął pogardliwie.

- Rozumiem. A to, że postawiłeś strażnika przy grobie jej rodziców, to też przecucie?

Zamiatin rozłożył ręce i rzekł bez troski:

- Och, chciałbym, żeby to było coś więcej niż przecucie. W końcu to zakonnica... ale ani ona, ani Ścibor nie mogli wiedzieć, że my o tym wiemy. Wywnioskowałem - położył nacisk na to słowo - że jeśli pojadą przez Kraków, to taka pobożna osoba na pewno nie zaniedba okazji odwiedzenia grobu rodziców... i rzeczywiście tak się stało.

Czebrikow miał ogromną ochotę rozplaszczyc Zamiatina na ścianie niczym natrętną muchę. Zamiast tego powiedział uprzejmie:

- Dobra robota, pułkowniku. Może nam to pomóc w dotarciu do Ścibora, ale oczywiście, dopóki go nie złapiemy, żadne drobne sukcesy nie mają najmniejszego znaczenia.

Czebrikow uznał, że dobrze to ujął; podobały mu się zwłaszcza ostatnie słowa. Miały przypomnieć Zamiatinowi, że jeśli nie złapie Ścibora, to na nie sobie nie zapracował tym, że raz coś mu się przy padkowo udało.

I jeszcze coś chciał mu przypomnieć.

- Zakładam, że tym razem nie zwlekasz z wyciśnięciem z niej wszelkich informacji.

Zamiatin pozostał nieporuszony.

- Oczywiście, że nie, towarzyszu dyrektorze. - Spojrzał na zegar na ścianie. - Annę Król aresztowano czterdzieści osiem minut temu. Jest teraz w siedzibie SB w Krakowie. Przesłuchanie pewnie już się zaczęło. Niestety, nie mają tam odpowiednich specjalistów, ale zrobią wszystko, co potrafią. A eksperci z Warszawy i Moskwy są już w drodze. Naturalnie, cały Kraków został otoczony... - Zrobił krótką przerwę i ostrożnie dodał: - Niestety, potrwa to trochę dłużej, niżby mi się tego życzył, ponieważ większość sił została wysłana na północno-zachodnią granicę czeską. - Miał jeszcze ochotę dodać "na rozkaz towarzysza dyrektora", ale się powstrzymał. I tak dotarło to do Czebrikowa.

- Rozumiem, że włączasz do akcji nasze wojsko? - padło szorstkie pytanie.

- Oczywiście, towarzyszu dyrektorze. Opuszczają właśnie kwatery. Czebrikow nie miał już czego się uczyć, ale do pasji doprowadzała go myśl, że ma opuścić ten pokój pokonany. Jeszcze raz przyjrzał się mapie i zapytał obcesowo:

- Wiesz na pewno, że Ścibor jest w Krakowie?

Zamiatin gładko się z tego wywinął.

- Nie, towarzyszu dyrektorze. Może rzeczywiście jest gdzieś bardziej na zachód, tak jak pan to zakładał... Ale wątpię, żeby Bekonowy Książd ryzykował przewiezienie tej zakonnicy przez granicę tylko po to, żeby mogła złożyć kwiaty na grobie rodziców.

Czebrikow chrząknął.

- Właśnie, pułkowniku! Nie możemy zmarnować tej szansy. Chciałbym niedługo usłyszeć, że ta kobieta udzieliła nam informacji pozwalających dopaść Ścibora... i mam nadzieję, że on się nie wymknie.

Spojrzał surowo na Zamiatina, odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, majorzy popatrzyli na Zamiatina - uśmiechał się.

Powszechnie wiadomo, że wszelkie siły bezpieczeństwa najpewniej czują się w swojej własnej siedzibie. Uważają, że możliwość zaatakowania ich tam jest zupełnie nie do pomyślenia, nawet w okresie rozruchów i społecznych niepokojów.

A przynajmniej Ścibor miał nadzieję, że tak właśnie jest, bo dojeżdżali już do budynku SB. Z różnych stron miasta wciąż dochodziły odgłosy syren - znak, że milicja i SB ustawiają blokady na wszystkich drogach wyjazdowych z miasta. Jak na ironię, tu, w samym centrum, nie było żadnych patroli. Właściwie to nie dostrzegli w pobliżu ani jednego milicjanta.

- Zatrzymaj się, Mario - poprosił Ścibor. - Dalej pójde piechotą.

Zahamowała przy krawężniku i spojrzała na niego. Twarz miała bladą i napiętą.

- Owiń się teraz tym szalem. Jak już będziesz czekała, raczej nie podnoś głowy. Udawaj, że sprawdzasz mapę czy coś w tym rodzaju.

Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Będę tam cały czas, Mirku. Powodzenia.

Przechyliła się w jego stronę i delikatnie pocałowała go w usta.

- Wiem, że tam będziesz, ale pamiętaj, jeśli nie wrócę za piętnaście minut, odjedź. Nie baw się w bohaterkę. Przy skrzyżowaniu dwukrotnie naciśnij klakson, żeby ostrzec Antoniego i jego ludzi. Potem jedź do Jerzego i zabierzcie Irenę i Natalię. Jeśli usłyszysz odgłosy strzelaniny, a my nie wybiegniemy zaraz potem, również odjedź.

Ponownie skinęła głową; na jej twarzy malował się smutek

- Zrozumiałam. Jeśli nie wyjdiesz... no cóż, miło było cię poznać... ciebie i Anię.

Uśmiechnął się blade.

- Ja też się cieszę, że cię poznałem... i twoich szalonych przyjaciół. Dziękuję, Mario.

Otworzył drzwiczki i wysiadł. Kiedy je zatrząskiwał, usłyszał jeszcze jej głos:

- Powodzenia.

Stojąc na chodniku, pomachał do niej, gdy odjeżdżała poobijanym niebieskim BMW. Samochód wyglądał na zupełną ruinę, ale silnik działał sprawnie. Ścibor ruszył energicznym krokiem. Był zimny, pochmurny wieczór. Zanosilo się na deszcz. Wprawdzie ruch na ulicach był dość duży, ale przechodniów niewiele. Zauważył, że odwracali wzrok na jego widok, a niektórzy nawet przechodzili na drugą stronę. W tym mundurze czuł się jak parias; zresztą podobnie czuł się przez większość swego życia.

Przechodząc przez skrzyżowanie zerknął na lewo i zobaczył starą brązową ciężarówkę do przewozu mebli - parkowała właśnie przy krawężniku. Twarzy kierowcy nie mógł dojrzeć. Spojrzał na prawo. Tuż przed starą czarną limuzyną stała w poprzek ulicy równie stara szara skoda. Tym razem również nie mógł rozpoznać kierowców, ale zauważył, że silnik samochodu wciąż pracuje, domyślił się więc, że to ludzie Antoniego.

Przyspieszył nieco kroku powtarzając sobie w myślach, co powie, gdy dotrze na miejsce. Próbował przewidzieć pytania i przygotować sobie odpowiedzi. Po lewej stronie zamajaczył znajomy budynek. Miał wrażenie, że opuścił go zaledwie parę godzin temu, a przecież minęło już kilka miesięcy. Na moment zaniepokoił się, czy nie zostanie rozpoznany, ale zaraz odrzucił tę myśl. Przebranie było bardzo dobre, a w dodatku miał na sobie mundur pułkownika. Mirosław Ścibor był ostatnią osobą, której by się spodziewano w tym budynku.

Podszedł do szerokich schodów wyłożonych szarymi lupkami i podniósł wzrok. Odczuł ulgę - na warcie przy wejściu stał jak zwykle tylko jeden strażnik. Szybko wszedł po stopniach. Niestety, wartownik miał przewieszony przez ramię karabin maszynowy - to nie było normalne. Ubrany był w długi szary płaszcz i, na widok pułkownika, natychmiast stanął na baczność i zaszalutował. Ścibor oddał honory, ledwo zerkając na strażnika. Pchając ciężkie drzwi uświadomił sobie nagle, że za kilka minut może już nie żyć. Poprzyśladł sobie jednak, że nie pozwoli wziąć się żywcem, a jeśli nie uda mu się uratować Ani, to zrobi wszystko, żeby ją również zabić. Ta myśl rozjaśniła mu umysł - poczuł się tak rozluźniony, jakby był pijany.

Wszedł do ogromnego, wysokiego westybulu. Korytarze rozchodziły się stąd w różnych kierunkach niczym promienie od w połowie tylko widocznego słońca. Po lewej stronie stało długie biurko. Siedział przy nim młody kapitan w okularach i notował coś w grubym rejestrze. Obok starszy wąsaty sierżant pisał dwoma palcami na maszynie. Obydwaj spojrzeli na niego. Przypominał ich sobie jak przez mgłę. Szybko stanęli na baczność i zaszalutowali. Niedbale oddał honory, po czym rozpiął górną lewą kieszonkę i wyjął z niej dowód, przepustkę i delegację służbową. Rzucił dokumenty na biurko i szorstkim głosem powiedział:

- Pułkownik Gruzecki z sekcji "H" z Warszawy. Gdzie jest ta Król?

Kapitan był zupełnie oszłomiony i niepewnie sięgnął po dokumenty. Ścibor spojrzał na sierżanta.

- Jest tutaj kobieta o nazwisku Król. Dostałem rozkaz przejęcia przesłuchania, dopóki nie przyjadą moi koledzy z Warszawy. Liczy się każda minuta. Gdzie ją trzy macie?

Sierżant spojrzał na kapitana, który nerwowo przeglądał dokumenty. Zniecierpliwiony Ścibor rzucił ostro:

- Chcę rozmawiać z pułkownikiem Bartezakiem.

Kapitan wyprostował się.

- Pojechał na lotnisko, oby wateł pułkownika, po specjalistów z Warszawy. Lądują za dziesięć minut.

Ścibor ucieszył się w duchu, ale na jego twarzy odmalowała się pogarda.

- A więc zrobił z siebie chłopca na posyłki! Zresztą co mnie to obchodzi. Gdzie jest ta kobieta? Pewnie w "żłobku"?

Obaj szybko wymienili spojrzenia, a Ścibor upewnił się, że zgadł.

- W jaki sposób oby wateł pułkownik zdołał tu tak szybko dojechać? - spytał kapitan.

- Wypełniam akurat w Krakowie poufną misję związaną z tą kobietą i poszukiwanym mężczyzną. Zadzwonił do mnie generał Kowski i rozkazał przybyć tu bezzwłocznie... Pośpiesz się, człowieku! Szłoda każdej sekundy.

Wzmianka o głównodowodzącym SB poskutkowała. Kapitan zebrał dokumenty i oddał je Ściborowi.

- Tak, oby wateł pułkownika, jest w "żłobku". Jest z nią major Grygorenko. Sierżant Boruc zaprowadzi tam pana, a ja powiadomię o pańskim przyjeździe majora Janiaka...

- Znam drogę, kapitanie. Przeprowadzałem przesłuchania, kiedy wy byliście jeszcze w szkole... i możecie sobie informować, kogo chcecie. Jeśli nie wrócę za pół godziny, przyslijcie mi kubek bardzo gorącej kawy... czarnej z trzema czubatymi łyżeczkami cukru. - Skierował się do jednego z korytarzy słysząc za sobą głos kapitana:

- Tak jest, oby wateł pułkownika.

Idąc korytarzem, szybko analizował sytuację. Nie było źle. Znał majora Grygorenkę i domyślał się, że będzie prowadził przesłuchanie, dopóki nie przyjadą eksperci. Grygorenko sływał z sadyzmu. Ścibor miał nadzieję, że zastanie go tam samego, ale mocno w to wątpił. A tymczasem kapitan pewnie dzwoni do majora Janiaka, który najprawdopodobniej zastępuje pułkownika Bartczaka, dopóki ten nie wróci z tymi waźniakami z Warszawy. To też plus. Janiak to zwykły tępak, który pewnie palcem nie kiwnie pod nieobecność zwierzchnika. Nie czekał na windę; zbiegł szybko po schodach. Popchnął drzwi i spojrzął w lewo. Wejścia do “żłobka” pilnował siedzący na krześle kapral z karabinem maszynowym. Korytarz po prawej stronie był zupełnie pusty. Szybko podszedł do kaprała, który wstał niedbale trzymając w ręku karabin.

- Pułkownik Gruzewski z sekcji “H” z Warszawy. Mam zastąpić majora Grygorenkę - warknął Ścibor.

Strażnik się zawahał.

- Szybko, kapralu - tym samym tonem kontynuował Ścibor. - Nie mam czasu do stracenia. Pułkownik Bartczak wie o wszystkim.

Opanowany do perfekcji rozkazujący ton i wzmianka o przełożonych przesądziły sprawę. Strażnik otworzył drzwi, a Ścibor rzucił jeszcze:

- Dam znać, jeśli będę czegoś potrzebował. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Zrozumielście?

- Tak jest, oby watełu pułkownika.

Zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w małym przedsiönku. Drzwi przed nim były grubo obite i dźwiękoszczelne. W czasie wojny urzędowało w tym budynku gestapo. Potem na krótko przejęło go KGB, po czym trafił w ręce SB. Jeszcze Niemcy nazwali tę kondygnację “żłobkiem” i tak już zostało.

Ścibor przy stanął na moment, przygotowując się do wejścia. Odpiął kaburę, po czym pomacał górną prawą kieszonkę - dobrze wyczuwalny znajomy kształt uspokoił go. Sięgając do kłami, usłyszał pisk - zupełnie wyraźny nawet przez te drzwi. Otworzył je i wszedł.

Potrzebował chwili, żeby przyzwyczaić oczy do jaskrawego światła nie osłoniętej żarówki. Ania leżała na stole na znak. Była naga, a ręce i nogi miała przywiązane do stołu. Jej krzyk przeradzał się już w cichy jęk. Grygorenko stał obok, ubrany w spodnie od munduru i przepocony podkoszulek. Spuszczone szelki zwisały luźno po bokach. Tuż przy kroczu Ani trzymał metalowy pręt. Za pomocą długiego kabła pręt podłączony był do prądu. Jakś inny esbek w mundurze kaprała stał u szczytu stołu i przyciskał do niego ramiona Ani. Jego szeroka słowiańska twarz była pokryta potem. Obaj przestraszeni spojrzeli na Ścibora, który powitał ich uśmiechem. Grygorenko odsunął pręt od kroczu dziewczyny. Jej wilgotne ciało drżało.

- Kto, do diabła...?

Ścibor powiedział wesołym głosem:

- Pułkownik Józef Gruzewski, do usług. Sekcja “H” w Warszawie. Mam przejąć przesłuchanie.

Na twarzy Grygorenki odmalowało się rozczarowanie.

- Spodziewaliśmy się oby wateła pułkownika dopiero za parę godzin - rzekł ponuro.

- Akurat byłem w Krakowie - wyjaśnił Ścibor. - Reszta jest w drodze. Wycisnęliście już z niej cokolwiek?

Podszedł do stołu. Ania zwróciła swą mokną twarz w jego kierunku; Ścibor miał nadzieję, że ostrzeżę ją ton jego głosu. Całe szczęście. Patrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

- Jeszcze nic nam nie powiedziała - odparł major.

- Czego wy, do diabła, używacie?

Major wzruszył ramionami.

- Prętu do zabijania by dła. Powiedziano mi, że ekipa z Warszawy przywiezie niezbędny sprzęt. Ja dysponuje tylko tym... - Przez chwilę uważnie przyglądał się przybyłemu. - Czy my już się kiedyś nie spotkailiśmy?

- Wątpię. - Ścibor pokręcił głową. - A wracając do tematu, to byłem na dwuletnim kursie w Błatynie i wierzę mi, że jeśli macie tylko coś takiego, musicie się nauczyć tego używać.

- Właśnie chciałem jej tym zatkać cipę! - roześmiał się Grygorenko.

Ścibor odpowiedział uśmiechem.

- Moglibyście wy myślić coś bardziej oryginalnego. Powinności wiedzieć, majorze, że należy drażnić prętem zakończenia pewnych nerwów tak, aby uzyskać maksymalny efekt. Zaraz wam to zademonstruję.

Odpiął górną prawą kieszonkę munduru i wyjął z niej gruby czarny flamaster. Żółtym kolorem wytłoczona była na nim nazwa firmy “Denbi”. Ścibor zdjął skawkę i pochylił się nad Anią.

- Patrzcie teraz uważnie, majorze. Zamaczę na jej ciele pewne miejsca. I wy, kapralu, zbliżcie się. Przynajmniej nauczycie się czegoś.

Powoli narysował mały krzyżyk po wewnętrznej stronie kolana Ani. Połaskotana skóra drgnęła lekko. Potem przesunął rękę wyżej i postawił krzyżyk tuż pod jej prawą piersią.

- To miejsce jest szczególnie wrażliwe, ale trzeba pamiętać, żeby dotknąć dokładnie pod prawą piersią i dokładnie w tym miejscu. Popatrzcie z bliska, majorze!

Grygorenko pochylił się nad Anią, żeby lepiej zobaczyć zamaczony punkt. W ułamku sekundy Ścibor zmienił uchwyt, nacisnął kciukiem “D” w napisie “Denbi” i pchnął do góry. Z flamastra wysunęła się stalowa igła i wbiła się w lewe oko Grygorenki trafiając aż do mózgu. Major upadł na znak wydając z siebie przeraźliwy krzyk.

Kapral stał zupełnie oszołomiony. Ledwie zdążył się ruszyć, a już miał na szyi palce Ścibora. Upadł na podłogę wydając z siebie niezrozumiały bełkot. Ścibor szybko obszedł stół, pochylił się nad kapralem i wcisnął mu stalową igłę prosto w serce.

Obydwoma ciałami wstrząsały jeszcze konwulsje, kiedy zabrał się do uwolnienia Ani.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. Ale nie powinieneś tu przychodzić. To szaleństwo.

Uśmiechnął się do niej.

- Wszyscy taktwierdzą. Bardzo cię bolalo?

Ręce miała już odwiązane i usiadła rozciągając nadgarstki.

- Nawet nie o to chodzi... tylko że im sprawiało to taką przyjemność... naprawdę... chciałam umrzeć.

Wreszcie uwolnił jej nogi i mogła je już spuścić na dół. Objął ją na chwilę, a zaraz potem ponaglił:

- Najtrudniejsze jeszcze przed nami. Musimy działać szybko. - Zobaczył jej ubranie na krzesle. - Ubierz się. Zaraz wracam.

Wyszedł, a Ania zaczęła pośpiesznie wciągać na siebie ubranie. Leżące na podłodze ciała były już zupełnie nieruchome. Spojrzała na nie, szukając w sobie choć odrobiny, współczucia... może nawet przebaczenia. Ale nie znalazła go. Zakładała właśnie buty, kiedy zza drzwi wyjrzał Ścibor i szepnął:

- Chodź

W przedsiönku leżał kolejny trup - ciałem wstrząsały jeszcze konwulsje. Ścibor włożył flamaster do kieszonki, po czym podniósł z podłogi karabin maszy nowy.

Podał go Ani mówiąc:

- Będziesz musiała go nieść. I jeszcze zapasowy magazynek. Rób dokładnie to, co ci powiem.

Wzięła od niego karabin. Kolba była lekka. Kiedy na nią spojrzała, zobaczyła krew. Starła się nie patrzeć w kierunku ciała. Ścibor ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Potem odwrócił się do Ani, mówiąc:

- Wejdzmy schodami na następne piętro, a potem pójdziemy wzdłuż korytarza. Na rogu ty zaczęłaś, a ja pójdę sam. Jak tylko usłyszysz strzały, przybiegnij do mnie i albo podaj, albo rzuć mi ten karabin. Potem trzymaj się blisko mnie, cokolwiek by się działo.

W tej chwili w pokoju, z którego wyszli, odezwał się piskliwy dzwonek telefonu. W uszach Ścibora zabrzmiał jak alarm.

- Chodź - powiedział. - Wszystko jedno, nie wezmą nas żywcem. Albo wydestaniemy się stąd... albo umrzemy razem.

Wyszli na korytarz.

Siedzący dwa piętra wyżej major Janiak coraz bardziej się denerwował, aż wpadł w złość.

- Jak to możliwe, żeby nikt nie odbierał?

Wciąż trzy mając słuchawkę przy uchu, kapitan wzruszył ramionami.

- Wyślę na dół sierżanta Bońka, oby watele majorze. Może telefon jest uszkodzony. To się zdarza.

Major prychnął.

- Nie, idźcie sami. Nie mieliście prawa wpuszczać tam kogokolwiek.

- Ale, oby watele majorze, to był pułkownik Gruzewski z sekcji "H"... dostał rozkaz od generała Kowskiego...

- Tak powiedział. No idź już!

Kapitan właśnie wychodził zza biurka, kiedy w westybulu pojawił się Ścibor. Wyglądał na mocno poirytowanego. Ręce złożył do tyłu.

- Kim pan jest? - zapytał ostro.

- Major Juliusz Janiak, oby watele pułkownika. Czy mógłbym zapytać...?

- Nie. - Ścibor wysunął ręce do przodu. W prawej trzymał makarowa, z którego strzelił Janiakowi między oczy. Chwilę później dwie kule trafiły kapitana prosto w serce.

Sierżant zareagował natychmiast. Chowając się za dużym biurkiem, sięgnął jednocześnie po broń. Z pobliskich pokoi rozległy się krzyki. Ścibor przeskoczył przez blat, odwracając się w powietrzu przodem do sierżanta, który zdążył już wyjąć pistolet. Właśnie celował. Wyrzucili jednocześnie. Ścibor poczuł jakieś uderzenie w lewy bok. Sierżant zwałił się na podłogę. Ścibor pomacał bok - był zupełnie zdrętwiały. Słyszał jakieś krzyki i zobaczył, że Ania biegnie w jego kierunku. Jednocześnie dostrzegł, że otwierają się drzwi wejściowe. Wiedział, kto się w nich pojawi.

- Padnij! Tutaj! - zawołał do Ani.

Ukryła się w mgnieniu oka. Do westybulu wpadł wartownik z karabinem gotowym do strzału. Szybko rozejrzał się i nacisnął spust. Kosił wszystko dookoła. Ania zdążyła jeszcze wsunąć się za biurko. Z korytarza dobiegł czyjś krzyk. Ścibor wyrwał karabin z rąk Ani, odbezpieczył go i dał nura w bok. Strażnik chciał się odwrócić, ale było za późno. Ścibor, zanim jeszcze zdążył się zatrzymać, wystrzelił serię z karabinu. Sześć kul dosięgło strażnika, który zatoczył się na drzwi. Ścibor przypadł do podłogi. W jednym z korytarzy zobaczył jakieś sylwetki i puścił tam kolejną serię. Dobiegły go krzyki.

- Aniu, szybko!

Wybiegła schyloną za biurka. W lewej dłoni trzymała zapasowy magazynek. Wyrwał go jej i, odrzucając zużyty, wsunął szybko na miejsce. Potem chwycił Anię za rękę i wybiegł na zewnątrz.

Na schodach zatrzymali się na moment. Ludzie uciekali sprzed budynku. Kiedy zbiegali w dół, usłyszeli jakson samochodu i niebieski BMW z piskiem opon zatrzymał się tuż przy wejściu. Tylnie drzwiczki były już otwarte. Ścibor wepchnął Anię do środka i wskoczył zaraz za nią. Samochód wyrwał do przodu, a drzwiczki zamknęły się z trzaskiem. Maria wyjechała zaraz na prostą, a wkrótce potem usłyszeli za sobą wycie syreny. Ścibor obejrzał się - czterdzieści metrów dalej jechał milicyjny jeep. Z okna wychylał się ktoś z pistoletem w ręku. Ścibor usłyszał wystrzał - kula odbiła się rykoszetem i trafiła w skodę. Wezbrała w nim wściekłość. Przecież nie mogli ich teraz złapać. Wychylił się przez okno i opróżnił cały magazynek prosto w jeepa. Przednia szyba rozprysła się w kawałeczki. Jeep zjechał z drogi. Zdążył wyskoczyć z niego milicjant, a zaraz potem samochód uderzył w okno wystawowe jakiegoś sklepu.

Chwilę później przejechali przez skrzyżowanie. Patrząc za siebie Ścibor widział, jak zderzają się ze sobą duża ciężarówka i stara skoda. Wpadły na nie jeszcze dwa samochody, zupełnie blokując przejazd. Dostrzegł jakieś postacie wyskakujące z samochodów i uciekające z miejsca wypadku. Odwrócił się i wyrzucił karabin przez okno.

- Zwolnij teraz, Mario, i jedź normalnie. Świetna robota.

Wiktor Czebrikow nie miał wyjścia - musiał przeczeekać to milczenie Kiedy ostatnio je przerwał, Andropow powiedział po prostu:

- Zamknij się.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego generalny sekretarz wezwał go na śniadanie. Przecież mógł lepiej go zbesztać w swoim biurze. Minęło osiemnaście godzin od kłęski w Krakowie. Generalny sekretarz został, naturalnie, poinformowany o tym bez chwili zwłoki. Czebrikow spędził bezsenność, czekając przy telefonie na wezwanie, ale nadeszło dopiero teraz, czyli następnego dnia.

Zaskoczył go widok stoliczka nakrytego na dwie osoby. Posiłek składał się z wędlin, pieczywa, kawioru molosol, marynowanych śledzi i owoców.

Andropow tylko mrknął coś w odpowiedzi na jego pełne szacunku powitanie i ręką wskazał mu miejsce przy stole. Ale Czebrikow szybko zorientował się, w jakim nastroju jest jego szef. Nie żałując sobie, nałożył na talerz sporą porcję kawioru, co wywołało komentarz generalnego sekretarza.

- Widzę, że nie straciłście apetytu.

Było to znane już na Kremlu powiedzenie, przypowiadające o zimne dreszcze. Mówiono, że po raz pierwszy powiedział tak Beria, kiedy patrzył na więźniów syberyjskiego obozu, bijących się przy wiadrze cienkiej polewki. Czebrikow zjadł zaledwie pół łyżeczki kawioru, po czym odsunął talerz. Andropow wydawał się tego nie zauważać. Chociaż czuł się coraz gorzej, apetyt mu dopisywał. Zjadł pół miseczki kawioru, przegrzając razowym chlebem. Kiedy zabrał się do śledzia, Czebrikow odważył się bąknąć:

- Towarzyszu generalny sekretarzu, chciałbym wyrazić...

- Zamknij się - przerwał mu Andropow. Skończył rybę, wyjął z kieszeni czerwony szwajcarski nóż wojskowy i zaczął obierać jabłko. Zdawał się zapomnieć o Czebrikowie i o ciężkiej ciszy. Udało mu się tak obrać jabłko, że skórka wiła się w jednym tylko pasku. Odkroił ją i z zadowoleniem położył na talerzyku. Wreszcie odezwał się: - Mówiłem wam kiedyś o rybach wyskakujących z łódki. Ale ryby, które wy łapiecie, nie tylko wyskakują - one was łąsają.

Czebrikow nic nie odpowiedział, wpatrując się w szarą grudkowatą masę na talerzu. Jej widok przyprawiał go o mdłości.

Andropow podniósł do ust nadziany na nóż kawałek jabłka. Żuł go w zamyśleniu, po czym powiedział:

- Ten Ścibor jest jak lawina. Rusza powoli, nabiera szybkości i niszczy wszystko, co napotka po drodze. Próbuje zapać jego i tę kobietę, a on zabija ludzi, którzy chcą to zrobić. Aresztujemy kobietę, trzymamy ją w budynku uważanym za najlepiej strzeżone miejsce w Krakowie... on zaś uwalnia ją tak łatwo, jak gdyby opróżniał portfel starego pijaczyny... i jeszcze zabija przy tym ludzi. Ta lawina z łatwością przysypuje swoje ofiary. Ta lawina nabiera szybkości i pędzi w moją stronę. Powiedzcie mi, towarzyszu przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, jakie jest prawdopodobieństwo, że ta lawina mnie zniądzdzi?

Odpowiedź Czebrikowa była natychmiastowa i pełna gorliwości:

- Zerowe! Nie ma takiej możliwości!

Oczy Andropowa zobrylsły gniewem.

- To nieprawda! I wy dobrze o tym wiecie. Jaką dalibyście mu szansę na uwolnienie tej kobiety? Żadnej, oczywiście.

Wyprostował się na krześle, głęboko oddechając. Czebrikow uznał, że lepiej będzie się nie odzywać. Nigdy jeszcze nie widział szefa w takim nastroju. Przypuszczał, że wpłynął na to zły stan jego zdrowia. Po chwilowej przerwie generalny sekretarz kontynuował, ale mówił w zamyśleniu, jakby do samego siebie:

- Czuję, że on się zbliża. Tak jak pierwsze oznaki przeziębienia. Zaczyna się od kichania, potem przychodzi ból głowy, katar cielnie z nosa... w końcu gorączka. Czuję, że jest już blisko. - Spojrzał Czebrikowowi prosto w oczy. Jego głos był teraz bardzo stanowczy. - W zasadzie nie dbam o to. I tak umieram. Ale jedno musicie zrozumieć, towarzyszu. Nigdy na niczym tak mi nie zależało, jak na tym, żeby przeżyć tego papieża. Wyrusza w podróż za pięć dni. Dwa dni później nie będzie już żył. Potem ja też umrę. A na razie, jutro rano, jadę do kliniki. Macie strzec tego miejsca własną pierśią... dosłownie tak. Jeśli umrę przed papieżem i nie będzie to śmierć naturalna, wy też umrzecie... i to w ciągu godziny. Już wydałem odpowiednie rozkazy. Są tak precyzyjne, że ani wy, ani mój następcza, ani ktokolwiek inny nie będzie mógł ich odwołać... Wierzycie, towarzyszu?

Powoli, z powagą, Czebrikow skinął głową. Wierzył w to. Taka praktyka była normalna w Związku Sowieckim.

- Musimy zmienić plan! - Bekonowy Książd był bardzo stanowczy. Heisl westchnął zmęczony i powiedział:

- Jeśli go zmienisz, ryzyko się zwiększy. I tak już bardzo odbiegliliśmy od pierwotnych założeń.

Van Burgh czknął, po czym wypił kolejny łyk piwa.

- Jeśli nie zmienimy planu, to może się zdarzyć, że dotrą do Moskwy za późno. Pozostało bardzo niewiele czasu. Ścibor musi być w Moskwie przynajmniej dwa dni przed akcją.

Siedzieli przy stoliku w wiedeńskim "czyścicu". Otrzykali właśnie raport z wydarzeń poprzedniego dnia w Krakowie. Przed Bekonowym Książdem leżała kartka z notatkami - stuknął w nią palcem.

- Mirosław jest ranny, na szczęście niezbyt poważnie. Niemniej jednak miną dwa, trzy dni, zanim będzie w stanie wyruszyć w dalszą drogę. Tak więc mogą być w Warszawie za jakieś trzy dni. Początkowo przewidywaliśmy cztery do pięciu dni na przejazd z Warszawy do Moskwy. To teraz niemożliwe. Szafer jest umówiony na wizytę na dziesiątego i oczywiście nie da się tego zmienić. Wynika stąd, że muszą dotrzeć do Moskwy najpóźniej siódmego.

- Ale jak?

Bekonowy Książd głośno uderzył w stół, odstawiając pustą szklanczkę, ale głos miał łagodny.

- Najwyższy czas, żeby Maksym Saltikow spłacił swój dług.

To stwierdzenie zamknęło Heislowi usta. Siedział przez chwilę pogrążony w myślach. W końcu wstał, podszedł do lodówki i wyjął z niej dwie puszkę piwa. Kiedy je otwierał, w ciszy rozległ się przeciągły syk. Heisl napenił obie szklanki, usiadł i w zamyśleniu powiedział:

- Cóż, wydaje mi się, że sprawa jest tego warta. Ale naprawdę myślisz, że on się na to zgodzi?

- Tak - Bekonowy Książd poważnie skinął głową.

- Minęło wiele lat.

- Wiem.

- I wiele się w tym czasie wydarzyło.

- To prawda.

- Ale jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien.

Ksiądz Heisl wzruszył ramionami. Coś tu było dla niego niejasne.

- Kiedy ostatnio go spotkałeś? - zapytał.

Van Burgh zmarszczył czoło wyrażając myśli.

- Trzydzieści osiem... nie, trzydzieści dziewięć lat temu.

Na twarzy Heisla odmalowało się powątpiewanie.

- I nigdy od tamtej pory go nie widziałeś? Ani nie rozmawiałeś z nim?

- Nie.

- Nie miałeś z nim żadnego kontaktu... w ogóle?

- Miałem. Wymieniliśmy parę zwyczajnych, ale znaczących informacji.

Znów zapadła cisza, kiedy Heisl zastanawiał się nad tym, co usłyszał. W końcu roześmiał się i potrząsnął głową, jakby zaskoczony, że nie może rozwiązać zagadki.

- A więc - zaczął z udaną surowością - masz na niego haka, o którym nic nie wiem. Coś znacznie poważniejszego, niż to, co wtedy dla niego zrobiłeś.

Teraz Van Burgh pokręcił głową.

- Wcale nie, Janie. Przecież znasz całą tę historię, ale nigdy Maksyma Saltikowa nie poznałeś. On nie ma zwyczaju rozmyślać się czy odwoływać danego słowa. Nawet po trzydziestu ośmiu latach... nawet przez całe życie... Czy mógłbyś postarać się w Collegio Russico o najświeższe wiadomości o nim?

Heisl wstał i podszedł do telefonu. Z pamięci wykręcił numer urzędnika obsługującego komputer w Collegio Russico w Rzymie, któremu podał szyfr składający się z szeregu cyfr i liter, po czym powiedział po prostu: "Generał Maksym Saltikow".

Trzy minuty później podziękował i odłożył słuchawkę. Wrócił do stołu, napił się piwa i obwieścił:

- Bez zmian. Krąży tylko pogłoska stopnia "B", że ma być przeniesiony na Daleki Wschód, ale w tej samej randze. Obecnie przebywa w Berlinie Wschodnim i zostanie tam przez tydzień na konsultacjach.

Van Burgh uśmiechnął się pogodnie.

- Domyślam się, że pogłoski stopnia "B" rozsiewają dziewczyny czyszczące samowary. Ostatnia, jaką słyszałem, dotyczyła Gorbaczowa i jakiegoś tancerza z baletu Kirowa.

Ksiądz Heisl skrzywił się z lekceważeniem.

- Tak, ale czasami one w ten sposób wyrównują rachunki. W jaki sposób nawiądziesz z nim kontakt?

- Osobiście.

Na twarzy Heisla odmalowało się zaskoczenie.

- Chcesz w takiej sytuacji pojechać do Berlina?

Bekonowy Ksiądz odsunął krzesło, wstał i przeciągnął się.

- Tak, Janie. Wyjeżdżam jutro. Muszę to załatwić sam. A poza tym mężczyźni nie siedzą tutaj i patrzenie, jak inni narażają życie... i w dodatku czuję, że cała ta operacja wymyka mi się z rąk. Zupełnie jakby zaczęła żyć własnym życiem. - Uśmiechnął się. - A jak tam szczenięta kacyków i prywatne salonki...?

Heisl wstał i poważnym głosem zapytał:

- Nie uważasz, że czas już wycofać Anię z tej operacji?

Van Burgh zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Jeśli ta akcja zaczęła toczyć się własnym torem, to między innymi dzięki niej. Mam wrażenie, że gdy tych dwoje jest razem, nie ich nie zatrzyma. To coś jakby siła rozpędu. Nie. Ona pojedzie do Moskwy. Wywozę ją stamtąd tuż przed godziną "zero".

Mówił to z takim przekonaniem, że Heisl uznał za bezcelowe sprzecanie się z nim, ale mężczyła go jeszcze inna sprawa.

- Dziś rano znowu dzwonił do mnie ksiądz Dzwizw w imieniu Ojca Świętego. Pytał, czy wiemy coś na temat wczorajszych wydarzeń w Krakowie.

- I co mu powiedziałaś?

Heisl bezradnie rozłożył ręce.

- Że sami próbujemy się czegoś dowiedzieć i że powiadomię go, jak tylko zdobędziemy jakieś informacje.

- Dobrze.

- Nie, Pieter. Wcale nie dobrze. Bo ten Dziwisz jest bardzo przebiegły i coś podejrzewa. Nie podoba mi się, że muszę przed nim kręcić. Pytał, gdzie jesteście. - Heisl westchnął. - Powiedziałem, że odbywacie misję charytatywną.

Bekonowy Ksiądz uśmiechnął się pojednawczo.

- No cóż, Janie, jutro rzeczywiście wyjeżdżam z pewną misją... Nie przejmuj się Dziwiszem. Poproszę Versana, żeby z nim porozmawiał. Wyjaśni mu, że z uwagi na wydarzenia w Polsce znajdujemy się teraz pod dużą presją. Kiedy trochę się uspokoi, udzielimy mu szerszych informacji.

Heisl ponownie westchnął.

- A czy dobry arcybiskup powie mu też, że to my sami spowodowaliśmy tę presję?

Bekonowy Ksiądz uśmiechnął się szeroko.

- Nie. Ale może powie coś o zwalczaniu przemocy przemocą.

Duży chromowo-złoty autobus turystyczny ruszył właśnie z przejścia Checkpoint Charlie i wjechał do Berlina Wschodniego. Wzdłuż autobusu między siedzeniami przechodziła pilotka z kręconymi blond włosami i rozdawała paszporty. Twarz miała surową i trochę zmudzoną, ale gdy wręczała dokumenty parze starszych Holendrów, uśmiechnęła się. Mężczyzna był korpulentny i miał rumianą twarz z okrągłymi, błyszczącymi oczkami. Kobieta była niska i pulchna, a na jej twarzy wciąż gościł delikatny uśmiech. Wydawali się bardzo szczęśliwi.

- Pan i pani Melkman - przeczytała pilotka podając paszporty - życzę państwu milego dnia.

Odpowiedzieli jej promiennymi uśmiechami.

- Na pewno będzie miły pod opieką tak ładnej i milej pilotki - odparł Holender.

Dziewczyna skłoniła głowę i poszła dalej, podziwiając zdolności językowe Holendrów.

Autokar zrobił krótki, standardowy objazd po mieście, uwzględniając największe pomniki upamiętniające bohaterów wojennych, po czym zatrzymał się przed muzeum Pergamonu. Pasażerowie wysiedli i otoczyli pilotkę. Dzień był zimny, ale pogodny. Dziewczyna na szybko wyjaśniła, że zwiedzanie muzeum jest bardzo ważnym punktem programu i przeznaczono na to dwie godziny. Ona oprowadzi wycieczkę, ale gdyby ktoś się odłączył, to powinien wrócić do autobusu o pierwszej.

Prowadząc grupę po schodach zauważyła, że gruby Holender spokojnie schodzi w dół. Zatrzymała się i krzyknęła za nim:

- Panie Melkman! Nie idzie pan z nami?

Odwrócił się zakopotany, wzruszył ramionami i z uśmiechem na twarzy powiedział:

- Szczerze mówiąc, jestem filistrem. - Spojrzał w stronę żony. - To moja kochana żona namówiła mnie na tę wycieczkę; ona jest wielbicieleką kultury... Ja sobie tam poczekam i orzeźwię się trochę.

Pilotka zobaczyła w pobliżu jakiś bar. Uśmiechnęła się, ale głos miała surowy.

- Proszę pamiętać: spotykamy się nie później niż o pierwszej. I niech pan nie wymienia pieniędzy u cinkciarzy. To nielegalne i grozi surową karą.

Holender posłusznie skinął głową i posłał żonie całusa.

W wystroju baru dominował plastik, a wszystko miało kolor chromowej żółci. Kilka osób piło coś przy stolikach. Podnieśli obojętny wzrok na wchodzącego gościa. Z głośników zawieszonych na ścianie rozbrzmiewała stara piosenka ABBY. Barman miał na głowie czarną czapkę. Ze znużonym wyrazem twarzy wycierał niedbale szklanki. Holender podszedł do niego i przedstawił się:

- Jestem Melkman z Rotterdamu.

Barman obojętnie skinął głową i wskazał drzwi prowadzące na zaplecze. Holender poczłapał we wskazanym kierunku i wszedł do środka. W pokoju stał tylko nakryty rysem stół i dwa krzesła. Pochylony nad stołem siedział jakiś mężczyzna i mocno zużytymi kartami stawiał pasjansa. Na moment podniósł wzrok i głębokim, szorstkim głosem powiedział po rosyjsku:

- Zamknij drzwi na klucz.

Holender wykonał polecenie.

- I zarygluj je - usłyszał jeszcze.

To również zrobił, po czym przyjrzał się mężczyźnie. Siwe włosy miał zaczesane do tyłu bez przedziałka. Na szerokiej, pulchnej twarzy wyraźnie rysowały się grube wargi. Sądząc po wyglądzie, przekroczył sześćdziesiątkę. Ubrany był w zapiętą pod szyję koszulę i granatowy garnitur. Krawata nie nosił.

Holender pomyślał, że by go nie poznał. Przez chwilę zastanawiał się, czy to rzeczywiście jest człowiek, z którym chciał się spotkać. Podszedł bliżej i patrząc na stół, powiedział:

- Czerwona czwórka na czarną piątkę.

Rosjanin westchnął:

- Nie cierpię ludzi, którzy tak robią.

- Ja zawsze takrobię.

- Mogę to sobie wyobrazić.

Nagle Rosjan zgrąbał wszystkie karty na lupkę i grubymi palcami złożył je w talie. Wierzchnia strona jego dłoni pokryta była plamami wątrobianymi. Położył karty przy tacy, na której stały dwa wiaderka z lodem. W jednym chłodziła się butelka rosyjskiej wódki, w drugim schnapps. Rosjanin wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Holender uściśnił mu dłoń mówiąc:

- Nigdy bym cię nie poznał.

- Ani ja ciebie. Nie wyglądasz na księdza.

- Ani ty na generała.

Usiedli. Rosjanin wskazał tacę.

- Ten schnapps jest holenderski.

- Jesteś przewidujący, ale napiję się z tobą wódki.



Rosjanin po raz pierwszy uśmiechnął się. Dzięki temu pokój jakby pojaśniał. Odkręcając butelkę powiedział:

- Ksiądz Pieter Van Burgh domaga się spłaty długu?

Bekonowy Ksiądz uśmiechnął się i przyjął podany mu kieliszek

- Pomyślności, generale Saltikow. Wiele osiągnąłeś. - Wzniósł toast.

Rosjanin pokiwał głową.

- A ty wciąż jesteś zwykłym księdzem. Spodziewałem się, że wzniosę toast przynajmniej z arcybiskupem.

Van Burgh wypił wódkę jednym haustem i odparł:

- Arcybiskup musi bardzo ciężko pracować... Ja mam sporo uciechy.

- Tak też słyszałem - pokiwał głową generał.

On też opróżnił kieliszek, po czym oba napelnił. Potem w zamyśleniu popatrzył na księdza i sięgnął pamięcią do zimy sprzed niemal czterdziestu lat.

Rok 1944. Był wtedy młodym porucznikiem w wojskach pancernych. Stacjonował na jakiejś okropnej nizinie na północny wschód od Warszawy koło wsi Gąsewo. Dowodził wtedy pierwszym z sześciu czołgów przeprawiających się wyznaczonym szlakiem przez bagna. Dowodzący oddziałem major jechał w ostatnim czołgu. Był bardzo sprytny. Ale polscy partyzanci musieli chyba przesunąć oznaczenia trasy, bo jego czołg ugrzązł w bagnie aż po górną gąsienicę. Pozostałe czołgi nie dały rady go wyciągnąć.

Major powinien był go zostawić, ale marzyły mu się medale, których za odwagę na pewno nigdy by nie dostał. Rozkazał więc Saltikowowi, żeby został przy czołgu ze swoją załogą i czekał na pomoc, która miała przybyć przed zmrokiem.

Ale oczywiście nikt po nich nie przyjechał. Zaraz po zmroku zaatakowali ich partyzanci. Najpierw rzucili granat, który go ogłuszył, a pozostałych poranił. Potem partyzanci podcięli wszystkim gardła, a jego, jako oficera, zabrali do swojego obozu na przesłuchanie. Wiedział jednak, że w końcowym rozrachunku czeka go taki sam los, jak kolegów.

Bardzo chciał żyć i to pragnienie pozwoliło mu przetrwać dwa straszne dni. Potem wyraz twarzy partyzantów powiedział mu, że umrze następnego ranka. Ale wieczorem przyjechał ksiądz - młody, w jego wieku. Usiadł przy związanym poruczniku i spróbował go pocieszyć.

Saltikow nie mógł znieść tego sukinyśna; powiedział mu wprost, że jest ateistą, że jego zdaniem papież jest cudzołodziem, a Jezus był pederastą. Niczym się nie przejmował; wiedział, że i tak jego chwile są policzone. Rozmawiali tak przez kilka godzin i coś w tym czasie się wydarzyło - zrozumieli się wzajemnie. Kiedy już zaczęło dnieć, ksiądz zapytał Rosjanina: "Chciałbyś żyć?"

Rosjanin stwierdził, że nie miałby nic przeciwko temu. Ksiądz wyraźnie, zaznaczył, że porucznik będzie musiał kiedyś spłacić dług, który u niego zaciągnie. W odpowiedzi Rosjanin oświadczył, że jest komunistą i ateistą i zawsze spłaca długi. Zawsze.

Ksiądz wziął od niego adresy rodziców i krewnych, a dwie godziny później uwolnił go. Po powrocie do swojego oddziału Saltikow został bohaterem. Pod koniec wojny był jednym z najmłodszych i najczęściej wyróżnianych majorów w Armii Czerwonej.

Od tamtej pory wspinał się po szczeblach kariery. Często zastanawiał się, czy tamten ksiądz pomógł jeszcze innym oficerom Armii Czerwonej. Bardzo go to intrygowało.

Przez te wszystkie lata ksiądz utrzymywał z nim kontakt. Po raz pierwszy odezwał się w 1953 roku zaraz po tym, jak Saltikow awansował na pułkownika. I potem po każdym kolejnym awansie. Wiadomość, którą ksiądz przesyłał, zawsze brzmiała tak samo: "Gratulacje. Pamiętaj o Gąsewie. Lenin był transwestytą".

W odpowiedzi również pisał zawsze to samo: "Czekam. Skończ z tym".

Teraz generał Maksym Saltikow, zastępca głównodowodzącego wojskami Układu Warszawskiego, spojrział w oczy Bekonowemu Księdzu i burknął:

- No więc skończmy z tym.

Bekonowy Ksiądz wyprostował się w swoim krześle, zaczerpnął powietrza i powiedział:

- Chcę, żebyś przewiózł dwie osoby z Warszawy do Moskwy.

- Domyślam się, że nikt ma o tym nie wiedzieć.

- Właśnie.

Generał westchnął i z górnej kieszonki marynarki wyjął krótkie czarne cygaro. Zaferował je Bekonowemu Księdzu, ale ten odmówił. Złota zapalniczką marki Dunhill Saltikow zapalił cygaro, zaciągnął się i wypuścił dym ponad głową księdza.

- Założę się, że wiem, kim oni są, ale powiedz mi to sam - rzekł zimno.

- Mirosław Ścibor i Anna Król.

Generał skinął głową. Nagle zapiszczało odsuwane krzesło. Serce księdza zaczęło bić szybciej, bo dostrzegł drugie drzwi w końcu pomieszczenia. Czy czekali za nim jacyś ludzie, żeby go aresztować?

Ale generał nie podeszedł do nich. Przeciągnął się, po czym zaczął chodzić po pokoju.

- Wysłałem ostatnio setki tysięcy moich ludzi na poszukiwanie tych dwojga. Dziś rano rozbił się helikopter z całym plutonem na pokładzie - lecieli w rejon nadgraniczny. Zginęło czternastu moich ludzi... dobrych żołnierzy. Normalnie nigdy nie wydano by pozwolenia na lot w takich warunkach atmosferycznych... czternastu zabitych. I to z powodu tych dwojga. Musiałem odwołać ważne manewry, w których miało wziąć udział ćwierć miliona żołnierzy... też z powodu tych dwojga. A teraz ty tak po prostu prosisz, żebym przetrzymał ich do Moskwy.

Zatrzymał się i spojrział na księdza. Na jego twarzy malowała się wściekłość i chęć walki. Po chwili ze wzrokiem wbitym w stół ksiądz powiedział łagodnie:

- Maksym, powiodło ci się w życiu. Masz wspaniałą żonę, dwoje inteligentnych, kochających dzieci, które obdarzyły cię trojgiem wspaniałych wnucząt. - Powoli podniósł głowę i spojrział generałowi prosto w oczy. Głos mu się teraz zaostriżył. - Masz to dzięki mnie... dzięki mnie twoja żona jest szczęśliwa... i dzięki mnie żyją twoje dzieci i wnuki, a potem będą żyć dzieci twoich wnuków... Przystałeś.

Patrzyli sobie w oczy długą chwilę. Pierwszy przerwał ten bezruch Saltikow. Ciężko opadł na krzesło, oparł łokieć na stole i zapytał:

- Jaki jest cel ich podróży do Moskwy?

Serce waliło Van Burghowi, kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu odparł:

- Mają zabić Andropowa.

Spodziewał się jakiejś gwałtownej reakcji, ale generał ledwie skinął głową i wymamrotał:

- Właśnie taka plotka krąży... Ale dlaczego?

W paru zdaniach Van Burgh mu wyjaśnił. Generał znów skinął głową.

- To by się zgadzało - stwierdził. - Wszyscy wiedzą, że Gensekma obsesję na punkcie papieża. Ale po co go zabijać? On i tak jest umierający. Właściwie całe Politbiuro o tym wie. Pociągnie najwyżej parę miesięcy.

- Wiem, ale sądzimy, że planuje zamach na papieża już wkrótce, prawdopodobnie w czasie jego najbliższej podróży do Azji. Z tego co wiemy, następca Andropowa odwoła zamach...

Generał zgasił cygaro.

- I macie rację. Prawdopodobnie zastąpi go Czernienko, lecz to zgrzybiały staruszek. Po nim ster władzy przejmie Gorbaczow, ale i tak już po śmierci Andropowa on i jego ludzie będą faktycznie rządzić... to nie taka zła perspektywa. Już najwyższy czas na jakąś świeżą krew. Gorbaczow nie jest ryzykantem. On na pewno odwoła zamach... ale... - westchnął i dołał sobie wódki.

- Ale co? - spytał ksiądz.

Generał pogroził mu palcem.

- Owszem, mogę przetransportować do Moskwy twojego zamachowca... i to bez wielkiego ryzyka, ale nie mogę umożliwić mu dostępu do Andropowa... i ty też nie. Przywódca Związku Sowieckiego jest najściślej strzeżoną istotą na ziemi. A zwłaszcza teraz, gdy obawia się zamachu. Żeby się do niego zbliżyć, nawet ja musiałbym przejść kilka ścisłych kontroli i rewizję osobistą. Pieter, słyszałem wiele o tobie i twojej organizacji, ale nawet ty tego nie dokonasz.

Ksiądz wypił łyk wódki i wzruszył ramionami.

- Jeśli taka będzie wola Boga, to niech się stanie... Ale przemycisz ich do Moskwy?

Zapadła długa cisza. W końcu Saltikow powiedział ponuro:

- Spłacę swój dług... ale pod pewnymi warunkami.

- Warunkami?

- Tak. Po pierwsze ten zamachowiec i zakonnica nie dowiedzą się, że byłem w to wmieszany... Nigdy!

- Dobrze. Oprócz mnie wie o tym tylko pewien ksiądz współpracujący ze mną... Darzę go pełnym zaufaniem. Ale jak ty to ukryjesz?

Generał uśmiechnął się.

- Zostaw to mnie. Niektórzy zaciągali u mnie długi. Zaryzykują.

Ponownie napełnił kieliszki i ciągnął dalej:

- Po drugie, napiszesz list, odręcznie, stwierdzając w nim, że ja, generał Maksym Saltikow, pomagałem ci w tej operacji, i opatrzysz go własnoręcznym podpisem.

Ksiądz podnosił właśnie kieliszek do ust. To, co usłyszał, tak go zaskoczyło, że ręka mu drgnęła i z kieliszka ulało się trochę wódki.

- Ale po co?... Aha.

Generał uśmiechnął się szeroko.

- Tak. Mało kto by to zrozumiał. Będę przechowywał ten list w bezpiecznym miejscu. Jeśli, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, twojemu człowiekowi się powiedzie, to pewnego dnia ten list może mi się bardzo przydać.

Zdumiony ksiądz pokręcił głową.

- Tak. Te kręte ścieżki sowieckiej polityki.

- Właśnie - uśmiechnął się Rosjanin. - Trochę tak, jak w polityce Watykanu... Do rzeczy, czy oni są już w Warszawie?

- Nie. Dojadą tam jutro.

- Jak?

- Pociągami z Krakowa.

- Tak po prostu?!

- Właśnie.

Teraz Rosjanin pokręcił głową ze zdumieniem. Właśnie miał zapytać, jak tego dokonają, kiedy ksiądz sam mu to wyjaśnił. Generał pokiwał głową z uznaniem, po czym zapytał, gdzie w Moskwie ma ich zostawić.

Ksiądz wyjął z kieszeni kawalek kartki i podał Saltikowowi. Ten przeczytał i stwierdził:

- To żaden problem.

Ksiądz roześmiał się niczym z dobrego żartu.

- Tak po prostu?

- Właśnie.

- A jak?

Generał napełnił kieliszki. W butelce została już mniej niż połowa. Włożył ją z powrotem do wiaderka z lodem i wyjaśnił:

- Pojutrze wyśle do Moskwy ciała żołnierzy, którzy zginęli w katastrofie helikoptera... Zamiast czterestu trumien będzie szesnaście. Twój ludzie zobaczą tylko jedną ucharakteryzowaną twarz na samym początku. Potem nie będą wiedzieli, co się dzieje, aż znajdą się w moskiewskim "czyścicu". Tak będzie lepiej... przynajmniej dla mnie.

Wyjął z kieszeni portfel i złotego parkera. W portfelu miał złożoną kartkę papieru. Rozłożył ją i wraz z piórem podsunął księdzu.

- A teraz pisz.

Bekonowy Ksiądz pospiesznie nabrał kilka linijek. Pod spodem podpisał się i oddał list generałowi. Rosjanin przeczytał i uśmiechnął się ze smutkiem. Pomachał kartką w powietrzu, po czym złożył ją i schował w portfelu.

- Założę się z tobą, że twojemu zamachowcowi się nie uda.

- O co?

- Stawiam skrzynekę dobrej rosyjskiej wódki przeciw polciowi bekonu - powiedział z uśmiechem.

Ksiądz też się uśmiechnął i przy pieczętowali zakład uściskiem dłoni.

Holender spóźnił się do autokaru trzy minuty i pilotka przywitała go groźnym spojrzeniem. Chwiał się lekko, przechodząc przez autobus. Kilka minut później pilotka już mu wybaczyła. Usłyszała, jak ona go besza. Wprawdzie mówiła po holendersku, ale ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości. Holender kiwał głową z największą skruchą. Potem zobaczył, że pilotka mu się przygląda. Mrugnął do niej.

Pociąg przetoczył się właśnie przez rozjazd tuż za Kielcami. Dzieci kacyków grały właśnie w skata, Maria wygrywała, i to z dużą przewagą. Najwięcej przegrał Jerzy, a Antoni i Irena dzielnie się bronili. Ania wraz z Natalią przygotowywały w małej kuchni posiłek Ścibor siedział na łóżku w sypialni i opierając się o stertę poduszek, patrzył na przesuwały się za oknem krajobraz. W nocy spadło dużo śniegu i wszystko pokryte było białym puchem. W boku wciąż czuł rwący ból, ale psychicznie był zupełnie spokojny.

Mijał właśnie drugi dzień od akcji w Krakowie. Dostał wiadomość, że warszawski kontakt będzie na nich czekał przy bocznicy, na którą zostanie przetoczona salonka. Ania martwiła się, że Ścibor tak szybko musi wyruszyć w drogę; wołałaby odczekać kilka dni, ale wyraźnie polecono im bezzwłocznie kontynuować podróż. A i on też się niecierpliwił. Po wydarzeniach ostatnich trzech dni marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej wykonać zadanie i rozpocząć nowe życie gdzieś daleko stąd. Czuł się zupełnie wolny - wolny od wszelkiego nacisku psychicznego i fizycznego. To poczucie wolności zrodziło się z cierpienia, które jednak dzielili z nimi inni. I wreszcie wolność przyszła wraz z odnalezieniem samego siebie.

Stało się to tego wieczoru, kiedy uratował Anię. Zdażył dotrzeć do domu generała zaledwie parę minut przed zablokowaniem drogi przez milicję.

Irena i Natalia popłakały się z radości. Potem jednak Irena przeżyła pełną trwogi godzinę w oczekiwaniu na Antoniego, który wreszcie powrócił roześmiany. Dopiero kiedy Ścibor wysiadł z samochodu, zauważyli, że jest ranny. Lewą nogawkę miał zupełnie przesiąkniętą krwią. W czasie ucieczki Ania nie wyduśla z siebie ani słowa - była jakby w szoku, błada i zziębnięta. Ale gdy tylko ujrzała krew, odzyskała panowanie nad sobą i przejęła kontrolę nad sytuacją.

Jerzy chciał wezwać zaprzyjaźnionego lekarza, któremu, o tym był przekonany, można było ufać, ale Ścibor zdecydowanie odmówił. Twierdził, że SB wie o jego ranie, bo w budynku i na schodach zostały obfite ślady krwi. Zauważa, że krwawił i dojdą do wniosku, iż nie jest to lekka rana postrzałowa i pewnie będzie potrzebował pomocy medycznej, a więc natychmiast wezmą pod obserwację wszystkich lekarzy.

Generał, człowiek zapobiegliwy, miał w kuchni apteczkę. Ania i Maria zaprowadziły Ścibora na górę do sypialni generała, rozebrali go w łazience i obejrzały ranę. Kula weszła pod kątem tuż nad biodrem, rozorała skórę, zostawiając piętnastocentymetrowy ślad, i wyszła tuż pod żebrami. Z natężenia bólu Ścibor przy puszczał, że otarła się o ostatnie żebro. Wiedział, co trzeba zrobić w takiej sytuacji. Poprosił Marię o przyniesienie wódki, a kiedy wróciła, najpierw wypił trochę, a potem obficie oblał nią ranę. Krzyczał przy tym z bólu, opierając się mocno o obie dziewczyny. W końcu rana została przemyta i ciasno zabandażowana, bo jedyne, co można było teraz zrobić, to potraktować ją jako duże skaleczenie i mieć nadzieję, że się zagoi. W apteczce znaleźli szeroki wybór antybiotyków; Ścibor zażył podwójną dawkę, żeby lek zadziałał mimo wypitego alkoholu. Potem łyknął jeszcze trochę wódki i opadł na łóżko.

Godzinę później jedli kolację - w sypialni. Mieli co świętować i za nic nie chcieli wyłączyć z tego Ścibora. Wnieśli na górę dwa składane stoliki, magnetofon, butelki, keliszki, talerze i sztućce. Posiłek był skromny; składał się z zupy jarzynowej i gulaszu wołowego z ryżem.

Zawładnął nimi dziwny nastrój - nie przygaszony, ale i nie radosny. Panowała atmosfera zadowolenia. W paru zdaniach Ścibor opowiedział wszystkim, co zaszło w budynku, i więcej już nie wracali do tego tematu. Najbardziej rozluźniona była Maria - wciąż się śmiała i drażniła ze wszystkim. Zarówno Ania, jak i Ścibor przekonali się już, że pod pozą postrzelonej dziewczyny kryje się inteligentna i silna kobieta. Tylko że Ścibora nie żartowała. Podobnie jak pozostali traktowała go jak bohatera. Udało mu się zrobić coś zupełnie niemożliwego i w ten sposób ocalił ich samych i ich rodziny od ruiny i więzienia, a może i od śmierci. Mieli świadomość dzielonego wspólnie niebezpieczeństwa, a potem odprężenia. Wzmocniła się znacznie istniejąca między nimi więź. Tworzyli jakby rodzinę.

Jerzy był wielbicielem nowoczesnego jazzu. Szczególnie lubił Theloniusa Monka. Wciąż słuchał jego nagrań. Właśnie skończyła się jedna kaseta, więc wstał, żeby włączyć następną, ale Maria mu nie pozwoliła. Poprosiła natomiast Irenę, żeby dla nich zaśpiewała. Zwykle nieśmiała Irena była teraz ożywiona sporą ilością wódki. Wyprostowała się i czystym głosem zaśpiewała piosenkę ludową - "Karolinę" i "Lowiczankę". Ania również je znała, więc stworzyli duet. Wszystkich opanowała nostalgia. Wsparty na poduszkach Ścibor miał wrażenie, że wreszcie jest w domu.

Rozeszli się do pokojów tuż po północy. Ania poszła do łazienki wykąpać się. Wyszła z niej dwadzieścia minut później ubrana jak zwykle w koszulę do kostek i z ręcznikiem na głowie. Łóżko było bardzo szerokie, a on leżał na środku. Krzywiąc się z bólu, przesunął się bliżej brzegu. Ania wślizgnęła się z drugiej strony. Ścibor wyłączył lampę. Drzwi do łazienki były lekko uchylone; Ania zapomniała zgasić światło i teraz sączyła się stamtąd jasna smuga. Już chciała wstać, ale ją powstrzymał. Nie chciał spać w ciemnym jak grób pokoju. Chociaż zażył silne środki przeciwbólowe, rana wciąż go rwała, a cierpienie rosło przy najmniejszym nawet poruszeniu. Wiedział, że pomimo fizycznego i psychicznego wyczerpania niewiele będzie spał tej nocy. Myślał, że Ania zaraz zaśnie, ale jakieś pół godziny później usłyszał jej niski, matowy głos.

- Mirku, rano musimy porozmawiać.

- O czym?

- O nas... o tym, co się wydarzyło... o tym, co robimy.

Spojrzał w jej stronę - dostrzegł tylko niewyraźny profil twarzy.

- Dobrze, Aniu. Porozmawiamy rano.

Przez całą noc to zasypiał, to znów się budził. Raz musiał zwleć się z łóżka, żeby pójść do łazienki - strasznie przy tym cierpiał. Przy okazji łyknął jeszcze dwie tabletki przeciwbólowe. Po powrocie do łóżka zauważył, że we śnie Ania przesunęła się na środek. Położył się obok niej na zdrowym boku. Teraz wyraźnie widział jej twarz. Spała niespokojnym snem, ale biorąc pod uwagę, przez co przeszła, należało się tego spodziewać. Od czasu do czasu ramiona jej drgały, a z gardła dobywało się ciche kwilenie. Powoli wyciągnął rękę i ostrożnie przysunął ją do siebie - jej głowa spoczęła w zagłębieniu jego ramienia. Delikatnie głaskał jej włosy, a na skórze czuł jej oddech. Kilkakrotnie przesunął dłoń po jej plecach, jakby uspokajał podrażnionego kocia. Stopniowo oddech jej się wyrównał, a Ścibor poczuł na swoim boku jej rękę. Jej dłoń przesuwała się po jego plecach, pieszcząc go delikatnie. Ale nie czuł podniecenia ani przyrwy pożądania - tylko bliskość ciała i ducha. Koszula podwinęła jej się do kolan i czuł nagą skórę jej łydek. Ania przysunęła się do niego. Obrócił twarz do jej twarzy i delikatnie pocałował zamkniętą powiekę, a potem policzek tuż przy ustach, w końcu usta. Poruszył się, jakby odważając się pocałunek. Niemal dotykał nosem jej nosa. Czuł, że Ania głaszcze go po szyi, przyciągając do siebie. Zamknął oczy. O niczym już nie myślał. Zupełnie się wyłączył. Czuł tylko, że ona jest tuż przy nim. Prawą nogę wsunął pomiędzy jej uda. Powoli przysunęła się jeszcze bardziej. Mimowolnie podciągnął kolano wyżej, dotykając jej miękkiego ciała. Zapomniał o bólu w boku. Zsunął rękę niżej na jej uda i dalej aż po rąbek zadartej koszuli. Podciągnął ją jeszcze bardziej i położył dłoń na jej pośladkach; pieścił delikatnie, a ona lekko poruszała biodrami.

Mogło to trwać kilka minut albo kilka godzin. Stracił poczucie czasu. Leżeli tam w półmroku niczym jedno falujące ciało. Jej twarz była tuż przy jego głowie, jej rozchylone usta niemal dotykały jego ucha. Gdy zaczęło się rozwidniać, Ania zaczęła szybciej oddychać. Kolanem wycał, jak nabrzmiewa jej srom, a uda się zaciskają. Jęknęła lekko. Całe jej ciało naprężyło się, zadrżało i wtuliło jeszcze mocniej.

Czas mijał, a ona leżała napięta, ale wtopiona w niego. W końcu głęboko westchnęła i rozluźniła się. Coś mruknęła niezrozumiale pod nosem, po czym oddech wrócił do normalnego, spokojnego rytmu. Ścibor również pogrzył się w błogiej nieświadomości.

Gdy się obudził, stwierdził, że ból powrócił ze zwielokrotnioną siłą. Czuł się tak, jakby ktoś przyłożył mu do boku rozżarzone żelazo. Zobaczył, że leży w łóżku sam. Dobięgly go jakieś cichutkie słowa - Ania była przy łóżku. Widział ją tylko do pasa. Głowę miała pochyloną, a prawa ręka spoczywała na piersi. Zrozumiał, że modli się na kłęczkach. Nie wiedział, co mówi - nie znał łaciny. Stęklając z bólu usiadł na łóżku. Ania podniosła głowę i wtedy zobaczył, że policzki ma mokre od te. Odkasznęła i ocierając twarz rękawem, wstała. Sprawiała wrażenie słabej, ale jednym potrząśnięciem głowy rozwiła ten nastrój i mocnym głosem zapytała:

- Jaktwoja rana, Mir ku?

- Boli jak diabli. Wszystko w porządku, Aniu?

- Tak... - skinęła głową. - Przytnię ci śniadanie, a potem zmienię opatrunek

Na pięć minut zniknęła w łazience, po czym wyszła z niej kompletnie ubrana ze szklanką wody w rękę. Podała mu ją wraz z dwiema tabletami.

- To antybiotyk. Pójdę po coś do jedzenia i zobaczę, co się dzieje na dole. Jest już bardzo późno.

Zerknął na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że minęła już dziesiąta. Wydawało mu się, że to, co wydarzyło się w nocy, jest teraz przesłonięte mgiełką. Ania była już przy drzwiach. Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go:

- Później.

Później wypadło za pół godziny. Ania wróciła niosąc na tacy dzbanek herbaty, białe pieczywo, wędlinę, sok pomarańczowy i owoce.

Usiadła na łóżku i jadła wraz z nim. Powiedziała, że Jerzy i Antoni wyszli wcześniej rano rozejrzeć się po mieście. Milicja była wszędzie. Włączono do akcji nawet żołnierzy sowieckich. Sprawdzano dokumenty każdego przechodnia. Dowiedzieli się też, że SB przeszukała obydwu ich rezerwowe mieszkania, tak więc mieli szczęście wracając do domu generała.

Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym Ania powiedziała jakby do siebie:

- Popeliłam bardzo ciężki grzech.

Ścibor spodziewał się tego.

- Ale popatrz, Aniu - zaczął szybko - jeśli chodzi o ostatnią noc...

Pokręciła głową.

- Nie mówię tylko o ostatniej nocy. Zgrzeszyłam, bo przysięgałam... że będę kochać tylko Boga. I zламаłam tę przysięgę.

Nie od razu dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz? - spytał powoli.

Szybko skinęła głową.

- Tak Broniłam się przed tym... ale nie mam już sił. Wcale nie chodzi tu o wdzięczność za to, co dla mnie zrobiłeś. To, że przez całe życie byłam zamknięta, też nie ma nic do rzeczy... Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Pewnie to jedna z cech miłości... całkowity brak logiki.

- Ja też cię kocham, Aniu.

Westchnęła kiwając głową.

- Wiem. Powiedz, co się z nami dzieje? Co my właściwie robimy?

Wziął w ręce obie jej dłonie.

- Aniu, jak tylko to wszystko się skończy, pobierzemy się.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nawet nie wolno mi o tym myśleć. Może to nigdy się nie skończy. Jak długo jeszcze będzie nam sprzyjać szczęście?

- Aż zakończymy swą misję - odparł żarliwie.

Cofnęła ręce i sama ujęła jego dłonie. Patrząc na nie, powiedziała swoim matowym głosem:

- Zakochałam się w zabójcy. Widziałam, jak zabijasz. Po co to wszystko, Mirku? Co masz zrobić w Moskwie?

- Tego nie mogę ci powiedzieć - odparł mechanicznie.

- A więc pojedziesz sam - oświadczyła. - Albo dowiem się, o co tu chodzi, albo nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Spojrzał jej w oczy i dostrzegł determinację. Przez chwilę namyślał się, po czym odparł:

- Mam zabić Andropowa.

Zacisnęła palce na jego dłoniach. Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- To niemożliwe... ty... oni poszaleli... ale dlaczego... dlaczego masz go zabić?

Wyjaśnił jej w kilku zdaniach. Ania wstała i zaczęła chodzić po pokoju. W końcu stanęła w miejscu i powiedziała jadawym głosem:

- Nie wierzę. Bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo Jego Świątobliwość nigdy nie pozwoliłby na popełnienie takiego grzechu.

- Papież nic o tym nie wie - odparł Ścibor zmęczonym głosem.

To ją zaskoczyło; sięgnęła myślą wstecz.

- Musi wiedzieć, skoro udzielił mi dyspensy na wzięcie udziału w tej misji.

Ścibor z trudem dobierał słowa. Z jednej strony chciał jej wszystko wyjawić, a z drugiej bał się jej reakcji.

- Aniu - zaczął ostrożnie - zapewniam cię, że papież nic o tym nie wie. Całą tę akcję zaplanowało trzech ludzi. Kardynał Mennini, tuż przed śmiercią, arcybiskup Versano... i Bekonowy Ksiądz. Nazwali się Nostra Trinita, a mnie ochrzczili mianem papieskiego posła.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Przecież widziałam dyspensę na własne oczy, podpisaną przez papieża... Na dokumencie była Jego pieczęć.

Spojrzał na nią, nie wiedząc, jak jej to powiedzieć. Ale nie musiał. Powoli zaczynała rozumieć. Ukryła twarz w dłoniach.

- Sflaszowali dokument! Co ja zrobiłam... - szlochała. - I co oni zrobili?

Ścibor odrzucił koldrę i, krzywiąc się z bólu, spuścił nogi na podłogę. Podeszedł do Ani, otoczył ją ramieniem i posadził na łóżku. Usiadł obok i czekał, aż uporządkuje myśli. Spodziewał się, że zacnie płakać, że będzie zupełnie otumaniona ostatnimi przeżywanymi, ale nie takiego się nie stało. Szybko się opanowała i stwierdziła:

- Rozumiem motywy wydziałania Nostra Trinita. Uważam, że zupełnie nie mają racji, choć rozumiem ich troskę o Ojca Świętego... Ale nie pojmuję, czym ty się kierujesz, Mirku. Przecież nie chodzi o pieniądze.

Przez chwilę zastanawiał się w ciszy, po czym odparł:

- Masz rację, Aniu, nie chodzi o pieniądze. Ani o troskę o papieża. Kieruje mną nienawiść.

Popatrzyła na niego uważnie. Wyjaśnił jej.

Zaczął opowiadać o swej młodości, o tym, jak wciągnęła go ideologia komunizmu i jak jej się poświęcił. Ta ideologia odpowiadała jego charakterowi. Był ambitny i prostolinijny. No i jeszcze samolubny. Rodzina jego najlepszego szkolnego kolegi już od trzech pokoleń była komunistyczna. Mieli duży wpływ na Ścibora i w końcu zaczął spędzać z nimi więcej czasu niż we własnym domu. Jego rodzice byli zatwardziały mi antykomunistami. Uważał, że ich argumentom brakowało logiki; kierowali się wyłącznie emocjami. Dlatego stosunki między nim a rodzicami bardzo szybko się oziębły. Ojciec kolegi załatwił mu wstęp na uniwersytet, co ostatecznie miało prowadzić do służby w SB. Ścibor był z tego bardzo zadowolony. Z przekonania ateista, uważał Kościół Katolicki za najbardziej reakcyjny element w historii Polski. Zarzucał mu odwieczne popieranie skorumpowanej arystokracji. Jego zdaniem Kościół był też główną przyczyną nieszczęść w historii Polski.

W oczach jego rodziców wstąpienie do SB przepełniło miarę. Ojciec powiedział mu, że nie ma już syna i że nigdy więcej nie chce go widzieć. Matka oświadczyła, że wyrzeka się go i że przeklina chwilę, w której się począł. Ścibor się tym nie przejął. To, co było, minęło. On patrzył prosto przed siebie. Zał mu było tylko rozstania z siostrą. Była młodsza od niego o trzy lata i jako dzieci kochali się bardzo. Celowo odsunął się od rodziców, ale od niej nigdy nie potrafił się odgrodzić.

Mieszkałi wtedy w Białymstoku. Wstępując do SB, został skierowany do Krakowa. Było to przemysłowe posunięcie - SB chciało odciąć go od jakiegokolwiek wpływu rodziny. Ale okazało się to niepotrzebne. Ścibor nie utrzymywał z nimi żadnych kontaktów, podobnie zresztą jak z innymi krewnymi czy kolegami. Po wstąpieniu do SB organizacja stała się jego rodziną.

Lata mijaly, a on wyróżniał się w pracy i robił, co mógł, dla swojej nowej rodziny. Wyjaśnił też, że wewnątrz SB istnieje nieformalna wąska grupa nazywana "szyszkami". Podobnie jak w wywiadach innych krajów totalitarnych. Jest to grupa elitarna i działa tajnie. Nowi członkowie wybierani są bardzo uważnie i poddawani przedtem rozmaitym próbom. Oczywiście każdy esbek wie o istnieniu "szyszek" i o tym, że wejście w ich szeregi jest gwarancją awansów i sukcesów. „Szyszki” wykonują brudną robotę, o której nigdy głośno się nie mówi ani nawet nie pisze w raportach. Była to działająca bezszelestnie, niewidzialna ręką SB.

Od chwili awansu na majora niecierpliwie oczekiwał zaproszenia do "szyszek". Przyszło po dwóch latach. Pułkownik Konopka zaprosił go na doskonały obiad u Wierzyńki. Zrobiło to na Ściborze duże wrażenie. Pułkownik najpierw zasypał go pochwałami, a potem obwieścił, że "szyszki" rozważają jego kandydaturę. Ścibor przyznał, że to dla niego ogromny zaszczyt. Pułkownik wyjaśnił, że zanim kandydat zostanie przyjęty, musi się sprawdzić i w ten sposób na zawsze wejść do grona elity. Ścibor zapewnił, że przedzbie zwycięsko każdy test.

I zdał. Test był łatwy i nieskomplikowany. W Warszawie działała grupa wyrotowa. Trzej jej przywódcy wykazywali się ogromnym sprytem i jak dotąd udawało im się uniknąć odpowiedzialności karnej. Byli jednak bardzo niebezpieczni, powodowali wiele szkód i kłopotów. Otrzymał zadanie wyeliminowania ich. Jeśliby jednakmu się nie udało i sam został zde maskowany, to SB by się go wyparło.

Skwapliwie przyjął propozycję. Pułkownik powiedział, że to bardzo proste. W ściśle określonym czasie cała trójka znajdzie się w pewnym domu na przedmieściach Warszawy. Ich samochód będzie stał przed domem na cichej uliczce. Wystarczy, że Ścibor zamontuje w samochodzie bombę zapalającą, a kiedy wyrotowcy przekręcą kluczyk w stacyjce, bomba wybuchnie, i po wszystkim.

Wyjaśniono mu, jak ma to zrobić. Wykonał zadanie bez zarzutu. W gazetach nie było o tym żadnej wzmianki.

Kilka lat później wypoczywał akurat w luksusowym pokoju rekreacyjnym w siedzibie SB w Krakowie. Poszedł do toalety i już miał wyjść z kabiny, kiedy do łazienki weszli dwaj starsi rangą oficerowie. Zarówno nad, jak i pod drzwiami były duże luki. Tyimi oficerami byli pułkownik Konopka i jakiś drugi pułkownik z Warszawy. Chyba zjedli właśnie dobry obiad, bo byli lekko podchmieleni i bardzo weseli. Głośno rozmawiali opróżniając pecherze do pisuarów.

- Jak tam radzi sobie ten Ścibor? - zapytał oficer z Warszawy.

- Świetnie. Daleko zajdzie - odparł Konopka.

Ścibor puszyl się z dumy. Potem nieznamy pułkownik powiedział:

- To dobrze, choć wydaje mi się, że przy tym teście wstępnym posunęliśmy się trochę za daleko.

- Może troszkę - odparł Konopka. - Ale on nigdy się o tym nie dowie. Wiesz przecież, że to był pomysł Andropowa... ten to ma niesamowite pomysły. Akurat przebywał wtedy w Warszawie i porównywał "szyszki" do podobnej grupy wewnątrz KGB. Stwierdziliśmy, że stopień trudności egzaminu wstępnego powinien dorównywać gorliwości kandydata. Ktoś wspominał wtedy, że rodzice i siostra Ścibora sprawiają nam sporo kłopotów, ale nie ma podstaw do wniesienia oskarżenia. Andropow roześmiał się wtedy i powiedział: "Więc niech sam Ścibor ich zabije... jeśli go przy tym złapią, to ułoży się historię o kłótni rodzinnej". No cóż, stary Mieszkowski wziął się za realizację pomysłu... wiesz, jaki to lizus...

Po tym, co usłyszał, Ścibor siedział na sedesie przez godzinę. Kiedy wreszcie się podniósł, był już innym człowiekiem.

Ania słuchała w milczeniu. Gdy skończył, powiedziała:

- Teraz wiem, dlaczego go nienawidzisz. To, co zrobił, było podle, zwłaszcza że nigdy nie miałeś się o tym dowiedzieć. Sprawilo mu przyjemność coś tak ohydne... tylko, że nie rozumiem, Mirku, jakim człowiekiem ty wtedy byłeś. Zupełnie bez litości zabijałeś ludzi, o których nic nie wiedziałeś. I nie chodzi o to, że okazali się twoimi rodzicami.

- Masz rację, Aniu. I pewnie dalej bym tak postępował, ale to, co się wydarzyło w toalecie, było jak oczyszczenie. Pozwoliło mi jakby wyjść z siebie, stanąć obok i z zewnątrz popatrzeć na wszystko. Na to, kim się stałem. Przyjąłem propozycję Bekonowego Księdza nie tylko po to, żeby się zemścić, ale żeby spróbować naprawić zło, które wyrządziłem...

- Wierzę ci. Wierzę, że nie jesteś już złym człowiekiem.

Uśmiechnął się blade.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, Aniu, to ty się do tego przyczyniłaś... A więc co z nami będzie?

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, obydwój się zmieniliśmy - ty na lepsze, ja na gorsze. Właściwie nie wiem, kim jestem. Cieszę się, kiedy przytulam się do ciebie i mówię sobie, że mam na to dyspensę. Nagle dowiaduję się, że jej nie mam. Już sama nie wiem, na czym stoję. Czuję się wykorzystywana przez tę twoją Nostra Trinita.

- Masz rację - przyznał Ścibor. - Wykorzystali moją nienawiść i twoją wiarę. Aniu, możemy dać sobie z tym spokój, wyjechać i zacząć nowe życie gdzieś daleko stąd.

Zaprzączyła ruchem głowy.

- Nie, Mirku. Nawet nie wolno mi o tym myśleć. Bez względu na to, jak się ze mną obeszli, wciąż jestem zakonnicą... A jeśli to, co mówisz, jest prawdą - a nie mam co do tego wątpliwości - to Ojcu Świętemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Musimy dokończyć to, co zaczęliśmy. Potem z Bożą pomocą spróbuję zrozumieć samą siebie, i mam nadzieję, że On będzie dla mnie łaskawy.

Pociąg przejechał przez Radom i mknął teraz przez faliste pola. Ścibor wiele już razy podróżował tą trasą, ale nigdy jeszcze w tak luksusowych warunkach. Siedział na dużym podwójnym łóżku przykryty kołdrą z gęsiego puchu. Nad głową kołysał mu się zyrandol. Ściany były tu obite tkaniną i obwieszane dużymi lustrami. Czuł się trochę osłabiony. Znow zaczął myśleć o Ani. Tamta bardzo ważna dla nich obojga noc bardzo ich do siebie zbliżyła. Stali się pełni wzajemnej czułości, choć niewylewni. Przez następne dwie noce spali razem, trzymając się w ramionach; nie więcej między nimi nie zaszło, cieszyli się tylko wzajemną bliskością. Kilka razy Ania pocałowała go; może niezapelnie jak siostra, ale też nie w sposób wyzywający. W myślach odłożyła wszystko na potem-przemysłili to po zakończeniu misji. Dla każdego było jasne, że są sobie bardzo bliscy, że, najprawdopodobniej, są kochankami. Zachowywali się tak, jakby byli razem już od dawna. Drzwi się otworzyły. Stała w nich Ania i patrzyła na niego. Dygnęła skromnie i obwieściła:

- Podano do stołu. Czy Wasza Wysokość życzy sobie zjeść tutaj, czy też raczy uhonorować pospólstwo przechodząc do jadalni?

Roześmiał się i odrzucił kołdrę.

- Idę. Co jest do jedzenia?

- Nic nadzwyczajnego. A jakrana?

Zakładał właśnie jeden z jedwabnych szlafroków ojca Natalii.

- Coraz lepiej. Twoje ręce mają uzdrowicielską moc.

W sąsiednim przedziale dokonywano właśnie rozliczeń. Jerzy z posępną miną odliczał dwudziesto tysięczne banknoty. Marię najwyraźniej cieszył ten widok

- Ciągłe ci to powtarzam, Jerzy - mówiła. - Ty uważasz mnie tylko za słodką idiotkę, a do gry w skata trzeba nie lada inteligencji. - Spojrzała na Ścibora i dokończyła triumfalnie: - Moja mama zawsze mówiła: "In skato veritas".

Jerzy skończył odliczanie i podsunął plik banknotów w stronę Marii.

- Twoja matka była starą wiedźmą i ty też nią zostaniesz.

Maria zebrała pieniądze.

- Jesteś po prostu beznadziejnym graczem, a z tego, co slyszalam, również beznadziejnym kochankiem. Czy to prawda, Natalio?

Natalia weszła właśnie z kuchni niosąc tacę. Uśmiechnęła się i skinęła potakująco.

- Kocham go wyłącznie za poczucie humoru.

Uprzątnęli ze stołu karty i przepelnione popielniczki i usiedli. Posilek składał się z pieczonego mięsa, wędlin, piki, ryb w marynacie i sera. Do tego bułgarskie wino.

Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym Antoni spojrzal na zegarek i powiedział:

- Za pół godziny dojedziemy do Warszawy. Trzeba będzie się rozstać. - Uśmiechnął się do Ani i Ścibora. - Mam mieszane uczucia. Z jednej strony będzie mi was brakować, a z drugiej cieszę się, że nasze drogi się rozchodzą. Wolałbym wieść raczej spokojne życie.

- Pamiętacie hasło? - spytał Jerzy.

Ścibor potakująco skinął głową i z rybą w ustach wymamrotał:

- Najpierw on mówi: "Wybraliście właściwy dzień na przyjazd do Warszawy". A ja odpowiadam: "Zawsze jest właściwy dzień na przyjazd tutaj".

- Ciekawa jestem, kto to będzie? - zastanawiała się Irena.

Ścibor westchnął i roześmiał się.

- Kimkolwiek będzie, nie zaskoczy mnie bardziej niż wtedy Maria czelająca nad jeziorem. - Zwrócił się do Ani: - Powiedziała mi, że zdążyłem w sam raz na przyjęcie.

Maria uśmiechnęła się szeroko.

- Ale strasznie się na tobie zawiodłam! Wyobraź sobie, Aniu, że próbowałam go uwieść, a on odrzucił mnie niczym stare próchno!

Udając współczucie, Ania odparła:

- Jestem pewna, Mario, że był po prostu bardzo zmęczony. To jedyne możliwe wytłumaczenie.

Przełomarli się ze sobą przez następne dwadzieścia minut, próbując w ten sposób ukryć zarówno ogarniający ich smutek rozstania, jak i rosnące napięcie. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że moment spotkania z kolejnym kontaktem jest bardzo niebezpieczny. Jeśli ochrona została przełamana, to może ich oczekiwać zupełnie inny komitet powitalny.

Gdy pociąg wjeżdżał na przedmieścia Warszawy, zaczęli sprzątać ze stołu. Natalia wyjaśniła, że za kilka minut się zatrzymają. Ich wagon zostanie odczepiony i specjalna lokomotywa przetoczy go na bocznicę.

- Czy to będzie ta sama bocznicza co zawsze? - upewnił się Ścibor.

- Tak - powiedziała Natalia.

Wszyscy pobierali swoje bagaże. Dziewczęta rzeczywiście zamierzały zrobić jakieś zakupy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zostaną w Warszawie dwa dni, przenocują u znajomych i wrócą do Krakowa tak, jak przyjechali.

Wagon zatrząsł się kilka razy, po czym stanął. Natalia opuściła okno i wyjrzała. Reszta trzymała się z dala od okien. Natalia na bieżąco ich informowała:

- Właśnie nas odczepiają. - Pomachała kolejarzom.

Usłyszeli piskliwy gwizdek, potem szarpnęło wagonem i znow spokój.

- Pociąg odjeżdża. - Przez pół minuty panowała cisza, po czym usłyszeli sapanie. - Jedzie po nas lokomotywa.

Chwilę później wagonem szarpnęło kilkakrotnie.

- Właśnie nas doczepią. - A do kolejarzy krzyknęła: - Dziękuję bardzo!

Usłyszeli głosy kolejarzy, a w końcu salonka ruszyła. Natalia pozostała przy oknie. Kola wagonu wciąż stukotały na rozjazdach. Wreszcie znów zwolnili. Natalia jeszcze bardziej się wychyliła.

- Wjeżdżamy na bocznicę.

Pociąg jechał teraz bardzo wolno.

- Widzisz tam kogoś? - zapytał Jerzy.

- Tak...

Z piskiem hamulców wagon znieruchomiał. Natalia odwróciła się do pozostałych. Była biała jak płótno.

- Tam... - jękała się - tam stoi... major Armii Czerwonej.



Ścibor chwycił Anię za rękę i pociągnął do sypialni. Pozostali stali jak skamieniały. Po chwili przez otwarte okno dobiegły ich wyraźne, ale wypowiedziane z obcym akcentem polskie słowa:

- Wybraliście właściwy dzień na przyjazd do Warszawy.

Ścibor z Anią stanęli jak wryci. Usłyszeli kroki na peronie i w oknie pojawiła się czyjaś głowa w czapce z daszkiem. Był to mężczyzna lat około czterdziestu. Twarz miał smagłą i pociągłą, bujne włosy sprawiały wrażenie sztucznych, a na nosie nosił ciemne okulary.

- Wybraliście właściwy dzień na przyjazd do Warszawy - powtórzył.

Ścibor w końcu odżył głos i nieco chrapliwie odpowiedział:

- Zawsze jest właściwy dzień na przyjazd tutaj.

Mężczyzna uśmiechnął się i sięgnął przez okno do kłamek. Był wysoki i bardzo szczupły. Co chwila dotykał włosów, jakby chciał się upewnić, że są na właściwym miejscu. Rozejrzał się po przedziale, trochę dłużej zatrzymując wzrok na Marii, a w końcu na Ściborze. Szybko kiwnął głową, jakby się komuś kłaniał, i powiedział:

- Przyszedłem po ciebie i panią, żeby wyprawić was w dalszą drogę.

Zauważył podejrzliwe spojrzenie Ścibora i uśmiechnął się, dotykając włosów.

- To nie jest żadna pułapka. Gdyby SB lub KGB wiedziało, że tu jesteście, to wagon byłby otoczony całym batalionem uzbrojonych po zęby żołnierzy. Sprawdźcie sami.

Jerzy podszedł do okna i rozejrzał się.

- Nie ma nikogo poza dwoma kolejarzami na torach.

- Kim jesteś? - spytał Ścibor majora.

Major rozłożył ręce i wodząc wzrokiem po twarzach obecnych odparł:

- W tych okolicznościach lepiej o to nie pytać.

- To może być pułapka. W ten sposób aresztują was bez walki. On na pewno jest Rosjaninem - ostrzegła Maria.

Major westchnął.

- Ścibor, odpręż się. Jestem tu na polecenie Bekonowego Księdza. Znam hasło. A teraz pośpiesz się. Nie ma czasu do stracenia.

Wciąż podejrzliwy Ścibor zapytał wojowniczym głosem:

- Gdzie nas zabierasz?

Major ponownie westchnął.

- Do kogoś, kto wszystko wam wyjaśni. - Gestem wskazał pozostałych. - Myślę, że wasi przyjaciele woleliby nie znać szczegółów, bo w pewnych okolicznościach mogłoby to przyśporzyć wam problemów.

Ścibor spojrzął na Anię. Wzruszyła ramionami i odparła:

- Chyba nie mamy wyboru. Nikt inny na nas nie czeka.

Zwykła logika przełamała podejrzliwość Ścibora.

- Pójdę po torbę - stwierdził.

Następne kilka minut przepelnione było wzruszeniami i zrodzonymi głównie z niebezpieczeństw, przez które razem przeszli. O dziwo, najbardziej rozczulił się Jerzy. Gdy zęgnął się z Anią, łzy spływały mu po twarzy i ginęły gdzieś w brodzie.

Wymieniane uściski były bardziej wymowne niż ciche "dziękuję" i "powodzenia". Ania ze Ściborem wyszli za Rosjaninem na peron. Wiał lodowaty wiatr. Major zauważył, że Ania kuli się z zimna.

- W samochodzie będzie ciepło - obiecał.

Czekał na nich długi czarny żyl z wojskowymi oznaczeniami i proporcem z czerwoną gwiazdą.

- Siadajcie z tyłu. Włóż torbę do bagażnika.

Wyciągnął rękę, ale Ścibor powiedział:

- Wolę mieć ją przy sobie. Major przecząco potrząsnął głową.

- Niewielkie jest prawdopodobieństwo, że ten samochód zostanie zatrzymany, ale gdyby tak się stało, lepiej niech nikt nie widzi tej torby.

Ania otworzyła tylnie drzwi i wsiadła. Ścibor jeszcze się wahał. Podenerwowany major ponaglił go:

- Pośpiesz się! Mamy napięty plan. Bekonowy Ksiądz przekazał was pod moje rozkazy.

Czy to całe lata podporządkowywania się wojskowej dyscyplinie, czy też silniejszy powiew zimnego wiatru, sprawiły, że Ścibor wzruszył ramionami, oddał torbę i usiadł obok Ani.

Drzwi zostały zamknięte.

Major podszedł do bagażnika. Kiedy go otwierał, Ścibor zauważył, że wewnątrz samochodu nie ma klamek. Od przednich siedzeń oddzielała ich gruba szyba. Uderzył w nią pięścią - ledwie drgnęła.

- Mirku... co to?

- Wpadliśmy w pułapkę - warknął.

W bagażniku był tylko przymocowany przy lepcem mały zielony pojemnik z gazem. Biegła od niego czarna gumowa rurka i ginęła w jakiejś dziurze w karoserii. Major wrzucił torbę i pochylił się, by odkręcić zawór pojemnika. Potem zamknął bagażnik i obserwował, co się dzieje za tylną szybą.

Widział, jak Ścibor wali pięściami w szklaną przegrodę. Skoro była kaloodporna, wytrzymała też jego uderzenia.

Wszystko trwało niecałą minutę. Ścibor rzucił Rosjaninowi pełne nienawiści spojrzenie. Potem powieki zaczęły mu ciężać. Major uświadomił sobie, że tych dwoje myśli pewnie, że zostaną zagazowani na śmierć. Zafascynowany obserwował ich reakcję. Zanim stracili przytomność, objęli się. Usta dziewczyny poruszały się tuż przy uchu mężczyzny.

Major przyglądał im się jeszcze przez chwilę. W końcu zupełnie znieruchomieli. Ścibor osunął się w róg pociągając za sobą Anię. Głowa jej spoczęła na jego piersi. Rosjanin zakręcił zawór w bagażniku. Następnie zakrywszy nos chusteczką, otworzył tylne drzwiczki i odszedł na bok. Pięć minut później wrócił do samochodu, zaciągnął rolety na tylnych szybach i usiadł za kierownicą. Zdjął ciemne okulary i spojrzał w lusterko - uznał, że do twarzy mu z wąsami. Odkleił je jednak i schował do kieszonki, ale postanowił, że zapuści sobie własne, może tylko nie takie sumiaste.

Pojechał okrężną drogą. Dwukrotnie natknął się na blokady i za każdym razem przejeżdżał przez nie wolniutko, tak aby milicjanci zauważyli porzecz na samochodzie. Wtedy natychmiast stawali na baczność i salutowali. Major oddawał honory za kierownicy i odjeżdżał.

Czterdzieści minut później dojechał do lotniska wojskowego w Wołominie. Tym razem również zwołnił, gdy podjeżdżał do budki wartowniczej. Strażnicy świetnie znali ten samochód. Majora również. Natychmiast podnieśli szlaban. Przejeżdżając pod nim, oddał honory salutującemu strażnikowi.

Kilka metrów od biurowca stał niewielki hangar. Był otwarty. Na zewnątrz czekał sierżant i patrzył, jak zjeżdża wprost do hangaru. Następnie zamknął bramę i wszedł przez małe drzwi również zamykając je za sobą.

Wewnątrz stało w rzędzie szesnaście trumien. Czarnaście z nich było już zamkniętych i nakrytych flagami z sierpem i młotem. Dwie ostatnie były puste.

Gdy major wysiadł z samochodu, z ławki pod ścianą ktoś wstał. Był to mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie mundur kapitana i wyglądał dostojnie. Naszywki świadczyły, że należy do korpusu medycznego. W rękę trzymał czarną torbę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Chyba tak - odparł major otwierając drzwiczki.

Głowa Ścibora uderzyła o framugę. Sierżant szybko podsunął pod nią rękę.

- Włóżmy ich do trumien. Tam ich zbadam - powiedział kapitan.

Sierżant ostrożnie odsunął Anię na bok i ujął Ścibora pod pachy.

Major chwycił za nogi i tak zanieśli go do stojącej kilka metrów dalej trumny.

Obydwie trumny były miękko wyściełane. Ułożyli Ścibora w jednej z nich i wrócili po Anię.

Kapitan otworzył torbę i wyjął stetoskop. Najpierw zbadał Anię. Musiał podciągnąć do góry jej sweter i rozpiąć bluzkę. Pozostali dwaj przyglądali się czynnościom lekarza. Na widok ukrytych pod białym stanikiem piersi sierżant mruknął:

- Chętnie bym je popieścił.

Kapitan zgromił go spojrzeniem, więc sierżant przełknął ślinę i powiedział:

- Przepraszam, oby wam kapitanie.

Lekarz osłuchał Anię, po czym odwinął jej powiekę i przez chwilę przypatrywał się źrenicy. Zadowolony podszedł do następnej trumny i zbadał Ścibora. W końcu wyprostował się mówiąc:

- W porządku. - Zerknął na zegarek - Odlatują za pół godziny... Zrobim im zastrzyki.

Wyjął z torby szare pudełko. Leżały w nim strzykawki i kilka buteleczek z gumowymi korkami. Major podwinął rękaw Ani, a potem Ściborowi. Z dużą wprawą kapitan wykonał po dwie iniekcje. Potem uśmiechnął się i wyjaśnił majorowi:

- Ten drugi zastrzyk to spora dawka morfiny. Gdyby obudzili się przed czasem, pomyślą, że są w niebie.

Wyjął z torby jeszcze jedną płaską kasetkę z plastiku i położył ją na piersi Ścibora.

- To antidotum. Instrukcja jest w środku - powiedział do majora.

- Starczy im powietrza?

- Na pewno. Obie trumny mają otwory wentylacyjne, a poza tym pod narkozą zużywają mniej tlenu niż normalnie... podobnie jak niedźwiedź w czasie snu zimowego.

Przez chwilę cała trójka przyglądała się leżącym postaciom.

- Wyglądają na zadowolonych - zauważył sierżant.

- Owszem - zgodził się kapitan. - W miejscu wiecznego spoczynku... Zamknijmy trumny.

Pokrywy były umocowane na zawiasach. Po opuszczeniu dokręcono je nakrętkami skrzydełkowymi. Miały one tu zasadnicze znaczenie. Zawsze, kiedy wieko przywożonej do Rosji wojskowej trumny umocowane jest takimi właśnie nakrętkami, wiadomo, że w środku znajdują się przedmioty należące do jakiegoś wysokiego rangą oficera. Zwłaszcza kiedy eskortuje ją major z czerwonymi naszywkami oficera sztabowego. W takich wypadkach kontrola zawsze przymyka oczy. Generalom wolno dorabiać sobie na boku - nieoficjalnie oczywiście.

Pół godziny później szesnaście trumien stało w rządzie przed antonowem AN24. Orkiestra odegrała hymn. Kompania honorowa wojska zaprezentowała broń. W końcu trumny załadowano, a major wsiadł do samolotu.

Trzy i pół godziny później wylądowano trumny na lotnisku wojskowym niedaleko Moskwy. Znów orkiestra odegrała hymn, a kompania honorowa prezentowała broń. Z ustawionego na płycie podium jakiś generał wygłosił krótkie przemówienie do pogrążonych w bólu krewnych. Położył nacisk na to, że śmierć w mundurze żołnierza Armii Czerwonej to śmierć bohatera, nawet jeśli została poniesiona w wypadku.

Wojskowe karawany odwoziły trumny. Generał dopilnował, żeby dwie ostatnie załadowano razem i żeby pojechał z nimi major. Zauważył, że były zamknięte nakrętkami skrzydełkowymi i wzbudziło w nim to uczucie zazdrości.

Godzinę później karawan zatrzymał się na małej uliczce w pobliżu Stadionu im. Lenina. Stojących tu budynków nie poddano żadnej modernizacji. Po jednej stronie ulicy stały stare czteropiętrowe kamienice, w których mieszcili się lokale mieszkalne. Drugą stronę zajmowały magazyny i zamykane na kłódkę garaże. Rzadko roztawione lampy uliczne niewiele dawały światła. Major wyjął wąsy z kieszonki. Pociął się idiotycznie, ale przykleił je. Potem polecił kierowcy nie wyłączać silnika, a sam wysiadł. Odszukał garaż z wymalowaną na czarno ósemką. Brązowe drzwi były mocno zniszczone. Major dostrzegł staromodny sznurek od dzwonka i pociągnął go. Gdzieś w głębi rozległ się dźwięk, a po chwili drzwi garażu się uchyliły. Z jego wnętrza sączyła się smuga światła, a jakiś głos zapytał:

- Słucham?

- Chciałbym rozmawiać z Borysem Gogolem.

- To ja.

Major pochylił się lekko w kierunku drzwi i cicho powiedział:

- Przywiozłem pańskie dzieci.

Drzwi otworzyły się teraz szerzej. Stał w nich mężczyzna wzrostu nie więcej niż półtora metra, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, żeby o tym zapomnieć; była nieproporcjonalnie duża, o wysokim, zaokrąglonym czole i długich białych włosach opadających na wąskie, zgarbione ramiona. Ale przede wszystkim dominowały w niej oczy. Były jasnoniebieskie i znużone jak u kogoś, kto pilnie się czemuś przygląda. Poza tym emanowała z nich inteligencja. Mężczyzna mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat. Rozejrzał się, dostrzegł karawan i powiedział:

- Czekalem na nie.

- Gdzie mam je wnieść?

- Tutaj.

Mały człowieczek otworzył drugą połowę drzwi, a major wrócił do karawanu i polecił kierowcy, aby tyłem wjechał do garażu.

Na szczęście zarówno major, jak i kierowca mieli dużo siły, bo wyglądało na to, że Borys Gogol jest sam. Próbował nawet im pomóc, gdy stękali z wysiłku, opuszczając trumny na zabrudzoną olejem podłogę, ale jego wysiłki sprowadziły się głównie do napominania ich, żeby byli ostrożni. Potem major polecił kierowcy wyjechać na ulicę i zaczekać. Zamknął za nim drzwi i zwrócił się do Gogola:

- Antidotum znajdziecie w trumnie mężczyzny. Instrukcja jest w kasetce. Umiecie posługiwać się strzykawką?

Mały człowieczek przytaknął. Major ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze i dodał:

- Jakies sześć godzin temu dostali dużą dawkę morfiny. Jeśli po przebudzeniu będą bardzo weseli, to właśnie dlatego.

- W porządku.

Major wyszedł z garażu. Idąc do karawanu pomyślał, że ta misja była nie tylko dziwna, była też niebezpieczna. Ale to nic. Miał teraz pewność, że za miesiąc awansuje na pułkownika, a za jakieś pięć lat na generała.

Otworzenie pierwszej trumny kosztowało Gogola sporo wysiłku; zamykający ją w Warszawie sierżant bardzo mocno dokręcił śruby. W końcu mały człowiek wziął młotek i poluzował je kilkoma mocnymi uderzeniami. Wreszcie uchylił wieko i zobaczył śliczną, spokojną twarz Ani. Przechylił głowę na bok i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, lecz nagle się przestraszył. Szybko ukląkł i sprawdził jej puls. W porządku - był prawidłowy. Odetchnął z ulgą i zabrał się do otwierania drugiej trumny. Na twarzy mężczyzny również malował się spokój. Gogol przyjrzał mu się uważnie i zadowolony pokiwał głową. Plastikowa kasetka zsunęła się na lewy bok Ścibora. Gogol wyjął ją i otworzył. Na strzykawkach i małej buteleczce leżała, odręcznie zapisana kartka. Gogol przeczytał ją dwukrotnie, w końcu wyjął buteleczkę i sprawdził dawkę. Następnie przekłut korek igłą i wciągnął odpowiednią ilość płynu. Najpierw wstrzyknął lek Ściborowi, potem Ani, a następnie przysunął sobie krzesło i czekał cierpliwie sam z sobą robiąc zakłady, kto też obudzi się najpierw.

Pierwsza była Ania. Dziesięć minut po wstrzyknięciu leku powieki jej drgnęły i podniosły się. Kiedy już mogła skupić wzrok dojrzała żarówkę zwisającą z brudnego sufitu. Potem przed oczami zamajaczyła jej jakaś twarz o długich białych włosach, wesolych oczach i uśmiechniętych ustach. Odwzajemniła uśmiech. Czulią się jakoś tak, jakby unosiła się w powietrzu. Wtem twarz przemówiła:

- Nie bój się. Jesteś tu bezpieczna. Dobrze się czujesz?

Ania uświadomiła sobie, że ten ktoś mówi po rosyjsku. Odpowiedziała w tym samym języku, choć trochę niewyraźnie:

- Tak... Co... Gdzie ja jestem?

- W Moskwie. - Mężczyzna uśmiechnął się szerzej. - Właściwie to leżysz w trumnie... ale żyjesz.

Ania uniosła głowę i rozejrzała się. Dostrzegła drugą trumnę i myśli jej się rozjaśniły.

- Mirek?

- Nic mu nie jest. Śpi jeszcze. Niedługo się obudzi.

Ania usiadła zginając ręce i nogi.

- Możesz wstać? - zapytał. - Trzymaj się mnie.

Z jego pomocą Ania powoli wstała i wyszła z trumny.

- Kręci mi się w głowie.

- Dostałaś zastrzyk z morfiny, ale to wkrótce minie.

Usłyszeli jęk. Ścibor pocierał oczy. Ania szybko podeszła do niego, uklękła i wzięła jego dłoń w swoje ręce. Gogol nie rozumiał ani słowa po polsku, ale domyślił się, że pośpiesznie wypowiedane zdania stanowią wyjaśnienie. Ścibor zadawał jakieś pytania. Na niektóre Ania odpowiadała, z innymi nie umiała sobie poradzić. Potem pomogła mu wyjść z trumny. Stanąwszy na nogach, przesunął ręką po głowie i z pytającym spojrzeniem popatrzył na małego człowieczka.

Gogol uśmiechnął się i powiedział:

- Witaj w Moskwie, Mirosławie. Byłeś nieprzytomny przez jakieś sześć i pół godziny. Ja jestem Borys Gogol.

Ścibor potrząsnął głową próbując odrzucić resztki senności. Chwiejnym krokiem podszedł do Rosjanina i podał mu rękę. Gogol mocno ją uściśnął.

- Jak się tu znaleźliśmy?

- Niewiele wiem - wruszył ramionami Gogol. - Powiedziano mi tylko, że mniej więcej o tej porze ktoś was tu przywiezie... i że ten ktoś poda hasło "Przywiozłem pańskie dzieci", a ja mam odpowiedzieć "Czekałem na nie".

- Jak on wyglądał?

- Miał na sobie mundur majora Armii Czerwonej.

- A czy miał wąsy, które wyglądały na dołejane?

Gogol uśmiechnął się.

- O tak... Ciągłe ich dotykał, jakby chciał się upewnić, że nie odpadły.

Ścibor skinął głową, przetarł ręką twarz i rozejrzał się po garażu.

- Gdzie się zatrzymamy?

Rosjanin wskazał jakieś drzwi w tyle pomieszczenia i przepaszającym głosem wyjaśnił:

- Część garażu została przerobiona na małe mieszkanie. Jest bardzo skromne. Chodźcie, zrobię wam herbaty.

Idąc za gospodarzem, przeszli przez maleńki, zagracony korytarz i znaleźli się w pokoju. Uderzył ich tu widok mnóstwa książek. Zajmowały półki od podłogi po sufit, leżały na stolikach i na zniszczonym dywanie. Rosjanin uprzątnął dwa stare fotele stojące przy elektrycznym piecyku i zaprosił, by usiedli. Potem podszedł do urządzonej w niszy kuchni i zajął się zabytkowym samowarem. W końcu wrócił z tacą zastawioną filiżankami. Nalał do nich herbatę, po czym zdjął książki z wiklinowego fotela i usiadł.

- Mielście chyba ciekawą podróż.

- Dobrze, że już się skończyła - stwierdziła Ania.

Rosjanin uśmiechnął się do niej.

- Im podróż bardziej męcząca, tym przyjemniejszy jest powrót do domu. Naturalnie trudno to nazwać domem, ale postaram się, żeby niczego wam nie brakowało. Trochę tu ciasno, ale nie zabawicie u mnie długo.

- Mieszka pan sam?

Powiódł wzrokiem po pokoju i z odrobiną smutku w głosie odparł:

- Tak, razem z moimi książkami. One są moją rodziną i przyjaciółmi. To tylko czasowe lokum i nie powinienem był ich tu przywozić... ale nie mogę bez nich żyć.

- Czy wszystkie pan przeczytał? - zacięwała się Ania.

- Tak. Niektóre nawet po kilka razy. Są moim oknem na świat.

- Jakie są dalsze plany? - spytał Ścibor.

Rosjanin dopił herbatę i ostrożnie odstawił filiżankę. Kiedy podniósł wzrok, twarz miał poważną. Była to twarz człowieka, który rozkazuje.

- Od tej chwili podlegacie bezpośrednio mnie. To ostatnia faza planu i ja nią dowodzę. Wszystko ułożone jest w najdrobniejszych nawet szczegółach. A jeśli macie przeżyć, to realizacja musi być równie skrupulatna.

- Oddaję się teraz w pańskie ręce. Czy Ania tu zostanie?

Gogol uprzejmie skłonił przed nią głowę.

- Tak - spojrział na zegarek - Właśnie zaczął się nowy dzień, ósmy lutego. Wizyta profesora Szafera u Andropowa w Klinice im. Serbskiego przewidziana jest na wpół do dwunastej dziewiątego. Profesor Chazow zabierze go z hotelu o jedenastej. Jutro omówimy szczegóły zamiany. Wszystko musi być jak w zegarku. Jazda samochodem z hotelu do kliniki zajmie jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Po wizycie wróćcie do hotelu. Musisz pozbyć się Chazowa. To raczej nie powinno być trudne, bo Szafer znany jest ze swej szorstkości.

- Całkiem prosty plan - zauważył Ścibor.

Gogol potwierdził skinieniem.

- Najlepsze plany są proste, a czyni je takimi wiele drobnych elementów i nigdzie nie można popełnić błędu. Jeśli zawalisz choćby jeden szczegół, cały plan bierze w łeb.

Polak poważnie skinął głową i zapytał:

- A jak właściwie mam go zabić?

- Chodź ze mną, pokażę ci.

Ścibor wstając spojrział na Anię, ale ona potrząsnęła głową i odwróciła się.

Wszedł za Rosjaninem do sąsiedniego pokoju. Była to sypialnia. Stały tu dwa łóżka, komoda i drewniany manekin. Wisiał na nim elegancki ciemnoszary garnitur. Gogol wskazał na niego palcem.

- Chciałbym, żebyś go przymierzył, zanim pójdziesz spać. Powinien pasować, ale gdyby nie, to rano oddamy go do poprawki. W szafce są buty; mają lekko podwyższone obcasy. Przymierz je także. Powinny być dobre.- Wskazał

ręką stolik - Tu masz kilka podręczników na temat urologii. Pomyślałem, że pewnie będziesz chciał trochę odświeżyć swoją wiedzę.

Ścibor ledwie go słyszał. Przyglądał się czterem fotografiom przypiętym do ściany. Przedstawiały naturalnej wielkości głowę Szafera: jedna z profilu, druga z tyłu, dwie pozostałe en face. Na tych ostatnich widać było, że z zadowoleniem pozuje do zdjęcia. Ścibor przyjrzał im się uważnie, po czym podeszedł do wiszącego obok lustra. Podobieństwo było uderzające. Będzie musiał tylko podstrzyć nieco wąsy i mocniej zaznaczyć brwi. Twarz miał wprawdzie szczuplejszą, ale temu można było zaradzić.

Był trochę zdenerwowany, lecz teraz coraz bardziej się uspokajał. Wyczuł, że ten mały człowieczek zadbał o wszystko.

Gogol podeszedł do komody i wysunął górną szufladę. Wyjął z niej niewielki skórzany futerał, położył go na stoliku i otworzył.

- Nawet obecnie, mając nowoczesne skomputeryzowane aparaty, wszyscy lekarze - także specjaliści - lubią posłuchać serca swojego pacjenta.

Ścibor spojrział na leżący w futerales stetoskop. Gogol podniósł go delikatnie do góry. Chromowany mały krążek dyndał w powietrzu. Bardzo ostrożnie Rosjanin położył go na lewej dłoni.

- Możesz użyć stetoskopu dopiero przy końcu badania. W krążku są dwie krótkie, ostre igły. Naturalnie będziesz musiał dotknąć klatki piersiowej w kilku miejscach. Gdy przycisniesz krążek palcem, nawet nie poczujesz ukucia... Wierz mi, sprawdziliśmy to. Te igły zawierają bardzo oryginalną truciznę o nazwie ricin. A przy okazji cielawostka - wynaleziono ją w laboratoriach KGB, a jej działanie przetestował wywiad bułgarski na zdrajcach w Paryżu i Londynie. Tylko że oni używali parasoli z igłą w szpicu. Trochę było to niezręczne, ale udawało się w Paryżu i prawie udało się w Londynie. Jeśli wbijesz igły w skórę blisko serca, nie zawiedzie na pewno.

Ścibor wpatrywał się w ten kawałek metalu jak zahipnotyzowany. W końcu zapytał:

- Po jakim czasie zacznie działać?

Gogol ostrożnie schował stetoskop.

- Po dwudziestu minutach poczujesz się senny i zaśnie. W ciągu godziny pogrąży się w stanie śpiączki, a po jakichś dwóch godzinach umrze. Będziesz miał wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do hotelu i zniknąć. - Odłożył futerał do szuflady.

- Czy jest na to jakaś odtrutka?

Długie włosy Gogola zafalowały, kiedy przecząco potrząsał głową.

Następne dwadzieścia cztery godziny wypełnił niespokojny sen, intensywne nauki i spożywane w przerwach posiłki. Chwilami Ścibor popadał w rozpacz. Wyobrażał sobie, że zostanie zasypany tysiącami pytań, a odpowiedzię potrafi tylko na kilka.

Ania próbowała mu pomóc odpytując go z ksiązką, lecz zaraz zarzucili tę metodę. Ścibor zdenerwował się po pierwszym pytaniu, na które nie miał odpowiedzi. Rozumiała, w jakim jest napięciu, więc przeszła do drugiego pokoju, gdzie Gogol powitał ją współczującym uśmiechem i dał coś do czytania.

W piątek dziesiątego o szóstej rano żyły sfrustrowany Ścibor zatrzęsłał podręcznik. Zdecydował, że brak wiedzy zrekompensuje sprytem i agresją.

O siódmej usiadł na krześle owinięty ręcznikiem. Przypatrując się fotografiom, Ania uważnie przystrzygła mu wąsy i włosy na larku. Przyciemniła troszkę brwi i położyła lekką cień na kości policzkowej. Robiła to powoli i z najwyższą uwagą. W końcu odeszła dwa kroki, przyjrzała mu się uważnie i zadowolona pokiwała głową.

- Przejrzyj się.

Ścibor obejrzał się w lustrze ze wszystkich stron. Porównał swoje odbicie ze zdjęciami i z uznaniem skinął głową.

- Podobieństwo jest niemal idealne.

Na łóżku leżało przygotowane ubranie. Nie trzeba było robić żadnych poprawek.

- Muszę się ubrać.

Ania usiadła na krześle.

- Nie przejmuj się mną.

Przez moment wahał się, ale zrzucił ręcznik. Ania patrzyła spokojnie, jak się ubiera. Potem wstała i poprawiła mu krawat.

- Wyglądasz bardzo elegancko... Jak się czujesz?

- Wystraszony... ale nienawiść bierze górę nad strachem.

Ania stała bardzo blisko. Popatrzyli sobie w oczy. Powoli wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Potem podeszła do małego okienka. Dzień był jeszcze szary. Ścibor przyglądał się jej. Potem wziął ze stołu małe przedmiot przypominający aparat słuchowy i włożył go do lewego ucha.

Czekający w pokoju z książkami Gogol sprawdził działanie urządzenia. W rękę trzymał metalowe pudełko wielkości paczki papierosów. Dwukrotnie nacisnął jakiś przycisk.

- Słyszysz?

- Bardzo wyraźnie - skinął głową Ścibor. - A wy słyszycie stamtąd?

Ania i Gogol zaprzeczyli. Rosjanin zaczętnął głęboko powietrza i powiedział:

- W porządku. Musimy iść. Pożegnajcie się. Zaczekał na ciebie w korytarzu.

Wyszedł zostawiając ich samych. Zapadło niezręczne, milczenie. Oboje wiedzieli, że nawet jeśli Ściborowi się uda, to nie zobaczą się już w Rosji. Opuszczają ten kraj innymi drogami. Nie mówili o tym, co będzie. Starali się nawet o tym nie myśleć. Objęli się. Ania nie płakała.

- Za kilka godzin będzie po wszystkim - powiedział Ścibor. - Kocham cię, Aniu.

Przytulił ją mocno, pocałował w policzek i czekał, aż coś powie. Była bardzo spięta.

- Aniu, proszę. Życz mi szczęścia.

Zaprzeżyła ruchem głowy mówiąc:

- Kocham cię. Idź już.

Popatrzył na nią przez chwilę. W końcu skinął głową na znak zrozumienia i odszedł.

Ania słyszała, jak zamykają się drzwi wejściowe. Powoli ukłękła i modliła się za niego, za siebie, i za Andropowa.

Profesor Szafer ogolił się bardzo starannie. Od wczesnej młodości zarost odrastał mu niebyle wale szybko. Było w pól do jedenastej i profesor postanowił, że nie dopuści, aby cokolwiek zepsuło mu ten dzień.

W wystroju hotelowej łazienki dominowały lustra i marmury. Szafer czuł się tu dowartościowany. Oplukał twarz wodą i wytarł grubym białym ręcznikiem. Potem ostrożnie przyciął wąsy małymi nożyczkami i o długich ostrzach. W końcu przyjrzał się swemu lustrzanemu odbiciu i doszedł do wniosku, że naprawdę jest przy stojny. Polknął jeszcze dwie tabletki amplexu i przeszedł do sypialni. Na dużym łóżku leżała przygotowana biała koszula, krawat w kolorze kasztanowego brązu i ciemnoszary garnitur. Właśnie wpuszczał koszulę w spodnie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Szybko zasunął rozpięty i poszedł je otworzyć.

Na progu stała Helena z uśmiechem na twarzy i małą butelką szampana w ręku. Na widok jego zdziwienia poweselała jeszcze bardziej.

- Przyszłam życzyć ci powodzenia, Stefanie.

Zbity z tropu zaprosił ją do środka. Weszła majestatycznym krokiem, głośno zachwycając się luksusem pokoju i postawiła szampana na stoliku. Zdjęła futro i niedbale rzuciła je na łóżko. Potem zarzuciła mu ręce na szyję i namiętnie go pocałowała.

Oswobodził się z jej objęć i zapytał:

- Co tu robisz tak wcześnie?

Helena wyduła wargi.

- Dzięki Bogu, te nudne zajęcia wcześniej się dzisiaj skończyły. W samą porę zdążyłam zabrać szampana i przyjść do ciebie. Pomyślałam, że tutaj zaczekam na twój powrót. Są tu jakieś kieliszki?

Uśmiechnął się do niej z czułością.

- Heleno, nie mogę teraz pić szampana. Muszę mieć jasny umysł.

Znalazła już kieliszki. Wybrała dwa na wysokich nóżkach i postawiła je na stole mówiąc:

- Co tam! Jeden kieliszek ci nie zaszkodzi, a nawet rozjaśni ci trochę umysł. Nie cieszysz się, że przyszedłam?

- Oczywiście, że się cieszę. - Zaczął zakładając krawat. - Ale teraz nie będę pił szampana. Zachowaj go na mój powrót.

Odpowiedź była bardzo głośna; aż podskoczył, gdy korek uderzył w sufit i wyładował gdzieś w kącie. Helena nalała musującego szampana do kieliszków, a Szafer włożył marynarkę i uśmiechając się, przecząco pokręcił głową.

- Heleno, nie mogę. Poczekaaj, aż wrócę.

Wyglądała na bardzo rozczaloną.

- Zwiertże do tego czasu.

- Nic nie szkodzi. Zamówię drugą butelkę.

- Nie kochasz mnie.

Znow się uśmiechnął.

- Ależ kocham cię. - Objął ją i mocno przytulił. - Zaraz po mnie przyjadą. Naprawdę zaczekasz tu na mnie?

- Tak Będę czekać w łóżku... naga. - Poczuli na udzie jego erekcję i dodała załotnie: - No a teraz nie psuj mi zabawy i napij się ze mną szampana.

Tym razem ustąpił i szepnął jej do ucha.

- Dobrze, ale tylko pół kieliszka.

Wypuścił ją z objęć sięgnął po kieliszek, gdy akurat zadzwonił telefon.

Szafer wznuszył ramionami i poszedł go odebrać.

- Słucham.

Helena otworzyła torebkę.

- Tak profesorze Chazow, jestem gotowy. Już schodzę.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się. Helena stała w rozroku, lewą ręką podtrzymując prawą, w której miała pistolet z tłumikiem. Celowała prosto w jego serce.

- Byłoby lepiej, gdybyś wypił tego szampana - powiedziała zimnym głosem.

Szafer otworzył usta ze zdziwienia.

- Heleno...? Co... Co to znaczy?

- Zrobisz krok, a zabiję cię. Umiem się tym posługiwać. Doskonale strzelam.



Na stole leżała otwarta torebka. Helena sięgnęła do niej lewą ręką - lufa pistoletu nawet przy tym nie drgnęła - i wyjęła metalowe pudeleczko wielkości paczki papierosów. Położyła je na stole. Nie spuszczać oczu z mężczyzny, znalazła guziczki i dwukrotnie go nacisnęła. Ta prosta czynność trochę ją rozluźniła. Odetchnęła swobodniej i zbliżyła się nieco do Szafera mówiąc:

- Usiądź na tym krześle. Posiedzimy tak sobie kilka godzin, a potem już nigdy więcej nie będę musiała cię oglądać ani wachać twojego cuchnącego oddechu.

Znajdujący się w pokoju dwa piętra niżej Ścibor wyjął słuchawkę z ucha i rzucił ją Gogolowi.

- Już czas. Schodzę.

Poprawił krawat i chwycił czarną lekarską torbę.

- Powodzenia. Czekam na ciebie - powiedział Rosjanin.

Ścibor przełknął ślinę, skinął głową i wyszedł. Wsiadając z windy wziął głęboki oddech i powiedział sobie, że zbliża się punkt kulminacyjny. Odsunął wszystkie niepotrzebne myśli i rażym krokiem wszedł do hallu. Gogol pokazał mu wcześniej zdjęcie profesora Jewgienija Chazowa. Ścibor zauważył jego korpulentną postać przy recepcji. Zwolnił teraz i skierował się w jego stronę. Pewnym siebie głosem Chazow powiedział:

- Profesorze Szafer, to dla mnie zaszczyt i przyjemność.

Ścibor przełożył torbę do lewej ręki i lekko ujął wyciągniętą do niego dłoń. Potem Chazow wziął go pod rękę i wyszli z hotelu. Czekala na nich długa czarna limuzyna, a umundurowany kierowca otworzył tylne drzwi. Chazow zaprosił polskiego kolegę do środka. Od przednich siedzeń oddzielała ich szyba.

Gdy tylko ruszyli z miejsca, Rosjanin zaczął przejęty:

- Bardzo zainteresował mnie najnowszy pański artykuł "Wpływ dializy na powstawanie kwasicy metabolicznej". Ile przypadków zbadano?

Ścibor miał duszę na ramieniu. Nie znalazł tego artykułu, nie miał też zielonego pojęcia, ile przypadków zwykle się bada. Poczul pustkę w głowie, ale przypomniał sobie akurat, że Szafer nie lubi dzielić się swoimi doświadczeniami, a w dodatku znany jest z szorstkiego obejścia. Postanowił więc cały czas tak się zachowywać i odparł spokojnie:

- Wystarczająco wiele.

Zapadła cisza. Po chwili Chazow odchrząknął i wyjął przepaszając:

- Tak naturalnie... I rezultat był zadowalający...

To wy gasiło rozmowę na jakieś dziesięć minut. W tym czasie opuścili centrum. Chazow ponowił próbę. Chrząknął nieśmiało i zaczął:

- Niedawno miałem przyjemność poznać profesora Edwarda Lenczowskiego. Było to na sympozjum w Budapeszcie weszliśmy roku w październiku. Słyszałem, że panowie pracowali razem... Co pan o nim sądzi?

Ścibor spojrział na niego i odparł oschle:

- Cóż, chyba udało mi się nauczyć go czegoś nowego.

Tym razem Chazow uśmiechnął się blade i odrzekł:

- Właśnie. Odniosłem wrażenie, że on jest trochę... nazwijmy to, przesadnie hołduje tradycyjnym metodom leczenia.

Ścibor ledwie skinął głową i odwrócił się do okna. Prószył śnieg, a nieliczni przechodnie wyglądali jak góry futra. Ścibor sprawdził wcześniej całą trasę na mapie i wiedział, że są już bardzo blisko. Poczul, że siedzący obok Chazow poruszył się, sięgając do kieszeni. W chwilę potem podał mu plastikową plakietkę, mówiąc nieśmiało:

- To jest pańska przepustka. Niestety, środki bezpieczeństwa są bardzo ostre. Wierzę, że pan to rozumie. Każdy poddawany jest także rewizji osobistej...

Ścibor ponownie spojrział na Chazowa mówiąc:

- Oczywiście, że rozumiem.

Samochód skręcił teraz w lewo, w wąską, wysadzaną drzewami alejkę. Po obu jej stronach co kilka metrów stali żołnierze z karabinami i maszyny nowymi.

Po przejechaniu jakichś dwustu metrów natrafili na blokadę. Chazow opuścił szybę i podał plastikową przepustkę strażnikowi w randze kapitana. Ten sprawdził ją, po czym z kamienną twarzą, bez choćby jednego słowa, zwrócił Chazowowi i gestem pozwolił kierowcy jechać dalej. Sto metrów dalej zatrzymali się przed wbudowaną w betonowy mur wysoką stalową bramą. Ponownie sprawdzono dokumenty, porównując fotografie z twarzami. I tym razem cała procedura odbyła się bez żadnego przyjaznego gestu. W końcu bramę otworzono i wjechali na zalany światłem reflektorów dziedziniec.

Ścibor dostrzegł przy najmniej kilkunastu strażników KGB. Niektórzy przytupywali w miejscu, próbując rozgrzać zmarznięte stopy. Zaraz po zatrzymaniu się kierowca wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. W drodze do budynku eskortował ich major KGB.

W obszernym przedsiönku czekało już kilku oficerów KGB z samym Wiktorem Czebrikowem na czele. Rozpływając się w pochwałach nad talentem Szafera, Chazow go przedstawił. Ścibor wiele słyszał o Czebrikowie i serce zabiło mu szybciej, gdy się z nim witał.

- Bardzo się cieszymy, że zechciał pan do nas przyjechać - powiedział grzecznie Czebrikow. - Przykro mi, ale musimy pana zrewidować. Proszę zrozumieć, to standardowa procedura. Każdy musi przez to przejść.

Ścibor skinął głową na znak, że nie ma nic przeciwko temu, i postawił torbę na stole. Rewizja rzeczywiście była bardzo drobiazgową; musiał zdjąć marynarkę i opróżnić kieszenie. To samo zresztą zrobił profesor Chazow. Próbuąc zachować znużony i pogardliwy wyraz twarzy, Ścibor zastanawiał się, czy wyjdzie żywy z tego budynku. Prowadzący rewizję osobistą młody porucznik KGB obmacał mu nawet genitalia.

Wreszcie porucznik skończył, a dwaj inni oficerowie kontynuowali sprawdzanie torby. Otworzyli skórzany futerał, ale widząc stetoskop, zamknęli go z powrotem. Jednak na widok ułożonych w kasetce z orzechowego drzewa skalpeli firmy Solingen oficer spojrział pytająco na Czebrikowa, który przecząco pokręcił głową:

- Przykro mi, panie profesorze. Będzie pan musiał zostawić je u nas w depozycie.

Ścibor obojętnie wzruszył ramionami.

W końcu oddano mu torbę i Czebrikow poprowadził ich do biura kierownictwa administracyjnego budynku. Zastali tam jakiegoś rosyjskiego lekarza. Kiedy mu go przedstawiono, Ścibor przypomniał sobie jego nazwisko - członek akademii Leonid Pietrow. Był to starszulek dobiegający siedemdziesiątki. Ścibor pamiętał, że w Florencji - to chyba całe wieki temu - ksiądz Gamelli opowiadał mu o nim. Pietrow był najlepszym w Rosji specjalistą w dziedzinie urologii i nieco pogardliwie wyrażał się o medycynie zachodniej nazywając ją "nowoczesnymi sztuczkami". Był to człowiek cyniczny i przykry w obejściu. Jego zachowanie świadczyło, że uważa Szafera za młodego parweniusza. Zdenerwowany Ścibor dziękował w duchu księdzu Gammelmu, że uprzedził go, jak ma traktować Pietrowa.

Podano herbatę, a Chazow wręczył Ściborowi teczkę z jak powiedział, szczegółową historią choroby pacjenta. Ścibor rozłożył ją na kolanach i zaczął czytać. Wszystkie raporty były po polsku. Wyglądało na to, że Rosjanie gruntownie przygotowali się do spotkania i pragnęli uniknąć jakichkolwiek nieporozumień mogących powstać przy czytaniu tekstu w obcym języku.

Po polsku czy nie, i tak prawie nic z tego nie rozumiał. Wiedział, że będzie musiał nadrabiać zrozumiałością i bezczelnością. Przez piętnaście minut udawał, że zapoznaje się z dokumentami, z wynikami prześwietleń, badań EKG, moczu i krwi. Rosjanie tymczasem cicho rozmawiali. Kiedy skończył, zamilkli i patrzyli na niego wyczekująco.

Prychnął pogardliwie, wzruszył ramionami i zapytał Piętrowa:

- Czy zniszczenie nefronu jest bardzo duże?

- No cóż, stan nie jest zbyt dobry.

Ścibor westchnął głośno.

- Naturalnie. A propos, kiedy wykonano te badania?

- Wszystkie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin - odparł Chazow.

Ścibor rzucił mu spojrzenie, które można było odeczytać zarówno jako wyraz uznania, jak i drwiny.

- Czy badania poziomu kreatyniny również?

- Oczywiście.

Przez moment na twarzy Polaka malowała się pogarda.

- Chciałbym zobaczyć świeży wynik badania osadu moczowego i poziomu elektrolitów. Moim zdaniem testy te powinny być przeprowadzane dwa razy na dobę. - Mówiąc to patrzył na Piętrowa. Nie doczekał się komentarza, więc wziął głęboki oddech i dodał: - A teraz chciałbym zbadać pacjenta.

Wszyscy wstali i ruszyli za Czebrikowem. Chazow niósł torbę Ścibora. Idąc długim pomalowanym na biało korytarzem, przeszli przez trzy pary wahadlowych drzwi. Przy każdym stało dwóch strażników z karabinami maszynowymi. Kolejni dwaj pilnowali ogromnych drzwi prowadzących do głównego VIP-owskiego apartamentu kliniki. Pierwszy wszedł do środka Czebrikow.

Tymczasem Ścibor zapytał:

- A jak przedstawia się stan psychiczny pacjenta?

Odpowiedź Piętrowa była natychmiastowa i opryskliwa.

- Nie powinno to was obchodzić. Proszę ograniczyć swoje zainteresowanie do stanu fizycznego.

Ścibor wiedział, jak zareagowałby na jego miejscu Szafer, więc szorstkim głosem powiedział:

- Stan fizyczny nierozdzielnie łączy się ze stanem psychicznym i skuteczne leczenie musi być oparte na analizie obydwu elementów. Ale mniejsza o to. Sam się zorientuję.

Piętrow chciał właśnie coś odpowiedzieć, lecz drzwi się otworzyły i Czebrikow gestem zaprosił ich do środka. Przez mały przedśrodek weszli do ogromnego pokoju, który przy pominięciu sypialni w apartamencie luksusowego hotelu. Wysokie, sięgające od podłogi do sufitu okna przesłonięte były atlasowymi zasłonami, a na podłodze leżał gruby strzyżony dywan. W rogu ustawiono niewielki stolik otoczony fotelami. Przy oknie stało łóżko; jego wezglowie było wysoko podniesione. W pokoju czuwał dwóch strażników z karabinami maszynowymi; zimnym wzrokiem obserwowali każdy ruch Polaka. Ubrany w zielony chirurgiczny strój Andropow siedział na łóżku i rozmawiał przez telefon. Gdy zobaczył wchodzących, odłożył słuchawkę.

Wystarczył jeden rzut oka na tego człowieka i Ścibor poczuł, że wszelki strach i napięcie go opuszcza. Mógł myśleć zupełnie jasno i postanowił, że bez względu na to, czy ma przeżyć, czy umrzeć, odegra swoją rolę perfekcyjnie.

Profesor Chazow podprowadził go do łóżka. Na widok Ścibora Andropow wyprostował się, patrząc na niego uważnie, lecz zaraz się rozluźnił. Chazow przedstawił wezwanego na konsultację profesora, ale generalny sekretarz nie podał mu ręki. Nieznacznie tylko skinął głową i powiedział:

- Jestem mocno zobowiązany naszym polskim przyjaciółom za wasz przyjazd.

Ścibor lekko skinął głową i odparł:

- To dla mnie zaszczyt, towarzyszu generalny sekretarzu, że mogę służyć pomocą... Czuję się ogromnie zaszczycony.

- Proszę zaczynać - polecił Andropow.

Ścibor przypomniał sobie wszystko, co słyszał o sposobie prowadzenia badania przez Szafera, więc powiedział:

- Towarzyszu generalny sekretarzu, przeprowadzę teraz bardzo ogólne badanie. Zdążyłem już zapoznać się z pisanymi przez waszych znakomitych lekarzy raportami na temat stanu waszego zdrowia. Chcę po prostu bezpośrednio poznać wasz ogólny stan fizyczny.

Andropow skinął głową na znak akceptacji. Chazow i Piętrow stanęli po drugiej stronie łóżka, a Czebrikow w nogach. Ścibor zauważył rurkę przymocowaną do lewej ręki Andropowa. - Od kiedy podłączony jest cewnik A/V?

Chazow sprawiał wrażenie niespokojnego.

- Od około trzydziestu godzin - odparł. Ścibor zacisnął usta, po czym zapytał:

- A jak odbija się to na stanie psychicznym pacjenta?

Andropow odwrócił oczy w jego stronę i powiedział oschle:

- Co za bezczelność!

Ścibor wyobraził sobie Szafera w tej sytuacji; uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową.

- Ależ nie ma powodu do obrazy. Celem dializy jest eliminacja produktów przemiany materii, a w szczególności mocznika. Powszechnie wiadomo, że ciągle monitorowanie może spowodować podświadomy stres, co z kolei

prowadzi do pogorszenia stanu fizycznego. Proszę mi wierzyć - ja nie kwestionuję stanu waszego umysłu, ale chciałbym poznać zdanie lekarzy opiekujących się wami od dawna.

Andropowa to wyjaśnienie udobruchało, lecz nie Pietrowa, który zadziornie odparł:

- To tylko hipoteza. Nie stwierdziłem żadnej zmiany w stanie psychicznym pacjenta ani podświadomej, ani żadnej innej.

- To dobrze - uznał Ścibor i postanowił wykorzystać podsunięty mu przez Gamellego haczyk na Piętrowa, toteż patrząc na niego zapytał: - Wśród wyników, które mi pokazano, nie zauważyłem badania USG. Czyżby się gdzieś zawieruszyło?

Zapadła ciężka cisza; delektował się każdą jej chwilą. Wiedział, że to badanie zaczęto wykonywać dopiero parę miesięcy temu, a i to tylko w najlepszych klinikach na Zachodzie. Ksiądz Gamelli słusznie domyślał się, że Rosjanie jeszcze nie stosują tej metody.

- Nie robiliśmy tego badania - odrzekł głosem pokonanego Chazow.

Ścibor westchnął głośno.

- Radziłbym je zrobić... podobnie jak test wydalania fenylosul-fotaleiny... i to jak najszybciej. Jeśli to możliwe, jutro chciałbym zapoznać się z wynikami.

Mając świadomość utkwionego w sobie wzroku Andropowa, Chazow nerwowo przełknął ślinę i odparł:

- Oczywiście, panie profesorze.

Pietrow nie odezwał się ani słowem. Ścibor w myślach podziękował księdzu Gamellemu; teraz był górą. Pochylił się nad szefem sowieckiego imperium i odwijając prawą powiekę obserwował oko.

- Sprawdzam, czy nie wystąpiły krwawe wylewy do siatkówki.

Puścił powiekę chorego i zapewnił:

- W porządku, nie ma. - A Piętrowa zapytał: - Czy wystąpił spadek zdolności zagęszczania moczu?

- Niewielki - niechętnie przyznał Pietrow.

- Należy prowadzić stałą kontrolę - rzekł z naciskiem Ścibor.

Uznał, że nie może już dalej kusić losu i czas kończyć. Ze stojącej za nim torby wyjął skórzany futerał, a z niego ostrożnie dobył stetoskop, co wywołało nieco pogardliwą uwagę Piętrowa:

- Sądziłem, że młodzi cudotwórcy, tacy jak pan, stosują tylko nowoczesne badania w stylu EKG.

Ścibor posłał mu protekcyjny uśmiech, a do Andropowa powiedział:

- Medycyna łączy w sobie naukę, sztukę i intuicję, dlatego chciałbym posłuchać waszego serca, towarzyszu generalny sekretarzu.

Na Andropowie zrobiło to spore wrażenie. Przyzwolił łaskawym skłineniem głowy i zaczął rozpinąć szlafrok. Ścibor poczuł zbierającą nienawiść. Postarał się stłumić ją trochę, założył stetoskop i rozchylił ubranie Andropowa.

Ciało było blade i sflaczałe. Gdzieś tam rosły kępki białych włosów, ale większość zgolono, pewnie gdy robiono EKG. Ścibor pochylił się. Dłoń lekko mu drżała ze zdenerwowania, ale odetchnął głęboko i zapanował nad sobą. Ostrożnie przyłożył słuchawkę po prawej stronie serca. Mocno naciskając ją palcem spojrział Andropowowi w oczy, mówiąc sobie w myślach: "To za ojca". Odczekał jakieś dwadzieścia sekund. W uszach usłyszał bicie serca. Wyobraził sobie, jak wpływa w nie trucizna, by unieruchomić je na zawsze. Potem przesunął słuchawkę tuż pod serce. Znów spojrział w oczy Andropowa i nacisnął, myśląc: "A to za matkę". Dwadzieścia sekund później przesunął słuchawkę w górę - tuż nad serce - i stuknął w nią palcem, raz, drugi, trzeci. Niemal czuł, jak wewnętrznie drży z wściekłości i całą siłą woli powstrzymał się od głośnego powiedzenia: "A to za moją siostrę".

Patrzył Andropowowi prosto w oczy. Widział w nich zaintrygowanie. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jego mina zdradza to, co dzieje się w jego wnętrzu; częściowo nie panował już nad sobą. Ale jeszcze jakaś cząstka świadomości pilnowała, żeby nie dać ofierze satysfakcji zabrania go ze sobą na tamten świat. Wyprostował się więc z uśmiechem i powiedział:

- Znakomicie. Biorąc pod uwagę wasz stan zdrowia, jest naprawdę świetnie.

Teraz w oczach Andropowa odmalowało się zadowolenie.

- A więc jaka jest wasza opinia?

Ścibor umieścił słuchawkę w futerale i włożył ją do torby.

- Towarzyszu generalny sekretarzu - zaczął - moim zdaniem wasz stan nie jest aż tak poważny, jak wam to mówiono. Naturalnie chciałbym jeszcze raz przejrzeć historię choroby i zapoznać się z wynikami badań, które zleciłem, ale jeśli zastosuje się odpowiednie leczenie, to jeszcze przez wiele lat możecie cieszyć się dobrym zdrowiem.

Ani Chazow, ani Pietrow nie potrafili ukryć powątpiewania, ale Andropow promieniował zadowoleniem.

- Chciałbym zbadać was ponownie za jakieś dwa, trzy dni - dodał Ścibor.

- Będę na to nalegał - zapewnił Andropow, a do Czabrikowa powiedział: - Dopilnujcie, żeby profesorowi Szaferowi niczego nie brakowało... niczego.

Tymczasem Stefan Szafer wybuchł niczym wulkan. Od godziny już siedział w hotelowym pokoju i czuł, jak wściekłość i ponizienie zbiera w nim i gotuje się niczym lawa. Patrzył na Helenę i myślał o tym, co mu zrobiła. Przy pomnił sobie słowa, którymi się przed nią otwierał, i uczucie, które jej ofiarował i którego oczekiwał, i to przekonanie, że ona go kocha.

Teraz widział jej piękną twarz tuż nad lufą pistoletu. Patrzył w oczy, z których wyzierała nie ukrywana pogarda. To właśnie ta pogarda ostatecznie go zamała. Zrozumiał, co właściwie się stało. Zrozumiał, że ta kobieta wystawiła go do wiatru. Nie mógł już znieść dłużej takiej hańby. Helena założyła nogę na nogę i westchnęła znużona.

Do uczucia ponizenia dołączyła teraz wściekłość. Z dzikim krzykiem rzucił się na nią, wyciągniętymi palcami szukając gardła. Zdążyła wystrzelić dwa razy. Pierwsza kula utkwiała mu w żołądku, druga w płucach. To powinno go powalić, ale w tej chwili wydawał się mieć ponadludzką wytrzymałość. Wściekłość dodała mu sił. Zdołał pokonać dzielące go od kobiety trzy metry i zwałił się na nią, wytrącając pistolet z ręki. Przedramieniem uderzył ją w twarz oszalamającą na chwilę. W końcu oboje upadli na dywan, a Szafer zaczął ją dusić. Okładała go rękami, lecz jego palce mocno wbijały się w jej szyję.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Szafer patrzył, jak twarz Heleny czerwienieje, a potem sinieje. Sam też dyszał z bólu i wysiłku. Widział jej wytrzeszczone oczy i wystający z ust język.

Nie zdołał się uspokoić nawet kiedy umarła. Z wściekłości walil jej głową o podłogę. W końcu odrzucił niedbale ciało Heleny od siebie i z trudem się podniósł. Czuł, że ma silny krwotok, ale nie dbał o to. Zataczając się podszedł do leżącego ciała i kopał je przeklinając. Wreszcie dowłókł się do łóżka i podniósł słuchawkę telefonu.



Wychodząc z apartamentu, Ścibor obejrzał się jeszcze na Andropowa. Starzec przyglądał mu się, a w końcu pomachał ręką na pożegnanie. Polakuśmiechnął się i odpowiedział tym samym.

Odprowadził go już tylko Chazow. Kiedy szli długim korytarzem, powiedział:

- Z niecierpliwością oczekuję pańskiego czwartkowego wykładu w instytucie.

- Pańska obecność na nim to dla mnie prawdziwy zaszczyt - odparł Ścibor. - Przepraszam, panie profesorze, ale wolałbym sam wrócić do hotelu. Mam sporo do przemyślenia... a w towarzystwie nie mogę się skupić.

Chazow nie krył swego rozczarowania, ale pomny polecenia Andropowa, by spełniać wszystkie życzenia Szafera, powiedział przymiłym tonem:

- Ależ oczywiście, profesorze. Pojadę innym samochodem.

Pożegnali się przy limuzynie. Chazow dał kierowcy przepustkę i przykazał, by odwiózł Szafera prosto do hotelu. Gdy przejeżdżali przez główną bramę, Ścibor pomachał mu ręką.

Tymczasem Andropow zapytał Czebrikowa:

- Czy w Korei Południowej przygotowano już odpowiednie powitanie dla tego sukiny na papieża?

- Wszystko gotowe - zapewnił Czebrikow. - Nasi ludzie już tam są. Za siedemdziesiąt dwie godziny nie będzie papieża.

- To dobrze. A czy macie jakieś wieści o tym drugim Polaku... Ściborze?

- Niestety nie - odparł ze smutkiem Czebrikow.

- Dziwne - zastanawiał się Andropow. - Jeden Polak przyjeżdża, żeby mnie leczyć... a drugi, żeby zabić... Zauważyłeś, że oni są nawet podobni do siebie?

Czebrikow miał ochotę uciec z tego pokoju, napić się wódki i zapalić, ale cóż, szef akurat chciał pogawędzić. Po chwili jednak Andropow ziewnął.

- Może chciałbyś się przespać, Juriju? - szybko zaproponował Czebrikow.

Lekko rozdrażniony Andropow pokręcił przecząco głową.

- Nie, trochę tylko chce mi się ziewać... A wiesz, jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia. W tym dossier, które mi dałeś, przeczytałem, że profesor Szafer ma niemiły oddech. Z góry się na to przygotowałem i uzbroiłem w cierpliwość, ale nic nie czułem. Oddech miał zupełnie normalny.

Nagle spojrział w górę na Czebrikowa i krzyknął:

- Nie miał przykrego oddechu!

W tej chwili rozległ się ostry dzwonek telefonu.

Ził zdążył już przebyć strzeżoną przez KGB aleję i z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę mknął w kierunku centrum. Ścibor nie czuł się jakoś szczególnie dumny, ale odczuwał głęboką ulgę. Zastanawiał się, co robi teraz Ania, czy jest już w drodze. Zaczął myśleć o przyszłości.

Przez szybę usłyszał cichy odgłos włączającego się radia, a zaraz potem zobaczył wpatrzone w siebie przerażone oczy kierowcy. Aż uderzył plecami w oparcie, kiedy samochód nagle przyspieszył.

Zrozumiał od razu. Inne wyjaśnienie nie wchodziło w grę. Może Andropow umarł szybciej, niż było to zaplanowane. Sięgnął natychmiast do klamki, ale uświadomił sobie, że wyskoczenie z samochodu przy tej prędkości równałoby się samobójstwu. Wprawdzie kierowca będzie musiał zwolnić gdzieś na zakręcie, ale do tego czasu powiadomione zostaną wszystkie milicyjne radiowozy i otoczą ich. Za kilka minut będzie za późno. Że też nie ma broni. Mógłby przynajmniej się zastrzelić. Zaczął kłąć pod nosem.

Mknęli właśnie zarezerwowanym dla VIP-ów pasem głównej ulicy. Zbliżali się już do ostrego zakrętu, a przed nimi ijechał jakiś samochód ze znacznie mniejszą prędkością. Będą musieli zwolnić.

Kierowca zaczął wściekle naciskać klakson. Ciągle jeszcze jechali bardzo szybko, ale Ścibor nie miał wyboru, musiał zaryzykować. Nacisnął klamkę i psychicznie przygotował się na skok, gdy nagle usłyszał syrenę. Spojrzał w kierunku, skąd dobiegała. Zobaczył białą karetkę przyhamowującą właśnie po ich lewej stronie. Pomyślał, że jeśli teraz wyskoczy, to trafi prosto pod jej koła. Zaklął. Wiedział, że kierowca karetki patrzy na niego.

Nagle karetka gwałtownie skręciła i uderzyła w zia. Ścibor przewrócił się na tylnym siedzeniu. Usłyszał pisk opon i poczuł, że auto skręciło lekko. W końcu samochód z hukiem uderzył w barierkę i wywrócił się. Ścibor osłonił rękoma głowę i skulił się przy szybie.

Ził przekoziłkował dwa razy, po czym szorując po jezdni zatrzymał się na boku w poprzek drogi. Ścibor czuł w ramieniu kłujący ból, ale zdołał się podnieść. Zobaczył, że stoi na prawym oknie, a nad głową ma otwór po wyrwanych z zawiasów lewych drzwiach. Za szybą pancerną leżało ciało kierowcy przysypane szdem ze słuczonej przedniej szyby.

Ścibor stanął na środkowej poręczy i postępując z bólu próbował podciągnąć się w górę. Zauważył, że karetka, która ich wyprzedziła, właśnie zawraca. Zupełnie nie mógł pozbierać myśli. Ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że to dobrze się składa, że wypadek spowodowała akurat karetka. Zaraz jednak wzięła w nim górę woła przeżyjcia. Czuć było benzynę, więc czym prędzej podciągnął się do góry i ciężko spadł na jezdnię. Jacyś ludzie biegli w jego stronę. Zdołał jakoś stanąć na nogach.

Karetka zatrzymała się tuż przy nim. Podbiegła kobieta w czerwonym palcie i zapytała, czy nic mu się nie stało. Ścibor był całkiem oszołomiony. Potem usłyszał niski głos zapewniający kobietę, że nie ma powodu do zmartwienia i że karetka zabierze poszkodowanego do szpitala.

Czyjaś wielka dłoń chwyciła go za ramię i pociągnęła do samochodu. Zobaczył, że ta dłoń należy do korpulentnego starszego mężczyzny o rumianej twarzy i zadziwiającej sile. Wepchnął on Ścibora do karetki, zatrasnął drzwi i czym prędzej usiadł za kierownicą. Dookoła zrobiło się już zbiegowisko. W ogólnym zamieszaniu Polakuś usłyszał czyjś głos:

- A co z kierowcą?

- Druga karetka jest już w drodze - padła krótka odpowiedź.

Ruszyli z miejsca; z początku wolno przeciskali się przez tłum.

Zaraz jednak kierowca wyłączył syrenę i szybko opuścili miejsce wypadku.

Ścibor obmacał ramię; prawdopodobnie było zwichnięte. Rozsądek mówił mu, że musi się stąd dostać, zanim dotrą do szpitala.

Nagle karetka zjechała z głównej drogi i skręciła w wąską uliczkę. Kierowca wyłączył syrenę i powiedział:

- No i jak się czujesz, Mirosławie, poza tym, że boli cię ramię?

Ścibor odwrócił się, żeby zobaczyć mówiącego. Starszy pan przyglądał mu się z uśmiechem. W pierwszej chwili Ścibor patrzył na niego oglupiały, ale stopniowo zaczął rozumieć. W końcu roześmiał się i rzekł:

- Domyślam się, że pracowały nad tym wasze najlepsze umysły.

- Można tak powiedzieć - przyznał Bekonowy Ksiądz.

Czterdzieści osiem godzin później samolot DC8 linii Alitalia dotknął płyty lotniska międzynarodowego w Seulu. Na jego pokładzie znajdował się papież Jan Paweł II.

Poprzedniego dnia z tego samego lotniska maszyną linii JAL odleciała do Tokio trójka Filipińczyków. Były wśród nich dwie młode kobiety - jedna bardzo ładna - i młody mężczyzna.

Arcybiskup Versano przywitał Bekonowego Księdza serdecznym uśmiechem i wskazał mu skórzany fotel.

- Witaj, Pieter. Dobra robota. Ale wyglądasz na zmęczonego. Napijesz się kawy? A może czegoś mocniejszego?

Ksiądz usiadł potrząsając przecząco głową.

- Nie, dziękuję, Mario.

Arcybiskup podszedł do biurka i wrócił z kartką papieru. Zajął fotel na wprost księdza i uśmiechnął się do niego zadowolony.

- To jest oświadczenie wydane przez Kreml trzy dni temu. Przeczytam ci: "Towarzysz Jurij P. Andropow, Przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR i Generalny Sekretarz KPZR, zmarł 9 lutego 1984 roku o godzinie 16.50. Przyczyną śmierci: śródmózżowe zapalenie nerek, zmiany degeneracyjne nefronu, przewlekła niewydolność nerek, zmiany dystroficzne w organach wewnętrznych, utrwalone i postępujące naciśnienie i niewydolność krążenia".

Skończywszy czytać, ponownie uśmiechnął się do Bekonowego Księdza.

- Kolejne kremłowskie kłamstwo. Najwyraźniej nie chcą, żeby ktokolwiek na świecie wiedział, że ich osławiony system bezpieczeństwa został złamany.

Zmęczony ksiądz zaprzeczył ruchem głowy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Versano.

- Nic takiego, tylko że mógł przecież umrzeć właśnie z takiego powodu, jak podano.

Zaintrygowany Versano przechylił głowę na bok i przez chwilę w milczeniu przyglądał się księdzu. W końcu zapytał:

- Pieter, o co ci chodzi? A papieski poseł? A la cantante?

Bekonowy Ksiądz westchnął.

- Oni nigdy nie istnieli, Mario. Są tylko tworem twojej wyobraźni.

Arcybiskup wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Mój Boże... chyba nie kazałeś... wyeliminować ich... żeby zatrzeć dowody?

Van Burgh znów westchnął.

- Mario, przecież nie można wyeliminować kogoś, kto nigdy nie istniał.

Na twarzy Versana i w jego głosie pojawiło się rozdrażnienie.

- Czyś ty oszalał? Przecież Ścibor był człowiekiem z krwi i kości!

- Owszem, istniał jakiś Mirosław Ścibor. I nawet zabił dwóch swoich zwierzchników. Pewnie go złapali i po cichu zlikwidowali.

Wciąż nie wierząc własnym uszom, Versano warknął: - A ta zakonnica, Ania Król...? Przecież Mennini sprowadził ją tu z klasztoru na Węgrzech.

Van Burgh rozłożył ręce.

- W rejestrach klasztoru nie istnieje żadna Anna Król. Matka przełożona również nie przypomina sobie nikogo takiego.

- A Mennini nie żyje, oczywiście - szyderczo oznajmił Versano.

- Tak. Niech odpoczywa w spokoju.

- A Nostra Trinita?

Van Burgh machnął ręką, jakby coś od siebie odrzucał.

- Ot, trzech głupców się upiło i pofantazjowało trochę.

- Rozumiem. I naturalnie cały ten bałagan w Europie Wschodniej, o którym tyle pisano w gazetach, i powołanie pod broń wojska i milicji to też tylko wytwory mojej wyobraźni. Mojej i milionów innych ludzi?

Bekonowy Ksiądz zaprzeczył ruchem głowy.

- Ależ nie. Przypuszczam, że to zamieszanie powstało w wyniku kampanii dezinformacyjnej prowadzonej przez Amerykanów... a konkretnie CIA. Dzięki temu zorientowali się w możliwościach wschodniego systemu bezpieczeństwa.

- A te wszystkie zabójstwa? W restauracji? I w Krakowie?

Van Burgh wzruszył ramionami.

- To robota dysydentów, renegatów. Zdarza się, nawet w państwach totalitarnych.

Zapadła cisza, ale po chwili Versano coś sobie przypomniał. Pochylił się do przodu wściekły, ale z wyrazem triumfu na twarzy.

- A pieniądze?

- Jakie pieniądze?

- Dolary! - krzyczał arcybiskup. - Złoto! Przesłałem ci je! Ja osobiście! Czy to też wytwór mojej wyobraźni?

Bekonowy Ksiądz wstał i przeciągnął się. Na jego twarzy malowało się krańcowe wyczerpanie. Bardzo łagodnie powiedział:

- Mario, o ile mi wiadomo, to Kościół nie wyłożył żadnych pieniędzy... ani ty osobiście. - Spojrzał na zegarek - No, muszę już iść. - Gestem wskazał kartkę w rękach arcybiskupa. - Przynajmniej tym razem lepiej wierzycie Kremłowi. Do widzenia, Mario.

Skierował się do wyjścia, lecz zatrzymał go zimny głos Versana.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, a ja i tak sam wiem, w co mam wierzyć.

Bekonowy Ksiądz przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł:

- Kardynał Mennini powiedziałby: "Wiara to stan umysłu". I pamiętaj, że on był uczciwy... i nosił włosienicę. Świadomość, że papieski poseł nigdy nie istniał, jest twoją włosienicą. Noś ją godnie.

Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.



# EPILOG

Znajdujące się we wschodniej części Zimbabwe góry Vumba widać z sąsiedniego Mozambiku. A przynajmniej widać je wtedy, gdy rozproszy się mgła, od której góry wzięły swą nazwę.

Poza tubylcami żyje w tej części Zimbabwe sporo Europejczyków, których przodkowie osiedlili się tu jeszcze w czasach kolonialnych. Dlatego najwięcej wśród nich Brytyjczyków, ale są też Grecy i Portugalczycy, którzy przybyli tu z Mozambiku, kiedy to państwo uzyskało niepodległość. Jest też trochę Holendrów i Niemców zajmujących się głównie rolnictwem. Najmniejszą grupę stanowią Polacy - można ich zliczyć na palcach.

Na początku roku 1984 ich liczba znacznie się zwiększyła - w przeciągu trzech tygodni przyjechała dwójka Polaków. Pierwsza zjawiała się kobieta. Była zakonnicą i wstąpiła do klasztoru położonego wysoko w górach Vumba. W budynku tym mieścił się kiedyś piękny, ale nierentowny hotel. Zarówno matka przełożona, jak i większość zakonnice to Irlandki. Siostry opiekowały się sierotami oraz uciekinierami z rozdartego wojną Mozambiku. Nowa zakonnica prowadziła kurs angielskiego.

Przybyły mężczyzna nie rzucał się w oczy. Przez pierwsze dwa tygodnie mieszkał w hotelu Impala Arms, a potem kupił trzy sta akrow ziemi w zalanej spiekotą dolinie Burma. Plotka głosiła, że część należności uiszczył w zlocie.

Na zakupionej ziemi nie było żadnego budynku, ale Polak rozbił tam namiot i zaczął budować dom, używając jako budulca kamienia i drewna pochodzącego z wyciętych przez siebie drzew. Zajął się też uprawą kawy, bananowców i krzewów protea przeznaczonych na eksport do Europy.

Początkowo mieszkający w sąsiedztwie farmerzy naśmiewali się z niego, bo nie miał zielonego pojęcia o rolnictwie. Jednak szybko się uczył i słuchał rad innych. Swoją dom budował powoli, korzystając czasem z miejscowej siły roboczej, ale większość prac wykonywał sam.

Każdego wieczoru wsiadał do landrovera i jechał do klasztoru w górach Vumba. Tam, w roboczym ubraniu, siadał na dawnym pniu w pobliżu zarośniętego już ósmego dołka na starym polu golfowym. Po zakończeniu wieczornych modłów przyłączała się do niego zakonnica w białym habicie i rozmawiali ze sobą przez jakąś godzinę.

Dziewiątego marca 1987 roku, prawie trzy lata po przyjeździe do Zimbabwe, mężczyzna zakończył budowę domu. I tego dnia zajęła na podwórko ciężarówka ze sklepu w Mutare załadowana meblami, wśród których było też ogromne łóżko małżeńskie. Wieczorem mężczyzna ubrał się w swój najlepszy garnitur i pojechał do klasztoru. Tym razem podjechał aż pod drzwi frontowe i czekał przy samochodzie. Po dziesięciu minutach w drzwiach pojawiła się dziewczyna ubrana w białą koszulkę i dżinsy. W ręku trzymała walizkę.

Odprowadzała ją matka przełożona, która ucałowała ją w policzek. Dziewczyna wsiadła do samochodu i odjechała, choć nie na zawsze. Miała tu przyjeżdżać codziennie, by kontynuować kurs, ale już nie jako zakonnica. W walizce miała papieską dyspensę, tym razem prawdziwą, z datą sprzed trzech lat. Te trzy lata stanowiły pokutę za grzech, którego nie mogła wyjawic nikomu, z wyjątkiem mężczyzny, który właśnie po nią przyjechał.

Nie załowała tych trzech lat.

On też nie.